

CYKL Z JAKUBEM KANIĄ

MACIEJ

*Ach śpij, kochanie,*

SIEMBIEDA

*Jeśli gwiazdkę z nieba chcesz – dostaniesz*

KOŁYSANKA



**MACIEJ  
SIEMBIEDA  
KOŁYSANKA**

Redakcja: Paweł Goźliński

Korekta: Jolanta Gomółka

Projekt graficzny okładki: Krzysztof Rychter

Zdjęcia na okładce: Copyright © 2019 PrinceOfLove/Shutterstock, © 2013 Oksana Mizina/Shutterstock

Opracowanie graficzne, skład: Elżbieta Wastkowska, ProDesGraf

Redaktor prowadząca: Katarzyna Kubicka



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

© copyright by Agora SA, 2022

© copyright by Maciej Siembieda, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-268-4017-3



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



# SPIS TREŚCI

PROLOG

OPUS 1

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

OPUS 2

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Epilog

Posłowie

Podziękowania

Przypisy

*Ach śpij, kochanie*

*Jeśli gwiazdkę z nieba chcesz – dostaniesz*

Fragment kołysanki z 1938 r., autorstwa Henryka Warsa (muz.) i Ludwika Starskiego (sł.)

## PROLOG

### Początek XIX wieku

Strużka krwi, spływająca po nagim ciele mężczyzny wiszącego na gałęzi drzewa głową w dół, wyglądałaby jak rzeka narysowana na mapie, gdyby rzeki na mapach zaznaczano na czerwono.

Rzeka miała swoje źródło w okaleczonych genitaliach zwisających na strzępie skóry. Dalej sama wytyczała sobie koryto. Płynęła przez równinę brzucha, zarośla włosów na klatce piersiowej i dolinę prawego obojczyka. Tu tworzyła kaskadę. Omijała szyję i spadała wprost na policzek. Purpurowe kulki toczyły się po nim przez kilka chwil, a potem kapały w leśną ściółkę kilka centymetrów od głowy nieszczęśnika, która niemal dotykała ziemi.

Płynęła coraz leniwiej. Krople krwi nabierały po drodze lepkości, a kiedy docierały do policzka, sunęły w dół ociężale i niezdecydowanie, jakby były z gumy. Wreszcie krzepły, tworząc między twarzą wiszącego człowieka a leśną glebą miękką, czerniejący sopel.

Mrówki tylko na to czekały.

Od pół godziny kłębiły się w ściółce z rosnącą nerwowością, nie wiadomo, czy bardziej podniecone zapachem krwi, czy perspektywą zadania, które je czekało. Znały się na tej robocie. Myśliwi i kłusownicy co jakiś czas zostawiali im głowy zabitych zwierząt, odbierając potem czaszki starannie oczyszczone ze skóry, mięśni i żył. W takich pracach brało udział całe miasto owadów, łącznie z robotnicami, które rzadko wychodziły spod ziemi. Zajmowały się plantacją grzybów, bo tylko dwa gatunki stworzeń potrafią uprawiać to, co później jedzą: ludzie i mrówki.

Dziś miały zjeść człowieka.

Najpierw po soplu krwi wtargnęła najważniejsza z grup, mająca za zadanie ostrzyknąć żerowisko jadem, zawierającym kwas mrówkowy,

który konserwuje mięso.

Zaczęły pracować z pasją, a wtedy mężczyzna przywiązany do gałęzi poruszył się. W pierwszej chwili lekko, potem z wyraźnym niepokojem. Parę chwil zajęło mu uświadomienie sobie, co się z nim dzieje. Rozpaczliwie próbował oswobodzić ręce związane za plecami, jednak nie zdołał. Szarpnął się gwałtownie, ale na ziemię spadło zaledwie kilka mrówek z ruchomej maski, która już oblepiała mu policzek.

Człowiek powieszony głową w dół był synem nadleśniczego i nieraz zdarzało mu się widzieć czaszki spreparowane przez mrowiska.

Pokonując ból, nabrał tyle powietrza, ile zdołał, i wydał z siebie ogłuszający ryk.

# OPUS 1



## ROZDZIAŁ I

Styczeń–luty 2014 roku

### 1.

Stare pudełko po trzewikach męskich z etykietą dawnych zakładów obuwniczych „Chełmek” drastycznie zakłócało ład panujący na biurku dyrektora pionu śledczego Instytutu Pamięci Narodowej.

Dyrektor był pedantem, a jego gabinet sanktuarium porządku i sterylności, w którym nieczysty karton z czasów PRL nie miał racji bytu. A jednak tu tkwił, oddzielając od siebie mężczyzn siedzących po dwóch stronach zabytkowego biurka wylakierowanego na wysoki połysk.

Szef pionu rozmawiał przez komórkę.

Jego gość, czterdziestoparoletni brunet w popielatym golfie pod miękką flanelową marynarką, chciał taktownie wyjść, ale dyrektor gestem zachęcił go do pozostania. Najwyraźniej rozmowa nie była objęta klauzulą poufności.

Zresztą trudno to było nazwać rozmową. Szef pionu słuchał głosu po drugiej stronie, wpatrując się w olejne misterium *Cudu nad Wisłą*, wiszące na przeciwległej ścianie. Kilka razy wydobył z siebie identyczne „yhm”, coś zanotował, po czym potwierdził, że wszystko zrozumiał i przyjął do realizacji. Równie dobrze mogło chodzić o sprawę wagi państwowej, jak i listę zakupów. Bez pożegnania oddalił smartfon od ucha i dotknął palcem ekranu, kończąc połączenie. Przez moment uniósł wzrok ku niebu, po czym skupił go na swoim gościu.

Brunet był prokuratorem IPN, nazywał się Jakub Kania i od kilku minut studiował etykietę trzewików z „Chełmka”, co ułatwiło dyrektorowi zadanie. Poprawił mankiety koszuli, które zbyt odważnie wysunęły się z rękawów garnituru, i zerknął na podwładnego.

– Proszę się nie sugerować pudełkiem – uprzedził.

Prokurator Kania ścisnął wargi i ze zrozumieniem pokiwał głową. Doskonale wiedział, że dyrektor jest fanatycznie przesądny. Szef wierzył, że czarne koty przebiegające drogę i podawanie ręki przez próg przynoszą pecha, a stawianie butów na stole uznawał za zwiastun awantury. Nigdy by do tego nie dopuścił.

– W środku są rzeczy, które otrzymaliśmy od rektora pewnej szkoły wyższej na Śląsku. – Postukał w karton. – Wie pan, kolego, jednej z tych, gdzie w zamian za chesne można dostać dyplom marketingu, zarządzania, kosmetologii lub europeistyki. – Dyrektor nie był najlepszego zdania o niepublicznym szkolnictwie akademickim.

Kuba zachował uprzejme milczenie.

– Pudełko jest pełne starych zdjęć, dokumentów, fotokopii i notatek profesora Dariusza Jurczyka. Słyszał pan o nim?

Prokurator Kania uruchomił wyszukiwarkę pamięci, ale zaraz przecząco pokręcił głową.

– Nie ma czego żałować – uznał szef pionu. – Facet był całkiem niezłym historykiem drugiej wojny światowej, ale postawił na złego konia.

Kuba popatrzył na niego pytająco.

– No tak – potwierdził dyrektor. – Doktorat i habilitację zrobił z wyzwolenia Opolszczyzny przez Armię Czerwoną – dodał, akcentując „wyzwolenie” gestem cudzysłowu. – Głosił chwałę sowieckiego oręża i jego zbawiennych działań nad Odrą pod koniec wojny, gdy tymczasem bohaterowie Jurczyka rabowali, gwałcili i wyrzynali na Śląsku Opolskim całe wsie po zachodniej stronie Odry.

– Mamy tu jakieś dowody? – spytał Kuba, wskazując oczami karton po trzewikach.

– A... to już pan mi powie – odparł dyrektor. – Jurczyk zmarł jesienią ubiegłego roku. Nagle. Tuż przed rozpoczęciem roku akademickiego. Pudełko znaleziono w jego biurku, gdy sprzątano je dla nowego wykładowcy. Rektor chciał oddać te papiery rodzinie, ale uznał, że z uwagi na ich wartość historyczną powinien je odesłać do IPN-u.

Kuba ostrożnie uchylił kartonowe wieko, jakby otwierał szkatułkę z precjozami. Wewnątrz dostrzegł pożółkłe dokumenty, trochę starych fotografii i wypłowiałe naramienniki radzieckiego oficera. Chyba młodszego lejtnanta.

– Ponoć w ostatnich latach – kontynuował dyrektor – Jurczyk ujawnił sporo prawdy o sowieckich zbrodniach na Opolszczyźnie. Może chciał się zrehabilitować za czasy, gdy był pieszczochem władzy, a komunistyczne Wojsko Polskie przyznało mu stopień podpułkownika rezerwy. Z pewnością wiele wiedział na temat tego, co Sowietci mieli za uszami. Proszę o zbadanie i rzetelną ocenę tych materiałów – stwierdził oficjalnie, przesuwając pudełko w stronę Kuby. – Pan zna rosyjski? – upewnił się.

– Uczyłem się w podstawówce i liceum. Poradzę sobie.

– Świetnie. – Dyrektor wstał, dając do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca. – Będę zobowiązany za raport. Ale niech pan się nie spieszy, kolego. Lepiej to przejrzeć powoli, ale rzetelnie.

Jakub Kania ujął pudełko oburącz i zrobił porozumiewawczą minę.

– Też jestem tego zdania.

Wrócił do swojego pokoju, usiadł i spojrzał na zegarek. Do zakończenia urzędowania miał jeszcze dwie godziny. Dość czasu, aby dokonać wstępnej selekcji materiałów profesora Jurczyka.

Delikatnie wyłożył je na biurku, osobno układając dokumenty, fotografie i notatki. W jednej z podniszczonych kopert znalazł kartkę papieru złożoną na czworo i zapisaną starannym, równym pismem badacza. Notatka była dość lakoniczna i opatrzona kilkoma czerwonymi podkreśleniami, do których prowadziły strzałki z napisem „sprawdzić”. Informowała o „specjalnych wysłannikach”, mężach zaufania NKWD, których tuż po przejściu frontu sowiecka bezpieka umieszczała w wyzwolonych miastach na ziemiach, które po wojnie miały przypaść Polsce.

Kuba z tej samej koperty wyjął kilka zdjęć i uważnie przyjrzał się twarzom na fotografiach. Kim byli ci ludzie? Młodzi, krzepcy mężczyźni, a jednak zwolnieni ze służby wojskowej. Dziwne – pomyślał. Wojna

ojczyźniana w ZSRR była obowiązkiem świętszym niż dżihad dla muzułmanów. Za broń chwycił kto żyw, tymczasem ci faceci najwyraźniej nie poszli na front.

Na fotografiach mieli cywilne ubrania, mimo że daty zapisane na odwrocie odbitek sugerowały, że wojna nadal trwała. Luty–marzec 1945. Dlaczego nie walczyli? Byli zbyt cenni, żeby narażać ich na śmierć od faszystowskich kul? I najważniejsze: Jaką mieli misję? Cóż takiego powierzono im do załatwienia, skoro nie mogli ich w tym wyręczyć kadrowi oficerowie NKWD? Przecież pełno ich było w śląskich miastach zajętych przez Armię Czerwoną.

Prokurator bębnił palcami w blat biurka, na którym ułożył podobizny specjalnych wysłanników. Wpatrywał się w nie, szukając odpowiedzi, gdy w pewnej chwili jedna z twarzy wydała mu się znajoma.

Sięgnął do szuflady po lupę.

Fotografia przedstawiała mężczyznę o ciemnych, kędzierzawych włosach. Miał czarne, krzaczaste brwi i oczy tego samego koloru. Ubrany był w charakterystyczny radziecki waciak bez żadnych dystynkcji, a jednak otaczający go oficerowie wpatrywali się w niego z najwyższym szacunkiem.

Powiększenie dało Kubie pewność, że gdzieś już widział tego człowieka.

Przez kilka chwil trwał w skupieniu, po czym drgnął, sięgnął po laptop odpoczywający po lewej stronie blatu i zapędził go do pracy. Dwie minuty później wpisał do wyszukiwarki nazwisko, które chciał sprawdzić, a kiedy pojawiły się wyniki, przesunął kursor na pole oznaczone hasłem „Grafika”. Ekran zapełnił się dziesiątkami kadrów.

Prokurator IPN powiększył kilka, a następnie po kolei przykładał do nich podobiznę mężczyzny w waciaku. Zdjęcia z Internetu przedstawiały gwiazdę światowej sławy. Pożółkła fotografia specjalnego wysłannika NKWD wykonana w 1945 roku w Grodkowie na Opolszczyźnie – o wiele młodszą wersję tego samego człowieka.

Kuba wstrzymał oddech.

Resztek wątpliwości pozbył się, gdy na dole odbitki lupa ujawniła dopisek wykonany kopiaowym ołówkiem: „Ap. X”

Prokurator Jakub Kania rzeczywiście znał rosyjski i poczuł, że drżą mu dłonie.

## 2.

Iwona Kern, radna sejmiku wojewódzkiego i szefowa komisji współpracy z zagranicą, przystanęła przed lustrem jednego z salonów odzieżowych w Solaris Center na opolskim placu Kopernika i oceniła efekt wizyty u wizażystki.

O to chodziło.

Profesjonalny makijaż wygładzał i rozświetlał twarz, podkreślał jej filmową urodę oraz nadawał tajemniczości, która kusila mężczyzn. Niestety. Radna Kern piastowała poważne funkcje publiczne i tajemniczość była jedynym wabikiem, jaki jej pozostał. Czasy kokietowania i hojnego roztaczania powabu trzeba było uznać za minione. Coś za coś – pomyślała z nutką żalu, który szybko ustąpił, gdy przechwyciła w lustrze dwa albo trzy niebezpieczne spojrzenia całkiem przystojnych facetów. Zerknęła do torebki i ukradkiem porównała swoje odbicie z fotografią Moniki Bellucci na ekranie smartfona.

Wizażystka okazała się pojętna.

Wyprostowała się i z satysfakcją wciągnęła powietrze, co wyraźnie posłużyło ekspozycji jej biustu. Zrobiła krok w stronę wyjścia i wtedy usłyszała w torebce melodyjkę Beyoncé.

Odszukała telefon, gdy ludzie w sklepie zaczęli się przyglądać. Komórka była ustawiona tak, że nieodbierana grała coraz głośniej. Iwona Kern nacisnęła zielone kółko połączenia w chwili, gdy piosenkarka brzmiała już jak na stadionie.

– Zapomniałaś? – usłyszała w słuchawce lekko zirytowany głos marszałka województwa.

– O czym? – spytała słodko, żeby zyskać trochę czasu.

– Prosiłem cię, żebyśmy się spotkali u mnie z prokuratorem IPN z Warszawy. Delikatna sprawa. O pomoc prosił mnie znajomy z ministerstwa spraw wewnętrznych. No. Więc asystentka mówi, że ten prokurator właśnie przyszedł i czeka w sekretariacie. A gdzie ty jesteś?

– W drodze. – Iwona Kern przyspieszyła kroku, aby marszałek usłyszał, że z trudem łapie oddech. – Ważne spotkanie mi się przedłużyło, ale oczywiście pamiętałam – skłamała tak łatwo i naturalnie, że nie wyłapałby tego nawet wariograf. – Daj mi kwadrans.

Marszałek z dezaprobatą pokręcił głową, odłożył telefon i uniósł palec, aby uruchomić przycisk interkomu, ale w ostatnim momencie zrezygnował. Doszedł do wniosku, że podkreśli, jak ważna jest dla niego prośba kolegi z ministerstwa. A przy okazji zatuszuje złe wrażenie wywołane spóźnieniem Iwony Kern.

Wstał zza biurka, zapiął marynarkę i otworzył drzwi gabinetu, obdarzając gościa ukłonem, po czym gestem zaprosił go do środka.

Brunet, który przycupnął na krześle w sekretariacie, odstawił filiżankę, złożył miejscową gazetę i odpowiedział uśmiechem.

– Jakub Kania – przedstawił się, wyciągając dłoń. Akurat w progu, ale marszałek przesądny nie był.

– Co pana do nas sprowadza? – spytał, gdy usiedli przy stole obrad zarządu województwa. – Mój znajomy podsekretarz stanu z MSW był bardzo oszczędny w słowach. Powiedział jedynie, że to sprawa wagi państwowej, ściśle poufna i że chodzi o jakiegoś Rosjanina... – Marszałek zawiesił głos, spoglądając na starą fotografię, którą prokurator Kania wyjął z kieszeni marynarki i bez słowa położył przed nim na stole. – To ten? – upewnił się, nie podnosząc wzroku na gościa, za to wskazując palcem mężczyznę w waciaku w środku kadru.

Pytanie było czysto retoryczne, niemniej Kuba uprzejmie potwierdził.

– Mogę? – Marszałek niepewnie wyciągnął dłoń po zdjęcie.

Jakub Kania skinął głową.

Szef samorządu województwa uniósł odbitkę i dokładnie się jej przyjrzał.

– Grodków? – spytał. – Kolega z MSW mówił, że interesuje pana Grodków.

– Tak jest – potwierdził Kuba. – Zdjęcie zrobiono jakiś miesiąc, może dwa po zajęciu miasta przez Armię Radziecką.

– Skąd to wiemy? – dociekał marszałek.

– Rosjanie wkroczyli w pierwszych dniach lutego – wyjaśnił rzeczowo Kuba. – W wyniku walk Grodków bardzo ucierpiał. Tymczasem – proszę się przyjrzeć – w tle widać pierwsze porządki. Przed domem po lewej, pewnie zburzonym pociskiem artyleryjskim, już ustawiono pryzmy z odzyskanych cegieł. Już coś się dzieje. Już powoli rusza odbudowa. No i pogoda ładniejsza. Luty czterdziestego piątego roku w tych stronach był mroźny i zasypany po parapety okien na parterze. Sprawdziłem. Ale na zdjęciu tego nie widać. Niewiele śniegu. A oficerowie na fotografii, choć w waciakach i zimowych płaszczach, są z gołymi głowami lub w połowych czapkach. Tylko jeden ma uszankę.

Marszałek przez dłuższą chwilę przekładał jego objaśnienia na oglądany obraz, wreszcie pokiwał głową.

– Powie mi pan, kim jest człowiek w środku kadru? – Spojrzał uważnie na Kubę.

– Powiem – odparł prokurator Kania. – Ale jestem zmuszony prosić pana o zachowanie tajemnicy.

– Naturalnie. Doskonale rozumiem. Jako marszałek mam dostęp do informacji niejawnych. Mogę pokazać zaświadczenie z ABW. – Podniósł się z krzesła, ale Kuba go powstrzymał.

– Nie trzeba. Proszę spojrzeć na dopisek na dole fotografii.

– „Ap. X” – odczytał marszałek i uniósł ramiona w geście bezradności. – Co to „a-pe”?

– „A-er” – wyjaśnił prokurator IPN. – To skrót zanotowany po rosyjsku. Nasze „pe” to ich „er”

– „Ar...” – głośno zastanowił się szef województwa i spojrzął niepewnie na swojego gościa. – „Ar. X” Archiwum X? – zaryzykował. – Zgadłem?

– Niestety nie. – Kuba uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Skrót oznacza inicjały imienia i nazwiska mężczyzny ze zdjęcia – wyjaśnił, a następnie nabrał powietrza i powiedział trochę uroczyście, jakby chciał dokonać prezentacji: – Panie marszałku, to jest...

W tym momencie rozległo się krótkie, energiczne pukanie do drzwi i do gabinetu weszła atrakcyjna kobieta w wieku, który można było określić jako popołudnie młodości. Była bardzo ładna i bardzo tego świadoma.

Odległość dzielącą ją od stołu konferencyjnego pokonała, stawiając stopy wzdłuż idealnej linii prostej, jak modelka na wybiegu. Drobiła kroki niczym dawne gwiazdy kina skrępowane obcisłymi spódnicami, zwężanymi od bioder do kolan, co przyciągało męskie spojrzenia.

Obaj panowie wstali.

– Pozwoli pan, panie prokuratorze – marszałek zapiął guzik marynarki – że przedstawię panią Iwonę Kern, radną naszego sejmiku, odpowiedzialną za współpracę z zagranicą.

Kuba nie dostrzegł związku między celem swojej wizyty a obszarem kompetencji radnej, ale przywitał się z pełną galanterią. Odsunął kobiecie krzesło i uprzejmie odpowiedział na uśmiech.

– Iwona to moja partyjna koleżanka – wyjaśnił gospodarz spotkania o wiele mniej oficjalnym tonem. – Zaprosiłem ją, bo zna Grodków, pracowała w samorządzie lokalnym i doskonale porusza się w tamtejszym środowisku. Myślę, że jest osobą, jakiej pan szuka.

Radna obrzuciła Kubę zaciekawionym spojrzeniem.

– W czym mogę pomóc? – spytała.

Prokurator IPN rzeczowo objaśnił cel swojej misji, podkreślając jej poufność.

Iwona Kern obracała w dłoniach fotografię Rosjanina w waciaku. Milczała.

– Pochodzi pani z Grodkowa? – chciał wiedzieć Kuba.

– Tak, ale jestem z rodziny repatriantów. Moi rodzice wraz z dziadkami z obu stron przyjechali na Opolszczyznę zaraz po wojnie. Jednym



transportem z tej samej wsi na Wołyniu.

Kresy – pomyślał Kuba i w tej samej chwili rozwiązał zagadkę urody Iwony Kern. Radna wyglądała dokładnie tak, jak artystki z zespołu pieśni i tańca, który kiedyś podziwiał na delegacji w Kijowie. Jej czarne oczy, brwi oraz rysy twarzy musiały mieć sporą domieszkę krwi ukraińskiej. Pewnie po czterdziestce – doszedł do wniosku – a ciągle *mołodycia*. Kobiety znad Dniepru to potrafią.

– Ale w Grodkowie znam wszystkich – radna przypomniła mu o celu wizyty u marszałka. – Z kim chciałby pan porozmawiać?

Prokurator IPN splótł palce dłoni.

– Najchętniej z ludźmi, którzy mogą pamiętać tego człowieka. – Wskazał fotografię dyskretnym ruchem głowy.

Iwona Kern ściągnęła swoje naddnieprzańskie brwi.

– Muszę pomyśleć – stwierdziła. – Rodziny mojej mamy i ojca przyjechały ze wschodu, o ile dobrze pamiętam, jesienią czterdziestego piątego. Jeśli ten człowiek był specjalnym wysłannikiem NKWD krótko po zajęciu Grodkowa przez Rosjan, to obydwie fakty dzieli kilka miesięcy. Nasi, czyli repatrianci, nie mogli go znać – uznała i zamyśliła się jeszcze bardziej.

– Może wobec tego zna pani jakiegoś historyka amatora? Patriotę lokalnego? Nauczyciela zakochanego w dziejach miasta? Zbieracza wspomnień? – Kuba nie dawał za wygraną.

Ale radna przecząco pokręciła głową.

– Mam lepszy pomysł – powiedziała.

Prokurator IPN przyjął wyczekującą pozę.

– Umówię pana z moim mężem. Tomasz jest autochtonem. Jego rodzina mieszka niedaleko Grodkowa od pokoleń. Oni mogą coś wiedzieć. A jeśli nie, to znają takich, co mogą wiedzieć. Niestety – uśmiechnęła się kwaśno – za rok będzie siedemdziesiąt lat po wojnie, a u nas na wsi ciągle dwa światy. Ślązacy sobie, Wschodniacy sobie. A od kiedy działa legalna mniejszość niemiecka, ta granica jest jeszcze lepiej strzeżona. Moi sąsiedzi mogą się dzielić opłatkiem, ale nie sprawami z przeszłości.

W gabinecie marszałka obydwu światów przez chwilę zapanowała krępująca cisza.

– Kiedy możemy się spotkać z pani mężem? – przerwał ją Kuba.

– Ja mam mieszkanie w Opolu i muszę tu być do weekendu – poinformowała radna. – Pan rozumie. Obowiązki. Ale wy z Tomaszem możecie się zobaczyć choćby jutro. Zadzwońię do niego wieczorem i dam panu znać. Mogę prosić o pański numer telefonu?

Prokurator IPN z zakłopotaniem sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął etui na wizytówki.

– Przepraszam. Powinienem od tego zacząć – stwierdził, kładąc przed Iwoną Kern kartonik z nagłówkiem Instytutu.

Radna schowała go do torebki i uważnie spojrzała Kubie w oczy. Wytrzymał to spojrzenie.

Dziwne – pomyślał. – Nawet nie spytała o nazwisko człowieka, którego poszukuję w takiej tajemnicy.

Ciekawe – zastanowiła się z kolei ona. – Co to za Rosjanin? Może powinnam zapytać? Ale w sumie po co? Niech ten warszawski harcerzyk szuka go sobie razem z Tomkiem do woli. Nic mnie to już nie obchodzi.

Rzeczywiście nie obchodziło.

Od kilku miesięcy radna w tajemnicy o wiele głębszej niż śledztwa IPN przygotowywała się do absolutnie zaskakującego zwrotu akcji, jaki miał nastąpić w jej życiu. Takie plany snują ludzie, którzy zamierzają wyjechać na drugi koniec świata, nie zostawiając adresu, albo upozorować własną śmierć, przejść operację plastyczną i zacząć wszystko od nowa.

Dla Iwony Kern tylko to się teraz liczyło. Wszystko inne, łącznie z wizytą u marszałka, było jedynie kamuflażem. Odwróceniem uwagi od tego, co wkrótce miało nastąpić.

### 3.

Marszałek odprowadził gości do drzwi gabinetu, ale zanim je otworzył, dotknął porozumiewawczo ramienia prokuratora Kani.

– Można jeszcze na słówko?

Pożegnali się z radną Kern, która ponowiła obietnicę późniejszego telefonu do Kuby.

– Nie zdążył mi pan powiedzieć, kim był człowiek w waciaku – szepnął marszałek, gdy zostali sami. Najwyraźniej ciekawość swędziała go przez cały czas rozmowy z Iwoną Kern, bo Kuba miał wrażenie, że siedział jak na szpilkach.

– „Ar. X” – przypomniał prokurator IPN. – „X” to rosyjskie „H”. „Ar. H.” to Aram Chaczaturian.

Szef samorządu województwa zaniemówił na dłuższą chwilę.

– Ten kompozytor? – upewnił się.

Kuba skinął głową.

– Ale numer. – Marszałek nagle zapomniał o powadze swojego urzędu. – I on był specjalnym wysłannikiem NKWD do Grodkowa?

– Właśnie tak.

– Niedawno byliśmy z żoną w Paryżu na jego balecie. – Na twarz marszałka wystąpiły rumieńce. – Jak sobie przypomnę *Taniec z szablami*, to do tej pory mam dreszcze. Ale moc! Bilety dostaliśmy od przyjaciół, którzy musieli pilnie wyjechać, bo miejsca na Chaczaturiana rezerwuje się dwa lata wcześniej. Ale numer... – powtórzył.

Jakub Kania wyciągnął rękę.

– Raz jeszcze serdecznie dziękuję za pomoc.

Marszałek machnął dłonią.

– Drobiazg. Gdybym mógł się jeszcze na coś przydać, to wie pan, jak mnie znaleźć. Ale z tym Chaczaturianem to mnie pan zastrzelił. I on, w Grodkowie, specjalny wysłannik NKWD, mówi pan. No, no. Tylko – zastanowił się przez moment – dlaczego to takie tajne?

Kuba spojrzał na niego porozumiewawczo.

– Powiem panu, że mnie też wydało się to przesadą. Jednak mój szef i minister spraw wewnętrznych uznali, że temat trzeba dyskretnie i starannie sprawdzić. Wie pan, tuż po wojnie w Grodkowie Rosjanie dopuścili się licznych zbrodni. Rabowali i gwałcili każdego dnia. Ale też mordowali. Miejscowych. Ludzi, którzy nie uciekli z Wehrmachtem,

bo czuli się Polakami i zapłacili za to życiem. Gdyby się okazało, że Aram Chaczaturian miał krew na rękach, że był zamieszany w ludobójstwo, to...

– To co? – Marszałek od momentu przypomnienia sobie *Tańca z szablami* był wyraźnie podekscytowany.

– IPN uważa, że byłaby ważna karta w rozgrywce z Rosją – stwierdził Kuba. – Pewnie Moskwa chciałaby, aby takie coś wyszło na jaw. W końcu to ich duma narodowa. Kompozytor światowej sławy. Sam pan powiedział, że na bilety w Paryżu czeka się dwa lata.

Szef województwa wstał i zrobił kilka kroków po gabinecie, jak bokser koncentrujący się przed walką. Lewą dłoń przytrzymał zaciśniętą prawą pięść. Wreszcie zatrzymał się przed prokuratorem IPN i spojrzał na niego przenikliwie.

– Myśli pan – konfidencjonalnie zniżył głos – że w zamian za utajnienie prawdy o ewentualnych zbrodniach Chaczaturiana w Grodkowie udałoby się odzyskać czarną skrzynkę tupolewa, który rozbił się w Smoleńsku?

Facet zaczyna odlatywać – pomyślał Kuba. Typowy polityk. Poczuł, że może coś na tym ugrać i pewnie widzi się już na pierwszych stronach gazet, w roli kogoś, kto pomógł przycisnąć Putina.

Jakub Kania chrząknął.

– Nie przesadzajmy faktów – powiedział, unosząc przed sobą otwarte dłonie, jakby chciał powstrzymać rozpędzoną lokomotywę. – To tylko hipoteza IPN i ministerstwa. Jestem tu po to, aby ją zbadać. Im mniej emocji będzie temu towarzyszyć, tym lepiej – dodał z nutą nagany. – Przypominam panu o absolutnej dyskrecji.

#### 4.

Jakub Kania odszukał wiernego peugeota na parkingu urzędu, z którego roztaczał się widok na amfiteatr znany z festiwali polskiej piosenki. Przez dłuższą chwilę przyglądał się niecce widowni, dziwiąc się temu, jaka jest mała. I do jakiego rozmiaru potrafi wyolbrzymić ją optyka kamer telewizyjnych, pokazujących obiekt tak, jakby ze sceny na koronę amfiteatru trzeba było lecieć helikopterem.

– Media potrafią wszystko przeinaczyć – westchnął i otworzył drzwi auta, które powitało go przyjaznym skrzypnięciem.

Peugeot był już motoryzacyjnym seniorem. Coraz częściej skarżył się na dolegliwości somatyczne i nie znał umiaru, domagając się wizyt w warsztatach mechanicznych, tak jak starsi ludzie nie znają go, szturmując przychodnie i ośrodki zdrowia. Sama podróż do Opola była ryzykiem graniczącym z brawurą, ale emeryt sprostął pokładanym w nim nadziejom. Zwłaszcza że zima, której nie lubił, w ostatnich dniach była bardzo przyjazna. Na jezdni nie leżał nawet płatek śniegu, a temperatura w pierwszy wtorek lutego wynosiła osiem stopni Celsjusza, o czym zawiadamiał termometr peugeota – jeden z jego ostatnich zdrowych organów.

Kuba uruchomił silnik i powoli wyjechał na ulicę Piastowską.

Lubił Opole.

Miasto potrafiło zachować urok i normalność, choć jego historia od zawsze cierpiała na chorobę dwubiegunową. W miejscu, w którym prokurator IPN włączał się do ruchu, wieża piastowskiego zamku przytulała się do gmachu Urzędu Wojewódzkiego, zbudowanego przed wojną w stylu Neues Bauen adorowanym przez administrację Hitlera.

Baszta wyglądała jak znak interpunkcyjny. Wykrzyknik podkreślający słowiański rodowód Opola – pomyślał Kuba i kwaśno się uśmiechnął. Niedawno czytał biografię Władysława Opolczyka, prawdziwego patrioty i fundatora klasztoru na Jasnej Górze. Co nie zmieniało faktu, że opolski Piast wściekle walczył z królem Władysławem Jagiełłą, kumplował się z wielkim mistrzem krzyżackim Konradem von Wallenrodem i planował z nim rozbiór Polski między zakon, Czechy i Węgry. W IPN-ie Kuba nauczył się, że ci, którzy najgłośniej krzyczą o swoim patriotyzmie, z reguły mają coś do ukrycia.

Okazując posłuszeństwo nawigacji, skręcił w prawo na mostek nad Młynówką, zostawił z boku rynek i wąską uliczką wydostał się na plac Kopernika.

Objechał niewielkie rondo i zaparkował przed butikowym hotelem przy Oleskiej, do czego skłoniły go internetowe opinie o tutejszej kuchni. Akurat zbliżała się pora obiadu.

Na powitanie z Opolszczyzną wybrał miejscową klasykę: żurek oraz roladę wołową z kluskami śląskimi i modrą kapustą. Ryzykował. Eleganckie restauracje z krochmalonymi obrusami rzadko radzą sobie z prostymi daniami, a jeśli już się za nie biorą, to po to, aby kombinować. Jakby utytułowani szefowie kuchni uznawali ugotowanie czegoś tradycyjnego za ujmę dla swojej kulinarnej legendy. Dlatego żurki i zrazy zawijane lepiej jadać w podmiejskich zajazdach, gdzie przepisy przechodzą z pokolenia na pokolenie i nikomu nie przychodzi do głowy, aby je ulepszać.

Na szczęście kucharz z hotelowej restauracji przy Oleskiej nie wpadł na pomysł, aby zupełnie wzbogacić „nutą bazylii”, a do rolad podać sos truflowy. Żurek był aksamitny i w niczym nie przypominał przekwaszonego remedium na kaca. Wołowina krucha i soczysta, kluski delikatne i ulepione w miejscowej kuchni, a nie w fabryce gumy do żucia.

Kuba skończył deser, podpisał rachunek „na pokój” i wyszedł na spacer. Schodami obok Muzeum Śląska Opolskiego dotarł na plac Wolności. Przed gmachem filharmonii przyszedł mu do głowy Aram Chaczaturian.

Sam nie wiedział, co o nim myśleć.

Bez wątplenia był geniuszem, co w stalinowskim Związku Radzieckim wcale nie dawało gwarancji bezpieczeństwa. Trzy lata po wojnie on, Szostakowicz i Prokofiew zostali uznani za twórców muzyki burżuazyjnej Europy i Ameryki, co podkreślała specjalna rezolucja biura politycznego ZSRR. Od tamtego dnia ludzie bali się nie tylko chodzić na ich koncerty, ale nawet pozdrawiać na ulicy. Kompozytorzy nieustannie nosili przy sobie szczoteczki do zębów, licząc się z aresztowaniem w każdej chwili: w parku, w sklepie, w domu przy obiedzie albo podczas snu.

A jednak Chaczaturianowi udało się odzyskać łaskę Stalina. Skomponował kilka laurek pod partyjne zamówienie i zaczął pisać tak, jak chce każda dyktatura: narodowo i dla ludu.

Od tej pory jego marynarkę obciążały coraz liczniejsze ordery, kieszeń pieniądze, a sumienie... No właśnie – myślał Kuba. Co czułby taki Penderecki zmuszony do pisania piosenek disco polo? – przemknęło mu przez głowę, choć zaraz skarcił się za to porównanie.

Miał problem z Chaczaturianem. Czy radziecki geniusz muzyczny mógł być oprawcą w Grodkowie, czy nie? Z jednej strony wydawało się to niemożliwe, biorąc pod uwagę jego poziom kultury i wrażliwości, ale z drugiej... Sumienie miał dość elastyczne.

Dowiem się – obiecał sobie Kuba, mijając filharmonię i skręcając na deptak nad kanałem. Lubił tematy nieoczywiste. Problemy, do których nie można było podejść z gotową tezą. Które ukazywały prawdziwe oblicze dopiero pod zebraniem twardych dowodów. Chaczaturian był takim problemem i to prokuratora IPN cieszyło najbardziej. Poza tym tajne śledztwo w jego sprawie dawało jeszcze jeden bonus: wyjazd z Warszawy. Pracę w terenie. Emocje poszukiwań. Ostatni rok spędził w biurze i w archiwach, czując, jak obrasta tkanką urzędniczej rutyny i traci oddech od kurzu.

Przystanął, wciągając do płuc rześkie powietrze, i wtedy właśnie zadzwonił telefon.

– Iwona Kern. – Głos w słuchawce zabrzmiał sucho i stanowczo. Widocznie pani radna nie uznawała niepotrzebnych uprzejmości w relacjach służbowych.

– Miło mi – odparł Kuba, ale puściła to mimo uszu.

– Rozmawiałam z mężem – oznajmiła. – Będzie czekał na pana jutro o dziesiątej na rynku w Grodkowie przed wejściem do ratusza. Ma pomóc.

„Ma pomóc”? – zdziwił się Kuba. Nie „postara się pomóc” albo „obiecał pomóc”, tylko „ma pomóc”? Bo co? Dostał taki rozkaz?

– Serdecznie pani dziękuję – odpowiedział po chwili. – Jestem szczerze zobowiązany.

– Drobiazg – ucięła. – Muszę już kończyć.

– Raz jeszcze... – zaczął, ale przerwała mu krótkim „do widzenia”

Co to za kobieta? – wrócił do poprzedniej myśli. Widać, że lubi wywierać wrażenie na mężczyznach i pewnie potrafi być czarująca. Tymczasem przed nim odstawia oschłą panią polityk, rozstawiającą po kątach wszystkich, łącznie z własnym mężem. Taki styl czy to jakaś gra?

Potrzebował kilku sekund, aby dojść do wniosku, że odpowiedź na to pytanie tak naprawdę wcale go nie obchodzi. Schował telefon do kieszeni i przeniósł zainteresowanie na kaczki, pływające po Młynówce.

W tym samym czasie Iwona Kern zanurzyła palce w gęstej blond czuprynie postawnego, młodego blondyna, prowadzącego sportowego mercedesa autostradą w stronę Wrocławia.

– Co to za koleś? – zainteresował się blondyn.

– Prokurator z Warszawy – odparła od niechcenia.

– Prokurator? – Kierowca mercedesa dołożył starań, aby w jego pytaniu nie zabrzmiał niepokój.

– Tak, ale z Instytutu Pamięci Narodowej. Wiesz, to ci, co grzebią się w przeszłości.

Tym razem blondyn ukrył ulgę.

– Czego tu szuka?

– Jakiegoś Ruskiego z NKWD działającego w Grodkowie zaraz po wojnie.

– Mówił dlaczego?

Iwona Kern popatrzyła na niego badawczo.

– A co ty tak wypytyujesz, kocie? Interesuje cię to?

– Nie – skłamał blondyn.

## 5.

Tomasz Kern ściągnął z szyi szalik i zawiązał go ponownie, tym razem skuteczniej ochraniając się przed wiatrem, który nagle wpadł na rynek w Grodkowie i zaniepokoił przechodniów. Kilkoro z nich postawiło kołnierze kurtek, poprawiło czapki i przyspieszyło kroku. Parę osób zerknęło na mężczyznę, który kulił się z chłodu przed wejściem do ratusza,



jakby chciały mu doradzić ucieczkę. Taki wiatr nie przynosił niczego dobrego.

Kern od jakiegoś czasu czuł skradające się przeziębienie i przez moment pożałował, że nie umówił się z prokuratorem IPN w pobliskiej kawiarni. Chociaż – usprawiedliwił się – to nie on się umówił. Godzinę i miejsce spotkania wyznaczyła Iwonka.

Tak się już utarło.

Od kiedy w liceum zakochał się w niej bez pamięci, była całym jego światem. Nie przejmował się, że przez kilka lat kompletnie go ignorowała lub chichotała z koleżankami, gdy znalazł się w pobliżu. Nie miał żalu, że nie odpowiadała na listy, wysyłane do akademika w mieście, do którego wyjechała na studia. Nie zwrócił uwagi na fakt, że nigdy nie podziękowała za bukiety, jakie przynosił, gdy przyjeżdżała do domu, przywożąc pranie i zabierając prowiant. Kwiaty zawsze odbierała jej mama, pani Gawrylukowa, stając w drzwiach, jakby chciała mu zagrozić drogę. Patrzyła z politowaniem i niezmiennie informowała, że Iwona się teraz uczy.

Dla Tomasza nie miało to żadnego znaczenia.

Nie liczył się nawet fakt, że już na pierwszym roku anglistyki jego ukochana wyszła za mąż za starszego kolegę z tego samego kierunku. Wbrew wszystkiemu wierzył, że on i Iwonka są sobie przeznaczeni. A wiara czyni cuda.

Kilka miesięcy później mąż Iwony wyjechał do krewnych w Ameryce. Miał ją ściągnąć i uwić rodzinne gniazdko w New Jersey, ale zamiast zaproszenia przysłał pozew o rozwód. Okazało się, że w Stanach miał dziewczynę, a polskie małżeństwo było mu potrzebne tylko po to, żeby dostać wizę.

Tomasz nie poczuł satysfakcji. Był zbyt zakochany, aby odczuwać radość z jej niepowodzenia, nawet jeśli zbliżało go do spełnienia marzeń. Nikt nie potrafił czekać tak jak on.

Dał Iwonie czas na przełknięcie goryczy porażki i powrót w rodzinne strony bez grosza przy duszy. Cierpliwie patrzył, jak jej świat zawęża się

do mieszkania z rodzicami oraz perspektyw, jakie może mieć w Grodkowie nauczycielka angielskiego.

Wtedy znów zaniósł kwiaty.

Tym razem drzwi nie otworzyła pani Gawrylukowa. W progu stała jego ukochana. Uśmiechnęła się sztucznie, co Tomasz zapamiętał jako najszczęśliwszą chwilę w życiu. Wyciągnęła rękę po bukiet i niechętnie zaprosiła go do środka. Widocznie już się nauczyła.

Od tamtej chwili minęło dwadzieścia lat.

Co z tego, że ludzie gadali, że to małżeństwo nie potrwa długo? Że ona z repatriantów, chamów, którzy dorobili się ledwo fury gnoju, a on z jednej z najlepszych miejscowych rodzin, od stuleci żyjących na tym skrawku Śląska w kulturze i dostatku. Że ona go nawet nie szanuje. Że syn wcale do niego nie podobny. Że jej w głowie tylko kariera, a on jest w domu za służącego. Jak całe pokolenia Kernów, które nosiły liberie i pracowały w pobliskim pałacu. No, to teraz, jak pałacu już nie ma, dziadówka zza Buga jest za hrabinę, a on za lokaja.

Spojrzał na zegarek. Brakowało minuty do dziesiątej, gdy na parkingu przy rynku zatrzymał się stary peugeot z warszawską rejestracją. Wysiadł z niego ciemnowłosy mężczyzna z lekką nadwagą. Sięgnął po płaszcz, nałożył go i odszukał wzrokiem postać pod ratuszem. Pomachał dłonią.

Tomaszowi wydało się to na tyle miłe, że od razu poczuł sympatię do przybysza. Ruszył w jego stronę.

– Jakub Kania – uśmiechnął się człowiek z peugeota. – Jestem wdzięczny, że zechciał pan poświęcić mi czas.

Tomasz Kern zamrugął jak pensjonarka.

– Mam nadzieję, że się jakoś przydam. Małżonka wspominała, że szuka pan Rosjanina, który przebywał tu zaraz po wojnie. Muszę tylko pomyśleć, jak panu pomóc.

– Może nie stójmy na zimie – zaproponował Kuba, obserwując, jak Kern wyciąga z kieszeni chusteczkę higieniczną i wydmuchuje nos.

Prokurator IPN wykorzystał ten moment, aby przebiec wzrokiem pierzeje rynku i odnaleźć szyld kawiarni. Namierzał słodczyce szybciej

i skuteczniej niż labradory narkotyki na lotniskach.

– Skoro mamy pomyśleć, trzeba sobie podnieść cukier – rozpromienił się.

– Panu też dobrze zrobi gorąca herbata z cytryną.

Kilka minut później siedzieli przy niewielkim stoliku z widokiem na oszkloną ladę z wyrobami cukierniczymi. Wyglądała jak alegoria rajy.

– Pańska praca – zaczął niepewnie Tomasz Kern – to chyba trudna sprawa.

– Chciał pan powiedzieć: nudna?

Mąż pięknej radnej się zarumienił. Może z zakłopotania, a może z przeziębienia, które w ciepłej kawiarni przybrało bardziej zakatarzoną postać. Uśmiechnął się przepaszająco.

– Ma pan rację – przytaknął Kuba. – Trzeba mieć anielską cierpliwość. Z tym, że aniołów czas nie dotyczy, a mnie nagli. Sprawy, którymi się zajmuję, wydarzyły się wiele dziesięcioleci temu, a władza często starała się je ukryć. W moich śledztwach nie pomagają ani dokumenty, o ile w ogóle są, ani kamery monitoringu, bo ich nie było. Wszystko, co mogę odnaleźć, jest w pamięci świadków. W bardzo zniszczonej pamięci – dodał.

– Po pierwsze, po wojnie ludzi skutecznie zastraszano, że za ujawnienie prawdy zostaną skrzywdzeni, może nawet zabici. Po drugie, byli uczestnikami okropieństw, które organizm często wypiera ze świadomości, bo nie chce ich przechowywać i budzić się z krzykiem po nocach. Po trzecie wreszcie, poza władzą i psychiką moim najpoważniejszym wrogiem jest biologia. Moich świadków ubywa z dnia na dzień. Popadają w demencję, miazdzyca zabiera im wspomnienia, umierają.

Tomasz Kern słuchał ze współczuciem.

– Kogo szukamy w Grodkowie? – Użył liczby mnogiej, żeby dodać Kubie otuchy.

– Kogoś, kto mógłby pamiętać tego człowieka – powiedział prokurator IPN, podając mu zdjęcie.

– Kto to jest?

– Był – sprostował Kuba. – Był specjalnym wysłannikiem NKWD. Cywilem, bo nazwiska nie ma w archiwach, w których zachowały się dane

oficerów Ludowego Komitetu Spraw Wewnętrznych ZSRR. Proszę wybaczyć, ale póki co nie mogę ujawnić jego personaliów.

– Rozumiem. – Kern kiwnął głową i spytał: – O co jest podejrzany?

– Dziś nazwalibyśmy go konsultantem – stwierdził prokurator IPN. – Kimś, kto z ramienia partii komunistycznej zajmował się wprowadzaniem radzieckich porządków, a wie pan, co to wtedy znaczyło. Prześladowanie miejscowej ludności, torturowanie przesłuchiwanym, rozstrzeliwanie bez sądu, zamykanie w obozach Ślązaków, których wcielono do Wehrmachtu.

– To były bardzo złe czasy – wtrącił Kern. – Mój dziadek z pewnością dużo o nich wiedział, bo też swoje wycierpiał. Niestety zmarł, gdy byłem w szkole średniej. Ale nawet gdyby żył, to nie sądzę, żeby chciał rozmawiać. Nigdy nie wracał do tego, co działo się w Grodkowie tuż po wkroczeniu Armii Czerwonej. Jedno panu powiem: tamte wydarzenia podzieliły ludzi tak mocno, że trwa to do dziś. Są tacy, którzy uważają, że trzeba było wtedy zrobić ze Ślązakami porządek. Takie głosy powracają zwłaszcza teraz, gdy legalnie działa mniejszość niemiecka. Potomkowie repatriantów uznają to za wielki błąd władz, przestrzegając, że jakby co, to Ślązacy z Opolszczyzny wbiją Polsce nóż w plecy.

– Jakby co? – podchwycił Kuba, ale Tomasz Kern uciekł wzrokiem pod stolik. Przez dłuższą chwilę w milczeniu szukał chusteczki, potem na siłę wysmarkał nos. Kuba domyślił się, że pytanie nie było mu w smak. W końcu rodzina żony też przyjechała ze wschodu.

– Przykro mi z powodu pańskiego dziadka – rzekł, nie czekając na odpowiedź. – Przeczytałem wszystko, co jest o Grodkowie w aktach IPN. Czyli niewiele. O człowieku z fotografii nie ma tam żadnej wzmianki. Tym bardziej muszę się dowiedzieć, co tu robił.

– Mogę jeszcze raz zobaczyć zdjęcie? – poprosił Tomasz.

– Jasne. – Kuba podał mu odbitkę.

– Nie wygląda na oprawcę – orzekł Kern po kilku sekundach.

– Pozory mylą. W pracy nieraz miałem do czynienia z potworami o buziach niewiniątek.

– Dobrze mu z oczu patrzy – upierał się Kern. – To Gruzini?

– Ormianin.

– Znajdziemy go. – Mąż radnej nabrał nagle stanowczości. – Żyje jeszcze trochę starszych ludzi, którzy byli w mieście zaraz po wojnie i sporo ucierpieli od Rosjan. Do kiedy zamierza pan zostać w Grodkowie? – spytał.

– Do kiedy będzie trzeba.

– Wobec tego proszę o dwa dni czasu. Przygotuję panu listę wraz z adresami. A jak Iwonka wróci na weekend do domu, napisze panu list polecający. Ludzie ją tu bardzo szanują – dodał z podziwem. – Wiele zrobiła dla miasta.

– Jestem bardzo wdzięczny za pomoc – powiedział Kuba. – Pani radna to rzeczywiście wspaniała osoba.

Tomasz Kern rozpromienił się, patrząc wyczekująco na Kubę, jakby zachęcał go do kolejnych komplementów pod adresem żony. Sytuacja zrobiła się lekko niezręczna.

– Przepraszam – usprawiedliwił się Kuba, wstając z krzesła. – Kawa daje znać o sobie.

Rozejrzał się po wnętrzu kawiarni, ale Kern go uprzedził, wskazując drogę do toalety.

Odczekał, aż prokurator IPN zniknie za jej drzwiami, ponownie sięgnął po zdjęcie pozostawione przez niego na stoliku. Wyjął z kieszeni smartfona i je sfotografował. Starannie odłożył odbitkę, dokładnie tak jak leżała. Kiedy Kuba wrócił do stolika, serdecznie się do niego uśmiechnął.

## 6.

Hubert Kern poczuł, jak jego prawą rękę ogarnia drętwienie tak silne, że zaczynał tracić władzę w palcach.

Najpierw się zaniepokoił. Odczekał minutę. W tym czasie próbował uspokoić serce kilkoma głębokimi oddechami. Nie pomogło. Jeszcze przez chwilę starał się opanować nerwy, ale panika nadciągała jak tsunami.

Sytuacja nie była nowa.

Dziesięć lat po udarze ciągle miewał podobne incydenty. Mimo że się powtarzały, niezmiennie przynosiły lęk, że jego mózg znów jest obiektem

ataku, który tym razem może skończyć się śmiercią. Albo jeszcze gorzej: kompletnym paraliżem wymagającym pampersów i uniemożliwiającym nawet podrapanie się po nieznośnie swędzącym miejscu.

Próbował wstać z fotela, w którym spędzał całe dni, ale strach zrobił swoje. Mechanizm ciała nie działał.

Hubert Kern uniósł się na zdrowym łokciu i w tej samej chwili opadł na fotel.

Przez kolejną minutę, odliczaną na zegarze ściennym, znów głęboko oddychał. Potem naprężył się, aby sięgnąć lewą ręką po jednorazowe zastrzyki na rozrzedzenie krwi. Leżały na dolnej półce regału, zaledwie kilkanaście centymetrów od jego wyciągniętej dłoni.

O kilkanaście centymetrów za daleko.

Znalazł punkt podparcia stóp i z całej siły pchnął fotel w stronę regału, ale nóżki mebla zawadziły o dywan. Runął na podłogę.

Koniec. Teraz pozostawało tylko czekać. Na kolejny udar lub powrót żony, która pojechała do Grodkowa. Nadal prowadził tam niewielkie biuro rachunkowe.

Hubert nie wymagał stałej opieki.

Gdy był spokojny, samodzielnie człapał do toalety, gdzie też nie potrzebował pomocy. Potrafił się umyć, ogolić, zrobić herbatę i kanapkę, nawet jeśli trzeba było ukroić kromkę chleba czy otworzyć puszkę szprotek. Radził sobie całkiem dobrze, choć udar pozostawił po sobie paskudną pamiątkę. Afazję. Ojciec Tomasza Kerna od dziesięciu lat nie mówił.

O dziwo, jego umysł pracował jak szwajcarski zegarek. Zwłaszcza przy rozwiązywaniu krzyżówek, których rodzina nie nadążała dostarczać. Hubert prowadził brulion, notował w nim najtrudniejsze hasła i z pomocą stworzonego przez siebie leksykonu wygrywał z każdym diagramem. A jednak, mimo wysiłków lekarzy, terapeutów, logopedów, a nawet uzdrowicieli – nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa. Starał się, ale w najlepszym razie efektem były nieartykułowane dźwięki i bańki śliny wydobywające się z ust. W krzyżówce – bełkot. Na sześć liter.

Rzucając się jak ryba wyjęta z wody, wydobył się spod pledu, którym żona otuliła go przed wyjściem z domu, a potem podczołgał do regału. Rozruszał palce lewej dłoni, chwycił pudełko z zastrzykami i przytrzymując je zębami, wyciągnął jeden z nich. Podwinął bluzę od pidżamy, wypluł pudełko i zagryzł dolną lamówkę tkaniny. Rozluźnił mięśnie brzucha i wbił w nie igłę stanowiącą integralną część jednorazowej strzykawki. Nacisnął tłoczek.

Trochę szczypało, ale to nie miało znaczenia. Powoli ogarniała go ciepła fala spokoju. Niemal czuł, jak krew robi się rzadsza i bezpieczniejsza dla jego udręczonych naczyń. Odetchnął z ulgą, przekręcając się na plecy. Za dziesięć, góra piętnaście minut nabierze sił, aby spróbować podnieść się z podłogi. Nie wiadomo, z jakim skutkiem.

Jestem wrakiem – pomyślał. – Mam siedemdziesiąt sześć lat i gniję za życia, podczas gdy koledzy ze szkoły nadal jeżdżą na rowerach, uprawiają ogródki i wysyłają pocztówki z Wysp Kanaryjskich pełnych czerstwych i uśmiechniętych niemieckich emerytów. Wszystko przez tę diabolicę, przekłętą Iwonę Gawryluk, która teraz kała nazwisko Kernów.

Hubert nigdy nie pogodził się z wyborem syna.

Nie przyszedł nawet na ślub. Żona błagała go na kolanach, ale odsunął ją, wyszedł z domu, wsiadł do auta i wrócił dopiero w nocy, gdy w pobliskiej sali weselnej grała jeszcze muzyka. Muzyka? Jakiś prymitywny łomot w sam raz dla Gawryluków, jego śmiertelnych wrogów. Słuchał jej przez kilka minut, ukryty za pnem potężnego platana, po czym zatkał uszy dłońmi i uciekł. Cywilizacja Kernów, w których domu zawsze było pianino, właśnie przestawała istnieć.

Nad ranem, gdy żona jeszcze spała, wyrzucił do kosza na śmieci ciasto, które przyniosła mu z wesela.

Przez kilka lat nie widywał się nawet z synem.

Słyszał od ludzi, że mieszka z żoną w Grodkowie, że urodził mu się wnuk i że jest tak, jak przewidywał. Że ta latawica, pomiot Gawryluków, nie szanuje Tomasza i wystawia go na pośmiewisko. Że dla niej zrezygnował ze studiów, otworzył firmę ogrodniczą i tyra całymi dniami,

aby zapewnić Iwonce własne auto, ładne meble, stroje, perfumy, manikiury i wczasy w Turcji. I że ona nawet nie zabiera go na bale lokalnego biznesu, gdzie pije wódkę i na oczach wszystkich pozwala się obmacywać w tańcu chamom, takim jak ona. Z tą różnicą, że tamci doszli do pieniędzy, a na jej blichtr haruje jego syn. Dziedzic reputacji i nazwiska Kernów.

Gardził nim. Gardził swoim jedynym dzieckiem, dopóki przed którymś Bożym Narodzeniem się z tego nie wyświadczył i usłyszał, jak ciężki popełnia grzech. Wraz z pokutą przyrzekł księdzu, że zaprosi rodzinę Tomasza na Wigilię. Ale po odejściu od konfesjonału skorygował sakramentalne postanowienie poprawy: tylko jego i wnuka. Bez niej.

Od tamtej pory spotykali się sporadycznie, głównie przy okazji świąt. Tomasz z małym Kamilem, wytresowanym przez matkę jak cyrkowa małpka, wpadali jak po ogień. Mały zgarniał swój prezent spod choinki, odpowiadał monosylabami na pytania dziadków i zniecierpliwiony zerkał na ojca, ponaglając go do wyjścia.

O Iwonie nie rozmawiali nigdy. Tomasz zataił przed rodzicami, że żona zamierza rzucić lekcje angielskiego i wystartować w najbliższych wyborach samorządowych jako kandydatka do rady miasta. I że on wyjeżdża na miesiąc do Prowansji, aby zarobić na jej plakaty, ulotki i ogłoszenia w gazetach.

Gdy jego syn urabiał sobie ręce po łokcie na winobranii, Iwona któregoś dnia weszła do biura rachunkowego teścia. Musiała go szpiegować, odczekać, aż będzie sam.

Nawet się nie wysiliła na „dzień dobry”. On wykazał więcej uprzejmości.

– Bardzo proszę – powiedział z wyniosłą galanterią – aby pani stąd wyszła.

– Nie tak szybko – fuknęła. – Żądam, abyś przepisał na nas dom w Kopicach.

Hubertem zatrzęsło.

– A my gdzie mamy zamieszkać? – spytał, jeszcze panując nad emocjami.

– W oborze?



Cios był celny. Zaraz po wojnie z powodu Gawryluków rodzina Kernów była zmuszona się wyprowadzić i przenieść się do pomieszczeń gospodarczych, bo nowa władza przyznała ich dom dziadkom Iwony.

– Nikt was nie wyrzuca – stwierdziła Iwona. – Chcę mieć tylko to, co się należy w spadku twojemu synowi i o co on cię nigdy nie poprosi, bo brakuje mu jaj. Zrozumiałeś?

Hubert Kern poczuł zawrót głowy.

– Mało ci? – podniósł głos. – Myślisz, że nie wiem, jak go doisz? Myślisz, że skoro mieszkam parę kilometrów stąd, to nie słyszę, co mówią ludzie w Grodkowie? Mało się nachapałaś? Jeszcze ci naszego domu potrzeba?

– Mam w dupie wasz dom. – Zmrużyła oczy z wściekłości. – Ale on się należy Tomkowi jak psu miska. Słyszysz? Jutro umawiam notariusza i stajemy do aktu.

Hubert podszedł do drzwi i uchylił je na tyle, aby pozostali najemcy lokali handlowych nie usłyszeli kłótni.

– Wynoś się stąd, zdziro! – syknął.

Iwona podeszła do drzwi i zamknęła je kopniakiem.

Popatrzyła z pogardą na jego nienaganny tweedowy garnitur, starannie wyprasowaną koszulę i fular zawiązany pod szyją.

– Posłuchaj, ty żałosna podróbko arystokraty, bo drugi raz nie powtórzę – powiedziała tonem, w jakim nie było już gniewu, ale coś znacznie groźniejszego. – Popatrz sobie uważnie na te zdjęcia. – Rzuciła na biurko skórzaną teczkę i wydobyla z niej stare akta z nadrukiem Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej w Grodkowie.

Przekartkowała parę stron i podsunęła Hubertowi przed oczy czarno-białą fotografię powieszzonego człowieka.

– Poznajesz?

Kern pobladł i gdyby nie usiadł za biurkiem, kolejny, o wiele silniejszy zawrót głowy mógłby się skończyć upadkiem. Milczał.

– Poznajesz, skurwysynu?

Nie odpowiedział.

Iwona gwałtownym ruchem przerzuciła kilka kolejnych kartek, przedziurkowanych i umocowanych w teczce za pomocą cienkiego sznurka.

– A to? – Wskazała pożółkły, ręcznie napisany list. – Coś ci to mówi?

Spojrzał mimo woli, ale natychmiast zamknął oczy. Zaciskał powieki aż do bólu, czując, że zaraz stanie się coś bardzo złego.

Gdy odważył się je otworzyć, Iwona chowała akta do teczki.

– Dam ci znać, o której godzinie i u którego notariusza się jutro widzimy – powiedziała spokojnie. – Jeśli nie, pójdę z tym do mediów. A wtedy ludzie poznają prawdę o nieskazitelnej, szlachetnej rodzinie Kernów. – Ostentacyjnie splunęła na podłogę. – Trafię do drzwi – oznajmiła z wyższością, w której była cała jej przewaga i determinacja. Zamknęła je o wiele za głośno.

Hubert Kern próbował wstać, aby otworzyć okno i zaczerpnąć świeżego powietrza, ale biurowy fotel nagle odjechał, jakby był krzesłem na karuzeli. Poczuł w głowie coś, co przypominało pęknięcie szkła od zbyt wysokiego dźwięku. I spadł w czarną otchłań.

## 7.

Leżąc na dywanie i przypominając sobie wydarzenia sprzed dziesięciu lat, po których odebrało mu mowę, Hubert Kern nagle zrobił się mokry od potu. Po rękach przebiegły mu stada mrówek. Szarpnął się, by je strząsnąć, ale szybko uzmysłowił sobie, że to tylko nerwy.

W tej samej chwili usłyszał dźwięk otwieranych drzwi.

– Halo, halo! – zawołał Tomasz, który od jakiegoś czasu miał klucze od domu rodziców i wpadał bez uprzedzenia.

Odpowiedziała mu cisza.

Postawił na podłodze zgrzewkę wody mineralnej, którą dostarczał, oszczędzając chory kręgosłup matki, zdjął buty i pokonał schody, skręcając wprost do pokoju ojca.

– Jezus, Maria! – krzyknął, widząc go na podłodze. – Boże jedyny, tato, co się stało?! – zawołał, doskonale wiedząc, że nie otrzyma odpowiedzi. –

Wezwać karetkę?

Ojciec przecząco pokręcił głową.

Tomasz Kern pochylił się nad nim, ujął pod pachy i chciał podnieść, ale w tej samej chwili cofnął ręce. Starszy pan patrzył na niego przestraszony.

– Tato, trzeba zrobić test – powiedział przeprasząco. – Lekarz kazał, pamiętasz? Musimy być pewni, czy nie dostałeś kolejnego udaru. Dobrze?

Hubert zmarszczył czoło, ale przymknął powieki na znak zgody.

– Uśmiechnij się – powiedział dobitnie Tomasz.

Przez twarz ojca przebiegło coś, co można było uznać za spełnienie polecenia.

– Teraz unieś i wyprostuj ręce.

Wykonał.

– Odwróć dłonie i potrzymaj tak przez chwilę.

Tomasz przyglądał się uważnie.

– W porządku – uznał wreszcie, a w jego rozkazującym tonie zabrzmiała wyraźna ulga. – Wszystko jest w porządku.

Pochylił się ponownie, chwycił ojca pod ramionami i niemal przeniósł go na łóżko. Hubert usiadł, a potem się położył, pozwalając, aby syn ułożył na posłaniu jego nogi. Wydały się miękkie jak z waty.

Podziękował, kładąc dłoń na ręce Tomasza, na co ten pogładził go po policzku.

– Napędziłeś mi strachu – wyznał. – Mama w Grodkowie?

Hubert mrugnął na znak potwierdzenia.

– Zrobię ci herbaty. – Syn wstał i zszedł na dół, do kuchni. Wrócił stamtąd z kubkiem, z którego wystawał sznurek z żółtą tekturką liptona. Ojciec nie uznawał ekspresówek, zwłaszcza podanych z torebką moczącą się we wrzątku, ale nie potrafił zaprotestować. Odwrócił wzrok od kubka, który Tomasz postawił na nocnym stoliku.

– Lepiej ci? – spytał, podnosząc przewrócony fotel i przysuwając go do łóżka.

Kolejne potakujące mrugnięcie.

– Tato – zaczął ostrożnie. – Miałem dziś dziwne spotkanie. Przyjechał prokurator Instytutu Pamięci Narodowej z Warszawy. Wiesz, co to za jedni, oglądasz telewizję.

Odszukał w spojrzeniu ojca potwierdzenie, że rozumie.

– Szuka człowieka, który przebywał w Grodkowie tuż po zajęciu miasta przez armię radziecką. To był jakiś ważny Rosjanin.

Stary Kern drgnął.

– Nic mu nie powiedziałem – uspokoił go Tomasz. – Ale przyszło mi do głowy, że nadarza się okazja, aby nareszcie wyprostować stare sprawy. – Spojrzał na ojca wyczekująco, ale Hubert zamknął oczy, mocno zaciskając powieki. – Pomyślałem, że mógłbyś napisać jakieś zeznanie, zawrzeć w nim wszystko, o czym mówił dziadek. Rozumiesz? Mógłbyś raz na zawsze zamknąć gęby wszystkim, którzy na nas plują. W chwili zakończenia wojny miałeś siedem lat, myślę, że prokurator IPN uzna cię za wiarygodnego świadka. Wygląda na porządnego człowieka. Mógłby nam pomóc...

Ojciec milczał.

– Tato – Tomasz wyjął z kieszeni telefon – mam zdjęcie tego Rosjanina, którego on szuka.

Hubert Kern poruszył się niespokojnie, ale nadal ukrywał się w bezpiecznej ciemności za zamkniętymi powiekami.

– Spojrzysz chociaż? Proszę.

Niechętnie otworzył oczy. Zerknął na ekran smartfona i w tej samej chwili jego twarz zmieniła się, jakby zobaczył ducha.

– Poznajesz go? – spytał podekscytowany Tomasz. – Poznajesz, prawda?

Stary nie odpowiedział.

– Widzę, że poznajesz. – Syn delikatnie poruszył jego ramieniem.

W oczach Huberta zaszklily się łzy. Zbyt wiele emocji naraz.

Tomaszowi zrobiło się głupio. Chował telefon do kieszeni, gdy ojciec zatrzymał jego rękę. Spojrzał na fotografię raz jeszcze i wskazał dłonią papierowy blok leżący na stoliku. Syn natychmiast mu go podał.

Hubert, wciąż leżąc, położył notes na brzuchu i nakreślił kilka wielkich liter, nawet na nie nie patrząc.

– „Dziadek go znał” – odczytał Tomasz i zareagował natychmiast: – Tato, czy to ten, który...

Zanim dokończył, Hubert szybko napisał: „Tak”

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie z niedowierzaniem i pytaniem, co teraz? Co zrobić? Wtajemniczyć prokuratora IPN czy pozostawić tę sprawę zakopaną tak głęboko, jak dotychczas. A jeśli ten Jakub Kania i tak się do niej dogrzebie? Na Tomaszu zrobił wrażenie myśliwskiego psa, a to oznacza, że nigdy nie rezygnuje z podjętego tropu. Zwłaszcza że będzie słucał świadków, których sam obiecał mu znaleźć. Wcześniej czy później znajdzie ścieżkę do przeszłości Kernów.

Popukał palcem w okienko smartfona.

– Kto to był, tato? Jak się nazywał? Pamiętasz?

Ojciec zaciskał dłoń na flamastrze, aż pobieleły mu palce. Poruszył nim, kreśląc kilka drukowanych liter, tym razem starannie, jakby wpisywał hasło w krzyżówce:

„Muzyk”

## ROZDZIAŁ II

Sierpień 1846 roku

### 1.

Piegowata siedmiolatka z rudymi warkoczami przykucnęła, aby zerwać kolejną stokrotkę, gdy nagle zaniepokoił ją jakiś kształt mający nad łąką.

Była najstarsza z gromadki dzieci zajętych pleceniem wianków. Czuła się za nie odpowiedzialna, dlatego wstała, poprawiła sukienkę, przyłożyła dłoń do oczu, osłaniając je przed słońcem, i przyjrzała się badawczo. Odczekała dłuższą chwilę, aż kształt rozmazany przez upalne powietrze nabierze wyrazistości, po czym krzyknęła ostrzegawczo:

– Potwór! Potwór idzie!

Dziewczynki niczym spłoszone sarny podniosły głowy i natychmiast rzuciły się do ucieczki. Młodsze z przeraźliwym piskiem, starsze w milczeniu, skupione na tym, aby biec jak najszybciej. Dwie z nich usiłowały zabrać ze sobą czteroletnią Joasię Gryzik, która tkwiła nieruchomo na środku łąki, jakby zła czarownica zakłęła ją w kamień. Nie skutkowały ani krzyki, ani szarpanie za sukienkę. Dziewczynka nie reagowała. Trzeba by ją było porwać i nieść na rękach, ale na to nie wystarczyłoby czasu. Potwór zbliżał się z każdą chwilą.

Był wielki. Większy niż zwykły człowiek. Ojcowie dziewczynek, pracujący w folwarku Ruda czy w którejś z pobliskich kopalń, sięgali mu najwyżej do ramion. Mieli zgarbione plecy i zniszczone dłonie, stwardniałe od motyk, łopat i kilofów. Potrafili wyrywać ze ściany i przenosić na wózki bryły węgla, wymagające nieludzkiej siły, ale jemu nie daliby rady.

Potwór miał moc. Choć tylko jedną rękę. Druga zwisała bezwładnie wzdłuż ciała, ale wcale nie była mu potrzebna. Zdrową dłońią mógł

miażdżyć kamieniem lub bez trudu skrócić człowiekowi kark. Budził przerażenie.

Połowę jego twarzy wypełniała bezkształtna powłoka martwego mięsa, zastępująca policzek, oko, brew i część czoła. Mówiono, że to dzieło mrówek, które jadły go żywcem.

Zanim zawisł na leśnej gałęzi, został pozbawiony męskości i pobity tak, że nigdy nie odzyskał władzy w ręce i nodze. Od blisko pięćdziesięciu lat ciągnął ją za sobą, podpierając się laską.

Nikt z takimi obrażeniami nie miał prawa pozostać przy życiu. Ale on ocalał.

Uratował go diabeł.

Gdy potwór, który wtedy jeszcze nie był potworem i dopiero się nim stawał, wisiał półprzytomny nad mrowiskiem, diabeł podszedł, oparł się o pień sosny, sięgnął do cholewy wysokiego buta i wyjął stamtąd fajkę. Nie spiesząc się, nabił ją tytoniem, z rozbawieniem podnosząc wzrok na wiszącego człowieka, a wtedy mrówki zaczynały poruszać się ze zdwojoną szybkością. Jakby diabeł zapalający fajkę wstąpił w ich małe, ale krwiożercze dusze.

Pierwszy kłęb dymu owinął zmasakrowaną twarz człowieka jak siwy bandaż i wtedy wiszący się ocknął. Zrozumiał swoje położenie i rozpaczliwie poprosił o ratunek.

Zanim diabeł pozwolił mu wrzasnąć tak, żeby usłyszeli go ludzie przechodzący skrajem lasu, dobili targu.

Joasia Gryzik była zbyt mała, aby chodzić do pobliskiego szynku i słuchać tej opowieści powtarzanej przez podchmielonych gwarków. Opowiadali to, co usłyszeli od ojców, a ci od ludzi, którzy odcięli człowieka z gałęzi i zabrali do doktora. Przysięgali, że wokół unosił się zapach siarki, a włosy same stawały im na głowach. Może i z przerażenia, ale bardziej za sprawką szatana.

Prawie pięćdziesiąt lat później potwór, który pojawił się na łące niedaleko folwarku, podszedł do małej Gryzik i stanął tak blisko,

że musiała wysoko unieść głowę, aby spojrzeć w jego zmasakrowaną twarz.

Przez moment obserwował dzieci uciekające w panice tak szybko, że nad zieloną taflą trawy migały ich bosc pięty. Potem pochylił się w stronę Joasi.

– Pójdiesz ze mną? – spytał i wyciągnął do niej zdrową rękę.

Dziewczynka uśmiechnęła się i podała mu swoją.

## 2.

Mężczyzna w modnym oliwkowym fraku całkowicie zignorował lokaja, który otworzył mu drzwi powozu i zgiął się w ukłonie.

Elegant był kuzynem hrabiego Ballestrema, a jego stan i urodzenie kategorycznie nakazywały traktować służbę jak powietrze. Okazywanie względów ludziom zatrudnianym w rezydencjach magnackich mogło uchodzić za sprzeniewierzenie się porządkowi świata. No chyba, że była to młoda i urodziwa pokojówka w dyskretnych okolicznościach. Takich sytuacji kuzyn hrabiego nie marnował nigdy.

Poza frakiem miał na sobie białą batystową koszulę z przypinanymi mankietami i wykrochmalonym wysokim kołnierzykiem, którego rogi dotykały jego policzków. Gors ozdabiał wytwornie zawiązany jedwabny krawat w kolorze palonej kawy, z którą pomysłowo komponowała się kamizelka z szerokimi klapami, wyglądająca dokładnie tak, jakby do tej kawy dolano śmietanki. Identyczną barwę miały spodnie. Wąskie, lekko marszczone na podniesionym stanie i wykładane na brązowe trzewiki, chronione teraz zapinanymi pod butem kamaszami z jasnej skóry.

Dandys z gracją wbiegł po schodach pałacu Ballestremów w Pławniowicach. Nie zaszczycając spojrzeniem kamerdynera, rzucił mu brązowy cylinder i zastukał laską do drzwi gabinetu hrabiego. Nie czekając na zachętę, bo i tak by jej nie usłyszał, pozwolił, aby upłynęło kilka sekund podyktowanych dobrymi manierami, i wszedł do środka.

Von Ballestrem skrzywił się ze źle ukrywanym niesmakiem. Nie lubił kuzyna. Sięgnął do notesika w srebrnej oprawie, z którym się nie



rozstawał, i zapisał w nim, aby po raz ostatni zwrócić uwagę kamerdynerowi, że ma anonsować gości. Jeśli nie potrafi sobie poradzić z ich tupetem, to niech sobie szuka innego zajęcia.

Przybysz w obecności hrabiego wyraźnie stracił rezon. Stał w milczeniu, przeżykając gorzką świadomość, że potężny kuzyn, właściciel śląskiego imperium przemysłowego, celowo kaligrafuje notatkę, aby trwało to jak najdłużej i było jak najbardziej upokarzające.

– Co cię sprowadza? – spytał wreszcie, nie podnosząc wzroku.

– Przejeżdżałem i postanowiłem zapytać o zdrowie drogiego kuzyna.

Von Ballestrem popatrzył na niego z szyderczym rozbawieniem.

– Nawet gdybym cię nie znał, tobym nie uwierzył – westchnął. – Czego chcesz?

Elegant udał urażonego.

– Ależ... Ja całkowicie bezinteresownie...

– Ty się nawet nie urodziłeś bezinteresownie. Czego? – powtórzył. – Jak zwykle? Pieniądzy?

– Nie za darmo – odparł dandys.

– A za co?

– Niechby drogi kuzyn dał mi jaką dyrektorską posadę – zaczął, ale zanim sprecyzował, hrabia wybuchł śmiechem.

– Chcesz mnie puścić z torbami? A co ty umiesz? Nosić modne fatałaszkę?

Tym razem przybysz poczerwieniał ze szczerego oburzenia. Ta nadęta świnią z tytułem hrabiowskim, ten parweniusz w tużurku pamiętającym chyba Napoleona mógł obrażać jego, ale nie jego stroje. Starał się opanować gniew, ale mu się nie udało.

Dłońmi drżącymi z oburzenia rozłożył na stole najnowsze wydanie gliwickiego tygodnika „Der Oberschlesische Wanderer”, trzymane dotąd w lewej dłoni, i zaczął w nie uderzać gałką laski.

– Pan hrabia wybaczy! – zawołał niemal histerycznie, celowo używając oficjalnej formy – ale jak czytam o tym Goduli, o tym wypierdku jakiegoś kmiotka z Przyszowic, o tym kuternodze z oszpeconą gębą, to...

– To co? – spytał cierpko von Ballestrem.

– To, że kuzyn daruje, ale szlag mnie trafia. Ta śląska pijawka utuczyła się na krwi Ballestremów.

Hrabia rozsiadł się wygodnie w fotelu, splatając palce dłoni.

– Bez tej pijawki, jak go nazywasz, nie byłoby naszej potęgi. Godula ma większe zasługi w jej zbudowaniu niż mój ojciec i stryj. Pracował dla nas wiernie i uczciwie.

– I żerował na majątku.

Von Ballestrem popatrzył na niego, z trudem ukrywając pogardę.

– A wiesz, dlaczego nasza rodzina przyjęła go na stanowisko zarządcy?

Kuzyn pobladł. Znał tę historię. W tej samej chwili uświadomił sobie, że zaraz usłyszy coś, czego wolałby nie usłyszeć i co przekreśli szansę na to, że dziś w Pławniowicach cokolwiek osiągnie. Milczał.

– Bo Godula nie chciał pieniędzy. Kiedy prawie pięćdziesiąt lat temu przyszedł do Ballestremów, po tym, jak cudem wylizał się z ran zadanych mu przez kłusowników, ledwo stał na nogach. Hrabia Karol, znany z twardych wojskowych zasad, nie tylko nie pochwalił go za pilnowanie swoich lasów, ale oświadczył wprost, że nie potrzebuje kaleki. Wtedy Godula odparł, że nie włada ręką ani nogą i nie ma połowy twarzy, ale nadal ma głowę. Zaproponował, że zajmie się folwarkiem w Rudzie, który przynosił Ballestremom wielkie straty. Bez wynagrodzenia. Za udział w zyskach, o ile do tych zysków doprowadzi. Stary Karol się zgodził. Niczym nie ryzykował. Ruda była ruiną, a darmowy zarządca nic nie kosztował. Dalszy ciąg znasz. – Popatrzył na kuzyna badawczo. – Godula postawił Rudę na nogi. Zabronił chłopom uprawiać ziemię, która była bardzo słaba, kazał im hodować bydło i pracować w kopalniach za wynagrodzeniem. Najpierw uznali, że skoro Ballestrem przysłał im kalekę, to znaczy, że na folwarku postawił krzyżyk. Szybko zmienili zdanie, gdy tylko zaczęło im się powodzić, a Ruda rozkwitła.

– Wszyscy tam nienawidzą Goduli – syknął kuzyn. – Wystarczy pojechać i popytać ludzi.

– Mylisz się – odpowiedział hrabia. – Nie lubią go, bo goni ich do roboty i tłucze laską za pijaństwo. Ale nie zaprzeczą, że dzięki niemu dobrze im się

żyje. Słyszałem, że ktoś nie tak dawno podburzał ich, aby dokonać kolejnego zamachu na Godulę, ale w Rudzie nie znalazł się ani jeden chętny. Nie zabija się swojego dobroczyńcy, nawet jak się go nienawidzi. A propos – Ballestrem wyprostował się w fotelu – słyszałeś coś o tym podjudzaniu do zamachu? Dawno chciałem cię o to zapytać.

Kuzyn uciekł wzrokiem i przecząco pokręcił głową.

– Kiedy Ruda zaczęła przynosić zyski, Godula dostał swoją część i natychmiast ją zainwestował – dodał hrabia. – Wiesz, jaki majątek ma dziś?

Szczęki kuzyna zacisnęły się z wściekłości.

– Kilkadziesiąt kopalń węgla i galmanu, wielkie majątki ziemskie, ale przede wszystkim huty cynku. Wiesz, że z naszej „Karlshüte” uczynił największą i najnowocześniejszą cynkownię w Europie?

– Ma w niej udziały. – Kuzyn znów postukał laską w egzemplarz tygodnika.

– I słusznie – uznał hrabia. – Kto by nie chciał wspólnika, który przynosi krociowe zyski? Człowiek, którego nazwałeś kuternogą i pijawką, to gospodarczy geniusz. Jeden na milion. Czego się nie dotknie, zamieni w złoto.

– Diabeł mu pomaga – warknął kuzyn i strzepnął niewidoczny pyłek z szerokiej poły eleganckiego fraka.

– Ach tak? – Ballestrem udał zaskoczenie. – Diabeł, powiadasz?

– Cały Śląsk tak mówi.

– Cały Śląsk – powtórzył jak echo hrabia i przez chwilę się zamyślił. – A czy ten diabeł, ma w tutejszej prowincji Prus jaką kancelarię, gdzie można się udać i zawrzeć kontrakt na powodzenie w interesach?

Elegant poczerwieniał, kwitując kpinę milczeniem.

– No dobrze. – Ballestrem wyjął z kieszonki kamizelki zegarek, otworzył kopertę i sprawdził czas, dając do zrozumienia, że nie ma go już dla kuzyna. – Zatem chcesz zarządzać jakimś naszym interesem i jesteś pewien, że podołasz?

Mężczyzna w oliwkowym fraku skinął głową, choć pytanie najwyraźniej osłabiło jego pewność siebie.

– Masz jakieś referencje?

Kuzyn popatrzył na Ballestrema spłoszony. Nie odpowiedział.

– Nie masz. – Hrabia pokiwał głową. – Wobec tego ja mam dla ciebie dobrą radę – wbił w niego twarde spojrzenie – idź do diabła.

### 3.

W tym samym czasie czterdzieści kilometrów na południowy wschód Karol Godula puścił rączkę Joasi Gryzik, aby pchnąć drzwi chałupy, w której mieszkał od chwili, gdy objął folwark w Rudzie. Miał olbrzymi majątek, ale w skromnej chacie czuł się o wiele lepiej niż w swoim okazałym pałacu w Szombierkach. Wybudował go, aby mieć gdzie przyjmować znamienitych gości z całej Europy, z którymi prowadził interesy.

Gospodyni Goduli, Emilia Lukas, usłyszała skrzypnięcie starych zawiasów i wyjrzała z kuchni do sieni, otrzepując fartuch przyprószony mąką.

– Już się nabawiłaś na łące? – zwróciła się do Joasi. – Miałaś mi nie przeszkadzać i upleść wianek ze stokrotek. I gdzie on jest?

Małej stanęły łzy w oczach.

Mieszkała w tym domu z tymi ludźmi od niedawna i bardzo nie chciała sprawić im zawodu. Przestraszyła się, że wracając bez wianka, zrobiła coś złego, i że może ją za to spotkać krzywda tak wielka jak niedawno. Na samo wspomnienie rozpłakała się, stojąc bezradnie tuż za progiem sieni z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

– To moja wina – odezwał się człowiek, którego dzieci nazywały potworem. – Przechodziłem przez łąkę, chciałem zerknąć, jak bajtle się bawią, ale... uciekły, więc zabrałem Joasię do domu. Przeze mnie nie skończyła wianka.

– Już dobrze. – Emilia przytuliła dziewczynkę i otarła jej łzy rąbkiem fartucha. – Tylko się z tobą droczę. Idź do kuchni, w miednicy jest woda,

umyj ręce. Zaraz będziemy jeść.

Joasia spełniła polecenie, jeszcze lekko drżąc od szlochu.

– Biedna mała – westchnęła gospodyni, kiedy dziewczynka zniknęła za drzwiami. – Niech pana Bóg błogosławi, że się pan zgodził przyjąć ją do siebie. Nie ma chyba nic gorszego dla dziecka niż opuszczenie przez własną matkę.

– Jak to się właściwie stało? – odezwał się Godula. – Od przedwczoraj chciałem spytać, ale jakoś nie było sposobności – usprawiedliwił własną szorstkość i chłód wobec ludzi, który od dwóch dni topniał pod wpływem małej Joasi. Jakby to porzucone dziecko wniosło do domu jakieś nieznane dotąd ciepło.

– Jej ojcu, wiejskiemu parobkowi, zmarło się przed rokiem – wyjaśniła Emilia. – Matka ją wychowywała jak umiała, choć obie przymierały głodem. Ale trafił się jej nowy chłop. Zgodził się ożenić z wdową, byle bez Joasi. Powiedział, że nie będzie karmić cudzego bękarta. Wtedy matka małej przysłała do mnie, bo znamy się jeszcze z dawnych czasów, a ja do pana. No i jest. Bóg da, a pod tym dachem pomału zapomni o krzywdzie, jaka ją spotkała.

Godula milczał.

Wszedł do kuchni i zatrzymał się na środku pomieszczenia. Emilia, która przez lata nauczyła się czytać w myślach i znała wszystkie jego rytuały, podwinęła mu rękawy koszuli i zarzuciła na ramię świeżą ścierkę do rąk. Umył je w tej samej misce, co Joasia, choć ze względu na kalectwo nie wyszło to zbyt zgrabnie. Gospodyni pomogła mu wytrzeć dłonie i nakryła do stołu, przy którym już siedziała dziewczynka. Nadal smutna, ze wzrokiem wbitym w pusty talerz.

Karol Godula chciał ją pogłaskać po głowie, ale w ostatniej chwili porzucił ten zamiar. Wstał, przeszedł do sąsiedniej izby, skąd wrócił ze świętym obrazkiem w dłoni.

– Dawno temu, gdy byłem młodzieńcem, spotkało mnie nieszczęście – powiedział do Joasi. – Żli ludzie okaleczyli mnie i zostawili w lesie na pewną śmierć. Gdy wyzdrowiałem, dostałem ten obrazek. – Wręczył

odbitkę Joasi, unikając informacji, że był to dar od matki. Tego słowa lepiej było przy niej unikać. Wprawdzie na odwrocie Franciszka Godula napisała „Mojemu synowi Karolowi na pamiątkę cudownego ocalenia”, ale zanim dziewczynka nauczy się czytać, minie sporo czasu. A on najlepiej leczy rany. – Ten obrazek chronił mnie w najtrudniejszych chwilach, a od dziś będzie chronił ciebie – dodał.

– Czy to Bozia? – upewniła się mała.

– Matka Boska Piekarska – wyjaśniła Emilia, pochylając się nad dziewczynką. – Co powinno się powiedzieć? – szepnęła jej do ucha.

– Dziękuję, panie – odparła Joasia, trzymając obrazek w obu dłoniach i wpatrując się w niego, jakby chciała dojrzeć czarodziejską moc.

Przez oszpeconą twarz Goduli przebiegł ledwo widoczny cień wzruszenia, który nie pojawiał się na niej nigdy wcześniej. Zapanowała chwila kłopotliwej ciszy.

Przerwała ją Emilia, która wyjęła obrazek z rąk dziecka i wstając, odłożyła go na parapet okna.

– Nie chcemy pobrudzić Bozi jedzeniem, prawda? – powiedziała przyjaźnie i podeszła do kuchni, z której zdjęła żeliwny sagan. Pogrzebaczem umieściła fajerki nad paleniskiem i przeniosła dymiące naczynie na stół. Dziś na obiad było ulubione danie Karola Goduli, jednego z najbogatszych ludzi w Europie. Kartofle ze zsiadłym mlekiem.

Kończyli posiłek, gdy Godula spojrzął na zegar wiszący na ścianie.

– Stangret jest gdzieś pod ręką? – spytał Emilię.

– Nie kazał pan wyprzęgać – odparła. – Czeka.

– To dobrze. Po jedzeniu zawiezie nas do Szombierek. Pokażę ci mój pokój różany – zwrócił się do Joasi.

Dziewczynce oczy zapłonęły ciekawością.

– Pokój różany? – spytała podekscytowana. – Gdzie?

– W pałacu.

– W pałacu – powtórzyła jak urzeczona. – Nigdy nie byłam w pałacu.

– Dziś będziesz. Dziś jest magiczny dzień.

– Czy to Bozia zrobiła? – upewniła się.

Godula po raz pierwszy od lat miał ochotę się roześmiać, ale okaleczona twarz na to nie pozwalała.

– Tak – potwierdził z przekonaniem i wskazał łyżką obrazek na parapecie. – To ona. Jak stangret nas odwiezie – zwrócił się do Emilii – poślecie go do Bytomia po stroiciela fortepianów. Ponoć potrafi też grać.

Skinęła głową. Dzień, w którym jej ponury chlebodawca, uchodzący za potwora z bryłą lodu zamiast serca, nabierał ochoty na muzykę, rzeczywiście był magiczny.

#### 4.

Zaalarmowany stukotem kół na bruku, Norbert Köpke wyjrzał przez okno mieszkania przy Krakauer Strasse w Bytomiu. Na widok powozu Karola Goduli żywiej zabiło mu serce.

Powóz zawsze przywoził nadzieję na zarobek. Wprawdzie niemiecka duma Norberta Köpke cierpiała, gdy musiał płaszczyć się przed Godulą – wyskrobkiem jakiejś nędznej śląskiej rodziny, ale Köpke umiał ze swoją dumą odpowiednio rozmawiać. Głównie o prawdach życiowych. Na przykład takich, że po upalnym sierpniu zawsze przychodzi zimna jesień, wymagająca nowych butów dla dwójki dzieci Köpkego, których stopy rosły równie szybko jak oprocentowanie pożyczek u bytomskich lichwiarzy. A duma, jak świat światem, jeszcze nigdy nikomu butów nie uszyła.

Stroiciel pospiesznie wyciągnął z kufra najlepszą kamizelkę, która jeszcze dziesięć lat temu miała kolor chabrów. Przyczesał coraz rzadsze włosy i kiedy usłyszał stukanie do drzwi, stanął w progu, trzymając w dłoni sakwojaż z narzędziami do strojenia fortepianów.

– To nie będzie potrzebne – powitał go stangret Goduli, wskazując torbę dłonią w popielatej rękawiczce. – Dziś mój pryncypał chce, aby pan dla niego zagrał.

Köpke lekko się zmieszał.

Dawno, bardzo dawno temu profesorowie w Wiedniu wróżyli mu karierę wirtuoza albo miejsce w najlepszych orkiestrach, ale to było

w innym życiu. Gwałtowna śmierć ojca przerwała jego edukację po pierwszym roku i Norbert rad nierad musiał wracać do rodzinnego Bytomia. Klepać biedę, dorabiać jako organista po kościołach albo stroić instrumenty, o ile któryś z miejscowych bogatych domów naszała taka potrzeba. Pracując z fortepianami, które rozumiał lepiej niż ludzi, Köpke czasami na nich grał, co nie pozwoliło umrzeć jego wielkiemu, zmarnowanemu talentowi.

W milczeniu skinął głową, zostawił torbę i wsiadł do eleganckiego bordowego lando zaprzęzonego w parę koni szlachetnej krwi.

Przez kilka kilometrów czuł się jak wielki pan. Rozparty na pikowanym siedzeniu powozu chłonał zazdrosne spojrzenia przechodniów i odpędzał dumę, która znów próbowała go kąsać. Dzień był zbyt piękny na ponure myśli, że jest tylko płatnym sługą śląskiego nuworysza, którego majątek mierzono na równi z fortunami cesarza miejscowego przemysłu: Donnersmarcków, Winklerów czy Ballestremów.

Przepych pałacu w Szombierkach w pełni to potwierdzał.

Köpke nie był tu po raz pierwszy, ale zakręciło mu się w głowie od ogromnych tafli luster, marmurów, złocień, kinkietów i żyrandoli z kryształów wielkich jak jabłka. Przytłoczony bogactwem i luksusem holu, dał się prowadzić stangretowi do sali balowej, jakby włąśnie ocknął się z omdlenia. Czuł miękkość nóg i drzenie dłoni, które uspokoiły się dopiero na widok fortepianu. Bezwiednie pogładził fornir instrumentu, pochodzącego z paryskiej manufaktury Pleyela, z czułością i ekstazą, z jaką dotyka się skóry pięknej kobiety.

Usiadł na taborecie przed klawiaturą, ale już po chwili poderwał się na widok Karola Goduli. Potwór z Rudy, na którego lepiej było nie patrzeć, wszedł do sali, prowadząc za rączkę kilkuletnią dziewczynkę.

Köpke ukłonił się unieżenie, recytując formułę powitania, które przygotował po drodze, ale właściciel pałacu puścił ją mimo uszu. Godula słyzył z małomówności i niechęci do marnotrawstwa. Pieniędzy, czasu i słów.



Posadził dziewczynkę na jednym z wytwornych szezlongów pod ścianą i skinął na Köpkego, który podreptał za nim do sąsiedniego gabinetu, uważając na zdradliwe posadzki, wypolerowane tak, że można się było w nich przejrzeć.

Godula podszedł do szafy ogniotrwałej, otworzył ją kluczem wyjętym z kieszeni spodni i sięgnął po skórzaną teczkę.

– Grasz pan z nut, Köpke? – spytał.

– Kiedyś... – zaczął stroiciel, ale potwór z Rudy zmarszczył połowę swojej makabrycznej twarzy.

– Ja nie pytam, co było kiedyś, tylko czy pan grasz?

Stroiciel skwapliwie potwierdził.

– Zagrasz pan to. – Godula podał mu kilkanaście arkuszy papieru zadrukowanego w pięciolinie i wypełnionego nutami przez kogoś, kto musiał zapisać swoją własną muzykę. Rękopis był pełen skreśleń i poprawek, świadczących o tym, że stworzono go, wkładając w to dużo pracy i serca. Nie widniały na nim ani tytuł dzieła, ani nazwisko kompozytora.

Wrócili do sali balowej.

Köpke skinął głową Emilii Lukas, która siedziała teraz obok dziewczynki, i zajął miejsce przed fortepianem. Rozprostował palce, czując, jak niegdyś w Wiedniu, że jego dłonie są skrzydłami gołębia, szybującymi nad klawiaturą, aby osiąść na niej w odpowiedniej chwili i wyczarować muzykę.

Po kilku taktach podyktowanych przez nuty wiedział, że ma do czynienia z geniuszem. Grał coś tak pięknego i pełnego natchnienia, że nagle wszystko przestało mieć znaczenie. Nie było już marnego życia stroiciela Köpkego, nie było okropnego Goduli i jego pałacu, ani niepokoju, ile potwór z Rudy zapłaci za koncert.

Była tylko muzyka. Niebiańska i przenosząca w stan, w jakim Köpke był tylko raz w życiu, gdy w cyrku zgodził się wziąć udział w eksperymencie hipnotyzera.

Skończył grać, nawet nie czując, że po policzkach popłynęły mu łzy.

Słuchacze również siedzieli jak zaczarowani.

Dziewczynka skuliła się, szukając lekarstwa na niepewność w bliskości opiekunki. Przywarła do niej, zaciskając dłoń na fałdach sukni. Emilia uniosła głowę i z półprzymkniętymi oczami chłonęła muzykę, która nadal brzmiała w salonie, choć parę sekund temu zapadła cisza.

Godula zastygł na sąsiednim szezlongu, ale wydawał się pogodny. Nikt nigdy go takim nie widział.

Po chwili drgnął i wstał, podpierając się laską, a kiedy i Köpke podniósł się z taboretu, właściciel pałacu ruchem głowy ponownie wskazał mu drzwi. Zanim wyszli, Godula zabrał nuty z fortepianu i schował je do teczki.

W gabinecie bez słowa otworzył szkatułkę stojącą na biurku i odliczył z niej stosik monet, o wiele większy od marzeń Köpkego.

Stroiciel adorował wzrokiem każdego talara, a ośmielony przekonaniem, że gra spodobała się Goduli, spytał:

– Za przeproszeniem, wielmożny panie. Ta muzyka to... fenomen światowej sławy. Absolutna znakomitość. Czy uczyni mi pan łaskę i wyjawi nazwisko mistrza, który ją napisał?

Potwór z Rudy popatrzył na niego, marszcząc brew i mrużąc swoje jedyne oko, co wydało się Köpkemu tym bardziej złowieszcze.

– Zdziwisz się pan, ale to napisał Polak.

– Polak? – powtórzył stroiciel, starając się ukryć zaskoczenie, ale słabo mu to wyszło.

– Żebyś pan wiedział – odparł twardo Godula. – Z tego narodu, na który pomstujesz w szynku przy piwie ze swoimi pruskimi kamratami. Myślisz, że nie wiem?

Köpke spłonił się ze wstydu i przerażenia. Stosik talarów nadal spoczywał w dłoni Goduli.

Próbował coś odpowiedzieć, ale potwór przerwał jego jąkanie:

– Milcz, Köpke. Masz tu zapłatę, bo należy ci się za dobrą robotę. Dla mnie tylko ona się liczy. Ale jeśli jeszcze raz się dowiem, że plujesz na Polaków, tą laską łeb ci rozbiję.

Stroiciel, któremu dłonie drżały teraz dwa razy mocniej niż przed koncertem, schował pieniądze do kieszeni i już otwierał usta, ale Godula odwrócił się do niego tyłem.

– Pokornie dziękuję wielmożnemu panu – wydusił Köpke i wyszedł.

Gdy właściciel Szombierek wrócił do bawialni, Joasia stała przy fortepianie, próbując zgłębić magię dziwnego mebla, wydającego tak piękne dźwięki.

– Naciśnij któryś z klawiszy – zachęcił ją Godula, ale schowała ręce za plecami. – Śmiało. Może kiedyś nauczysz się grać, ale teraz naucz się śmiałości.

Dziewczynka niepewnie dotknęła białego przycisku i uśmiechnęła się, kiedy fortepian odpowiedział dźwiękiem.

– Dość na dziś – uznał Godula. – Wracamy do domu.

Po drodze zastał ich wieczór. Sierpniowe powietrze nie przypominało już tego, które bucha po otwarciu chlebowego pieca. Ucichły ptaki, a lekki wietrzyk igrał z liśćmi przydrożnych akacji. Mała nie odezwała się przez całą drogę, patrząc gdzieś w dal, może układając wrażenie magicznego dnia jak zabawki w pudełku.

– Chyba dziś nie zasnę. – Przytuliła się do opiekunki, gdy powóz zajechał przed chatę w Rudzie. – Położysz się przy mnie, ciociu?

– Położę – odpowiedziała Emilia. – I zanucę ci kołysankę.

– Taką jak w pałacu?

– Jeszcze piękniejszą, bo tylko dla ciebie. Pamiętasz? Dziś masz magiczny dzień i jesteś prawdziwą księżniczką. – Uśmiechnęła się i zerknęła na Godulę, który myślami był gdzieś bardzo daleko.

– Z bajki? – spytała Joasia.

Emilia Lukas z przekonaniem pokiwała głową.

## ROZDZIAŁ III

Luty–marzec 2014 roku

### 1.

– Guzdrzesz się – uznała Katarzyna Karewicz, obserwując Jakuba Kanię, który usiłował idealnie zawiązać muszkę. – Nie możesz sobie kupić takiej na tasiemce albo gumce?

Kuba odszukał w lustrze jej oczy i posłał im spojrzenie, jakim starożytni filozofowie obdarzali barbarzyńców. Chciał coś odpowiedzieć, ale dał spokój. Celną riposta mogła wywołać potyczkę – ostatnią rzecz, jaka była im potrzebna tuż przed wyjściem na koncert z okazji urodzin Chopina.

– Myślisz, że ktokolwiek zauważy, że masz związaną muszkę? – Kasia nie dawała za wygraną.

– Nie robię tego dla kogokolwiek, tylko dla siebie – oświadczył Kuba z godnością.

– Zobaczysz, zgubi cię kiedyś ten perfekcjonizm.

– Na razie mi pomaga. Przydał się w paru sprawach.

– Na razie – powtórzyła. – Ale z biegiem lat to się może przerodzić w jakieś natręctwa albo obsesję.

– Tak sądzisz?

– Kuba, nie mów do mnie protekcyjnym tonem. Tak. Tak sądzę. Wczoraj znów widziałam, jak poprawiasz po mnie naczynia w zmywarce.

Odwrócił się od lustra.

– Jeśli chciałaś, żebym poszedł na koncert ubrany byle jak, trzeba było kupić bilety na disco polo, nie Chopina.

– Uwielbiam Chopina – stwierdziła dobitnie.

Kuba rozłożył ręce w geście bezradności.

– Właśnie staram się to uszanować i uczcić związaną muszką.

– A więc robisz to dla mnie? Tak? Poświęcasz się. Tak? Bo ty wcale nie lubisz Chopina.

– Lubię. Najlepiej zmrożonego. Pod śledzika po kaszubsku.

Kasia wzniosła oczy do nieba.

– I to mówi strażnik manier, który wiąże muszkę.

– Na muszkach się znam, na etiudach nie. Pani od muzyki w piątej klasie stwierdziła, że mam ręce stworzone do fortepianu, ale przenoszenia.

– Jak chcesz, możemy nie iść.

Przysunął się do niej i objął w pasie, splatając dłonie za jej plecami.

– Kasia, co się dzieje? – Uśmiechnął się rozbrajająco. – Lubię nasze sprzeczki, bo kojarzą mi się z szermierką sportową. Mają dużo gracji, sporo dobrych pchnięć, ale nie używamy ostrych końcówek szpad. Pamiętasz?

– Jestem dziś jakaś rozdrażniona – stwierdziła pojednawczo.

– Chopin pomoże – uznał. – Czytałem, że jego utwory mają tyle osobistych emocji, że działają na słuchaczy jak balsam. Z powodzeniem stosuje się je w muzykoterapii. Kołysanka, którą napisał, uspakaja nawet ataki paniki, bo...

– Skąd to wszystko wiesz? – przerwała.

Wzruszył ramionami.

– Poszperałem trochę przed dzisiejszym koncertem.

– Jezu – jęknęła, sięgając po płaszcz. – Co za typ. Nawet Chopina musiał sprawdzić.

## 2.

Chopin zrobił swoje.

Po wyjściu z sali lustrzanej Pałacu Staszica, w której odbył się koncert, Kasia lewitowała na orbicie zupełnie innego nastroju. Na ulicy ujęła Kubę pod ramię i mocno do niego przywarła. Wolną ręką sięgnęła po telefon, zerkając na ekran.

– Umówiłam się z opiekunką, że położy dziewczynki i zostanie do jedenastej. Zróbmy sobie jeszcze jakąś przyjemność.

Tego słowa Kubie nigdy nie trzeba było powtarzać dwa razy.

– Na co masz ochotę? – spytał.

– Kieliszek dobrego czerwonego wina.

Rozejrzył się. Lutowy wieczór w Warszawie, chodzącej spać z kurami, miał znacznie uboższą ofertę dla hedonistów niż sierpniowy w Paryżu.

– Niedaleko, przy Nowym Świecie jest dobra włoska knajpka – przyszła mu z pomocą Kasia.

Przez chwilę przeszukiwał dysk swojej gastronomicznej pamięci, wreszcie się rozpromienił.

– Wiem – odparł rozanielony. – Muszę nas odwiedzić do domu, zatem ty wino, ja tiramisu.

– O tej porze?

– Przyjemności nie podlegają prawom czasu. Inaczej straciłyby sens – orzekł. – Idziemy.

Przytulne wnętrze restauracji było idealnym miejscem na chopinowskie *afterparty*. Kelner w muszce popatrzył na Kubę jak na towarzysza niedoli, któremu konwenanse również zacisnęły na szyi coś, co utrudniało poruszanie głową, i ze współczuciem przyjął zamówienie.

– Kiedy wracasz do Grodkowa? – spytała Kasia, gdy zniknął za filarem.

– Pojutrze.

– Na długo?

– Wracam na weekend. Obiecałem Zosi i Marysi, że pójdziemy do teatru lalek.

– Nie o to pytam. Jak myślisz, ile potrwa dochodzenie w sprawie Chaczaturiana?

Kuba uniósł ramiona w geście oznaczającym, że nie ma pojęcia.

– Wszystko zależy będzie od tego, czy znajdą się świadkowie. I od ich wiedzy, rzecz jasna.

– Ten człowiek, o którym mówiłeś... – zastanowiła się.

– Tomasz Kern – odpowiedział.

– Właśnie. Ten Tomasz Kern ci pomoże?

– Sądzę, że tak. Sprawia wrażenie sympatycznego i czynnego faceta. Poza tym jest bardzo oddany swojej żonie. Tej radnej, z którą poznał mnie

marszałek, opowiadałem ci. Więc jeśli ona prosiła, aby pomógł, to jestem przekonany, że Tomasz dołoży wszelkich starań.

– Mówisz, jakby to była jego szefowa, nie żona.

Kuba odkroił widelczykiem skromny kawałek deseru.

– To twarda sztuka. Twarda i sprytne – uzupełnił. – Z gatunku tych, które wiedzą, gdzie stoją konfitury. Dla marszałka była niezwykle czarująca, ale z babkami w sekretariacie zarządu województwa rozmawiała jak hrabina z pokojówkami. A z mężem jak kapral z rekrutem. Wiesz, że ona mieszka w Opolu i pielęgnuje karierę, a on zajmuje się domem?

– To tak jak u nas. Tylko płęć się nie zgadza – skwitowała Kasia.

Kuba oblizał widelczyk i pomachał nim jak kropidłem.

– Rozmawialiśmy o tym – przypomniał. – Jak Marysia pójdzie we wrześniu do zerówki, wrócisz do latania. Jeśli chcesz, możesz zostać nawet szefową pokładu. Ja się zajmę dziećmi.

– Nie muszę być szefową pokładu i tłuc się po wszystkich kontynentach. Wystarczy parę lotów w miesiącu. A ty nie musisz się poświęcać. Wiem, jak lubisz pracę w terenie, z daleka od Instytutu.

– Uporam się z Chaczaturianem i wracam pod domową pierzynę.

– No, chyba że sprawa okaże się rozwojowa. – Kasia puściła do niego oko.

– Myślisz? – ożywił się, ale zaraz mu przeszło. – Nie sądzę. To śledztwo z tezą. IPN z góry zakłada, że najślawniejszy radziecki kompozytor był draniem pracującym dla NKWD, a ja mam znaleźć potwierdzenie. Wiesz, jak to działa. Najpierw wskazuje się człowieka, a potem szuka na niego paragrafu. Stara bolszewicka metoda.

Kasia upiła łyk wina.

– Wierzysz, że Chaczaturian zajmował się w Grodkowie terrorem, jaki miała tam sowiecka bezpieka?

– W mojej pracy wiara nie ma znaczenia. Liczą się fakty i dowody. Tylko tyle. Dlatego muszę porozmawiać ze świadkami. Może ktoś coś pamięta. Na początku kwietnia czterdziestego piątego, miesiąc przed zakończeniem wojny, w Grodkowie powstał obóz. Dla esesmanów i żołnierzy

Wehrmachtu, ale zamordowano w nim wielu miejscowych. Ślązaków. Identycznie jak w Świętochłowicach czy Jaworznie. Teoretycznie łagier podlegał polskiemu Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego i miał numer sto cztery. Sądzę, że rządziło tam NKWD. Kto jak kto, ale oni mieli bogate doświadczenia w prowadzeniu tego typu „ośrodków”. – Kuba wykonał palcami gest oznaczający cudzystów. – Dlatego mój szef uważa, że skoro Chaczaturian miał status specjalnego wysłannika NKWD, mógł być zamieszany w sprawę tego obozu. Bo – jak się wyraził – Moskwa raczej nie wysłała go sprawdzać, czy w grodkowskim łagrze przestrzegane są warunki sanitarne i prawa człowieka.

– A co podpowiada twoja legendarna intuicja? – spytała Kasia.

Kuba przymknął powieki, rozkoszując się tiramisu.

– A dlaczego tak wypytyujesz o Chaczaturiana? – zainteresował się, gdy kubki smakowe zrobiły swoje.

– Bo zadałam sobie dwa pytanie naraz: dlaczego on i dlaczego akurat tam? I nie potrafię tego zrozumieć. Przecież facet się znał na muzyce, a nie torturowaniu i mordowaniu ludzi.

– Możemy przybić żółwika – uznał Kuba, patrząc na nią z zaciekawieniem. – Bo ja zadałem sobie dokładnie te same pytania.

– I co? – Wyciągnęła w jego stronę zaciśniętą piąstkę.

– Mam pewną teorię. – Przybił. – Jednak jest zdecydowanie za wcześnie, aby o tym mówić.

– Ej, tak się nie robi – obruszyła się. – Zaczynasz i nie kończysz. To nie *fair*.

– Nie lubię hipotez – stwierdził. – Ale dam słowo, że jeśli świadkowie potwierdzą choćby jeden element z mojej układanki, to pierwsza się o tym dowiesz.

Kasia wycelowwała w niego palec wskazujący i wymownie nim pokiwała.



Iwona Kern zjechała z autostrady A4 na drogę wojewódzką numer 401, sięgnęła po kwadratowy mikrofon CB-radio. Przytrzymując jego boczny przycisk, wysłała w eter pytanie:

– Mobilki, jak ścieżka z autostradki do Grodkowa?

W sobotni poranek ruch był niewielki, dlatego szczególnie nie liczyła na odpowiedź. Doszła do wniosku, że najlepiej zrobi stosując się do znaków ograniczenia prędkości, gdy radio zaszumiało, a w głośniku rozległ się głos młodego mężczyzny:

– Przed Kolnicą masz misiaczków z suszarką.

– Dzięki, kolego – powiedziała, unosząc mikrofon do ust. – Jakbyś pomykał na Wrocław, to jest czyściutko.

– Podziękował – odparł głośnik. – Szerokości.

Odłożyła urządzenie, upychając jego spiralny kabel w plastikowej studzience na napoje, i dodała gazu. Lubiła szybką jazdę, często na granicy ryzyka.

Nie martwiła się konsekwencjami łamania przepisów, bo chroniło ją CB-radio. Magiczny świat, w którym wszyscy Polacy byli jedną rodziną z piosenki disco polo. Czy starsi czy młodszy, chłopak czy dziewczyna – wyświadczały sobie przysługi, ostrzegali przed patrolami policji i trudnościami na drodze, nie przeklinali, bo przecież gdzieś mogły jechać dzieci, i używali pieszczotliwego slangu. Skorumpowany sierżant drogówki był tu misiaczkami, a trzymany przez niego radar z zapisem przekroczenia prędkości, obsługującym kilku naiwnych kierowców pod rząd – suszarką. W magicznym świecie bez tożsamości wszyscy byli na „ty” i żyli w czystej, bo nieświadomej przyjaźni. Recydywista pomagał prokuratorowi, prostytutka zakonnicy, lewak narodowcowi, a kibic Widzewa kibicowi ŁKS-u. Ogarnięci amokiem przedstawiciele handlowi dziękowali za marginesik, gdy inni użytkownicy radia chętnie przepuszczali ich, zjeżdżając na prawo. Ponurzy kierowcy ciężarówek życzyli znieawidzonym kierowcom osobówek szerokości i przyczepności, gdy tylko dostrzegli bat anteny przyssanej magnesem do dachu lub klapy

bagażnika. Jeżdżenie z CB-radiem w parę miesięcy dokonało większej metamorfozy narodowej niż tysiąc lat chodzenia do kościoła.

Przed Kolnicą zwolniła i przywołała na twarz minę grzecznej dziewczynki. Minęła policjantów z prędkością patrolową, trzymając dłonie na kierownicy w pozycji za dziesięć dziesiąta i dziesięć po drugiej. Odczekała, aż znikną w lusterku, zredukowała bieg i wystrzeliła do przodu, z przyjemnością słuchając emocji silnika wchodzącego na wysokie obroty.

Do domu dotarła kwadrans później.

Tomasz pewnie już o świcie otworzył bramę i usunął z podwórza swoje auto, żeby mogła wygodnie zaparkować. Cały on. Wiecznie uczynny, nieustannie pożyteczny i nastawiony na spełnianie jej oczekiwań. Jak psy frisbee, których celem życia stało się fruwanie w powietrzu i aportowanie plastikowo-gumowych talerzy w nadziei na uznanie pana.

Oczywiście musiał czaić się za firanką, bo nie zdążyła wysiąść z samochodu, gdy wyszedł przed dom z tą swoją przymilną miną. Mimo sobotniego przedpołudnia, kiedy cała Polska nosi bluzy z kapturem i spodnie od dresu, uznał za stosowne włożyć świeżo wyprasowaną koszulę, cienki sweter i marynarkę.

– Jesteś – powiedział ze wzruszeniem, jakby od ich ostatniego spotkania nie minęło pięć dni, ale dekad.

– Mam ciężką walizkę – odparła.

Momentalnie znalazł się przy aucie. Na ułamek sekundy udostępniła mu policzek do pocałowania i zanurkowała po torebkę leżącą na fotelu pasażera, co pozwoliło uniknąć uścisków. Po czym ruszyła w stronę domu.

– Zrobiłem ci śniadanko – oświadczył, gdy uporał się z demontowaniem anteny CB-radia, otwarciem bagażnika i transportem walizki do przedpokoju.

– Jadłam w hotelu.

Jak mogłaś – powiedział jego wzrok, a usta dodały z żalem:

– Myślałem, że przyjedziesz wczoraj.

– Mówiłam ci, mam mnóstwo pracy – oświadczyła znużonym głosem i spojrzała w lustro w przedpokoju. Wszystko się zgadzało. Wyraźniejsze

zmarszczki, papierowa cera, podkrążone oczy. Książkowy obraz kobiety zatroskanej o losy regionu – pomyślała i o mały włos nie roześmiała się swojemu odbiciu prosto w twarz.

Obraz jej zmęczenia był efektem łózkowego maratonu, jaki poprzedniej nocy pokonała z kochankiem w jednym z wrocławskich hoteli.

Mężczyzna, wróc: prawdziwy mężczyzna, z którym się spotykała od paru tygodni, stanowił całkowite przeciwieństwo Tomasza. Dużo od niej młodszy, zadbany i wysportowany, miał za sobą wojskową przeszłość, o której nie lubił mówić. Z okruczeństwa informacji wywnioskowała, że raczej nie był kwatermistrzem, sprawdzającym w Excelu, czy zgadza się liczba kalesonów wydawanych żołnierzom. Walczył. Brał udział w misjach. Miał blizny i tatuaż, który Iwona odszukała w Google, dowiadując się, że jej wybranek służył w jednej z najbardziej znanych elitarnych jednostek.

Od tamtej chwili zupełnie oszalała na jego punkcie.

Zniewalały ją szorstka męskość, szybkość podejmowania decyzji, siła i stanowczość wymieszane w idealnych proporcjach z wdziękiem, inteligencją i poczuciem humoru. Nie był typem maczo, nie musiał niczego podkreślać i udowadniać, przez co kręcił ją jeszcze bardziej.

Przyzwyczajona do oślizłych erotomanów i wszelkich odmian podrywaczy, okazujących jej mniej lub bardziej entuzjastyczny zachwyty, Iwona Kern nigdy wcześniej nie doświadczyła niepewności w relacji z mężczyznami. Owijała ich sobie wokół palca, tymczasem teraz nie miała śmiałości nawet tym palcem kiwnąć. I to kręciło ją najbardziej.

Nudzając się na sesjach sejmiku i posiedzeniach komisji współpracy z zagranicą, fantazjowała, aby wyrwać się do jednego z eleganckich wrocławskich hoteli, które służyły im jako miejsca schadzek. Z dala od wścibskiego Opola, gdzie trudno było zachować dyskrecję. Na samą myśl o zakazanej randce czuła to, co w czasopiśmie dla kobiet nazywano motylami w brzuchu.

Bezpruderyjny i pomysłowy kochanek w ciągu trzech schadzek pozwolił jej nadrobić zaległości dwóch dekad banalnego małżeńskiego seksu. Stękania Tomasza, jego orgazmów przypominających atak padaczki

i sakramentalnych pytań, czy ona też skończyła. Nie! – chciało jej się wtedy krzyczeć. – Nie skończyłam! Nawet nie zaczęłam.

Ale nigdy nie krzyknęła.

Kneblowało ją posiadanie wygodnego domu, męża gotowego na każde skinienie i finansującego jej karierę polityczną pieniędzmi z winobrania w Prowansji. Co rok przywoził stamtąd gruby plik euro, za które nie ośmielił się kupić sobie nawet *foie gras*, choć je uwielbiał.

– Może się położysz? – zaproponował Tomasz, który pojawił się w lustrze, stając za nią i kładąc jej dłonie na ramionach.

Skinęła głową. Perspektywa samotności, podczas której mogła zregenerować siły i wrócić wspomnieniami do minionej nocy, wydała się kusząca.

– Pójdę na górę – powiedziała. – Prześpię się trochę.

– Na moim stoliku nocnym jest niespodzianka – uprzedził z triumfującą miną.

Zignorowała to, ale kiedy już weszła do sypialni, z ciekawości zerknęła na plastikową buteleczkę z aplikatorem, którą ustawił pod lampką. Spray przeciw chrapaniu.

Tomasz spał cicho jak dziecko, ale wmówienie mu chrapania i wysyłanie na kanapę do salonu okazało się sprytnym pomysłem. Do teraz.

Trzeba będzie wymyślić inny pretekst – pomyślała, pocieszając się, że to już nie potrwa długo. Plan, który stworzyła, działał bez zarzutu i powoli zbliżał się do wielkiego finału. Uśmiechnęła się do własnej wyobraźni, podpowiadającej jej rozmiar powszechnego zaskoczenia. Wszystkim opadną szczęki. Przez wiele lat będą się zastanawiać, co się stało z Iwoną Kern.

Ale zanim zniknie, musi dopilnować, aby wszystko potoczyło się tak, jak powinno.

Rozebrała się, wślizgnęła pod kołdrę i włączyła w głowie przypomnienie, że musi odpowiednio pokierować Tomaszem w sprawie śledztwa IPN w Grodkowie. Prokurator przysłany z Warszawy był nieoczekiwanym prezentem od losu. Wyglądał na uczciwego harcerzyka

i mógł się okazać sprawnym pionkiem w jej grze. Pod warunkiem, że dobrze wypełni rolę, jaką mu wyznaczyła.

#### 4.

Jakub Kania dopił herbatę i odstawił pustą filiżankę na spodek, dyskretnie zerkając na sygnaturę pod dnem. Dwa niebieskie skrzyżowane miecze. Oryginalna Miśnia.

Filiżanka od razu wydała mu się cenna, ale nie spodziewał się, że aż tak. Porcelana oznaczana symbolami z tarczy herbowej elektorów saskich, rządzących przez jakiś czas Polską, nazywana była białym złotem i w sklepach z antykami osiągała niebotyczne ceny. Przeszło mu przez myśl, że kultura picia herbaty jest sumą dwóch wartości: co człowiek pije i z czego. Ekspresówkę z papierowego kubka czy właściwie zaparzony szlachetny assam z takiego cacka, jak to.

Emerytowaną bibliotekarkę, siedzącą po drugiej stronie stołu nakrytego koronkową serwetą, z pewnością można było uznać za prawowitą właścicielkę serwisu. Jej rodzina mieszkała w Grodkowie od kilku pokoleń.

– Urodziłam się w trzydziestym trzecim – poinformowała Kubę, gdy tylko podała herbatę. – Idealna data. Do dziś Bogu za to dziękuję.

Spojrzał na nią pytająco.

– Gdy weszli Sowietzi, miałam dwanaście lat – wyjaśniła. – Rozumie pan? Byłam dla nich za młoda. Zgwałcili matkę i dwie moje kuzynki. Ciotkę, która była nauczycielką, znała języki i przywitała ich po rosyjsku, zastrzelili od razu. Oficer NKWD uznał, że skoro mówi po ichniemu, to na pewno jest szpiegiem.

Kuba smutno pokiwał głową.

– Była pani świadkiem tych wydarzeń?

– Wszyscy byliśmy. Wszyscy, którzy nie posłuchali ostrzeżeń podawanych przez wojskowe głośniki. I nie uciekli z Wehrmachtem, tylko zdecydowali się zostać we własnych domach. Ja byłam za mała, żeby to wtedy rozumieć, ale pamiętam, jak panicznie się bałam. Moja mama, kulturalna i inteligentna kobieta, twierdziła, że wszystko będzie dobrze.

Że nie trzeba wierzyć głośnikom, że Rosjanie to bestie. Mówiła, że to goebbelsowska propaganda. Co nam może grozić? – uspokajała. Mamy śląskie nazwisko, mówimy po polsku i nie jesteśmy Niemcami. Czas pokazał, jak bardzo się myliła... Zapłaciła za to straszną cenę. Do końca życia nosiła to brzemię.

Prokurator IPN odczekał, aż starsza pani obetrze łzę.

– Pan Tomasz Kern, który dał mi pani adres, powiedział, że może pani pamiętać tego człowieka. – Sięgnął do kieszeni marynarki i położył na stole zdjęcie Chaczaturiana.

Właścicielka miśnieńskiego serwisu wzięła je do ręki, nałożyła okulary i uważnie się przyjrzała.

– Kto to jest?

– Rosjanin przysłany do Grodkowa przez NKWD zaraz po tym, jak przeszedł front. Ważna postać. Wszyscy się tu z nim liczyli.

Starsza pani nie odrywała oczu od fotografii. Przez moment Kuba miał wrażenie, że kojarzy człowieka w waciaku, ale przekreśliła jego nadzieje przeczącym ruchem głowy.

– Nigdy go nie widziałam. Pamiętałabym, bo mam niebywałą pamięć do twarzy. W zeszłym roku skończyłam osiemdziesiątkę, a pamiętam koleżanki i kolegów ze szkoły powszechnej. Uwierzy pan? Nazwisk żadnych, ale twarze wszystkie.

– No właśnie. – Kuba uśmiechnął się. – Z tego powodu pan Tomasz mnie do pani skierował.

Pokiwała głową.

– To bardzo przyzwoity człowiek. Szkoda, że jego dziadek nie żyje. On by panu przekazał informacje o tym Rosjaninie.

– Skąd ta pewność? – podchwycił.

Była bibliotekarka nagle się spłoszyła.

– Bo... Dziadek Kerna to była znana persona w mieście. Ich rodzina mieszkała w Grodkowie od wieków, ale potem przenieśli się do Kopic, gdzie pracowali w majątku von Schaffgotschów. Graf dał im mały dworek, żeby mieli blisko do pałacu. Stary Kern był chyba ochmistrem, ale też

uczył muzyki hrabiowskie dzieci. Aż do końca wojny. Ja też wzięłam u niego kilka lekcji, jak byłam mała. Kernowie wszyscy bardzo uzdolnieni muzycznie... Tomasz nie mówił?

Kuba przecząco pokręcił głową.

– Skromy człowiek, jak my wszyscy – stwierdziła z satysfakcją.

– My, czyli kto? – spytał Kuba.

– Tutejsi. My się, proszę pana, nie obnosimy ze swoimi talentami i sprawami przed ludźmi, tak jak ci zza Bugu. Kiedy żyła moja mama, powtarzała taką przypowieść o rybie i kurze. Zna pan?

– Chyba nie.

– To panu powiem, żeby pan wiedział, jak tu u nas odróżniać ludzi. Ryba, proszę pana, składa tysiące jajeczek i odpływa w ciszy. Kura znosi jedno i gdaka na całe podwórze. My, Ślązacy, jesteśmy rybami.

Kuba ukłonił się z uznaniem i wrócił do tematu:

– Powiedziała pani, że dziadek Tomasza uczył hrabiowskie dzieci muzyki do końca wojny. Co się stało z von Szach...

– Schaffgotschami – przypomniała.

– Dziękuję. Z Schaffgotschami. Co się z nimi stało w czterdziestym piątym?

– Zdążyli wyjechać dosłownie w ostatniej chwili. Tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej.

– Kernowie zostali?

– Zostali.

– Czy oni też doświadczyli zła ze strony Rosjan? – spytał.

– Oni? No nie, oni nie – powiedziała, jakby było to oczywiste.

Kuba chciał zapytać dlaczego, ale szybko doszedł do wniosku, że jeśli właścicielka miśnieńskiej porcelany coś ukrywa, to i tak niczego mu nie wyjawii. Zerknął na nią. Spuściła wzrok i nerwowo obracała w palcach pustą filiżankę.

– Jestem już trochę wyczerpana – powiedziała cicho. – Proszę się nie gniewać, ale...

Wstał.

– Rozumiem. Bardzo dziękuję za poświęcony czas.

Spojrzała na prokuratora IPN, jednak w jej oczach nie było zmęczenia. Jedynie popłoch właściwy ludziom, którzy powiedzą jedno zdanie za dużo, a potem tego żałują.

## 5.

Trzy dni, osiem nazwisk.

Emerytowana bibliotekarka zamykała listę przygotowaną przez Tomasza Kerna. Kuba wiązał z nią duże nadzieje, choć największe zaskoczenie przeżył poprzedniego dnia.

Jeden z potencjalnych świadków wytypowanych przez Kerna był podopiecznym pobliskiego domu seniora. Mimo podeszłego wieku sprawnie obsługiwał prywatny telefon komórkowy, a aparat słuchowy nie przeszkadzał mu komunikować się jasno i logicznie. Chętnie zgodził się na odwiedziny, upatrując w nich okazji do powspominania starych czasów.

– Czeka w stołówce – poinformowała pielęgniarka, gdy Kuba dotarł na miejsce punktualnie o umówionej godzinie. Na korytarzu unosił się zapach starości, lizolu i zupy ogórkowej.

Mężczyzna siedzący przy stoliku pod oknem miał na sobie elegancki niegdyś garnitur, flanelową koszulę, która nijak nie pasowała do marynarki, i krawat w identycznym konflikcie z koszulą.

– Sam się tak ubrał – szepnęła pielęgniarka tonem usprawiedliwienia.

Zanim Kuba zdążył podejść do stolika, starszy pan wstał z krzesła i poprawił kolekcję odznaczeń obciążających lewą stronę marynarki. Błyszczał wśród nich Brązowy Krzyż Zasługi, dodając prestiżu jakimś pamiątkowym medalom i odznakom – od honorowego krwiodawcy po przewodnika PTTK. Nie były tak imponujące jak u rosyjskich generałów, ale robiły wrażenie. Przed wszystkim na właścicielu, który zerkał na nie od czasu do czasu z nieukrywaną dumą.

Przywitali się i usiedli.



Kuba powtórzył cel wizyty, otrzymując w rewanżu wykład o osteoporozie. Koszty uzyskania przychodu. Chcesz się czegoś dowiedzieć od starszego człowieka, najpierw go wysłuchaj. Jeśli spytasz o wojnę, a usłyszysz, jakie to za Gierka były grzyby w lasach pod Zieloną Górą, okaż zainteresowanie grzybom. Przerwiesz, przegrałeś. Seniorzy łatwo się obrażają. Wieloletnia eksploatacja układów nerwowych robi swoje.

– No właśnie. – Kuba wykorzystał chwilę i zręcznie wciął się w opowieść, jak kierowca zmieniający pas ruchu, gdy zauważy parę sekund czyjegoś gapiostwa. – Chciałem panu pokazać zdjęcie wykonane w Grodkowie prawdopodobnie na przełomie marca i kwietnia czterdziestego piątego roku i zapytać, czy...

– Pokaż pan – przerwał mu rozmówca. Energicznie wyciągnął rękę nad stołem, aż zabręczały trofea.

Zmienił okulary i wnikliwie przypatrzył się fotografii.

– Rozpoznaję tego człowieka – oświadczył z przekonaniem. – To był sowiecki kat Grodkowa.

Kuba poczuł przyspieszone bicie serca.

Wstał, zrobił kilka kroków i stanął za krzesłem starszego pana.

– Ten? – Dla pewności wskazał Chaczaturiana.

– Ten – odparł świadek z pełnym przekonaniem. – Widziałem go nie raz i słyszałem, co wyprawiał – dodał, uderzając palcem wygiętym przez artretyzm w twarz radzieckiego oficera stojącego po lewej stronie zdjęcia.

Prokurator IPN głośno wypuścił powietrze.

– A ten? – spytał, zatrzymując swój palec na Chaczaturianie. – Tego pan kojarzy?

– Nie. Pewnie taki sam swołocz, co?

– Właśnie to staram się ustalić.

– Panie, a co tu ustalać? Wiesz pan, ile oni mają krwi na rękach?

No właśnie. Kolejny raz to samo. Rosjanin w Grodkowie tuż po wejściu Armii Czerwonej mógł oznaczać tylko jedno. Ośmioro świadków podzieliło ten pogląd, jakby się umówili. Wszyscy oskarżyli Chaczaturiana, choć nikt go nie kojarzył. Gdyby stanowili ławę przysięgłych, facet już by wisiał.

Kuba wyszedł z domu przy ulicy Mickiewicza, w którym mieszkała emerytowana bibliotekarka, naciągnął wełnianą czapkę i ruszył w kierunku parkingu.

Miał wrażenie, że znalazł się w labiryncie. Osiem rozmów, osiem prób, z których każda dawała nadzieję znalezienia właściwej drogi i każda kończyła się ścianą. Właśnie na powrót znalazł się w miejscu, od którego zaczął. W punkcie wyjścia.

Wsiadając do auta, postanowił, że jutro zadzwoni do dyrektora IPN i wywiesi białą flagę. Teza o związkach Arama Chaczaturiana ze zbrodniami dokonanymi w Grodkowie nie znalazła potwierdzenia. Dziś jeszcze sporządzi w tej sprawie szczegółowy raport z nazwiskami świadków, do których dotarł dzięki pomocy Tomasza Kerna.

Przekręcał kluczyk, gdy coś go tknęło.

Kern – pomyślał. A jeśli celowo dobrał świadków, którzy niczego nie wiedzieli? Może nawet rozmawiał z nimi przed Kubą? Może zależało mu, aby śledztwo prokuratora IPN doprowadziło go donikąd? Żeby wrócić do Warszawy z pustymi rękami? Tylko dlaczego? – zastanowił się. Czyżby Kern w jakiś sposób osłaniał Chaczaturiana? Mało prawdopodobne. A jednak coś w tej sprawie zgrzytnęło jak ziarnko piasku w zębach. Reakcja bibliotekarki. Ewidentna sugestia, że wokół dziadka Tomasza, ostatniego ochmistrza hrabiostwa von Schaffgotsch, unosi się aura jakiejś tajemnicy. Co się kryło za przestraczem starszej pani? Jakiego sekretu strzegła?

Sięgnął po telefon, który wyciszył na czas rozmowy z bibliotekarką, i sprawdził połączenia przychodzące. Kasia nie dzwoniła. Za to Tomasz Kern dwa razy. Drugie nieodebrane połączenie miało miejsce cztery minuty temu. Czyżby starsza pani zdążyła zatelefonować do Kerna i poinformować, że o mało się nie wygadała? Byli w zмовie czy nie byli?

Istniał tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

Kuba wybrał przycisk automatycznie uruchamiający ostatni numer, z którego do niego dzwoniono.

– Dobry wieczór, panie prokuratorze – odezwał się razem z pierwszym dzwonkiem Tomasz. Czyli Kern czekał na telefon.

– Dobry wieczór. Jakże się pan czuje? Brzmi pan o wiele lepiej niż wczoraj.

– Dziękuję – odparł Kern. W jego głosie dawało się wyczuć lekkie napięcie.

– A jak u pana?

– Świetnie – odparł wesoło Kuba. – Bo wie pan, ja w sezonie grypowym codziennie wypijam szklankę ciepłej wody z miodem, imbirem i sokiem z cytryny.

– Ach tak... – Kern był wyraźnie zdezorientowany. Nie chciał dać do zrozumienia, że dzwoni wybadać, jak poszło z bibliotekarką, tymczasem rozmowa skręciła w zupełnie innym kierunku.

– Spotkania udane? – spytał ostrożnie.

– Raczej tak – uznał Kuba i zagrał podchwytliwie: – Pyta pan o wszystkie czy któreś konkretnie?

– No... – zawiesił się Kern. – Pewnie o takie, podczas którego dowiedział się pan najciekawszych rzeczy. Nie wiem, jak pan, ale ja najbardziej liczyłem na tę ostatnią rozmowę z panią Rosner, naszą dawną bibliotekarką.

Mam cię – pomyślał Kuba. – Skąd wiesz, że to była ostatnia rozmowa? Dzwoniłeś wczoraj przed południem, gdy miałem do przesłuchania jeszcze troje twoich świadków. Przez chwilę miał ochotę przygwoździć Kerna tym pytaniem, nastraszyć go i zmusić do wyjawienia tajemnicy, z której o mało nie wygadała się bibliotekarka. Ale uznał, że nie jest to rozmowa na telefon. Postanowił zagrać w zupełnie inną grę. Jego twarda kaszubska babka zawsze powtarzała: Rób tak, żeby ludzie myśleli, że jesteś tak głupi, jak oni mądrzy.

– Pani Rosner bardzo mi pomogła – powiedział do aparatu najbardziej uprzejmie jak potrafił. – Zresztą pozostali pańscy świadkowie również.

Tomasza Kerna zatkało. Przez dobre kilka sekund milczał i pewnie gorączkowo zastanawiał się, co o tym myśleć.

– Cieszę się... – stwierdził wreszcie. – Czyli potwierdziło się coś w sprawie tego człowieka ze zdjęcia? – spytał niepewnie.

– Wszystko – odparł beztrąsko Kuba.

– Wszystko? – Kern był już kompletnie skołowany.

– Tak jest. Nikt z przesłuchanych nie potwierdził udziału poszukiwanego przeze mnie człowieka w zbrodniach NKWD dokonanych w Grodkowie wczesną wiosną czterdziestego piątego roku. Wobec jednomysłności ośmiu wiarygodnych świadków temat należy uznać za zamknięty. Taki raport przedstawię Instytutowi.

– Wraca pan do Warszawy? – spytał Kern.

– Naturalnie. Sprawa umorzona. Zadbam, aby moja dyrekcja przysłała panu list z podziękowaniami. Ja również serdecznie dziękuję. Bez pańskich świadków pewnie spędziłbym tu jeszcze parę tygodni.

– Bardzo mi miło – rozpromienił się Tomasz. – List niepotrzebny. Cieszę się, że mogłem pomóc. I... że pana poznałem.

Ja bym się na twoim miejscu nie cieszył – pomyślał Kuba, pożegnał się i rozłączył.

## 6.

Kasia zadzwoniła, akurat gdy kończył śniadanie. W tym samym butikowym hoteliku przy ulicy Oleskiej w Opolu, co ostatnio.

– Jesz? – spytała. – Może oddzwon, jak skończysz.

– Ostatni kęs – poinformował i przełknął, dla wiarygodności. – Jak się masz? Co u dziewczynek?

– Standard. Ja jestem podręcznikową mamą, Zosia pyta, kiedy przyjedziesz, a Marysia – co jej przywieziesz. Oto, najkrócej rzecz ujmując, profile twoich trzech kobiet.

Kuba uśmiechnął się do filiżanki espresso, codziennej kropki kończącej opowieść o śniadaniu.

– A ty jak sobie radzisz? Świadcowie ujawnili coś odkrywczego?

Odpowiedział przeczącym mruknięciem.

– Nikt nie potwierdził związków Chaczaturiana z poczynaniami NKWD, choć wszyscy są zgodni, że fajnie by było obciąć mu głowę.

– Czyli: brak dowodów – podsumowała Kasia.

– Brak – zgodził się.

– Więc pan prokurator Kania powinien zamknąć śledztwo, ale...

– Wyczuwam sarkazm – uśmiechnął się do słuchawki. – Skąd przekonanie, że jest jakieś „ale”?

– Kuba, znam cię nie od dziś. Słyszę to, co mówisz między słowami, czytam z twojego tonu. Dlatego nie zaprzeczaj. Jest jakieś „ale”?

– No dobrze – dał za wygraną. – Muszę sprawdzić dwie rzeczy. Po pierwsze tezę, o której mówiliśmy we włoskiej knajpce, że Chaczaturian nie przyjechał do Grodkowa szerzyć terror, ale został przysłany w zupełnie innym celu. Po drugie chciałbym się dowiedzieć, co ukrywa Tomasz Kern, który zrećcznie wytypował świadków. Wyobraź sobie, że na jego liście znaleźli się wyłącznie ludzie, którzy albo niczego nie wiedzieli, albo ukrywali prawdę.

– Jaką prawdę? – zaintrygowała się Kasia.

– Też chciałbym wiedzieć – odparł Kuba i w tej samej chwili poczuł, że telefon wibruje, sygnalizując kolejne połączenie. – Pogadamy wieczorem, dobrze? – spytał. – Ktoś się tu do mnie dobija.

– Dobrze – westchnęła Kasia. – W każdym razie zostajesz w Opolu?

– Na krótko.

– Powiem tym nieszczęsnym dzieciom, które płaczą mi się pod nogami, że nadal nie mają tatusia.

– Proszę cię...

– Żartowałam. Pa. Do wieczora.

Kuba odpowiedział tym samym i odebrał drugą rozmowę.

– Nie przeszkadzam? – spytała Iwona Kern z podejrzaną uprzejmością. – Długo pan nie odbierał, pomyślałam, że może nie w porę.

– Przepraszam, sprawy rodzinne. Już panią słucham.

– Rozmawiałam wczoraj wieczorem z Tomaszem, który zasmucił mnie wiadomością, że zamyka pan śledztwo i wraca do Warszawy. Czy to

prawda?

Kuba zdębiał. A tej o co chodzi? Jej mąż wyraźnie się ucieszył, że się mnie pozbędzie, a ona żałuje? Co tu jest grane? Chcą mnie sprawdzić?

– Tak, to prawda – potwierdził, konsekwentnie podtrzymując wersję, którą sprzedał Tomaszowi. – Doszedłem do wniosku, że skoro ośmioro wiarygodnych świadków nie kojarzy poszukiwanego przeze mnie człowieka, a tym bardziej jego wrogich działań wobec narodu polskiego, to dalsze dochodzenie traci sens.

– Jestem zaskoczona – wyznała Iwona Kern. – Nie wygląda pan na człowieka, który łatwo się poddaje. Sądziłam, że pan jeszcze poszpera. Cały wieczór się wczoraj zastanawiałam, jak by tu jeszcze panu pomóc... Proszę tak szybko nie wyjeżdżać – oświadczyła nieoczekiwanie. – Obiecuję, że coś wymyślę.

– A da się tu jeszcze coś wymyślić? – wątpił Kuba.

– Trudno to w tej chwili sprecyzować, ale uchodzę za osobę, która radzi sobie nawet w sytuacjach bez wyjścia. Proszę dać mi chwilę, zastanowię się nad tą sprawą. Dobrze by się było spotkać... No właśnie. W ogóle to liczyłam, że się bliżej poznamy – stwierdziła poufale. – Myślałam, żeby w weekend zaprosić pana do nas, do Kopic. Tomasz świetnie gotuje.

– Do Kopic? Nie mieszkacie państwo w Grodkowie?

– Nie. Od dawna nie. Zbudowaliśmy niewielki domek na wsi. Mąż ma w Kopicach rodziców, moja rodzina też się tam osiedliła. To unikalne miejsce. Widział pan ruiny pałacu Schaffgotschów? Nie? Koniecznie musi pan zobaczyć. Są zamknięte dla osób postronnych, ale bez trudu załatwię pozwolenie na wejście. To była kiedyś wspaniała rezydencja, jedna z najświetniejszych w Europie. Wybierzmy się tam na spacer i przy okazji pogadajmy, co zrobić z pańskim śledztwem. Sami. Bez Tomasza, żeby mu nie było przykro, że jego świadkowie się nie spisali. Co pan na to? Umawiamy się?

– Bardzo dziękuję – odparł Kuba. – Weekend obiecałem żonie i córkom. Jestem pewien, że pani mnie zrozumie.

Ale Iwona Kern łatwo nie dawała za wygraną.

– Wobec tego porozmawiamy jutro. Marszałek urządza mały koktajl w urzędzie. O osiemnastej. Zapraszam w jego imieniu.

– Nie jestem przygotowany, mam tu tylko jedną marynarkę.

– Jedna wystarczy – roześmiała się radna. – Nie musi pan zakładać dwóch. A bez żartów: to będzie spotkanie dla mediów, wie pan, jak oni się ubierają. Kiedyś dziennikarze nosili muszki, a dziś? Na najbardziej doniosłe uroczystości młodzi reporterzy potrafią przyjść w trampkach, krótkich spodenkach i T-shirtach z portretem Che Guevary. Więc jeśli się pan pojawi w krawacie do tej swojej marynarki, zarząd województwa przyzna panu tytuł arbitra elegancji. Do zobaczenia – skwitowała, nie dając Kubie szans na odmowę, i przerwała połączenie.

Resztę dnia i kilka godzin następnego spędził w czytelni Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej.

Znajomi często żartowali, że prawdziwi detektywi toczą z przestępcami krwawe walki na pięści, uczestniczą w strzelaninach i pościgach samochodowych. Tymczasem on siedzi wygodnie w ciepłym pomieszczeniu i wertuje stare papieryska, ryzykując jedynie tym, że upaprze je jedzonym właśnie batonikiem.

Nic sobie z tego nie robił. Zagadek, które rozwiązał dzięki archiwom, i emocji, jakich dostarczyły mu stare dokumenty, nie zamieniłby na żadną z przygód policjantów z kryminalnego. Poza tym jego śledztwa nie wymagały mięśni, w których kult Kuba wierzył umiarkowanie, a bodaj nawet wcale. Jeśli chodził do siłowni, to do siłowni mózgu. Czytelni.

Teraz jednak nie szukał śladów, dowodów czy potwierdzeń.

Poprosił o powojenne roczniki gazet lokalnych wychodzących w Grodkowie lub piszących o mieście. Przewijał rolki mikrofilmów, wyszukiwał interesujące go nagłówki, ale notował wyłącznie widniejące pod artykułami nazwiska ich autorów.

Wieczorem w hotelu powtórzył ten proces, zastępując czytelnię wyszukiwarką Google i wyławiając publikacje zarchiwizowane cyfrowo.

W ten sposób skompletował listę dziennikarzy i historyków amatorów, którzy pasjonowali się przeszłością miasta, tropili miejscowe tajemnice, byli dociekliwi i czuli potrzebę podzielenia się swoją wiedzą. Nie mogli być świadkami w śledztwie IPN, ale z pewnością mogli odpowiedzieć na wiele pytań intrygujących prokuratora Jakuba Kanię.

Wiążąc krawat kupiony w pobliskim centrum handlowym, postanowił, że jutro odwiedzi opolską delegaturę Instytutu i poprosi referat śledczy o pomoc w namierzeniu nazwisk, które wynotował. Wiele sobie po nich obiecywał. Oczywiście będzie musiał działać dyskretnie, sprzedając Kernom bajeczkę o zakończeniu śledztwa.

Iwona powitała go w progu sali Urzędu Marszałkowskiego, w której odbywało się przyjęcie. Miała na sobie czarną sukienkę do kolan, służącą jej nienagannym kształtom i odsłaniającą tyle zgrabnych nóg, ile trzeba. W dłoni trzymała kopertówkę z czarnej irchy, korespondującą z zamszowymi czółenkami na niezbyt wysokim obcasie. Całości dopełniały subtelny naszyjnik, perłowe klipsy i włosy upięte w elegancki kok. Twarz pani radnej, ledwie muśnięta delikatnym makijażem, robiła olśniewające wrażenie.

– Cieszę się, że pan przyszedł – powiedziała głosem tak słodkim, że mógł stwarzać zagrożenie dla diabetyków.

– Miały być koszulki z kubańskimi rewolucjonistami – odparł z udanym wyrzutem, wykonując gest, w którym zawarł podziw dla jej wyglądu.

– Następnym razem – uśmiechnęła się.

– A będzie następny raz?

– Oczywiście. Niech pan sobie nie wyobraża, że tak szybko pozwolimy panu zostawić Grodków z niewyjaśnioną zagadką tego pańskiego Rosjanina.

– My, czyli kto?

– No, pan marszałek, ja. I społeczeństwo. – Mrugnęła do niego zalotnie.

Nie zdążył odpowiedzieć, gdy wyrósł przed nimi kelner z tacą wypełnioną kieliszkami musującego wina.

Kuba ujął jeden z nich i podał Iwonie Kern, ale odmówiła.



– Muszę zaraz zabrać głos – wyjaśniła. – Proszę się częstować. Znajdę pana później.

Wmieszał się w tłum, wychwytyjąc wzrok marszałka, który dyskretnie mu pomachał i podszedł do mikrofonu.

– Panie, panowie, szanowni państwo – zaczął. – Wybaczcie, że kazałem wam tak długo czekać na spotkanie noworoczne, ale bardzo chcieliśmy z panią Iwoną Kern, przewodniczącą komisji współpracy z zagranicą, ogłosić komunikat, który stał się faktem zaledwie kilka dni temu.

Przez salę przebiegł szmer, jakby marszałek co najmniej anonsował swoje zaręczyny z piękną radną.

– Otóż – kontynuował gospodarz województwa – mam przyjemność zawiadomić, że nasz region wzbogaci się o kolejną ważną inwestycję... – zawiesił głos z wprawą konferansjera – chodzi o pałac w Kopicach. Nie tylko zostanie on odbudowany z ruin, ale powróci do dawnej świetności. Oddaję głos osobie, która jest matką chrzestną tego wielkiego przedsięwzięcia. Przed państwem Iwona Kern!

Przez kilka sekund salę o całkiem niezłej akustyce wypełniały brawa, które ucichły, gdy w głośnikach rozległ się oddech pani radnej.

– Panie marszałku, drodzy państwo – powiedziała, udając lekkie wzruszenie. – Kiedy jesienią ubiegłego roku, dzięki naszemu klubowi Lions, poznałam pana Maartena van Daasa, przedsiębiorcę z Amsterdamu, poszukującego na Opolszczyźnie perspektyw rozwoju swojego biznesu, nie wierzyłam, że będę mogła kiedyś stanąć przed państwem i ogłosić sukces naszej współpracy – umiejętnie zawiesiła głos, wywołując kolejną eksplozję braw. – Pan van Daas – kontynuowała, gdy przycichły – zajmuje się branżą turystyczną. Interesują go obiekty historyczne, które można zamienić w ekskluzywne hotele. Po kilku podróżach po naszym województwie zachwycił się zamkiem w Mosznej, ale jeszcze większe wrażenie zrobił na nim pałac w Kopicach. Obiekt, jak państwo wiedzą, w ruinie, ale dający możliwości odbudowy i przyjęcia nowej funkcji. Obecnie należy do spółki z Górnego Śląska, która zgodziła się go sprzedać. Pan van Daas zdeponował już zaliczkę, konserwator wojewódzki

zaaprobował plan odbudowy, a przed kilkoma dniami podpisaliśmy list intencyjny. Poproszę o wielkie brawa dla inwestora z wyobraźnią! *Mister van Daas* – dodała z doskonałym oksfordzkim akcentem – zapraszam do nas.

Przez tłumek przecisnął się sprężysty dżentelmen przed czterdziestką. Miał długie blond włosy zaczesane do tyłu, wypielęgnowaną brodę w kolorze dojrzałej pszenicy i nienaganne uzębienie, które zaprezentował w szerokim uśmiechu. Krótco opowiedział o swoich planach, zapowiadając, że gdy tylko podpisze akt notarialny, uzyska wszelkie pozwolenia i rozpocznie prace – zorganizuje w Kopicach konferencję prasową. Jego angielski był znacznie bardziej chropowaty, ale mieszkańcy Amsterdamu już tak mają. Ich akcentu nie zmiękcza nawet swobodny dostęp do środków łagodzących mowę i inne funkcje ludzkiego organizmu.

Przez najbliższe pół godziny Iwona Kern broniła swojego holenderskiego gościa przed napadami dziennikarzy, którzy ani myśleli czekać na konferencję w ruinach pałacu. Jutro wszyscy napiszą o Kopicach, a wyścig o tytuł superreportera wygra ktoś, kto ujawni najwięcej szczegółów. Takie są prawa medialnego buszu.

Gdy Maarten van Daas zniknął w uformowanym przez marszałka kręgu panów w garniturach, Iwona podeszła do Jakuba Kani.

– Gratuluję. – Ukłonił się, unosząc kolejny kieliszek. Urzędowe prosecco było naprawdę niezłe. – Nic pani nie powiedziała, że nasz spacer po ruinach to ostatnia szansa obejrzenia ich w obecnym stanie.

– Nie mogłam tego ujawniać przed dzisiejszym wystąpieniem.

– Rozumiem.

– Ale zachęcam do odwiedzin w Kopicach. To miejsce pełne niewyjaśnionych tajemnic, a czytałam w Internecie, że pan uwielbia wyjaśniać sprawy z przeszłości. Dowiedziałam się o pańskich imponujących osiągnięciach w tej dziedzinie. Dlatego prosiłam, aby pan nie wyjeżdżał.

– Mówi pani, jakby sekrety Kopic miały związek z interesującym mnie Rosjaninem.

– Kto to może wiedzieć – westchnęła. – Tylko świetny detektyw. Pan wybaczy, ale powinnam się zająć gościem. Proszę jeszcze przemyśleć tę decyzję o przerwaniu dochodzenia i powrocie do Warszawy.

Chciała się odwrócić, ale delikatnie przytrzymał ją za łokieć.

Spojrzała zaskoczona.

– Mylę się czy pani właśnie wskazuje trop w sprawie mojego śledztwa?

Milczała. Modelowa mina polityka. Nie potwierdzam, nie zaprzeczam.

– Jeśli tak – rzekł powoli – to dlaczego nie powiedziała pani tego podczas naszego pierwszego spotkania?

Iwona Kern przygryzła dolną wargę.

– Po pierwsze, nie mam żadnej pewności. Nie wiem nawet, kim był ten pański Rosjanin. Po drugie – spojrzała mu prosto w oczy – to, co się działo w Kopicach tuż po wojnie, dotyka bardzo bolesnych przeżyć mojej rodziny. Przepraszam, muszę już iść.

Kuba wymienił kieliszek na pełny. Co to za kolejna intryga? – pomyślał, ale przestał się już przejmować kombinacjami Tomasza, a teraz jego żony. Miał swój własny plan, który przy okazji pozwoli mu poznać grę Kernów.

Dokończył wino i wyszedł po angielsku.

Wieczór był zimny, ale i tak Kuba nabrał ochoty na spacer. Jednak nie po ulicach prowadzących do hoteliku przy Oleskiej. Zdecydował się na odległy o kilkadziesiąt metrów stawek przy Barlickiego, jedno z najbardziej uroczych miejsc w Opolu. Nawet przy takiej pogodzie. Obszedł go dookoła, zadzierając głowę i przypatrując się baszcie piastowskiej, gdy nagle usłyszał czyjeś kroki. Bez wątpienia należały do kobiety, której obcasy wystukiwały szybki rytm na kamiennych płytach chodnika.

Kuba znalazł się w niezręcznej sytuacji. Akurat stał w cieniu rozłożystego platana, gdzie nie docierało światło ulicznej latarni. Jeśli teraz wyjdę z mroku – pomyślał – nadchodząca kobieta gotowa uznać mnie

za zboczeńca. Przestraszy się, może nawet wpadnie w panikę – uznał i zrobił krok w tył, niemal przywierając do pnia drzewa.

W tej samej chwili kobieta zatrzymała się i spojrzała na zegarek, odchylając rękaw długiego płaszcza. Sprawiała wrażenie, jakby na kogoś czekała.

Po chwili sięgnęła do torebki, wyjęła paczkę papierosów, włożyła jednego do ust i uruchomiła zapalniczkę. Ogień błysnął przez ułamek sekundy, ale zdmuchnął go wiatr. Kobieta odwróciła się w przeciwnym kierunku i przypaliła papierosa, osłaniając płomień dłonią.

Kuba zastanawiał się, czy nie wykorzystać momentu jej nieuwagi i wyjść zza drzewa, ale kobieta ponownie się odwróciła i zaciągnęła dymem. Rozżarzony papieros oświetlił jej twarz. Prokurator IPN rozpoznał Iwonę Kern.

Pomyślał, że nadarza się doskonała okazja, aby porozmawiać z panią radną o jej sekretach, które sugerowała podczas przyjęcia. Ale w tej samej sekundzie na chodniku pojawił się mężczyzna. Kuba wycofał się w głąb kryjówki. Tym razem nie potrzebował światła zapalniczki.

To był Maarten van Daas. Te same energiczne ruchy, ten sam chód żołnierza, który wywołany przez dowódcę wychodzi z szeregu, aby zostać udekorowanym medalem za męstwo.

Holender podszedł do Iwony i razem ruszyli w kierunku platana, za którym krył się Kuba. Jeśli mnie teraz zauważą, wyjdzie naprawdę głupio – pomyślał i na wszelki wypadek lekko odsunął zamek rozporka, aby w razie wpadki ostentacyjnie go domknąć, i tym samym dać do zrozumienia, że wszedł za drzewo za potrzebą.

Ale para była wyraźnie zajęta sobą. Radna szeptała inwestorowi jakieś miłe słowa, na które ten reagował zupełnie nie biznesowo. Rozejrzał się z wprawą doświadczonego zwiadowcy, a zaraz potem pociągnął Iwonę pod ścianę drewnianego budynku kawiarni. Tu chwycił ją za ramiona, aż wydała krótki okrzyk. Przez najbliższą minutę namiętnie się całowali.

Wreszcie odkleili się od siebie i wrócili na trotuar oświetlony przez latarnie.

Gdy ruszyli w stronę gmachu Polskiego Radia, rozmawiając półgłosem, Kuba nadal stał jak słup soli. Był w szoku. Nie wywołał go jednak intymny epizod, którego został mimowolnym świadkiem.

Namiętne deklaracje, poprzedzające pocałunek, wygłoszone były po polsku. Holenderski inwestor posługiwał się tym językiem bez cienia obcego akcentu. Miał do tego bardzo pikantne słownictwo.

## 7.

Jako pierwszy odezwał się dolny zamek z klamką, który ustąpił po dwukrotnym przekręceniu klucza. Potem, o wiele ciszej – yale zamontowany trzydzieści centymetrów wyżej, aby łatwiej było do niego sięgnąć i uruchomić, przekręcając owalną klamkę. W trzeciej kolejności szcęknęła metalowa zasowa. Dopiero wtedy drzwi mieszkania w bloku na osiedlu Westerplatte w Brzegu otworzyły się na szerokość mniej więcej dziesięciu centymetrów. Nadal bronił ich solidny łańcuch zwalniany od wewnątrz.

W szczelinie, na którą pozwalała blokada, pojawiła się wymięta twarz mężczyzny o czujnym spojrzeniu. Pokrywała ją siwa szczecina kilkudniowego zarostu i maska nieufności.

– Pan do kogo? – spytał, jakby w mieszkaniu przebywało wielu nieogolonych, podejrzliwych mężczyzn.

– Nazywam się Jakub Kania – odparł przybysz. – Był telefon z IPN w mojej sprawie.

– Już pan przyjechał? – zastanowił się gospodarz. – Mówili, że pan z Warszawy.

– Z Warszawy, ale od paru dni pracuję w Opolu.

Mężczyzna odpiął łańcuch i wycofał się w głąb ciasnego przedpokoju.

– Pan wejdzie. Może tu – wskazał dłonią. – Do stołowego.

Nazwę pokoju uzasadniał rozkładany stół na sześć osób, stojący na środku pomieszczenia. Jego połączone blaty uginały się pod ciężarem książek, czasopism, pudełek z wycinkami i tekturowych teczek otyłych

od papierów. Wyglądały jak pochylnie w stoczni i sprawiały wrażenie, jakby zaraz ten skład makulatury miał zsunąć się na podłogę.

– To moje królestwo – pochwalił się nieogolony mężczyzna. Zdjął z krzesła stertę gazet, które upuścił na dywan, wznecając obłok kurzu i zaprosił Kubę, aby usiadł. Sam zajął niewielki tapicerowany fotelik z epoki późnego Gomułki.

Jakub Kania uśmiechnął się z wdzięcznością, po czym sięgnął do plecaka, z którego wydobył pękatą butelkę bułgarskiej brandy.

– Pliska – rozpromienił się gospodarz, ale zaraz zerknął podejrzliwie. – Powiedzieli panu, że jestem alkoholik, co? Że to rozwiąże mi język? – Wskazał butelkę ruchem podbródka.

– Powiedzieli, że jest pan koneserem brandy – odparł dyplomatycznie Kuba. – Dlatego wybrałem to, bo pamiętam sentyment, jaki miał do bułgarskich „koniaków” mój tato. Choć wszyscy koledzy z jego jednostki uważali, że nic tak nie plami munduru jak kolorowa wódka.

Strzał był celny.

Nieogolony mężczyzna spojrzął na gościa o wiele cieplej i spytał:

– Ojciec wojskowy?

– Marynarka Wojenna. Zmarł niedawno.

Tamten pokiwał głową.

– Pana tato wiedział, co dobre. Ze mnie też się śmiali w brygadzie saperów, że piję politurę, a nie czyściochę jak inni.

– Długo był pan w armii? – spytał uprzejmie Kuba, choć referat śledczy opolskiego IPN dostarczył mu komplet informacji o gospodarzu.

– Za długo. Chciałem iść na historię na uniwersytet, ale rodziców zwyczajnie nie było stać. Wie pan, akademik, utrzymanie, podręczniki. Było nas siedmioro w domu, ojciec zarabiał grosze w wytwórni pasz w Grodkowie, bieda aż piszcziała. A uczelnia wojskowa dawała wszystko. Stopień oficerski, etat w jednostce i własne lokum. Koledzy ostrzegali: „Lepszy namiot na polanie niż dwie gwiazdki i mieszkanie”, ale nie miałem specjalnego wyboru. Wstyd się dzisiaj przyznać, byłem oficerem politycznym. Przypadkiem. Z racji zainteresowań historycznych zrobiłem

gazetkę ścienną. Spodobała się dowódcy. Na tyle, że znalazł mi zajęcie na najbliższe lata. Drogo za to zapłaciłem. Jak upadła komuna, zostałem na lodzie. Dla politycznych nie było taryfy ulgowej. Ale – machnął ręką – było, minęło. Trzeba cieszyć się tym, co jest teraz – rzucił niecierpliwe spojrzenie butelce.

– Czytałem kilka pana artykułów – powiedział Kuba. – Naprawdę świetne. Ma pan talent detektywistyczny.

Nieogolony mężczyzna puścił to mimo uszu. Albo uznał uwagę za interesowne pochlebstwo, które ma ułatwić rozmowę, albo myśli miał zajęte zupełnie czymś innym.

– Skosztowałbym tej pliski – wyznał. – Ale tylko pod warunkiem, że pan też się napije.

– Przyjechałem pociągiem – odparł Kuba.

Gospodarz sięgnął do barku po dwie koniakówki lekko zamglone od kurzu, pokonał zakrętkę i nalał brandy. Hojnie.

Stuknął się z Kubą i w czasie, gdy prokurator IPN zwilżył usta, wychylił swój kieliszek. Po czym nalał sobie następny z miną dziecka, które ochoczo sięga po czekoladkę, udając, że przed chwilą nie zjadło poprzedniej.

– Andrzej. – Wyciągnął dłoń. Ludzie doświadczeni doskonale wiedzą, że picie „na pan” nie ma uroku.

– Jakub.

– Czytałeś, mówisz? – wrócił do komplementu.

Kuba z przekonaniem pokiwał głową.

– Trochę tego spłodziłem. – Andrzej podrapał się po karku. – Wychodziła taka lokalna gazetka. Byłem u nich na wierszówce, nawet dobrze płacili. Ale – rozłożył ręce – padli. Niezależności im się zachciało. Napisali jeden artykuł o machlojkach w urzędzie, dostali od miasta żółtą kartkę. Napisali drugi, poszła czerwona. Burmistrz wycofał ogłoszenia o przetargach i przestał finansować kolumnę wieści z ratusza. I co im przyszło z ujawnienia prawdy? Trzeba było zamknąć interes. – Zasalutował z jakimś szyderczym smutkiem. – Szkoda, ludzie nawet czytali te moje historyczne kawałki. Sporo listów dostawałem.

– Dużo wiesz o Grodkowie.

Andrzej wypił spory łyk brandy.

– Człowiek powinien wiedzieć, skąd mu nogi wyrosły – oświadczył. – A ty? Co chcesz wiedzieć? Pomogę, jeśli będę mógł. Czasami współpracuję z IPN-em. Mam tu gdzieś nawet podziękowanie. – Zerknął w stronę sterty papierzyk na stole, ale perspektywa ich przeglądania wydała mu się mniej ponętna niż kokietowanie butelki.

– Mówi ci coś nazwisko Kern? – spytał Kuba.

– Pewnie. Stary grodkowski ród, zasłużony dla miasta. Bardzo muzykalni. Grali na organach w kościołach, ale też w różnych orkiestrach w Opolu i Wrocławiu. Mocno się udzielali. Pomagali Polakom, którzy uciekli do Prus po powstaniu listopadowym. Wkrótce potem jeden z Kernów, chyba Maksymilian, dostał posadę nauczyciela u Sierstorpfów w Kopicach i przeniósł się tam z rodziną. A potem pałac kupiło hrabiostwo von Schaffgotsch, a Kernów razem z nim. Polubili się z nowymi właścicielami Kopic i byli ich zaufanymi ludźmi. U ostatniego grafa pracowali aż do wiosny czterdziestego piątego.

– Wiem, że rodzina hrabiego zdążyła wyjechać w ostatniej chwili, tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej. Dlaczego Kernowie z nimi nie uciekli?

– Dobre pytanie – westchnął Andrzej. – Są trzy wersje. Oficjalna głosi, że czuli się Polakami i chcieli zostać na ojcowiznie. To trochę dziurawa koncepcja, bo żadnej ojcowizny nie mieli. Mieszkali w dworku, który graf Schaffgotsch oddał im do użytku. Dlatego druga wersja mówi, że Kernowie sprytnie wyczuli historyczny moment. Byli światłymi ludźmi, czytali niemieckie gazety i słuchali radia. Potrafili dodać dwa do dwóch. Domyślili się, że Hitler poniesie klęskę, a jeśli Kopice znajdą się w granicach Polski, to oni ogłoszą się Polakami i staną prawowitymi właścicielami dworku. Dla takiej perspektywy warto było zaryzykować i zostać. Ale się przeliczyli. – Andrzej uniósł kieliszek.

– Dlaczego? – chciał wiedzieć Kuba, ale odpowiedź byłego dziennikarza przerwał dzwonek telefonu.



Dyrektor pionu śledczego IPN.

– Szef – oznajmił, zerkając na ekran i robiąc przeproszącą minę.

Andrzej machnął ręką i ruszył w stronę kuchni.

– Pomidorową odgrzeję – zdecydował. – Nie powinno się pić na pusty żołądek.

Kuba chciał zaprotestować, ale nie wypadało kazać czekać dyrektorowi. Odebrał połączenie.

– Jak idzie, panie kolego? – Szef nie tracił czasu na powitania.

– Ciężko. Przesłuchałem ośmioro świadków, ale żaden z nich nie potrafi dostarczyć dowodów obciążających pana Ch. – stwierdził konfidencjonalnie, zakładając, że Andrzej może słyszeć rozmowę.

– Nikt? Nic? – spytał cierpko dyrektor.

– Nie.

Odpowiedziało mu niechętne cmoknięcie szefa.

– Jeden z miejscowych rozpoznał na tym zdjęciu oficera NKWD stojącego z lewej – dodał Kuba na pocieszenie. – I nazwał go katem Grodkowa.

– O, to już coś – ucieszył się dyrektor. – Czyli Chaczaturian był w tej samej bandzie. Niech pan idzie tym śladem, panie kolego. Czekam na rezultaty.

– To nie jest takie pewne... – zaczął Kuba, ale szef przerwał mu krótkim:

– Muszę kończyć.

Przez chwilę stał, trzymając telefon przy uchu, jakby był urządzeniem, które właśnie się zawiesiło. Z odrętwienia wyrwał go głos Andrzeja, stawiającego kroki z rozwagą linoskoczka. Niósł dwa talerze zupy.

– Żona wczoraj ugotowała. Na żeberkach wołowych.

Kuba nie protestował.

Pochylił się nad talerzem ustawionym na stoliku okolicznościowym, przy którym jadło się, zasłaniając sobie uszy kolanami, ale prawdziwy stół służył za magazyn papierów.

Najbliższe minuty spędzili w milczeniu, wypełnionym niemiłosiernym siorbaniem Andrzeja.

– Powiedziałaś, że Kernowie przeliczyli się, mając nadzieję na dobre potraktowanie przez Armię Czerwoną – Kuba wrócił do przerwanego wątku.

– Bo tak było – odparł Andrzej, niosąc na łyżce do ust kawałek rozgotowanego mięsa. – Jak Rusczy weszli do Kopic, z miejsca wyprowadzili ich całą rodzinę z domu i ustawili pod ścianą. Stara Kernowa głośno modliła się po polsku do Matki Boskiej, ale to nic nie pomogło. Soldaci już repetowali pepesze, żeby ich rozwalić, gdy pojawił się jakiś ważny Rosjanin i zakazał strzelać. W ostatniej chwili. Dasz wiarę? Jak w kinie.

Kuba drgnął.

– Skąd to wiesz?

– Jak służyłem w brygadzie saperów, przyjaźniłem się z majorem Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej, która stacjonowała w Brzegu. Miał na imię Nikołaj. Znaczą Kola. Wannę koniaku żeśmy razem wypili. – Andrzej na chwilę się rozmarzył. – Strasznie fajny gość. Kiedyś latem, upał jak jasna cholera, idę przez rynek, patrzę: Kola.

„Co u ciebie, Andriej?” – pyta. – „Szczęśliwy jestem – mówię – bo na urlop jadę do Kołobrzegu, a tu pogoda jak złoto” – „Oj, nie ciesz się, nie ciesz – Kola na to. – W Kołobrzegu leje. Byłem dwie godziny temu”

– Rozumiesz? – Andrzej spojrzał rozbawiony na Kubę.

Kuba nie rozumiał.

– W Brzegu stacjonowała radziecka jednostka lotnicza – wyjaśnił gospodarz. – Latali na najnowszych MIG-ach. Nad Bałtyk w paręnaście minut. Kola był pilotem. A do tego zastępcą dowódcy do spraw politycznych, stąd nasza znajomość. Od czasu do czasu z okazji Dnia Zwycięstwa organizował dla żołnierzy spotkania z kombatantami, którzy tu walczyli w czterdziestym piątym. Ściągali dziadków obwieszonych medalami z całego Związku Radzieckiego. Tę historię z Kopic opowiedział mu jeden z nich. Pewnie był jej świadkiem. Cholera wie, może sam szykował się do rozmówki Kernów, skoro tak dobrze zapamiętał ten incydent.

– Masz kontakt ze swoim przyjacielem Kolą? – spytał Kuba.

– Miałem, ale zmarł parę lat temu.

Prokurator IPN zmarszczył czoło.

– Zastanawia mnie to ocalenie w ostatniej chwili. Jak myślisz, to był akt litości?

– Na pewno nie – odparł Andrzej. – Mówiłem ci, że są trzy wersje odpowiedzi na pytanie, dlaczego Kernowie nie uciekli. Dwie już znasz. Trzecia jest taka, że Schaffgotschowie wyjechali tak jak stali. Z bagażem podręcznym. Wierzyli, że wrócą. A Kernów zostawili, aby ci pilnowali majątku, a ściślej: ukrytych skarbów, o których krążą legendy. Dlatego gdy Rosjanie splądrowali pałac i nie znaleźli w nim ani złota, ani kosztowności, zaczęli szukać kogoś, kto mógł coś wiedzieć. Pewnie człowiek, który ich uratował, słyszał, że Kern był u grafa ochmistrem, i wstrzymał egzekucję.

Kuba sięgnął do plecaka i podał byłemu oficerowi zdjęcie Chaczaturiana.

– A ten kto? – spytał Andrzej.

– Specjalny wysłannik NKWD do Grodkowa.

Amator brandy przyjrzał się uważnie.

– Grodków, faktycznie. Rynek rozpoznaję. Ale ten facet to cywil.

– Bo to był cywilny wysłannik.

– Po co go tu skierowali?

– Liczyłem, że może ty mi powiesz.

Andrzej pokręcił głową.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Przeszło mi przez myśl, że to może on ocalił Kernów – stwierdził Kuba.

– Dlaczego akurat on?

Jakub Kania nie odpowiedział od razu. Bił się z myślami, czy zagrać w otwarte karty i ujawnić nazwisko słynnego kompozytora, czy też nadal trzymać je w tajemnicy. Wybrał pierwsze rozwiązanie.

– To Aram Chaczaturian.

Andrzej, który odłożył fotografię na stół, natychmiast sięgnął po nią ponownie.

– Ten Aram Chaczaturian?

– Tak.

– Od *Tańca z szablami*? – upewnił się i zanucił kilka pierwszych taktów. Alkohol zawsze wyzwała u ludzi skłonność do fałszowania.

Kuba skinął głową.

– Niesamowite. – Tropiciel grodkowskich ciekawostek obracał zdjęcie w palcach jak cenne znalezisko. – Niesamowite – powtórzył, wpatrując się w Kubę.

– Instytut zlecił mi zbadanie, co on tu robił, ale żaden ze świadków nie potwierdził niczego, co by mogło udowodnić, że miał krew na rękach. Ja mam na ten temat swoją teorię.

– Jaką? – zaintrygował się Andrzej.

– Chaczaturian znał się na kulturze. Moim zdaniem przysłano go tu, żeby ocenił dobra, które można było wywieźć do Moskwy jako zdobycze wojenne. Mam na myśli dzieła sztuki. Obrazy, rzeźby, precjoza. Kiedy przyszło mi to do głowy w Grodkowie, uznałem, że jestem w błędzie. Bo co można było znaleźć w mieście, które w połowie zniszczono podczas walk? Nic. Ale potem usłyszałem o Kopicach i moja teoria zaczęła nabierać sensu. Dowiedziałem się, między innymi z twoich artykułów, że skarb naprawdę tam był.

Andrzej wstał i zaczął chodzić po pokoju. Był wyraźnie podekscytowany.

– Twoja koncepcja ma ręce i nogi – ocenił.

Podszedł do stołu, wychylił kolejny kieliszek i chuchnął w zaciśniętą dłoń.

– To ci coś jeszcze powiem o Kernach. Chcesz?

Kuba ochoczo przytaknął.

– Od czasu tamtego ocalenia oni byli nietykalni – stwierdził Andrzej konfidencyjnym szeptem. – Rosjanin, który ich uratował, dał zaświadczenie, że stary Kern jest współpracownikiem władz sowieckich. Cała wieś miała go za kapusia. W każdym razie Ruscy szaleli w Kopicach, plądrowali, rabowali i prześladowali miejscowych, ale dworek omijali z daleka. Aż się wynieśli.

Andrzej podszedł do drzwi balkonowych i spojrzął na PRL-owski pejzaż osiedla Westerplatte.

– Parę miesięcy później do Kopic trafiła pierwsza grupa przesiedleńców zza Bugu – kontynuował przyklejony do firanki. – Jedna z rodzin, mająca chyba z pięcioro czy sześcioro dzieci, otrzymała w Komisji Repatriacyjnej przydział na dworek Kernów. Straszny był wtedy burdel, a Ślązaków młoda władza ludowa miała w dupie. No więc żołnierze Wojska Polskiego przywieźli tę rodzinę repatriantów pod dworek i kazali Kernom wypierdalać. Gdzie? To już żołnierzy nie obchodziło. Stary wyciągnął swój papier od Ruskich i zaczął nim machać, ale dostał w łeb kolbą karabinu. Ledwo przeżył.

– Jak to się skończyło? – chciał wiedzieć Kuba.

Andrzej, ciągle stojąc do niego tyłem, wzruszył ramionami.

– Przez kilka tygodni ciężko ranny Kern z rodziną mieszkał w dawnej dworskiej oborze. Pustej, bo hrabiowskie krowy jeszcze za Niemców poszły do wojskowego kotła.

Odwrócił się od firanki i zerknął na prokuratora IPN.

– Nie uwierzysz, kto zajął ich dworek.

Kuba spojrzął wyczekująco.

– Rodzina Gawryluków. Dziadkowie Iwony, obecnej żony Tomasza Kerna – powiedział.

Tym razem jego gość przełknął całą porcję pliski.

– Co było dalej? – spytał zaaferowany.

– Gdy stary Kern, dziadek Tomasza, doszedł do siebie, raz jeszcze zapukał do władz ze swoim radzieckim listem żelaznym. Dworku nie odzyskał, ale przydzielono mu niewielki, na wpół zrujnowany domek na skraju wsi. Dawny ochmistrz Schaffgotschów i nauczyciel muzyki do końca życia mieszkał w warunkach gorszych, niż kiedyś miały konie pana grafa.

Jakub Kania poczerwieniał. Pewnie od brandy, która potrafi podnieść ciśnienie. Milczał, ponownie marszcząc czoło.

– Co ci chodzi po głowie? – spytał Andrzej, uzupełniając zawartość kieliszków.

– Ciekawi mnie, za co dziadek Tomasza dostał list żelazny od Rosjan. Może rzeczywiście dał mu go Chaczaturian – głośno myślał Kuba. – NKWD go przysłało, aby znalazł i zabezpieczył dzieła sztuki z pałacu. Moim zdaniem Kern po prostu mu je wskazał – zawyrokował.

– Logiczne – uznał Andrzej. – Choć jest w tym pewien szkopuł.

– Jaki?

– Skarby Schaffgotschów wykopali szabrownicy. I to rok później. Schowki były pod klombami w parku i na dziedzińcu. Zapakowali zrabowane przedmioty do beczek i chcieli wywieźć ciężarówką, ale wpadli w ręce milicji. Zatrzymano ich na szosie z Niemodlina do Opola.

– Co się stało ze skarbami?

– Rozpłynęły się we mgle. Nikt nigdy już o nich nie słyszał. W każdym razie Kern nie mógł rok wcześniej podarować ich twojemu Chaczaturianowi w zamian za uratowanie życia i ochronę.

– Co wobec tego mu podarował? – spytał Kuba.

Andrzej odstawił kieliszek i szeroko rozłożył ramiona w geście bezradności.

– Diabli wiedzą. Ale jedno jest pewne: dziadek Tomasza musiał mieć coś bardzo cennego na wymianę, skoro się dogadali. Jak muzyk z muzykiem – dodał i zaśmiał się chrapliwie.

„Jak muzyk z muzykiem” – powtórzył w myślach Kuba.

To sformułowanie przyczepiło się do niego w jakiś niewytłumaczalny sposób i kołatało się w głowie, najpierw w drodze na dworzec, a potem do Opola.

Uratowała go pliska, której przyjemny szum podziałał kojąco w połączeniu z monotonnym stukotem kół pociągu.

Nawet się nie zorientował, kiedy zasnął.

## ROZDZIAŁ IV

Wrzesień 1846 roku

### 1.

Wyrostek w spłowiałym szkolnym mundurku zatrzymał się przed Königliche Bibliothek i przeliczył egzemplarze gazety, przewieszane przez lewe ramię.

Za mało. Wywalczył w drukarni kilkadziesiąt egzemplarzy dzisiejszego wydania, tymczasem wszystko wskazywało na to, że mógłby sprzedać trzy razy więcej. Dzień był ciepły i słoneczny, a ruch przed gmachem przy berlińskim Platz am Opernhaus jak w ulu.

Ludzie, którzy korzystali z biblioteki, chętnie kupowali gazetę.

Chłopak przystanął przy klombie i zaczął głośno wyczytywać nagłówki artykułów zamieszczonych na kolumnie „O sprawach państwa i nauki”. Najważniejszą wiadomością numeru było odkrycie przez niemieckiego astronoma nowej planety. Nazwano ją Neptun, a badacze zjawisk astrologicznych opublikowali ostrzeżenie, że na Ziemi mogą się pojawić wysłannicy innych światów, reprezentujący siły zła.

Jakby na potwierdzenie tych słów słońce nad placem nagle przesłonił cień. Gazeciarz podniósł wzrok. Stał przed nim nienaturalnie wysoki osobnik i wyciągał w jego kierunku dłoń. W palcach trzymał miedzianą monetę. Chłopak zerknął na niego z zawodową wdzięcznością i w tym samym momencie przeszedł go dreszcz przerażenia.

Mężczyzna nie miał połowy twarzy.

Zanim sprzedawca gazet zdążył mu się przyjrzeć i przekonać, czy to mistyczny delegat Neptuna, olbrzym utonął w tłumie. Przez kilka chwil nad głowami przechodniów górował jego cylinder, ale rychło zniknął. Gazeciarz chciał pobiec w tamtą stronę i sprawdzić, czy wysłannik nowej

planety rozplynął się w powietrzu, ale strach zamienił mu nogi w słupy ołowiu.

Tymczasem człowiek z połową twarzy przeciął aleję i przysiadł na ławce przed gmachem Uniwersytetu Fryderyka Wilhelma. Rozłożył gazetę. Pobieźnie przejrzał wiadomości i zatrzymał się nad przepowiednią astrologów. Był przemysłowcem i twardo stąpał po ziemi, ale zjawiska nadprzyrodzone przyciągały jego myśli jak magnes opiłki żelaza. Intrygowało go, że nie można ich wytłumaczyć naukowo. Ale ta fascynacja miała jeszcze jeden, o wiele głębszy powód.

Od chwili, gdy oprzytomniał zawieszony nad mrowiskiem, nie potrafił pozbyć się przerażającego lęku, że przez długi czas przebywał w innym wymiarze. W krainie śmierci, z której nie było powrotu. Potwornie okaleczony i zjadany żywcem przez mrówki, miał tam pozostać na zawsze, a jednak jakaś siła wy dostała go i przywróciła życiu. Nie potrafił jej ani rozpoznać, ani nazwać, choć jednego był pewien: nie pochodziła z tego świata.

Matka, która podarowała mu obrazek Madonny z Piekar, upatrywała w ocaleniu syna Jej łaski. Jednak ludzie na Śląsku byli zupełnie innego zdania.

Nikt nie wątpił w to, że Godulę uratował wysłannik księcia ciemności. Byli ludzie gotowi przysiąc, że widzieli, jak Szatan okrywa go swoimi czarnymi skrzydłami. Rychtig takimi samymi, jak mają nietoperze. Co tu gadać po próżnicy: potwór z Rudy był w mocy zła, a gdyby kto nie wierzył, wystarczyło, żeby spojrzeć na piekielne znamię pokrywające połowę jego oblicza. Zresztą były i inne świadectwa.

Rany zadane przez kłusowników wygoiły się na młodym Goduli jak na psie, choć prawie każda była śmiertelna. Niedługo po tym, jak Szatan wyrwał go z rąk oprawców, potwór wziął do zdrowej ręki laskę i ruszył w świat, który odtąd padał przed nim na kolana. Choć nie tyle przed nim, co przed diabłem, którego miał w sobie.

A może rzeczywiście tak było? – pomyślał Karol Godula na dziedzińcu uniwersytetu w Berlinie, odkładając gazetę z wiadomością o odkryciu



planety Neptun.

Mimo ciepła babiego lata oblepił go lodowaty pot.

Mogło tak być.

Gdy wisiał wtedy nad mrowiskiem, z pewnością zaprzedałby duszę za uwolnienie od straszliwego bólu i pewnej śmierci. Może tak właśnie się stało? Diabeł podetknął mu cyrograf, a potem wymazał kawałek pamięci?

Bywały chwile, że zdawało mu się wyczuwać obecność demona. Czasami w szarpnięciu zasłonką karety, choć powóz stał w miejscu i nie wiał wiatr. Czasami w chmurze chłodu, która nagle go otaczała, mroząc ludzkie uczucia i sprawiając, że działał jak maszyna, której dobrze nakręcono sprężyny. W takich momentach rzucał się w jak najbardziej ryzykowne interesy i zawsze wychodził z nich zwycięsko.

Dziś było tak samo.

Przed południem w pałacu Charlottenburg podpisał z pruskim rządem kontrakty na dostawy cynku. Godula wiedział, jaka jest cena rynkowa, i miał nadzieję, że ją uzyska. Ale tuż przed wejściem do królewskiej rezydencji nieoczekiwanie przyszedł mu do głowy pomysł takiego finansowania transakcji, dzięki któremu zarobi na niej prawie dwa razy więcej.

Na swojej drodze do potęgi potrafił wskazać wiele podobnych przypadków, graniczących z metafizyką. Napawały go dumą, ale i lękiem. A jeśli był drugim doktorem Faustem? Po przeczytaniu parę miesięcy temu książki Goethego nie spał przez całą noc. Wstał blady i wycieńczony. Od choroby nerek, która dokuczała mu coraz bardziej, lecz i od obawy, że jego życie dobiega końca i może przyjdzie się rozliczyć z cyrografu.

Nie przestając o tym myśleć, jakby planeta Neptun zawładnęła już jego strachem, podniósł się z ławki i starannie złożył gazetę. Schował ją do kieszeni surduta, bo nigdy niczego nie marnował. Podpierając się laską, wyszedł na Unter den Linden, spytał brodatego mężczyznę o wyglądzie profesora, gdzie w okolicy można wynająć kuriera pocztowego, po czym ruszył we wskazanym kierunku.

Huty cynku na Śląsku zwalniały robotników i chwiały się po ciosach kryzysu. Kłopoty miały wszystkie, z wyjątkiem tych należących do Karola Goduli.

Właśnie szykował dla nich depezę o zwiększeniu produkcji.

## 2.

Pierwszy raz doświadczył działania niewytłumaczalnej siły dawno temu, jeszcze gdy pracował u hrabiego Ballestrema, który powierzył mu folwark w Rudzie.

Dzień był słoneczny, ale z północy nadciągały złowrogie granatowe chmury. Siwy koń, najspokojniejszy w hrabiowskiej stajni, zaczął nagle okazywać nerwowość, szarpać wędzidło i rzeć, jakby wyczuł diabła.

Godula poklepał go po szyi i cmoknięciem popartym lekkim kuksańcem piętą w bok zachęcił do kłusa. Mimo niesprawności ręki i nogi dobrze radził sobie w siodle, a podczas przejażdżek po okolicy najlepiej mu się myślało.

Od wielu miesięcy poszukiwał rozwiązania zagadki cynku, lecz nic z tego nie wychodziło. Całymi nocami w swojej chacie niedaleko pałacu Ballestremów prowadził doświadczenia nad rudą galmanu. Łamał sobie głowę, jak można wytopić z niej cynk, ale rezultat był ciągle ten sam. Żaden. A może nawet gorszy.

Paru śmiałków podkraśćło się o północy pod okna chaty, a potem rozpuścili wieść, że potwór z Rudy odprawia tam czarną magię. Przysięgali, że widzieli biały ogień, fioletowy dym i słyszeli syk Szatana. Kto nie uwierzył, mógł samemu iść i sprawdzić. Znaleźli się tacy, co poszli. I potwierdzili.

Godula kolejny raz zyskał opinię wybrańca piekieł. Jednak do tajemnicy cynku nie zbliżył się o krok.

Ale był na Śląsku człowiek, który ją znał i strzegł jak źrenicy oka.

Książę pszczyński.

W swojej hucie „Wesoła” wytapiał cynk, stając się światowym potentatem w produkcji metalu, którego srebrzysty blask hipnotyzował

całą Provinz Schlessien. Jej poznanie było niemożliwe. Pan na Pszczyńcu obudował kuźnicę cynku wysokim murem, a robotnicy musieli pracować, jeść, spać i rozmnażać się na terenie huty, nie mając prawa z niej wyjść. Żeby nie zdradzić sekretu. Próbowano ich porywać, przekupywać i szantażować, ale nic to nie dało.

Godula szukał odpowiedzi w nauce, lecz ona nie chciała z nim rozmawiać. Jej zdaniem nie dało się zbudować pieca zdolnego topić rudę galmanu. Ani wymyślić konstrukcji, ani osiągnąć odpowiedniej temperatury.

Jakim cudem robi to więc książę pszczyński? – myślał, kłusując przez Halembę nakrytą już granatową chmurą. Nagle przedarł się przez nią promień słońca oświetlając pobliską hałdę.

Potwór z Rudy ściągnął wodze, zatrzymał konia i patrzył w tamtym kierunku jak urzeczony.

Ostrożnie zsunął się z siodła, przywiązał siwka do pobliskiego drzewka i podszedł do zwałowiska, w którym coś wydawało się pobłyskiwać. Wydobyte słońcem, mikroskopijne refleksy, nie większe od światełek robaczków świętojańskich. Trwało to zaledwie przez chwilę, lecz wystarczyło, żeby Godula uklęknął na zdrowe kolano i zaczął rozgrzebywać hałdę sprawną ręką. Zniszczył rękawiczkę, ale z żuźła wydobył coś, czego musiały tu być tony: sporą bryłkę spieku wielkopieczowego. Spróbował ją rozbić, aby dostać się do tego, co kryła w środku, lecz i bez tego domyślił się sekretu.

Wgramolił się na koński grzbiet i chociaż przemókł do suchej nitki, nawet nie zauważył ulewy.

Do świtu badał bryłkę w domowym laboratorium, aby wraz z brzaskiem zyskać absolutną pewność. Huta „Wesoła” nie wytapiała cynku z rudy galmanu. Uzyskiwała go ze spieku.

Następnego dnia złożył hrabiemu Ballestremowi ofertę kupna hałd żuźła leżących na jego terenach, ale pracodawca głośno się roześmiał.

– A bierz je sobie za darmo, Godula. Po co mi te cuchnące zwały brudnego paskudztwa? Chyba sam diabeł cię podkusił, żeby się nimi

zajmować.

Sam diabeł.

Jeśli tak, to właśnie jemu potwór z Rudy zawdzięczał początek swojego majątku zgromadzonego na hałdach w Halembie.

### 3.

Dormeza, która przywiozła go z wrocławskiego dworca, była karetą przystosowaną do spania, dlatego podróż zniósł o wiele lepiej, niż gdyby przyszło mu się tłuc zwykłym powozem.

Do Rudy dotarli nad ranem.

Zdrzemnął się przez godzinę, ale tuż po wschodzie słońca był już na nogach. Zmył z siebie podróżny kurz, ogolił się, ubrał i zjadł śniadanie przygotowane przez Emilię. Nie chcąc budzić małej Joasi, bez słowa wymknął się z domu.

Miał przed sobą pracowity dzień. Czekąca go wizytacja hut, które posiadał w Orzegowie, Bobrku i Chebziu. Wiadomość wysłana z Berlina dotarła do nich parę dni temu. Już wiedzieli, że nowe kontrakty na cynk dadzą stałą pracę, wypłatę i bezpieczeństwo na najbliższe lata. Spodziewał się radosnego powitania. Kto wie, może nawet wiwatów.

Ale napotkał mur milczenia.

Robotnicy stali z opuszczonymi głowami, miętosząc w dłoniach czapki. Bali się podnieść wzrok. A jeśli któryś się na to ośmielił, w jego oczach czaił się zabobonny strach.

Wtedy zrozumiał.

Znał miejscowych aż nazbyt dobrze. Górnicy kopiący węgiel byli nieustraszonymi ludźmi, schodzącymi w podziemne czeluści pełne trujących gazów i obsuwających się skał, a potrafili bać się myszy. Zwłaszcza takiej, która biegła wyrobiskiem w stronę szybu. Na jej widok czynili znak krzyża, zostawiali narzędzia i rzucali się do panicznej ucieczki. Najwięksi śmiałkowie przysięgali później, że mysz miała świecące oczy Skarbnika, ducha kopalni, który przybierał tę postać, aby ich ostrzec przed zasypaniem albo śmiercią w płomieniach po wybuchu metanu.

Śląsk zaludniony był ludźmi twardymi jak skała, lecz dzielącymi świat swoich domostw, wiosek i okolic z niezliczoną ilością gnomów, widziadeł, utopców i potępionych dusz tych, którzy zginęli pod ziemią. Według robotników z huty Godula należał do tego samego mrocznego świata. Ludzi, którzy raz tam wstąpili, po śmierci chowano z obciętą głową umieszczoną między kostkami stóp.

Bali się jego kontraktów na cynk, bo uważali, że umożliwiła je siła nieczysta.

Dyrektor, stojący o pół kroku za właścicielem huty, zerknął na niego ukradkiem. Dostrzegł, jak Godula zaciska szczęki, przez co jego twarz stała się jeszcze bardziej upiorna.

Struchlał.

Wiedział doskonale, co teraz nastąpi. Atak furii. Pryncypał w takich momentach potrafił rozbijać kopniakami krzesła i okładać ludzi laską.

Ale stało się coś znacznie gorszego.

Karol Godula odwrócił się i odszedł bez słowa.

Oto czarna niewdzięczność – pomyślał gorzko dyrektor, patrząc z pogardą na ponury, niemy tłum.

Splunął pod nogi i powiedział na tyle głośno, że usłyszeli nawet ci na końcu:

– Ten człowiek przywiózł wam z Berlina pewność, że będziecie mieli czym nakarmić dzieci w tych trudnych czasach.

Tłum zaczął szemrać.

– I jakżeście mu odpłacili? – Dyrektor podniósł głos, aby przedostać się przez rosnący pomruk. – Módlcie się, żeby was teraz nie wylał na zbity łeb i nie zatrudnił na wasze miejsca ludzi ze spółki spadkobierców Gieschego. Wiecie, że oni potrafią wytapiać cynk, żebrzą o pracę i przyjdą z pocałowaniem ręki.

W jednej chwili na placu zapanowała cisza.

Robotnicy patrzyli po sobie, jakby chcieli zapytać kamrata stojącego obok: Widział żeś diobła? Ni? A głód żeś widział?

Ja, głód widział każdy.

Mistyczny strach na placu w kilka chwil zamienił się w prawdziwy.

Kilku robotników chciało się nawet rzucić za właścicielem huty, paść na kolana i dziękować za łaskę zatrudnienia. Ale Godula zniknął.

#### 4.

– Utrapienie z tą małą. – Emilia Lukas odwiązała kuchenny fartuch, złożyła go, schowała w kufrze pod ścianą i na chwilę na nim przycupnęła.

Siedzący na krześle obok Karol Godula nie zareagował. Trzonkiem łyżki, którą jadł żur z kartoflami, kreślił jakieś figury na deskach stołu. Myślami był daleko stąd.

– Ciągle pochlipuje wieczorami i wierci się na sienniku – narzekała gospodyni, choć więcej w tym było współczucia niż skargi. – Przeszła swoje, ale jest już u nas tak długo, że czas by było, żeby zmory ją opuściły. Daję jej do ssania mak zawinięty w szmatkę, ale i to nie pomaga, choć inne bajtle śpią po tym do białego dnia.

– Śpiewacie jej kołysankę? – Godula ocknął się z zamyślenia.

– Śpiewam, śpiewam. – Emilia machnęła dłonią. – Tyle że nie każdego dnia człowiekowi przychodzi na to chęć. Ale macie rację, panie. Kołysanka na Joasię najlepsza.

Odłożył łyżkę.

– Gdybym tak stąd wyjechał, poszlibyście za mną? – spytał nieoczekiwanie.

Gospodyni spojrzała zaniepokojona.

– Matko przenajświętsza – szepnęła i chciała się nawet przeżegnać, ale szybko oprzytomniała. – Moje miejsce jest przy panu, tak jak przez te wszystkie lata – powiedziała. – Jak każecie, panie, tak zrobię.

– Rzecz w tym, że teraz nie nakazuję. Po dobroci pytam. Jeśli odmówicie i będziecie chcieli tu zostać, dam wam taki legat, że do końca waszych dni będziecie mieli chleb. Zastanówcie się.

– Pójdę. – Kiwnęła głową. – A daleko? – odważyła się zapytać.

– Nie. Nie daleko. Za Opole. Żeby mieć oko na wszystko tutaj. Znalazłem pałac. Na uboczu. Wokół jedynie lasy i pola.

– Toć pałac na Szombierkach...

Spojrzał na nią złym wzrokiem.

– Szombierki tu, wśród tych ludzi, których od pół wieku zatrudniam i karmię, a oni mają mnie za... – zamilkł i przełknął ślinę. – Sami wiecie, jak na mnie mówią. *Monster*. Diabeł z Rudy. Dzieci mną straszą. Na całym Śląsku jedna Joasia się mnie nie boi.

– Ona by za wami w ogień poszła, panie. Mówi, że jak dorośnie, to ona będzie się panem opiekować. – Zerknęła ukradkiem na Godulę, mając wrażenie, że w jego oczach błysnęło coś, czego nigdy wcześniej nie widziała.

– Jak dorośnie... – powtórzył cicho. – Ja już tego nie doczekam.

– Nie godzi się tak mówić – zaprotestowała i chciała dodać coś jeszcze, ale z sąsiedniej izby dobiegł cichy szloch dziecka.

Popatrzyła pytająco na Godulę.

Skinął głową.

Wstała z kufra i zniknęła za drzwiami. Poczowała ulgę, że nie musi ciągnąć tej trudnej rozmowy. Nie była przygotowana na zwierzenia Goduli. Coś takiego zdarzało się raz na dziesięć lat. Może nawet rzadziej.

Karol został sam.

Oparł łokcie na stole, a na nich głowę. Ciężką dziś od myśli zupełnie innych niż te, które zajmowały go każdego dnia. Od rana do wieczora, od poniedziałku do niedzieli i od pierwszego dnia stycznia po ostatni dzień grudnia był najważniejszym trybem potężnej maszyny. Mechanizmu wydobywającego galman i węgiel, wytapiającego cynk, wykupującego papiery dłużne i zamieniającego je w udziały w hutach czy kopalniach, unowocześniającego handel i rolnictwo, przejmującego majątki ziemskie.

Dziś ktoś ten tryb wyłączył.

Koła zamachowe przestały się obracać, znieruchomiały wały korbowe i suwaki, a tłoki zatrzymały się w pół drogi. Został tylko człowiek. Zmęczony, chory człowiek, który urósł ponad miliony innych i czuł się przeklęty.

Zamknął oczy i wrócił myślami do podróży, jaką w ubiegłym roku odbył do rejencji opolskiej.

Lato osiągało właśnie szczyt koniunktury. Zielone połacie za miastem szczydrze złociły pola zbóż, co wyglądało jak misternie haftowany ornat proboszcza z zamożnej parafii. Bo też były to bogate ziemie. Bóg, który je stworzył, najwyraźniej poczuł się już zde gustowany śląskim węglem i wymościł sobie miejsce na piknik nad Odrą. A żeby mu nie zabrakło chleba, użył tutejsze gleby tak, że ich właściciele dostatnio żyli z upraw. Budowali coraz większe gospodarstwa i rezydencje.

Godulę interesowały tylko te ostatnie. Nie zamierzał być plantatorem pszenicy, choć znał się na rolnictwie, a folwark w Rudzie postawił na nogi między innymi dzięki nawożeniu pól mączką kostną. Tak robili Anglicy, ale rudzcy chłopcy i tak uznali wysokie plony za zasługę diabelskich praktyk potwora z połową twarzy.

Zamierzał kupić posiadłość. Tu, w tej zielono-złotej krainie, blisko od Górnego Śląska i daleko zarazem. Poza miastem, poza ludźmi.

Pałac, pod który podjechał odkrytym powozem, nie zapierał tchu w piersiach.

„Koszarowa skrzynia otoczona mokradłami” – opisał go deputowany z Opola, który doskonale znał siedziby magnatów w swojej rejencji. „Ale być może na sprzedaż” – dodał, a to było najważniejsze. Pałaców nie ma na rynku tyle co trzewików czy cylindrów.

Koszarowa skrzynia rzeczywiście była prosta i przyćmiewka, a o jej malarycznym sąsiedztwie natychmiast dał znać komar, który użądlił przybysza, gdy tylko stangret zatrzymał konie. To nie miało znaczenia. Godula wolał geometryczne bryły budynków od architektonicznych dziwactw, a mokradła uznał za nieistotny detal, który zniknie po osuszeniu. Wraz z komarami.

Bardziej interesowała go bezkresna przestrzeń wokół pałacu. Kilkusetletnie dęby, łąki, pola i cisza przerywana tylko przez skowronki, wiszące nad łanami zboża. Jedyne siedziby ludzkie w pobliżu to chałupy pobliskiej wsi, noszącej nazwę Kopice.



Stukot kół powozu po brukowanym podjeździe zaalarmował lokaja, który wybiegł przed drzwi witać gościa. Pomógł Karolowi Goduli wysiąść, a następnie dyskretnie eskortował do saloniku, w którym wskazał mu wygodny fotel i zaproponował kieliszek schłodzonego reńskiego wina. Karol Godula odmówił. Przez całe życie walczył z alkoholem, uważając go za największego wroga prostych ludzi. A skoro za pijaństwo tłukł swoich robotników laską, sam nie mógł dawać złego przykładu.

Kilka chwil później drzwi saloniku otworzyły się na całą szerokość i stanął w nich Fedor von Francken-Sierstorpff, młody, zaledwie trzydziestoletni dziedzic Kopic.

Karol Godula wstał i wymienili ukłony pełne galanterii.

Przez kilka minut rozmawiali o niczym, jak nakazywała etykieta, potem gospodarz wygodniej usadowił się w fotelu, założył nogę na nogę i obdarzył Godulę swoim zainteresowaniem.

– Pański list wydał mi się dość zagadkowy, dlatego rad będę, jeśli objaśni mi pan, czemu zawdzięczam zaszczyt odwiedzin tak znakomitego przemysłowca?

Gość chrząknął.

– Jak pan hrabia zauważył, jestem człowiekiem czynu, dlatego proszę wybaczyć, że powiem wprost: powiadomiono mnie, że nosi się pan z zamiarem sprzedaży tego majątku. Jeśli ta informacja spotyka się z prawdą, z ochotą złożę ofertę.

– Chce pan kupić Kopice? – Przez twarz hrabiego przebiegł uśmiešek, w którym było coś cynicznego.

A więc o to chodzi – oburzył się w myślach. Temu parweniuszowi z oszpeconą gębą marzy się pałac von Sierstorpffów. Co za tupet. Przodkowie chybaby się w grobach poprzewracali, gdyby w ich domu zamieszkał plebejski syn z jakiejś śmierdzącej górnośląskiej dziury. Przed wizytą Fedor kazał sprawdzić Godulę i przyjął go pod dach z perspektywą na jakiś wspólny interes, na którym mógłby podreperować finanse. Ale sprzedać mu pałac? Nie. Taka bezczelność przechodziła ludzkie pojęcie.

– Owszem – odpowiedział, siląc się na uprzejmość. – Napomknąłem o takim zamiarze podczas polowania. Ale to był żart. Taka niewinna towarzyska gra. Niech pan sobie imaginuje, że celowo powiedziałem to przyjaciołom, prosząc o zachowanie sekretu, bo byłem ciekaw, który z nich ma najdłuższy język i skąd wróci do mnie wiadomość. Boleję, że to akurat pan wpadł w pajęczynę tej intrygi. – Posłał Goduli wymuszony uśmiech. – Niemniej jednak, gdyby wyjawiał pan w liście powód swojej wizyty, oszczędziłbym panu trudów podróży.

Sięgnął po szkatułkę z cygarami i zapalił jedno z nich, nie częstując gościa.

– Mam nadzieję – rzekł zza obłoku dymu – że zechce pan wyjawić nazwisko człowieka, od którego otrzymał pan nowinę o rzekomej sprzedaży Kopic.

Ale Karol Godula kompletnie zlekceważył jego słowa.

– Gotów jestem zapłacić panu hrabiemu godziwą sumę – oświadczył chłodno i wymienił kwotę.

Sierstorpffowi zakręciło się w głowie. Doniesiono mu, że człowiek nazywany „królem cynku” dysponuje kolosalnym majątkiem, ale też, że transakcje handlowe zawiera wyłącznie na swoją korzyść. Zawsze doskonale poinformowany, przygotowany i bezwzględny. Tymczasem za pałac w Kopicach zamierzał zapłacić o wiele więcej, niż był wart. Co się za tym kryje? – myślał gorączkowo. – Czyżby pod naszymi polami były jakie złoża węgla albo rud metalowych? Dlaczego ten chytry lichwiarz, ten skąpiec mieszkający w chłopskiej chacie chce przepłacić?

Hrabia poczuł, że znalazł się w potrzasku.

Z jednej strony szarpała nim jaśnie oświecona duma starej niemieckiej szlachty, która najchętniej kazałaby poszczuć tego łajdaka psami. Z drugiej – suma, jaką oferował Godula, likwidowała wszelkie kłopoty Sierstorpffów.

Co robić? Wycofać się z bajeczki o towarzyskiej intrydze? Ośmieszyć się w oczach tego chama, ale zyskać pieniądze, jakich nikt mu nigdy nie

da za Kopice? Podtrzymać wersję o żarciku ze sprzedażą i chłodno pożegnać gościa? – myślał gorączkowo, aż na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

Otarł je batystową chustką.

– Nieznośny dziś upał – powiedział.

Godula nie potwierdził. Przewiercał Sierstorpffa wzrokiem, który wpuścił hrabiego w popłoch, jakby ten diabelski przybysz czytał w jego myślach.

– Nie musi pan odpowiadać dziś, panie hrabio – oświadczył. – Będę pokornie wyczekiwał pańskiej wiadomości. Do końca sierpnia.

„Pokornie” – Sierstorpffa znów zalała fala gniewu. – Ten bydlak mówi „pokornie”, a przemawia, jakby stawiał mi warunki.

Ale jego „jakby” runęło w tej samej sekundzie.

– Od pierwszego września moja oferta będzie maleć o dziesięć procent tygodniowo – powiedział Godula.

Zapanowało milczenie cięższe od całego cynku wytopionego dziś w górnośląskich hutach.

Sierstorpff wpatrywał się w gościa. Szczęki mu drżały, a górna warga unosiła się jak u rozdrażnionego psa. Miał niepohamowaną ochotę warknąć „precz stąd”, ale paraliżowała go upiorna twarz Goduli, w której było coś mrocznego i złowróbnego.

I wtedy do ich uszu dobiegły dźwięki fortepianu.

## 5.

Fedor von Sierstorpff ze zdumieniem obserwował przemianę, jaką dokonywała się na twarzy jego gościa.

Godula przymknął powieki, a maska bezwzględności, którą przywdział w ostatnich zdaniach rozmowy, wydawała się topnieć, jakby była z wosku ogrzanego płomieniem świecy. Zimny i pozbawiony skrupułów handlowiec nagle zniknął. Hrabia miał przed sobą starszego, zmęczonego człowieka. Wędrowca, któremu po długiej i beznadziejnej drodze przez pustynię podano szklanekę wody. Chorego, któremu podano lek przynoszący ulgę w cierpieniu.

– Co to za muzyka? – spytał lekko ochrypłym głosem.

Von Sierstorpf strzepnął popiół z cygara do kryształowej popielnicy, w której załamywały się promienie słońca, tworząc różnobarwne refleksy.

– To nasz kapelmistrz – wyjaśnił. – Nazywa się Kern. Gdy byłem dzieckiem, uczył mnie gry na fortepianie, ale na niewiele się to zdało. – Zdobył się na uśmiech. On również odczuł ulgę z niespodziewanego zakończenia konfliktu, narastającego w saloniku jak chmura burzowa gotowa w każdym momencie cisnąć piorun.

– Za pozwoleniem pana hrabiego – odezwał się Godula. – Czy mógłbym porozmawiać z tym człowiekiem?

Właściciel Kopic zastanowił się przez moment, zdumiony pytaniem, ale dopatrzył się w tym okazji do dyplomatycznego zakończenia niezręcznej sytuacji. Mógł w ten sposób pozbyć się przybysza, a jednocześnie zachować twarz i zostawić sobie uchyloną furtkę do ewentualnej transakcji. Pilnie potrzebował pieniędzy, a sprzedaż pałacu wydawała się jedynym rozwiązaniem jego kłopotów. Kto wie, czy nie będzie zmuszony schować dumę do kieszeni i wrócić do propozycji Goduli.

– Ależ naturalnie. – Wykonał dłonią wielkopański gest i podniósł się z fotela. – Chodźmy do sali rycerskiej.

Gość, podpierając się laską, ruszył jego śladem.

Starszy mężczyzna grający na fortepianie był lekko przygarbiony i miał zupełnie białe włosy sięgające ramion.

Na widok hrabiego i jego towarzysza oderwał palce od klawiatury i natychmiast wstał, składając ukłon głęboki niczym po koncercie. Jego szare oczy i twarz oplątana siecią zmarszczek kryły jakieś natchnienie właściwe artystom.

– Szanowny panie – von Sierstorpf zwrócił się do Goduli, nie odpowiadając na powitanie kapelmistrza. – Mam przyjemność przedstawić panu wirtuoza fortepianu i oddanego sługę naszego domu, pana Kerna.

Godula skinął głową z rzadką dla siebie uprzejmością.

– Pan Karol Godula, przemysłowiec z Górnego Śląska, ma, zdaje się, pytania o pana muzykę, Kern. Wobec czego ja się pożegnaj – obdarzył

gościa ukłonem – i zostawię panów samych. Do rozmowy o nutach raczej się nie przydam. Zygfryd – wskazał dłonią lokaja – odprowadzi potem pana do powozu.

– Jestem wdzięczny, że pan hrabia mnie przyjął – odparł Godula. – I wyrażam nadzieję, że zechce pan przemyśleć ofertę. To dobra cena.

– Niewykluczone. Nie mam orientacji – skłamał von Sierstorpff. – Gdyby cokolwiek w moich planach uległo zmianie, niezwłocznie pana powiadomię.

Odwrócił się i wyszedł z sali.

Godula nie odprowadził go wzrokiem.

– Czy to, co pan grałeś, to pana kompozycja? – spytał Kerna.

Białowłosa mężczyzna wydawał się zaskoczony.

– W żadnym wypadku, wielmożny panie – wyjaśnił. – Ja jedynie mam zaszczyt ją odtwarzać. Jako ćwiczenie, przed wieczornym koncertem dla gości hrabiostwa.

– Czyje to? – naciskał Godula.

Kern spłoszył się jak podczas śledztwa.

– Mieszkam po sąsiedzku, w Grodkowie, gdzie jeszcze w dzieciństwie zaprzyjaźniłem się z kolegą ze szkolnej ławy, a dziś wybitnym kompozytorem Józefem Elsnerem. Połączyła nas miłość do muzyki. Gdy odwiedziłem go wiele lat temu, zagrał mi fragment utworu, który wywołał pańskie zainteresowanie. Nie przeczę, przepiękne dzieło, godne arcy mistrza. Ten szyk, a zarazem łagodność dźwięków...

– Masz pan nuty tego, coś pan grał? – przerwał mu Godula.

– Nie, wielmożny panie. – Kern uśmiechnął się przeproszająco. – Grałem z pamięci. Tak mi to utkwiło w sercu wtedy u Józefa, że słyszałem tę muzykę nawet we śnie.

– Ten Elsner – powiedział Godula – czy on żyje? Można go zastać w Grodkowie? Chciałbym kupić od niego te nuty.

– Wyjechał wiele lat temu. Dziś jest poddanym cara Rosji. Mieszka w Warszawie. To mniejszy kłopot, bo do Królestwa Kongresowego można przecie pojechać. Większy, że nuty, o których mówimy, nie są do kupienia.

– Wszystko jest do kupienia. – Godula zawsze irytował się, słysząc to stwierdzenie.

– Nie, miły panie. – Kapelmistrz von Sierstorpffów z godnością uniósł siwą głowę. – Nie wszystko. Kompozycja, którą grałem, jest autorstwa najzdolniejszego z uczniów mojego przyjaciela. To geniusz światowego formatu. Być może słyszał pan o Fryderyku Chopinie...

Król cynku niecierpliwie machnął dłonią.

– Nie interesowałem się dotąd muzyką – przerwał. – Rozumiem, że człowiek, o którym pan mówisz, nie sprzedaje swoich dzieł.

– O ile mi wiadomo, to nie – stwierdził Kern. – Są czymś w rodzaju dobra publicznego, a takimi skarbami się nie handluje.

Ale Karol Godula najwyraźniej nie pojął tego argumentu. Zamyślił się. Widać było rosnącą irytację człowieka, który nie przywykł do odmów.

– Czy można wiedzieć, dlaczego tak bardzo panu na tym zależy? – spytał Kern, żeby rozładować napięcie.

Człowiek z oszpeconą twarzą nieoczekiwanie pokazał swoje drugie oblicze.

– Jest coś w tej muzyce... Coś takiego, że... – powiedział cicho.

– Rozumiem doskonale. – Stary kapelmistrz wybawił go z opresji. – Wielu ludzi łagodnieje od muzyki Chopina, a ich troski znikają jak po zażyciu środka kojącego nerwy i... ból. – Spojrzał ze współczuciem na okaleczone ciało przybysza. – Postaram się panu pomóc – oświadczył nieoczekiwanie. – Dziś jeszcze napiszę do przyjaciela z prośbą, aby skontaktował się ze swoim uczniem.

– Uczynisz pan to? – ożywił się Godula. – Bóg mi świadkiem, że sowicie pana wynagrodzę.

Białowłosa mężczyzna machnął dłonią.

– O ile mi wiadomo, panu Chopinowi nie wiedzie się najlepiej – poinformował. – Znosi los emigranta, żyje z lekcji fortepianu, a mimo młodego wieku jest poważnie chory. Z tego, co mi wiadomo, nie sprzedaje swoich utworów, ale być może... – zastanowił się.

– Mów pan. – Godula patrzył na niego wyczekująco.

– Może zgodzi się skomponować coś specjalnie dla pana – powiedział Kern. – Zasugeruję to przyjacielowi. Wraz z wiadomością – za pańskim pozwoleniem – że śląski przemysłowiec chętnie wesprze kompozytora godziwą kwotą. Zamożny przemysłowiec. – Kern uniósł palec wskazujący, podkreślając, że ta okoliczność będzie miała znaczenie.

– Doskonale – uznał Godula. – Jestem pana dłużnikiem. – Podał kapelmistrzowi bilet wizytowy. – Gdyby miał pan teraz jakieś koszty, to proszę ze mną do powozu, stangret wypłaci...

– Nie trzeba – uśmiechnął się Kern.

– Nie widuję ludzi, którzy z uśmiechem odmawiają pieniędzy – stwierdził król cynku.

– To nie z powodu pieniędzy. Pański entuzjazm jest tak porywczy, że nie powiedział pan, jakiej kompozycji by pan oczekiwał.

Godula wpadł w zakłopotanie.

– Pytam, co wielmożny pan byłby łaskaw zamówić – wyjaśnił Kern. – Sonatę? – Usiadł do fortepianu i zagrał kilka taktów.

Gość hrabiego von Sierstorpffa pokręcił przecząco głową.

– Wobec tego może czegoś w tym guście? – Kapelmistrz uniósł dłonie nad klawiaturą, ale Godula był szybszy.

– Zdaję się na pana – zdecydował. – Niechby tylko to było coś łagodzącego, tak jak pan powiedziałeś.

Kern wstał od instrumentu.

– Pozwolę sobie zawiadomić pana, gdy tylko przyjaciel odpisze na list.

Karol Godula uścisnął mu dłoń, choć rzadko to robił. Ruszył w kierunku drzwi, za którymi czekał lokaj hrabiego. Ale zanim do nich doszedł, odwrócił się z miną człowieka, który przypomniał sobie coś ważnego.

– Najchętniej zamówiłbym kołysankę – stwierdził.

Stary kapelmistrz von Sierstorpffów uśmiechnął się przyjaźnie i ze zrozumieniem skinął głową.

## 6.

Fedor von Sierstorpff skapitulował rok po spotkaniu w Kopicach.

Przesłał list na wytwornej rodowej papeterii, w którym powiadomił o woli sprzedaży pałacu. Wobec czego zaprosił „szanownego pana Godulę” do złożenia kolejnej wizyty poświęconej rozmowom handlowym. Zaznaczył również, że cena uległa zmianie. Naturalnie na wyższą.

Król cynku obejrzał pieczęć Sierstorpffów odcisniętą w laku, po czym niedbałym ruchem rzucił list na blat stołu.

– Pruska szlachta – powiedział do siebie, kręcąc z niedowierzaniem głową. Pewnie temu pyszałkowi się wydaje, że może podnieść wartość rezydencji o swój rodowód. Pałac kosztuje dziesięć tysięcy, ale „pałac Sierstorpffów”, choć to ciągle ten sam budynek – dwanaście. Czy duma może być warta dwa tysiące? Karol Godula nie podzielał tego poglądu. W jego świecie nie miała żadnej wartości materialnej.

Postanowił, że przetrzyma hrabiego dwa tygodnie, żeby skruszał, a potem pojedzie do Kopic i zaproponuje cenę o trzydzieści procent niższą niż ostatnio. Weźmie też ze sobą całą gotówkę. Widok dużych pieniędzy leżących na stole zawsze działa na ludzi hipnotycznie.

Wstał, podszedł do wiadra z wodą ze studni, nabrał pełen cynowy kubek i wypił duszkiem. Od rana bolała go głowa, miał mdłości i odczuwał zmęczenie. Pomyślał, że mimo wczesnej pory dobrze robi mu drzemka. Wszedł do izby sypialnej i zerknął w lustro nad komodą. Zdrowe oko było mocno podpuchnięte, a skóra pod nim przypominała worek na obrok zawieszany koniowi idącemu w zaprzęgu.

Dotknął palcami fałdy skóry i wtedy zauważył, że obraz w lustrze się rozmywa. Przetarł oko nasadą dłoni, przyjrzał się baczniej, ale zobaczył już tylko ciemność. W tej samej chwili stracił przytomność. Runął na podłogę.

Ocknął się pod wpływem soli trzeźwiących i energicznych uderzeń otwartą dłonią w zdrowy policzek.

Leżał na łóżku, nad którym pochylał się lekarz z Bytomia.

– Poznaje mnie pan, panie Godula? – zapytał.

Chciał skinąć głową, ale okazało się to zbyt trudne. Mrugnął powieką, którą zostawiły mu mrówki.

– Jak się pan czuje?



– Lepiej – wychrypiał.

Stojąca obok Emilia Lukas przeżegnała się pospiesznie i otarła łzy chusteczką.

– Zemdlał pan – wytłumaczył lekarz. – Gospodyni po mnie posłała.

– Niedobrze mi – poskarżył się Godula. – Podajcie jakąś miskę.

– Już pan wyrzucił z siebie wszystko, co miał pan w środku. Aż do żółci – zapewnił go lekarz.

– To wczorajszy rosół. Często tak po nim mam.

Medyk zaprzeczył ruchem głowy.

– Rosół mógł tylko nasilić objawy – mruknął. – W mojej diagnozie to nie żołądek jest winny temu, co się stało, ale nerki.

– Skąd pan to może wiedzieć? – spytał chory.

W odpowiedzi doktor uniósł pierzynę, wskazując obrzęki na nogach.

– Zbyt dużo się tego naoglądałem – westchnął. – Na stole położyłem receptę na lekarstwo, które przygotowują dla pana w składzie aptecznym w Bytomiu. Na odwrocie jest adres. Będzie gotowe pojutrze, może nawet jutro, jeśli pošlecie człowieka od razu. Zapisałem też sposób podawania. – Zdjął i przetaił druciane binokle. – Stanowczo musi pan uważać na to, co pan będzie jadł, panie Godula – stwierdził, odwracając głowę w kierunku Emilii. – Trzeba ograniczyć płyny, w tym zupy. Jedzenie lekkie, ale częste, żeby nie doprowadzać do uczucia głodu. Żadnego smalcu, słoniny czy boczku. Jeśli masło i śmietana, to na surowo, bez podgrzewania. Mięso chude. Jaja rzadko i broń Boże na twardo. Ziemniaki gotowane w całości.

– Czy...? – spytał cicho Godula, ale doktor nie dopuścił go do głosu.

– Gdyby lekarstwo nie pomagało, pilnie trzeba mnie wezwać – stwierdził. – Za kilka dni się okaże.

Uklonił się i wyszedł.

## 7.

Palce stroiciela tańczyły na klawiaturze z gracją i powabem, jakie wyczarował nieznany mu kompozytor. Dźwięki, wzmocnione przez

akustykę sali bawialnej pałacu w Szombierkach, ślizgały się po sztukateriach, przeglądały w zwierciadłach i wprawiały w drżenie kryształowe paciorki kinkietów. A potem ulatywały przez otwarte okna, prosto w noc.

Norbert Köpke ostatnio grał ten utwór tak często, że potrafił go już odtworzyć bez patrzenia w nuty.

Zwłaszcza że Karol Godula traktował je jak cenną relikwię.

Rękopis kompozytora przechowywał w metalowej szafie i nikomu nie wolno było go dotknąć. Osobiście układał arkusze na pulpicie fortepianu i zabierał je natychmiast po tym, gdy milkły struny instrumentu. Wiadomość, że Köpke potrafi zagrać to samo z pamięci, nagrodził sowitym napiwkiem. Od tej chwili stroiciela wzywano do pałacu w Szombierkach tylko późnym wieczorem. Jego jedyny słuchacz nie lubił promieni słońca.

Dziś było tak samo.

Godula siedział nieruchomo w fotelu, pogrążony w ponurym letargu. Skąpe światło świec w lichterzu stojącym na fortepianie sprawiało, że wyglądał jak upiór.

Köpke stanął w drzwiach sali bawialnej, złożył mu głęboki ukłon, po czym na palcach podszedł do fortepianu, usiadł na taborecie, uniósł wieko klawiatury, rozmasował dłonie i zaczął grać.

Okaleczona twarz Karola Goduli, przypominająca bardziej maskę pośmiertną niż oblicze żywego człowieka, drgnęła.

Köpke widział to nie raz. Pod wpływem tej magicznej muzyki diabeł z Rudy się zmieniał. Przymykał zdrowe oko i przenosił do krainy wyobraźni, w której wydawał się szczęśliwy.

W takich momentach stroiciel doszukiwał się w nim podobieństwa do wampira. Istoty żyjącej w mroku i śpiącej w trumnie. Bładej, wycieńczonej, przerażonej nadchodzącym świtem i łaknącej krwi, która przywracała go do życia. Takiego, na jakie go skazano, ale jednak życia. Bezsprzecznie był jak wampir. Unikał ludzi, budził grozę i miał nadprzyrodzoną moc. Jego pieniądze mogły kupić wszystko. Poza spokojem duszy.

Kołysanka, której nut strzegł jak skarbu, najwyraźniej mu ten spokój przywracała. Sycił się nią. Odżywiał jak wampir krwią. Zamówił ten utwór dla małej Joasi, a jednak najczęściej słuchał w samotności, wpadając w dziwny trans. Bywało, że stroiciel musiał grać go kilka razy pod rząd.

Trzeba przyznać, że była to piękna muzyka.

Köpke nie miał wątpliwości, że została napisana przez geniusza. Polaka? Niemożliwe. Stroiciel nigdy nie słyszał, aby przedstawiciel narodu, którym gardził, skomponował takie arcydzieło. W jego opinii Polacy nadawali się do kopania węgla, prac polowych i służenia w porządnym niemieckich domach. Ich kultura muzyczna nie wkraczała na poziom wyższy niż karczemne przyśpiewki.

Po zakończonym koncercie wyszedł z pałacu opętany myślą, że koniecznie musi się dowiedzieć, kto napisał Goduli ten utwór. Skinął na stangreta, który miał go odwiedzić do Bytomia, i zanim dotarł do rodzinnej Krakauer Strasse, opracował plan.

Tydzień później zakupił znaczną ilość arkuszy papieru.

Starannie przy użyciu prostej deseczki wykreślił na nich pięciolinie i przez kilka dni przypominał sobie każdy dźwięk kołysanki z Szombierek, a następnie go zapisywał. W ten sposób zrekonstruował zapis nutowy. Zamierzał wykonać w ten sposób kilkanaście, a może i kilkadziesiąt kopii, aby wysłać je do profesorów muzyki w całym Prusach. Któryś z nich z pewnością rozpozna kompozytora.

Pełen uznania dla swojego sprytu spojrzął na nuty leżące przy łóżku i nagle zdjęła go trwoga, że genialnej kołysanki wcale nie napisał człowiek. W jednej sekundzie oblał go zimny pot. Szarpnął za ramię śpiącą obok żonę i przestraszony podzielił się z nią swoimi wątpliwościami.

– A jak nie człowiek, to niby kto? – wymamrotała, niechętnie rozstając się z resztkami snu, które miała jeszcze pod powiekami.

– Diabeł – szepnął zabobonnie stroiciel.

– Diabeł nie układa nut – ofuknęła go.

– Dla Goduli może układać – stwierdził. – Wiesz, co ludzie mówią. Że pomaga mu we wszystkich geszeftach i zarabia dla niego miliony.

– Głupie gadanie – uznała *Frau Köpke* po chwili zastanowienia. – Ale jak masz obawy, to nie wysyłaj nigdzie tych nut.

Odwróciła się, budując z pierzyny barykadę dla dalszej dyskusji.

Stroiciel został sam. W rozterce. Wysyłać i narażać się na jaką klątwę, albo nie wysyłać. Popatrzył na rękopis, który żmudnie tworzył przez ostatnie dni i postanowił, że jednak wyśle. Ale najpierw zsunął się z łóżka, odnalazł w książeczce do nabożeństwa modlitwę o odpędzenie złego ducha i żarliwie ją odmówił. Zasnął uspokojony.

Rano obudził się z gorączką i bólem głowy.

Żona przestraszona jego spuchniętą i czerwoną twarzą posłała po doktora, a ten stwierdził tyfus plamisty. Diagnozę po pięciu dniach potwierdziły wybroczyny i grudki na skórze.

Przez cztery tygodnie Köpke żegnał się z życiem. Schudł, szerniał i majaczył. Wielokrotnie prosił żonę, która do niego zaglądała, aby spaliła przeklęte nuty, ale z jego ust wydobywał się tylko bełkot. Tyfus często powoduje opadnięcie żuchwy i niedowład języka.

Kiedy wreszcie udało mu się to wykrztusić, a żona spełniła jego błagania, stroiciel fortepianów Norbert Köpke z Bytomia przysiągł Matce Najświętszej, że nigdy więcej nie pojedzie do pałacu w Szombierkach, choćby dawano mu za to górę złota. Prosił też Matkę Chrystusa, aby pozwoliła mu zapomnieć melodię przeklętej kołysanki. Raz na zawsze.

## 8.

Tego samego dnia Karol Godula zarządził, aby Emilia spakowała bagaże. Jego, swoje i małej Joasi.

Sparaliżował ją nagły przestrah, że jednak wyprowadzają się z Górnego Śląska, ale w następnym zdaniu pryncypał wyjaśnił powód tej nagłej decyzji. Tyfus głodowy.

– Musimy uciekać – stwierdził zdenerwowany. – Jadę prosto z Bytomia. Śmierć zaczyna zbierać straszne żniwo. Po zeszłorocznych ulewach wygniły ziemniaki i zboża. Ludzie niedożywieni są, a przecież ciężko pracują. Nic dziwnego, że padają jak muchy. Mój lekarz twierdzi, że epidemii nie da się

zatrzymać. W folwarkach i osiedlach robotniczych brud i smród. Tragedia. Dlatego nie ma na co czekać.

– Dokąd pojedziemy, panie? – spytała Emilia.

– Do Wrocławia. Tam tyfus nie dotarł. Zatrzymamy się na jakiś czas w hotelu, potem wrócimy.

– Powiem Joasi. Bawi się na łące. – Gospodyni ruszyła w stronę drzwi.

– Powiedźcie – potwierdził. – To przede wszystkim dla jej dobra.

Mała mieszkała pod jego dachem blisko dwa lata, ale ciągle nie mogła dojść do siebie. Anemiczna i pozbawiona apetytu była przedmiotem nieustannej troski Emilii.

Wyjechali nazajutrz rano.

Kryty powóz podróży toczył się na północy zachód, ciągnięty przez szóstkę koni. Godula usiłował czytać gazetę, jednak z powodu nierówności drogi litery wciąż skakały mu przed oczami. Odłożył dziennik i spojrzał na siedzącą naprzeciwko sześciolletnią Joasię.

– Kim ty chciałabyś być, jak dorosniesz? – spytał.

– Pana służącą – odparła bez wahania.

– Moją służącą? – zdziwił się.

– Umiem już sprzątać i zamiatać – stwierdziła mała z całkowitą powagą, zerkając na Emilię, jakby szukała u niej potwierdzenia.

Gospodyni z przekonaniem pokiwała głową.

– To prawda – przyznała.

– Służącą – powtórzył Godula i zamilkł, a gospodyni pomyślała, że była to rozmowa typowa dla niego. Parę słów i koniec. Często powtarzał, że szkoda mu czasu na mielenie ozorem.

Na miejsce dotarli następnego dnia wczesnym popołudniem. Zajęli wygodne pokoje w hotelu „Pod złotą gęsią”. Przez kilka dni król cynku załatwiał jakieś interesy. Któregoś wieczoru nagle poczuł się gorzej.

Emilia chciała wzywać lekarza, ale zabronił. Nakazał posłać po Maksymiliana Schefflera, swojego doradcę i prawnika. Następnego dnia spędził, nie wstając z łóżka.

Gdy Scheffler dojechał na miejsce, wskazał mu krzesło.

– Chcę ci podyktować swoją ostatnią wolę – powiedział.

Prawnik się zaniepokoił.

– Źle się czujesz, Karolu? – spytał. – Wyglądasz nie najlepiej. Trzeba po doktora.

– Pisz – odparł Godula z wysiłkiem. Rąbkiem pościeli wytarł pot z czoła, a potem podyktował pierwsze zdania testamentu.

Scheffler opuścił pióro i popatrzył na niego z przerażeniem.

– Karolu, jesteśmy przyjaciółmi, ale muszę cię spytać jako prawnik: czy ty jesteś w pełni władz umysłowych?

– Pisz – powtórzył twardo Godula.

Jakiś czas później Maksymilian Scheffler opuścił jego pokój z dokumentem w ręku. Emilia czekała na niego na korytarzu.

– Co z nim? – spytała.

– Źle. Podyktował i podpisał ostatnią wolę. Teraz zasnął.

– Posłać po lekarza?

– Zabronił. Powiedział, że chce odpocząć.

– A jeśli...

Prawnik pomachał trzymanym w dłoni testamentem.

– Jeśli przyjdzie najgorsze, zarówno pani, jak i ja znajdziemy się w niebezpieczeństwie, jakiego pewnie sobie nawet nie wyobrażamy.

Uchylił kapelusza i ruszył w kierunku schodów.

Emilia Lukas przez kilka godzin nie była w stanie uspokoić myśli. Wielokrotnie chciała zapukać do drzwi Goduli i sprawdzić, jak się czuje. Wychodziła na korytarz i wracała, dochodząc do wniosku, że sen przyda mu się bardziej niż jej troska.

Wreszcie uznała, że nadszedł właściwy czas.

Zastukała cicho, a nie słysząc odpowiedzi, nacisnęła klamkę.

Karol Godula leżał na wznak oparty na wysokich poduszkach i patrzył swoim zdrowym okiem w dal, która nie miała wymiaru.

Był martwy.

## ROZDZIAŁ V

Marzec 2014 roku

### 1.

Profesor Hans-Jürgen Erhardt wysiadł z tramwaju na przystanku Am Kupfergraben, kupił w kawiarni kawę na wynos i z papierowym kubkiem w ręku ruszył w kierunku Uniwersytetu Humboldtów. Za pół godziny miał umówione spotkanie, które intrygowało go od dwóch dni.

Przedpołudnie w Berlinie było pochmurne, a znad Sprewy wiał przejmujący wiatr, który wdzierał się niemal pod ubranie. Profesor wypił łyk cappuccino, które wypełniło go przyjemnym ciepłem i dodało energii. Przyspieszył kroku.

Od roku był na emeryturze, ale uniwersytet zostawił mu część wykładów, dzięki czemu zachował skromny gabinet w budynku uczelni. Pomieszczenie było niewielkie, zaledwie trzy na cztery metry z małym oknem. Erhardt nazywał je swoim sanktuarium i przez trzydzieści lat wypełniał papierami tak metodycznie, że przełożenie choćby jednej teczki na inne miejsce mogłoby wywołać skutki podobne do tych, jakie w kosmosie powoduje pojawienie się nieznannej komety. Warunkiem pozostawienia gabinetu na uczelni było, że do końca semestru profesor usunie swoje archiwum. Albo do domu, albo do pamięci komputera. Sugerując to drugie rozwiązanie, Uniwersytet Humboldtów wyposażył go w porządny skaner.

Zbiory profesora nie były związane z jego działalnością naukową. Erhardt był psychologiem, natomiast wszystkie zgromadzone papierzyska należały do świata historii. A ściślej: jej niewielkiego kawałka. Profesor z typowo niemiecką skrupulatnością badał dzieje rodów szlacheckich mieszkających do wybuchu drugiej wojny światowej na Śląsku Opolskim. Takie hobby.

No, może nie tylko hobby. Erhardtowie byli boczną linią jednej ze znanych rodzin arystokratycznych i chociaż brakowało im wielu hektarów ziemi, żeby przed nazwiskiem zyskać „von”, to przez pokolenia pielęgnowali dumę, jakby to „von” mieli. W każdym razie gdyby Hans-Jürgen Erhardt urodził się sto lat wcześniej, nie piłby dziś kawy z kartonowego kubka na zimnej berlińskiej ulicy, tylko z miśnieńskiej porcelany w salonie rodzinnego pałacyku nad Odrą.

Wszedł do gmachu, wyrzucił kubek do pojemnika na papier, a jego plastikowe wieczko do sąsiedniego, gromadzącego odpady plastikowe. Przywitał się z pracownikiem ochrony, uprzedzając o wizycie człowieka, który miał się pojawić za kwadrans, po czym rozpiął płaszcz i zbliżył dyndający na szyi identyfikator do czytnika uruchamiającego bramkę. Urządzenie pisnęło twierdząco.

W gabinecie przygotował krzesło dla gościa i pogrążył się w lekturze ulubionego historycznego czasopisma. Jak zwykle w takich chwilach stracił poczucie rzeczywistości, która przypominała o sobie pukaniem do drzwi.

Profesor wstał i je otworzył.

Na korytarzu ujrzał sympatycznego czterdziestoparolatka o urodziwej twarzy południowca i sylwetce, która sugerowała, że nie biega maratonów. Przywitał się i podał Erhardtowi swoją wizytówkę. Profesor w myślach wystawił mu wysokie noty za punktualność i dobry angielski.

– Niezwykle mnie ciekawi cel pańskiej wizyty – wyznał, zapraszając gościa, aby usiadł. – Cieszę się, że polski instytut pamięci zainteresował się moimi badaniami. Można powiedzieć, że jestem nawet zaszczycony.

Jakub Kania poczuł się lekko zakłopotany. Jeszcze niedawno „polski instytut pamięci” był Główną Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce i bezwzględnie ścigał rodaków profesora. Ten jednak najwyraźniej o tym nie wiedział.

– Owszem. – Niezręczność zamaskował uśmiechem. – Ceniśmy pańskie dokonania.

– Jestem pod wrażeniem – cmoknął Erhardt. – Bo widzi pan, jestem jedynie historykiem amatorem, nie należę do żadnych formalnych



stowarzyszeń naukowych. Można rzec: nie mam homologacji.

Kuba znów się uśmiechnął.

– Może architektura albo medycyna potrzebują certyfikatów, ale historia? Wyznaję pogląd, że w niej najważniejsze są poszanowanie prawdy i uczciwość badacza.

Profesor się rozpromienił.

– Jak pan do mnie trafił?

– Pańskie nazwisko padło podczas rozmowy z pewnym polskim dziennikarzem lokalnym, który swego czasu pisał o historii swojej małej ojczyzny, czyli Grodkowa na Opolszczyźnie. A resztę załatwiła wyszukiwarka internetowa.

– Nie ufam im – orzekł Erhardt. – Jako źródło są do niczego. Ale jako książka adresowa radzą sobie dobrze. Czego dowodem fakt, że mnie pan odnalazł. Grodkowa i okolic, mówi pan. Zgaduję, że chodzi o von Schaffgotschów.

Jakub Kania posłał mu spojrzenie pełne uznania.

– Byłem zdziwiony, że przez telefon nie spytał pan profesor, który z rodów mnie interesuje, tylko od razu zaprosił mnie pan do Berlina – wyznał Kuba. – Myślałem, że będzie pan chciał się przygotować do rozmowy.

– Nie zaprosiłem pana do Berlina – sprostował Erhardt. – Zaprosiłem pana tu – omiół gestem gabinet – a tu jest wszystko, czego mogę potrzebować. Wszystkie odpowiedzi na pana pytania – dodał z dumą. – Jakie czasy pana interesują?

– Osiemdziesiąt sześć lat od chwili kupna pałacu w Kopicach przez Schaffgotschów po ucieczkę rodziny przed Armią Czerwoną.

Profesor z namysłem pokiwał głową.

– Pan wie, kim była hrabina von Schaffgotsch, która kupiła pałac wraz z mężem? – spytał.

– Niewiele zdążyłem przeczytać przed wyjazdem, ale trochę się dowiedziałem.

– Zatem z pewnością pan jest pan świadom – profesor zaczął tonem wykładowym – że była ubogą sierotą. Po śmierci ojca i porzuceniu przez matkę trafiła pod opiekę służącej śląskiego przemysłowca Karola Goduli. Miała wtedy cztery lata. Dwa lata później Godula, umierając, przepisał jej cały swój majątek.

– Spotkałem się z określeniem, że była to prawdziwa historia Kopciuszka – wtrącił Kuba.

Erhardt się uśmiechnął.

– Obawiam się, drogi panie, że Kopciuszek z bajki miałby czego zazdrościć małej Joannie Gryzik. Pan wie, ile odziedziczyła?

– Dwa miliony talarów? – upewnił się, nie będąc przekonany, czy dobrze pamięta jeden z artykułów w Internecie.

– Czyli? – profesor najwyraźniej dobrze się bawił.

– Próbowałem to porównać z ceną chleba i pensją robotnika w ówczesnym Królestwie Prus – wyznał Kuba. – Ale wyszły mi jakieś absurdy. – Uniósł dłonie w geście rezygnacji.

– Najlepiej przeliczyć według parytetu złota – doradził mu Erhardt. – Wyjdzie z tego rachunku, że sześciolatnia Joasia otrzymała jakiś miliard dziewięćset milionów euro.

Kubę zamurowało.

Erhardt przez kilka sekund cieszył się jego osłupiałą miną.

– Jak pan widzi, stać ją było na kupno pałacu w Kopicach – dodał. – Plotka głosi, że apetyt na tę rezydencję miał wcześniej sam Karol Godula, ale coś nie wyszło. Ponoć nie dogadał się z poprzednim właścicielem. Choć moim zdaniem transakcję uniemożliwiła jego choroba i rychła śmierć.

– Joanna Gryzik wyszła za hrabiego Schaffgotscha, żeby zyskać szlachectwo? – spytał Kuba.

– Nie musiała. Miała własne. Rok przed ślubem nobilitował ją król Fryderyk Wilhelm IV. Gdy stawała na ślubnym kobiercu z Hansem Ulrykiem von Schaffgotsch, nazywała się już Joanna von Schomberg-Godulla. Ale częściowo ma pan rację. Małżeństwo z przedstawicielem tak

znamienitego rodu dawało jej tytuł hrabiowski i wstęp do elitarnego środowiska pruskiej arystokracji.

– Małżeństwo z rozsądku – dopowiedział Kuba.

– Na pierwszy rzut oka tak. Joanna została grafinią, a Hans Ulryk, którego rodzina dawno straciła swoją materialną świetność, ożenił się z jedną z najbogatszych panien w Europie. Ale los i tu okazał się łaskawy dla Kopciuszka. Z hrabią Schaffgotschem byli bardzo szczęśliwym, kochającym się małżeństwem. Co by pan wolał – zaskoczył go Erhardt – pięćdziesiąt lat szczęścia u boku ukochanej żony czy dwa miliardy euro?

– Nie jestem żonaty – wybrnął Kuba i zamyślił się przez dłuższą chwilę.

– Ja też mam do pana profesora trudne pytanie – uprzedził. – Czy mówi coś panu nazwisko Kern?

Erhardt przeszukał myśli.

– Nie potrafię skojarzyć. Chociaż... Mam wrażenie, że gdzieś obito mi się o uszy. Proszę mi pomóc.

– To nazwisko nauczycieli muzyki – powiedział Jakub Kania. – Przez kilka pokoleń z rzędu pracowali w Kopicach najpierw u Sierstorpfów, potem u Schaffgotschów. Można powiedzieć, że Joanna z mężem kupili ich wraz z pałacem.

– Ach ci! – przypomniał sobie profesor. – Ta posada rzeczywiście przechodziła z ojca na syna.

Wstał, podszedł do regału, uniósł stos tekturowych teczek i wydobyl jedną spod spodu. Zdmuchnął kurz i odpiął gumkę. Przez kilka minut wertował zawartość, nie przestając mówić.

– Joanna z Hansem Ulrykiem rozbudowali Kopice, czyniąc z nieciekawej siedziby poprzedników jedną z najwspanialszych rezydencji w tej części kontynentu. To było cudo, nie pałac. – Podsunał Kubie reprodukcje fotografii z końca dziewiętnastego wieku. Wszystko najwyższej klasy.

– Czy pana zdaniem istniał skarb Schaffgotschów?

Profesor się uśmiechnął.

– Pewnie, że istniał. Tak jak niemal w każdej z rezydencji na Śląsku Opolskim. Skarbem były bardzo drogie meble, dywany, obrazy, bezcenne

starodruki, rzeźby. Te najczęściej padły ofiarą żołnierzy radzieckich, którzy niszczyli je z podwójną nienawiścią: za to, że były niemieckie i wielkopańskie.

– A coś związanego z muzyką? – dopytywał Kuba. – Czy spotkał się pan z jakąkolwiek wzmianką, że w Kopicach mogły być jakieś cenne instrumenty muzyczne? Nie wiem. Skrzypce Stradivariusu warte parę milionów dolarów? Albo jakieś unikalne nuty?

Erhardt zastanowił się głęboko, ale zaprzeczył.

– Nie. Raczej nie. Jeśli nuty, to może w bibliotece, ale ona padła łupem grabieżców.

– Czy Rosjanie coś wywieźli z pałacu? Istnieją przypuszczenia, że w Kopicach pojawił się nawet specjalny wysłannik NKWD, który znał się na dobrach kultury.

– Nie mam takich informacji. Ale nawet jeśli się pojawił, to wątpię, aby cokolwiek wywiózł. Po wyjeździe Schaffgotschów na ich polecenie służba wszystko ukryła, z przekonaniem, że rodzina hrabiego wróci zaraz po wojnie.

– A może ktoś ze służby oddał Rosjaninowi część bogactw, aby kupić za to życie? – spytał Kuba, marszcząc brwi.

Profesor zrobił bezradną minę.

– Nic mi o tym nie wiadomo – oświadczył. – Myśli pan, że coś takiego nastąpiło i mogło mieć związek z muzyką? Dlaczego akurat z nią?

– Rosjanin, przysłany do Grodkowa, był wybitnym kompozytorem. Z pewnością zna pana Arama Chaczaturiana.

Tym razem Erhardt otworzył usta ze zdumienia.

– Znam. Oczywiście, ale nie słyszałem, aby był wtedy w Kopicach. No cóż – dodał – chyba niewiele panu pomogłem.

– W mojej pracy każda rozmowa jest cenna.

– Dyplomata z pana – stwierdził Erhardt, wręczając mu wizytówkę. – To jest mój prywatny numer, nie musi mnie pan szukać przez uniwersytet. Gdyby miał pan jeszcze jakieś pytania, proszę dzwonić.

– Dziękuję. Pójdę już.

– Do widzenia. Odprowadzę pana do drzwi.

Jakub Kania wyszedł przed gmach uczelni i zerknął na telefon komórkowy. Do pociągu do Warszawy miał jeszcze trzy godziny. Doskonała okazja, aby przespacerować się na dworzec wzdłuż Utner den Linden i zerknąć w kilka co ciekawszych miejsc.

Ruszył w kierunku alei, gdy usłyszał za sobą czyjeś wołanie.

Odwrócił się.

W jego kierunku biegł Erhardt, z trudem panując nad długim szalem, który koniecznie chciał mu się wymknąć i ulecieć ze złośliwym wiatrem znad Sprewy.

Kuba zrobił kilka kroków w jego kierunku.

– Coś sobie przypomniałem – wysapał profesor, starając się opanować zadyszkę. – Nie wiem, może to ważne.

Odczekali kilka chwil.

– Zaintrygował mnie pan tym wątkiem muzycznym – powiedział. – Gdzieś wyczytałem, że w którąś tam rocznicę ślubu Joanny i Hansa Ulryka w pałacu w Kopicach odbył się wielki koncert. Służba długo szeptała o nim legendy. Zaproszono filharmoników z Wrocławia. Wie pan, czarne fraki, dyrygent i tak dalej.

Jakub Kania przytaknął, z grzeczności, choć oprawa koncertu mało go interesowała.

– Dlaczego służba szeptała o tym legendy? – spytał.

– Ano właśnie – odparł Erhardt. – Bo na widowni w sali balowej była tylko dwójka słuchaczy. Hrabia Schaffgotsch i jego żona. Nikt więcej. Filharmonia wrocławska grała tylko dla nich, wyobraża pan sobie? Natomiast kamerdynerom, pokojówkom i reszcie pałacowego personelu przykazano pod groźbą utraty pracy, aby nikomu o tym nie wspominać. A jak pan wie, utajnione wiadomości rozchodzą się najszybciej.

## 2.

Tomasz Kern wyszedł z kontenera, który zastępował biuro jego niewielkiej firmy ogrodniczej, i z satysfakcją rozejrzał się po placu.

Od kiedy ziemia rozmarzła na dobre, wśród donic z drzewkami i krzewami kręciło się coraz więcej ludzi. Ciepła końcówka marca była dobrą porą chociażby na sadzenie żywopłotów z roślin liściastych, a żadne konkurencyjne gospodarstwo w okolicy nie miało tak dorodnych buków, grabów i leszczyn. Tomasz z zadowoleniem nabrał w płuca wiosennego powietrza i właśnie zamierzał szeroko się uśmiechnąć, gdy jego uwagę przyciągnęła sylwetka mężczyzny nieco przysłonięta przez rozłożysty srebrny świerk.

Radość Tomasza pękła, jakby była mydlaną bańką. Wykonał piruet szybszy niż łyżwiarze figurowi i zamierzał czmychnąć do biura, ale zawadził o drut do wiązania plastikowych worków z sadzonkami i runął jak długi na ziemię. Przez dłuższą chwilę leżał z zamkniętymi oczami, dochodząc do wniosku, że ziemia wcale nie jest jeszcze ogrzana. Kiedy uniósł powieki, ujrzał nad sobą rękę mężczyzny, który był przyczyną jego upadku.

– Podaję panu pomocną dłoń – odezwał się Jakub Kania. – Choć wcale pan na to nie zasłużył.

Kilkoro gapiów zwabionych incydentem nastawiło uszu.

Tomasz zerwał się na równe nogi, jakby ziemia, na której leżał, była rozgrzana do czerwoności.

– Chodźmy do biura – zaproponował, otrzepując ubranie.

Kuba w milczeniu skinął głową, choć miał wielką ochotę nazwać go oszustem w obecności tych wszystkich przysłuchujących się ludzi.

– Jednak pan nie wyjechał – stwierdził Kern, zamykając drzwi od wewnątrz.

– Słyszę pretensję? – spytał Kuba, marszcząc czoło. – Ma pan do mnie żal, że nie dałem się wyprowadzić w pole panu i pańskim podstawionym świadkom?

– Nikogo nie podstawiałem.

– Nie? A pani bibliotekarki też nie?

Kern zmieszał się jeszcze bardziej niż na placu.

– Ją poprosiłem o tylko to, aby nie wspominała o moim dziadku. Pani Rosner ma długi język. Nie chciałem, aby powtarzała plotki.

– O tym, że pański dziadek kolaborował z Sowietami?

Tomasz ciężko opadł na krzesło za biurkiem.

– Czego pan chce?

– Prawdy. Konkretnie tej, którą pan przede mną ukrył.

Kern na moment schował twarz w dłoniach.

– Jesteśmy starą i szanowaną rodziną – powiedział niemal błagalnym tonem. – Mieszkamy tu od pokoleń i zawsze cieszyliśmy się nieskazitelną opinią. Kernowie stawiani byli za wzór...

– Proszę zostawić tę laudację na inną okazję – przerwał mu Kuba. – Mnie interesuje to, co się wydarzyło zaraz po wejściu Armii Czerwonej.

Tomasz nie odpowiedział.

– Czy pan zdaje sobie sprawę, że utrudnianie śledztw IPN też ma swoje konsekwencje prawne? Może dokończymy tę rozmowę w obecności prokuratora?

Kern spojrzał na niego wzrokiem zbitego psa.

– Dobrze. – Przestraszył się. – Mogę powiedzieć tylko to, czego dowiedziałem się od mojego taty. W czterdziestym piątym był już dużym chłopcem, dzieci w czasie wojny dojrzewały szybciej. Wiele pamięta, ale jest po udarze. Cierpi na afazję. Nie mówi. Napisał mi parę rzeczy na kartce, ale to dla niego trudne. Nie tylko fizycznie. W końcu oskarżenia rzucono na jego ojca. Przez całe życie go to prześladowało.

– Niech pan mówi wszystko, co pan wie.

Kern wziął głęboki oddech.

– Pierwsi żołnierze sowieccy, którzy przyjechali do Kopic, byli pijani. Splądrowali pałac w poszukiwaniu kosztowności, które dało się schować w kieszeniach waciaków lub w workach przytroczonych do pleców. Nie mieli czasu na szaber. Spieszyli się. Moi dziadkowie opowiadali, że żołdaci wypróżniali się na drogocenne dywany. Przez cały czas dodawali sobie animuszu, krzycząc „na Berlin!”. Mimo że mieli mapy, byli przekonani, że do stolicy Trzeciej Rzeszy jest już niedaleko. Potrzeba jej zdobycia

działała na nich jak amfetamina. Mogli nie jeść i nie spać. Byle dopaść Hitlera.

– Po nich przyszli kolejni – domyślił się Kuba.

Tomasz potwierdził.

– Tak. Ci, którzy zostali w Grodkowie i rządili w mieście. Oni się nie spieszyli.

– Wywozili coś z pałacu?

– Tego nie wiemy. Babcia, dziadek, a nawet mój ojciec zostali aresztowani przez NKWD. Rusczy chcieli ich rozstrzelać.

– Ale uratował ich człowiek, którego zdjęcie panu pokazałem, prawda?

Kern drgnął.

– To pan wie?

– Wiem. Nie udało się panu tego zatuszować.

– Kto to panu powiedział?

Kuba zrobił rozbijającą minę.

– Serio? Próbował pan mataczyć, a ja mam panu ujawniać moje źródło?

Tomasz Kern zwiesił głowę.

– Głupio postąpiłem – wyznał. – Ale proszę mi wierzyć, chciałem chronić dobre imię rodziny. Myślałem, że nie znajdzie pan żadnych śladów tego Rosjanina i po prostu stąd wyjedzie. I wszystko zostanie po staremu. Nikt już prawie nie pamięta zarzutów, jakie ciążyły na moim dziadku. Nie chciałem na nowo rozgrzebywać tej sprawy.

– Co tak naprawdę wtedy zaszło? – Kuba puścił jego usprawiedliwienia mimo uszu. – To nie jest oficjalne przesłuchanie, niemniej szczerze radzę powiedzieć prawdę. Słucham.

Kern spojrzał na niego z nadzieją.

– Gwarantuję, że dowie się pan wszystkiego, co zachowało się w pamięci mojej rodziny. Pomogę panu – zadeklarował.

– Już raz pan to mówił – skrzywił się Kuba.

Tomasz uniósł się honorem.

– Wie pan co? Chciałem uchronić mojego ojca przed tymi trudnymi wspomnieniami, ale skoro tak pan stawia sprawę, to proszę bardzo.



Jedźmy do niego. Nawet zaraz. Kernowie nie mają nic do ukrycia.

Kuba doszedł do wniosku, że Tomasz musiał chodzić na lekcje politycznej retoryki razem z żoną.

– Przecież pański ojciec nie mówi – przypomniał taktownie.

– Ale pisze. – Kern był wyraźnie zaciętrzewiony. – Proszę bardzo – powtórzył, wskazując drzwi od kontenera.

### 3.

Guziki świeżo wyprasowanej koszuli były znacznie bardziej odporne niż przed udarem, mimo to Hubert Kern walczył z nimi, nie pozwalając żonie, aby mu pomogła.

Telefon Tomasza i informacja, że w ciągu pół godziny przyjedzie z prokuratorem IPN, wywołały burzę. Gwałtowne sprzątanie, upychanie do szaf ubrań wiszących na krzesłach i sprawdzanie, czy jest kawa do ekspresu – wszystko to działo się jak na przyspieszonym filmie. W czasie gdy żona próbowała zamienić dom we wzorzec mieszczańskiego porządku, Hubert usiłował obronić tezę, że Kernowie nie przyjmują gości w spodniach od dresu i w szlafrokach frotte. Pokonał przedostatnią dziurkę koszuli i zabrał się za przerzucanie krawatów, ale w tym samym momencie w holu rozległ się gong. Nastawił uszu, wyławiając dźwięk przekręcanych przez żonę drzwi i powitań.

Tomasz wykonał zapraszający gest i puścił Jakuba Kanię przodem.

Kuba przekroczył próg i przez chwilę stał zdezorientowany, patrząc na nieskazitelną czystość podłogi. Z opresji wybawiła go pani domu. Sięgnęła do szafki połączonej ze ściennym wieszakiem i podała mu parę kapci.

– Będzie panu wygodniej – uznała.

Gość podziękował, przyklęknął, rozsznurował buty i zastąpił je filcowymi płetwami, w których najbezpieczniej było poruszać się tak, jak tego uczą instruktorzy narciarstwa biegowego.

Dom był niewielki, ale schludny. Mógł mieć około stu lat i Kuba domyślił się, że to ten budynek, do którego pozwolono Kernom przenieść

się z obory, gdzie mieszkali po wyrzuceniu ich z dworku Schaffgotschów. Zachęcony przez Tomasza, wszedł na skrzypiące schody prowadzące do pokoju ojca.

Hubert Kern siedział wyprostowany na kanapie, z której właśnie usunięto pościel, o czym świadczył niewielki strzęp pierza, jaki pozostał na tapicerce. Na stoliku przed nim leżał blok papieru i cienki flamaster. Był przygotowany.

Jakub Kania wyjaśnił mu cel swojej wizyty.

Ojciec Tomasza słuchał w skupieniu, starając się nie uronić ani jednego szczegółu, po czym wykonał gest zachęcający do zadawania pytań. Dawało się wyczuć, że nie jest zachwycony wizytą prokuratora IPN, ale pewnie poddał się presji syna i po prostu chciał mieć to już za sobą.

Kuba lekko skinął głową. Znał techniki przesłuchań i doskonale sobie z nimi radził, ale tym razem sytuacja wymagała szczególnej ostrożności. Starszy, schorowany człowiek mimo pozorów uprzejmości był spięty i przestraszony. Jeśli ta rozmowa ma przynieść jakiś rezultat, muszę być pokornym cielęcim, a nie drapieżnikiem – uznał Kuba. Żadnych pytań przypierających do muru, żadnych podchwytliwych zagrywek, żadnej presji. Hubert Kern jest u siebie, muszę dać mu do zrozumienia, że to on dyktuje warunki, a ja się dostosowuję, tak jak dostosowałem się do zdjęcia butów i założenia kapci. Jeśli czegoś się od niego dowiem, to tylko wtedy, gdy uzna, że to on panuje nad sytuacją.

Uśmiechnął się przyjaźnie i spytał:

– Tomasz powiedział mi, że pod koniec wojny był pan już dojrzałym i mądrym chłopcem. Ile pan miał wtedy lat, jeśli wolno spytać?

Hubert sięgnął po flamaster i napisał cyfrę „7”.

Kuba zrobił minę pełną aprobaty i z rozwagą saperską wkraczającego na pole minowe pytał dalej:

– Czy to prawda, że początek lutego, kiedy Rosjanie wkraczali do Kopic, był wyjątkowo mroźny?

Stary Kern spojrział na niego nieco zaskoczony i potwierdził ruchem głowy.

– Czyli dobrze pan te dni pamięta – bardziej stwierdził niż zapytał prokurator IPN.

Hubert przymknął powieki i w tej samej chwili sceny sprzed sześćdziesięciu dziewięciu lat wyświetliły się w jego pamięci jak dawno nieoglądany, ale dobrze znany film.

Najlepiej zapamiętał jego ścieżkę dźwiękową. Ogłuszające eksplozje pocisków i jazgot karabinów maszynowych.

Rosjanie z furją atakowali drogę prowadzącą do Nysy, przy której równie zaciekle bronili się Niemcy. Kanonada wypełniała każdą chwilę, każdy kąt i każdą myśl. Nie dało się od niej uciec, nawet zatykając uszy dłońmi. Trwała do wieczora i nagle się skończyła niczym ucięta nożem. Świat wypełniła złowroga cisza, której nikt nie śmiał zakłócić pytaniem, jakie zadawali sobie wszyscy: co teraz nastąpi?

Mały Hubert widział panikę, którą rodzice starali się przed nim ukryć, gorączkowo przygotowując się na przyjście Rosjan. I to przerażało go najbardziej. Wolałby już, żeby krzyczeli albo płakali. Łzy zawsze przynoszą ulgę. Tymczasem w domu Kernów gęstniał lęk, który stawał się coraz bardziej lepki i duszący.

Po kwadransie usłyszeli warkot silnika motocykla, który zamilkł tuż przed gankiem i zastąpiły go odgłosy butów kilku biegnących ludzi.

Do salonu wpadło trzech ruskich żołnierzy uzbrojonych w pistolety maszynowe gotowe do strzału. Byli brudni i zmęczeni. Śmierdzieli wódką. Zatrzymali się na chwilę, oceniając sytuację, po czym jeden z nich ruchem lufy zagarnął Kernów w róg pokoju i wymierzył w nich pepeszę. Dwaj pozostali rzucili się do kuchni, gdzie matka pozostawiła na stole skromny poczęstunek powitalny: gotowane ziemniaki, wazę z żurem, pokrojony chleb i miseczkę marmolady. Czerwonoarmiści zaczęli to wszystko pochłaniać ze zwierzęcą żarłocznością.

Ten, który pilnował Kernów, krzyczał w ich stronę, pewnie domagając się swojej części, ale nie zwracali na niego uwagi. Wściekły zarzucił pasek pepeszy na ramię i ruszył w stronę kuchni. Wybuchła tam jakaś

szamotanina, po czym Rosjanie wypadli z domu bez słowa. Sołdat, który trzymał rodzinę pod pepeszą, pogroził im tylko pięścią.

Cisza, która nastąpiła później, była gorsza od tej pierwszej. Trwała trzy, może cztery dni – Hubert nie potrafił już sobie przypomnieć. Pamiętał tylko, że bali się wychodzić z domu, nawet palić w piecach, żeby Rosjanie nie wycelowali armaty, kierując się słupem dymu z komina. Spali w grubych ubraniach. I czekali na swój los.

Parę dni później, z samego rana, znów usłyszeli warkot silników.

Ojciec dyskretnie uchylił firankę. Powiedział, że w stronę pałacu Schaffgotschów jadą sowiecki gazik i ciężarówka.

– Do nas też przyjadą – stwierdził. – Trzeba się przygotować.

Nie tracąc ani chwili, zniknął w swoim pokoju, skąd po kwadransie wyszedł w eleganckim trzyczęściowym garniturze, białej koszuli i krawacie. Na nogach miał starannie wypastowane buty.

Matka załamała ręce.

– Czyś ty oszalał? – spytała zdenerwowana. – Trzeba się było oblec w najgorsze szmaty do pracy w ogrodzie. Przecież to są bolszewicy!

Hubert słyszał to słowo wiele razy i zawsze brzmiało groźnie. Tak bardzo, że bał się zapytać, co właściwie znaczy. Teraz zastanawiał się, czy bolszewicy to ludzie, którzy nie lubią eleganckich ubrań, ale uznał, że to nie jest odpowiednia chwila na takie rozważania. Siedział skulony w zagłębieniu wielkiej sofy, głaszcząc psa, który też wyczuwał napięcie i drżał na całym ciele.

Ojciec popatrzył dziwnym wzrokiem, pobladł i odwrócił się w stronę schodów, aby pójść na górę i się przebrać. Nie zdążył.

Przed dom zajęchała ciężarówka z czerwoną gwiazdą i do salonu weszło dwóch Rosjan. Żołnierz z karabinem i dowódca, trzymający w dłoni wielki rewolwer. Obaj mieli długie szarozielone płaszcze i uszanki.

Ci się nie spieszyli.

Dowódca w milczeniu sprawdził pomieszczenia na parterze, po czym podszedł do ojca i przytknął mu broń do piersi.

– Ty graf? – spytał.

– Nie – odparł ojciec po polsku. – Graf Germaniec. Uciekł. My Polaki.

Rosjanin myślał przez moment, analizując sytuację, po czym wetknął lufę rewolweru pod krawat ojca i szarpnięciem wyciągnął go zza kamizelki garnituru.

– Ty graf – uznał. Skinął na żołnierza i wydał mu rozkaz, którego Hubert nie zrozumiał, ale rozpacz, jaką ujrzał w oczach rodziców, mówiła sama za siebie. Żołnierz wrzasnął, aż pies czmychnął z kanapy w głąb domu z głośnym skowytym.

Kernowie zbili się w gromadkę i nie zareagowali na krzyk rozkazu, a wtedy dowódca uderzył ojca w twarz kolbą rewolweru. Matkę chwycił za włosy i wyciągnął na zewnątrz.

Był siarczasty mróz, ale nie czuli zimna.

Patrzyli na żołnierzy, kryjących niedopałki w rękawach szyneli i powoli formujących pluton egzekucyjny.

Wtedy na końcu alejki od strony pałacu pojawił się wojskowy łazik. Siedziało w nim dwóch oficerów i śniady mężczyzna w waciaku, bez dystynkcji. Gdy auto stanęło przed domem, wszyscy wysiedli. Żołnierze i ich *kamandir* z rewolwerem wyprężyli się baczność.

Najwyższy stopniem oficer zamienił z nim kilka słów, po czym wskazał dłonią ojca Huberta Kerna i poinformował mężczyznę w waciaku:

– Graf.

– Nie graf – odważył się zaprotestować ojciec. – Polak. Pracowałem u grafa.

Śniady Rosjanin podszedł do niego. Rozmawiali przez chwilę, ale Hubert nie wiedział o czym. Zrozumiał tylko słowo muzyka i dostrzegł, że twarz człowieka w waciaku wyraźnie się rozpogodziła.

W głowie mu huczało i nagle poczuł, jak bardzo dotkliwy jest chłód. Spod egzekucyjnego muru wracał na stronę życia.

#### 4.

Ze wspomnień wyrwało Huberta Kerna wymowne chrząknięcie prokuratora IPN.

– Dowiedziałem się od lokalnego dziennikarza – oświadczył Kuba – że przed śmiercią z rąk żołnierzy Armii Czerwonej uratował pana i pańskich rodziców jakiś wysoko postawiony Rosjanin...

Hubert drgnął i odwrócił się w stronę syna, jakby szukał u niego ratunku.

Tomasz otwierał usta, aby coś powiedzieć, ale Kuba go uprzedził.

– Panie Kern – oświadczył, patrząc Hubertowi prosto w oczy, choć ten nie wytrzymał spojrzenia. – Ja nie stawiam zarzutów o kolaborację z Sowietami, które padły pod adresem pańskiego ojca. Mało tego. Nie wierzę w nią. Jestem prawnikiem i opieram się na dowodach, nie plotkach. Poza tym przyjechałem z panem porozmawiać, a nie pana przesłuchiwać. Dlatego liczę na szczerość.

Hubert podniósł wzrok, doceniając wyznanie, a następnie napisał na kartce bloku:

„Tak. Ocalił nas Rosjanin”

– Czy to ten człowiek? – Kuba wyjął z portfela fotografię i uniósł ją na wysokość oczu.

Starszy Kern spojrzał i opuścił powieki na znak potwierdzenia.

– Wie pan, kto to jest?

Przecząco pokręcił głową.

– Aram Chaczaturian – stwierdził Kuba. – Słynny kompozytor.

Zdumienie w oczach Huberta Kerna odpowiedziało za niego. Stary sięgnął po fotografię i wpatrywał się w nią, wyraźnie poruszony. Tomasz delikatnie wyjął mu odbitkę z dłoni i teraz on ją studiował, zszokowany nie mniej od ojca.

– Znałeś jego nazwisko, tato?

Hubert przecząco pokręcił głową.

Kuba wziął głębszy oddech.

– Pański ojciec był zaufanym Schaffgotschów, prawda?

Kern podniósł flamaster i otoczył obwódką słowo „tak”, które już widniało w bloku.

– Wiedział, gdzie w pałacu znajdowały się najcenniejsze przedmioty – stwierdził prokurator IPN.

Hubert rzucił się na kanapie jak oparzony.

– Spokojnie. – Kuba położył mu dłoń na kolanie. – Żeby była jasność – powiedział. – Wiem doskonale, że pański ojciec nie mógł wskazać Rosjanom miejsca ukrycia skarbów Schaffgotschów, bo odnaleźli je polscy rabusie. Rok później.

Stary Kern był coraz bardziej zdezorientowany.

– A jednak Chaczaturian go odwiedzał – kontynuował Kuba. – Często bywał w Kopicach?

„W pałacu” – napisał Hubert.

– A u was w domu?

„Parę razy”.

– No właśnie – podsumował prokurator IPN. – Coś ich z pańskim ojcem łączyło. Może nawet się polubili. Dlatego ludzie ukuli teorię o kolaboracji. Domyśla się pan, co to mogło być?

„Nie” – napisał Kern, a obok dodał: „A pan?”

Tym razem Kuba pokiwał głową.

– Myślę, że było to wspólne zamiłowanie do muzyki.

Hubert zastanawiał się przez chwilę, a potem twarz mu pojaśniała. Tak, ta teoria miała ręce i nogi.

– Rozumiem, że muzyka w czasach pana ojca odgrywała w pałacu dużą rolę? – upewnił się Kuba.

Starszy pan wykonał nieokreślony gest, dając do zrozumienia, że nie widzi w tym niczego dziwnego.

– Pytam – rzekł Kuba – bo od niemieckiego historyka, zajmującego się przeszłością rodu, dowiedziałem się, że kilka lat po tym, gdy Joanna z Hansem Ulrykiem kupili Kopice, w pałacu odbył się dość osobliwy koncert. Zaproszono orkiestrę filharmonii wrocławskiej, która zagrała tylko dla nich dwojga. Kernowie już wtedy byli tu nadwornymi kapelmistrzami. Czy we wspomnieniach pańskiej rodziny zachowała się jakaś wiedza na temat tego wydarzenia?

Hubert myślał.

Parokrotnie sięgał po flamaster i go odkładał.

Wreszcie napisał: „Słyszałem o tym. Nasz przodek organizował”

– Dlaczego ten koncert był objęty sekretem i nie pozwolono mówić o nim służbie? – spytał Kuba.

„Muzyka tylko dla nich” – napisał Hubert Kern.

Kuba się ożywił.

– Chce pan powiedzieć, że ktoś skomponował dla rodziny Schaffgotschów coś unikalnego?

Hubert skinął głową.

– Kto?

„Nie wiem” – nakreślił w bloku i obok dopisał: „Tajemnica”

– Tato – wtrącił się Tomasz. – Gdy byłem mały, opowiadałeś mi, że rodzina Schaffgotschów miała swoją ulubioną melodię. Pamiętasz? Pradziadek czasami ją grał ze słuchu i ty też ją znałeś.

Ojciec spojrział na niego i potwierdził.

– Mógłbyś ją zagrać? Zejdziemy do salonu?

Hubert Kern wpadł w lekki popłoch, ale uległ namowom syna, który pomógł mu wstać i zejść po schodach. Usunął z pianina koronkowe serwetki i otworzył klapę klawiatury.

Starszy pan usiadł do instrumentu i wyciągnął dłonie. Drżały. Tkwił tak przez kilka chwil, walcząc z nimi jak przy zapinaniu guzików koszuli, ale tym razem okazało się to trudniejsze. Wreszcie zacisnął pięści, a po policzkach pociekły mu łzy bezsilności.

Kuba wpatrywał się w niego z napięciem, które powoli ustępowało miejsca współczuciu.

– Pójdę już – powiedział po chwili. – Proszę odpocząć. Bardzo mi pan pomógł. Dziękuję.

Ojciec Tomasza rzucił mu krótkie przeproszające spojrzenie i ruszył w stronę schodów. Odsunął rękę syna, który usiłował ująć go pod ramię.

– Odprowadzę pana – stwierdził Tomasz.

Pożegnali się i wyszli.



– Dziękuję, że w ten sposób podszedł pan do tematu dziadka. Co myśmy się z tego powodu nacierpieli. Za komuny ludzie milczeli, bo się bali. Ale potem, gdy Polska przestała być zależna od ZSRR, lawina ruszyła. Dziadka oskarżano o oddanie Rosjanom pałacowych skarbów. I o to, że donosił NKWD, który z sąsiadów był w niemieckim wojsku. Że niby przez niego ludzie trafiali do obozu w Grodkowie. Przez te wszystkie pomówienia mój tato dostał udaru.

Kuba milczał przez całą drogę, która dzieliła ich od samochodu Tomasza.

– Powtórzę raz jeszcze – stwierdził, otwierając drzwi pasażera. – Nie wierzę, że pański dziadek wydał Chaczaturianowi kosztowności Schaffgotschów. Ale – zaznaczył zapinając pasy – od jakiegoś czasu chodzi mi po głowie hipoteza, że może z wdzięczności za uratowanie życia podarował rosyjskiemu kompozytorowi coś, co sprawiło mu szczególną przyjemność.

– Co pan ma na myśli?

– Nuty – westchnął Kuba. – Wymyśliłem hipotezę z unikalnymi nutami, chyba samemu w nią nie wierząc, a pański ojciec właśnie ją potwierdził. Tajemniczy utwór muzyczny skomponowany na prywatne zamówienie hrabiostwa istniał naprawdę.

Tomasz, który zdążył przekręcić kluczyk w stacyjce, wyłączył silnik.

– To ma sens – stwierdził z przekonaniem.

– Jeśli tak było – zastanowił się Kuba – pozostaje kwestia odpowiedzi na pytanie, kto napisał dla Schaffgotschów muzykę graną podczas tajemniczego koncertu? To musiał być ktoś bardzo znany.

Tomasz się zamyślił.

– W Grodkowie mieszkał Józef Elsner – oświadczył po chwili. – Wielki kompozytor. Mój praprapradziadek się z nim przyjaźnił.

Kuba spojrział na niego z zaciekawieniem, ale zaraz przybrał minę księgowego, któremu nie zgadza się bilans.

– Nie... – stwierdził. – On nie. Chaczaturian by się na niego nie połakomił. Ale na jego ucznia...

– Fryderyka Chopina! – ogłosił Tomasz tonem odkrywcy.

Jakub Kania sięgnął po telefon i uruchomił wyszukiwarkę internetową.

– Daty się nie zgadzają – oświadczył po chwili.

– Jakie daty?

– Skoro zakładamy, że nuty zostały napisane na prywatne zamówienie rodziny – wyjaśnił Kuba – to coś takiego musiałyby być uzgodnione z kompozytorem osobiście. Tak czy nie?

Tomasz przyznał mu rację.

– No właśnie. Tymczasem Chopin umarł, gdy Joannie Gryzik nawet się nie śniło, że będzie kiedyś panią na Kopicach, bo miała wtedy siedem lat.

Kern w milczeniu bębnił palcami w kierownicę.

– A może zamówili je Schaffgotschowie? Rodzice jej przyszłego męża? – podsunął myśl.

– Nie sądzę – stwierdził Kuba – żeby Chopin komponował dla Prusaków. Jeśli już, to skłonny jestem uwierzyć, że Joanna odziedziczyła te nuty po swoim dobroczyńcy Karolu Goduli. Jakby nie było, przypadł jej w udziale cały jego majątek.

– Na pewno tak było! – Tomaszowi wrócił entuzjazm. – Musiały być w jej posiadaniu, a potem wniosła je w posagu do małżeństwa z Hansem Ulrykiem. Czyli jesteście w domu! Podczas sekretnego koncertu filharmonicy grali w Kopicach Chopina i to on jest kompozytorem melodii Schaffgotschów, o której wspomniał tato.

Nagle spochmurniał.

– Myśli pan, że dziadek dał te nuty Chaczaturianowi?

– To nie jest powiedziane – orzekł Kuba. – Przypomnę, że jeszcze godzinę temu był pan gorącym zwolennikiem teorii, że Rosjanin uratował mu życie z czystej sympatii, bo mieli wspólne pasje muzyczne. Może i tak było. Może te nuty nadal tam są. – Wskazał dłonią widniejące w oddali ruiny pałacu.

– To byłaby sensacja! – Tomasz miał dziś prawdziwą huśtawkę nastrojów. – To byłaby promocja Kopic, gdybyśmy je znaleźli!

– My? – zdziwił się Kuba.

– Mówiłem, że panu pomogę, to pan nie chciał wierzyć. Proponuję przyjaźń i współpracę. – Wyciągnął rękę.

Kuba uściśnął jego dłoń.

– Iwonka oszaleje z radości. Kolejne wybory miałyby wygrane w cuglach.

Prokurator IPN chrząknął, po raz kolejny gryząc się w język. Człowiek siedzący obok niego w samochodzie był modelowym przedstawicielem gatunku ludzi, którzy święcie wierzą w to, w co im wierzyć najwygodniej.

Tomasz Kern uruchomił silnik i ruszył w stronę Grodkowa.

## 5.

Dyrektor pionu śledczego Instytutu Pamięci Narodowej sięgnął po arkusz papieru z podajnika drukarki i ułożył go przed sobą, równając do krawędzi blatu. Następnie wydobył z szuflady dwa różnokolorowe cienkopisy i skrzyżował je na papierowej płaszczyźnie, jakby szykował się do jakiegoś masońskiego rytuału. Cały IPN wiedział, że kiedy dyrektor miał do rozwiązania trudną kwestię, musiał ją sobie rozrysować.

– Dobrze. Jeszcze raz – zwrócił się do siedzącego naprzeciwko Jakuba Kani. – Czyli nie znalazł pan żadnego potwierdzenia zbrodniczej działalności Arama Chaczaturiana w Grodkowie.

Kuba położył dłoń na zbindowanym dokumencie, składającym się z kilkunastu kartek.

– Wszystko jest w raporcie, panie dyrektorze.

– Wszystko, czyli nic – ocenił przełożony z wyczuwalnym sarkazmem.

– Powierzył mi pan zadanie znalezienia i udokumentowania dowodów, a nie ich fabrykowania – odciął się Kuba.

Przełożony rzucił mu niechętnie spojrzenie.

– Ilu świadków pan przesłuchał?

– Ośmiu. W zasadzie dziewięciu.

– To ośmiu czy dziewięciu? – Dyrektor zawiesił cienkopis nad kartką papieru.

– Ośmiu przesłuchałem. Natomiast to, co ujawnił dziewiąty, zapisałem swoimi słowami, bo ten człowiek nie mówi. Jest po udarze.

– To jak powiedział, skoro nie mówi?

– Pisał na kartce.

Dyrektor popatrzył podejrzliwie na trzymany w dłoni pisak, jakby było to narzędzie wspomaganie niepełnosprawności.

– I czego się pan on niego dowiedział?

– Jako jedyny ze świadków miał bezpośredni kontakt z Chaczaturianem. Uratował jego i jego rodziców przed rozstrzelaniem. Ale nie działo się to w Grodkowie, tylko osiem kilometrów dalej, w Kopicach. Ojciec tego człowieka pracował tam jako ochmistrz i nauczyciel muzyki u miejscowego grafa, który wraz z rodziną opuścił pałac tuż przed wejściem Armii Czerwonej. Zostawili wszystkie cenne rzeczy. – Kuba zerknął na dyrektora, który rysował na kartce swoje tradycyjne kółka i wypełniał je słowami. Na zielono. Dobry znak. Drugi, czerwony pisak był do negatywnych spostrzeżeń.

– Moim zdaniem, panie dyrektorze, Chaczaturian przyjechał do Grodkowa z zadaniem wybrania i wywiezienia w głąb ZSRR najcenniejszych dzieł sztuki. To była misja specjalnego wysłannika NKWD. Świadek z Kopic też jest tego zdania.

– Dobrze i to – stwierdził dyrektor. – Są dowody?

– Rozmawiałem ze świadkiem przedwczoraj. To świeża sprawa. Mogę pójść jej tropem, jeśli pan wyrazi zgodę.

Przez chwilę Kuba zastanawiał się, czy nie wspomnieć o hipotezie istnienia nieznanymi nut Chopina, ale wolał nie robić nadziei. W razie niepowodzenia mogła się ona obrócić przeciwko niemu.

Przełożony bił się z myślami. Kreślił na czerwono jakąś figurę geometryczną i wypełniał ją sobie tylko znanymi symbolami. Wreszcie sięgnął po zielony cienkopis. Wymalował nim wielką jedynekę, którą wskazał Kubie palcem.

– Ma pan miesiąc. I ani dnia dłużej.

## 6.

W tym samym czasie we wrocławskim hotelu niedaleko Ostrowa Tumskiego Maarten van Daas doszedł do wniosku, że Iwona Kern mogłaby pozować dla „Playboya”.

Pani radna leżała na brzuchu w poprzek łóżka rozmiaru king size, podparta na łokciach i beztrąsko machająca nogami zgiętymi w kolanach, co służyło jej zgrabnym pośladkom. Na sobie miała jedynie kolczyki.

Maarten usiadł obok niej i opuszką małego palca lewej dłoni pokonał trasę między karkiem, a biegunem południowym kręgosłupa, co zawsze wywoływało u Iwony gęsią skórę.

– Jemu też się tak pokazujesz? – spytał, pochylając się i muskając jej ucho czubkiem języka.

– Od lat nie widział mnie nago – wyznała, co nie uchroniło jej od klapsa.

Uwielbiała to. Idealnie wyważone między żartem a skarceniem kłaśnięcie męskiej dłoni, po którym przez chwilę pozostawało pieczenie skóry, a znacznie dłużej podniecenie.

– Za co? – udała oburzenie, choć marzyła o powtórce.

– Na zapas – powiedział. – Na wypadek, gdyby przyszło ci do głowy się przed nim rozbierać.

– Jesteś zazdrosny – stwierdziła z dumą. – Ale zapewniam cię, kocie, że nie masz o kogo. Muszę was chyba poznać, żebyś to zrozumiał.

Maarten pogroził jej palcem.

Nieraz miał romanse z mężatkami i śmiał się w duchu z tych wszystkich zapewnień, że nie sypiają z mężami w jednym łóżku, a jeśli już, to pod osobnymi kołdrami.

Jakby pod wpływem telepatii komórka Iwony zaczęła wibrować na stoliku, a ekran poinformował, kto dzwoni. Tomasz.

Maarten udał złość i przymierzył się do klapsa, ale przekreśliła się na bok i częściowo nakryła narzutą. Położyła palec na ustach i wybrała tryb głośnomówiący.

– Tomek, streszczaj się, zaraz mam spotkanie.

– Nie uwierzysz, co się dziś stało – powiedział jej mąż, a Maarten nadał policzki i zaczął wykonywać małpie gesty.

– Może i nie uwierzę – odparła. – Zaskocz mnie.

– Ten prokurator IPN nie wyjechał i dalej prowadzi dochodzenie.

Iwona zrobiła triumfującą minę. Wyprostowała kciuk, uniosła go w górę na znak zwycięstwa, a potem skierowała w swoją stronę, dając Maartenowi do zrozumienia, że to jej zasługa.

– To słabo – powiedziała do telefonu. – Liczyłeś, że masz go z głowy. Co za upierdliwy typ.

– Nie jest tak źle – stwierdził Tomasz. – Chyba się dogadaliśmy.

– Nooo... – Iwona przeciągnęła samogłoskę. – To rzeczywiście mnie zaskoczyłeś.

Maarten przestał się wygłupiać i słuchał w skupieniu.

– Zaskoczę cię jeszcze bardziej, kochanie moje – zapowiedział Tomasz, a ona zainscenizowała gest wkładania do ust dwóch palców, aby wywołać torsje.

– Zamieniam się w słuch.

– Wyobraź sobie, że on przypuszcza, że w ruinach pałacu w Kopicach mogą być ukryte nieznane nuty Fryderyka Chopina.

– Jakim cudem? – spytała, spoglądając na zaintrygowanego Maartena.

– To może mieć związek z moim dziadkiem. Niewykluczone, że dał te nuty Rosjaninowi, którym interesuje się Kania. Ale może też być, że je ukrył w jakiejś pałacowej skrytce.

Maarten zmarszczył czoło.

– Twój ojciec by o tym nie wiedział? – dopytała Iwona.

– Okazuje się, że nie. Ale on zna jakąś prywatną melodię Schaffgotschów, która na bank jest dziełem Chopina. Tylko nie potrafi jej zagrać. Ręce odmawiają mu posłuszeństwa. Szkoda, bo wszystko by się wtedy potwierdziło. Że hrabiowie mieli dzieło Chopina napisane tylko dla nich. Kochanie, wiesz jaką kampanię wyborczą możesz zbudować na tej sprawie? Same te poszukiwania narobią rozgłosu na całą Polskę, a może i Europę.

Ale Iwona nie myślała w tej chwili o polityce.

– Kania będzie szukał tych nut?

– A nie znasz go? – Tomasz odpowiedział pytaniem na pytanie. – Sama powiedziałaś, że to upierdliwy typ. A wiesz, kto mu będzie w tym pomagał? Twój mąż – dodał z dumą.

Maarten posłał w jego stronę gest wyprostowanego palca, ale tym razem nie był to kciuk.

– No to nieźle – skomentowała Iwona, wpatrując się w kochanka, który w tej samej chwili potarł palce w międzynarodowym geście oznaczającym płacenie.

Zrozumiała.

– Tomek – powiedziała o wiele bardziej słodko niż w pierwszym zdaniu rozmowy. – Orientowałaś się może, ile mogą być warte takie nuty?

– Oczywiście, kochanie – zameldował Kern. – Przeczesałem dziś Internet i znalazłem informację, że parę lat temu z okazji jakiejś tam rocznicy minister kultury kupił w Londynie na aukcji rękopis mało znanego utworu Chopina. Zapłacił pół miliona funtów.

Iwona gwizdnęła.

– Jak ty mi teraz zaimponowałaś, Tomek – wykorzystała slogan z popularnej komedii, ale mąż najwyraźniej uznał, że to jej autorski komplement.

– Wiesz, że ja dla ciebie wszystko, kochanie – oświadczył tonem, z którego można by wytwarzać bezy.

Ale żona chyba nie przepadała za ich smakiem.

– Muszę kończyć. Pa – szepnęła z przejęciem, jakby właśnie wchodziła na trybunę sejmową, i rozłączyła się.

Maarten obgryzał skórkę przy paznokciu palca, który dwie minuty temu pokazywał Tomaszowi.

– No, słonko – zamruczał. – To w naszym chytrym planie pojawiła się wisienka na torcie.

Krótkim szarpnięciem ściągnął z kochanki hotelową narzutę.

Iwona Kern zaczęła piszczeć.

## 7.

Perspektywy rozwoju regionu w najbliższej dekadzie interesowały Iwonę Kern mniej więcej tak samo, jak estymacja cen kukurydzy w Ekwadorze.

Wierciła się na swoim fotelu w sali plenarnej sejmiku województwa, udając zainteresowanie obradami, ale myślami była zupełnie gdzie indziej. Od czasu do czasu zostawiała odcisk palca na ekranie komórki, wypatrując wiadomości od Maartena. Ale w skrzynce przybywało jedynie reklam.

Urok prepaidowego telefonu na kartę.

Chcesz być anonimowym abonentem, musisz otrzymywać oferty kredytów bankowych albo suplementów regenerujących wątrobę. Trudno. Reklamy można kasować bez czytania, za to telefon, którego nie da się powiązać z właścicielem, to super rozwiązanie. Idealne dla zamężnej pani polityk i zagranicznego biznesmena, z którym łączy ją duża inwestycja i jeszcze większa namiętność.

Pomyślała o wydarzeniach minionej nocy i zrobiło jej się błogo.

Boże, jak ona uwielbiała tego mężczyznę. Wysportowane, prężne ciało o idealnych proporcjach. Wojskowa przeszłość certyfikowana elitarnym tatuażem rozpoznawalnym na całym świecie. Inteligencja. Czułość i stanowczość zarazem. Te ostatnie spotykały się wczoraj, gdy Maarten rozmawiał przez telefon ze swoimi wspólnikami z Emiratów. Mówił płynnie po arabsku, uroczo akcentując miękkie zgłoski, a przy tym w jego tonie brzmiała siła i konsekwencja. Tamci ludzie po drugiej stronie połączenia mogliby go kupić wraz z hotelem i całym Ostrowem Tumskim, ale okazywali mu respekt. To się czuło.

Telefon na kartę idealnie służył zachowaniu tajemnicy.

Iwona słyszała o projekcie ustawy antyterrorystycznej, na jaką naciskali Amerykanie i która nakładałaby obowiązek rejestrowania każdego urządzenia telefonii komórkowej, ale do tego prowadziła jeszcze daleka i kręta droga. Tymczasem w Polsce nadal można się było cieszyć wolnością niekontrolowanych biznesów i romansów.

Wzięła udział w jakimś głosowaniu, nie wiedząc nawet, czego dotyczy, ale wystarczyło, że zauważyła poparcie marszałka i reszty radnych jej



partii. Identycznie jak oni podniosła rękę „za”, zerkając przy tym na zegarek, który nosiła na prawym przegubie. Posiedzenie zaczęło się trzy godziny temu. Na litość boską, ileż można pieprzyć bez sensu?

Kątem oka dostrzegła, że fotoreporter dziennika regionalnego kieruje w jej stronę obiektyw aparatu. Natychmiast sięgnęła po długopis i zaczęła coś zapisywać w jednym z notatników, które biuro marszałka rozłożyło na pulpitach uczestników obrad. Była fotogeniczna i gazeta często zamieszczała jej zdjęcia. Miała nadzieję, że tym razem też się tak stanie i czytelnicy zobaczą piękną, elegancką, ale przede wszystkim odpowiedzialną radną skupioną na sprawach regionu. Doskonale zdawała sobie sprawę, że na tego fotoreportera trzeba uważać. Był bystry i miał zawodowe oko. Nie wpadał na dwie minuty tylko po to, aby strzelić fotkę, jak inni. Spędzał w sali posiedzeń dużo czasu. Polował na ujęcia. Parę lat temu zrobił kilkanaście zdjęć radnym, którzy drzemali podczas sesji, a potem zamieścił je pod wspólnym tytułem *Sjesta sejmiku wojewódzkiego*.

A skoro Iwona Kern miała już w ręku długopis, postanowiła użyć go do doprecyzowania swoich planów.

„Chopin” – napisała w notatniku i przez kilka chwil rysowała obok wielki znak zapytania. Możliwe? Diabli wiedzą. Historia opowiedziana przez Tomasza miała ręce i nogi, a harcerzyk z IPN mógł mieć rację z tymi nutami. Kto wie – rozmarzyła się – może rzeczywiście są ukryte w jakimś tajnym schowku w ruinach pałacu. To byłby numer. Maarten się na nie napalił. Kiedy stanie się pełnoprawnym właścicielem Kopic, będzie mógł sprawdzić każdy fragment ruin. I nikt nie będzie mu patrzył na ręce. Wczoraj we Wrocławiu opowiadał jej, że są jakieś kamery termowizyjne czy coś, które potrafią prześwietlać mury jak tomograf komputerowy. Gdyby tak znalazł skrytkę, a w niej nieznanne nuty Chopina warte kilkaset tysięcy funtów...

Iwona Kern westchnęła i obok znaku zapytania narysowała serce.

Zresztą, jeśli nawet te nuty to bujda – kalkulowała – i tak je wykorzysta na swoją korzyść. Trzeba będzie pogadać z szefem agencji public relations,

który robił maślane oczy na jej widok. Poinformować go, że rodzina Schaffgotschów miała nieznaną dzieła Chopina i że być może są one ukryte w Kopicach. Niech ukręci z tego kampanię medialną, która jej posłuży. To sprytny gość. Wiele lat temu, gdy po raz pierwszy kandydowała do Rady Miasta, ktoś go jej polecił. Umówiła się na konsultacje, zabierając ze sobą pliki zdjęć do ulotki wyborczej.

Piarowiec przeglądał je przez kilka minut, po czym odsunął w jej stronę.

– Do kosza – powiedział krótko.

– Jak to? – oburzyła się. – Wynajęłam profesjonalnego fotografa, słono zapłaciłam za sesję.

– Wobec tego wyrzuciła pani pieniądze w błoto – stwierdził i raz jeszcze sięgnął po odbitki. – Mam być szczery?

Skinęła głową.

– Proszę spojrzeć. – Czubkiem ołówka wskazywał jej fragmenty fotografii. – Garsonka. Bluzka zapięta na ostatni guzik. Ręce wzdłuż ciała. Postawa połkniętego kija. Niedopuszczalne, proszę pani. To samo z tłem: palma w doniczce, biurko i godło państwowe na ścianie. Tym pani chce przekonać ludzi? Chciałaby pani głosować na taką osobę?

– Jaką? – spytała zaczepnie.

– Sztywną. Zasadniczą. Urzędniczkę wykonującą rozkazy, stojącą na baczność.

Była wściekła, ale zrobiło jej się wstyd, że wcześniej nie zauważyła rzeczy tak oczywistych.

– Skąd pani kandyduje? – spytał.

– Z Kopic.

– No to proszę sobie zamówić sesję pod tytułem „Sąsiadka z Kopic”

– Czyli?

– Czyli pani rozmowy z ludźmi, obecność w takich miejscach wsi, w których trzeba coś naprawić. Jakieś działania na rzecz społeczności lokalnej. Nie wiem – zmiatanie ulicy w sobotę, żeby we wsi było czysto i ładnie. No i dom. Mąż, dzieci. W podomce, nie w garsonce. Niech się pani sfotografuje, jak pani wyjmuję blachę szarlotki z piekarnika.

– Nie piekę ciast.

Uniósł oczy do nieba.

– To niech pani kupi w cukierni. Byle nie tam u siebie, bo się wyda.

Potrafił myśleć o wszystkim – uśmiechnęła się na samo wspomnienie wyborów, które wygrała wtedy z doskonałym wynikiem.

Z pewnością jej piarowiec teraz też coś wymyśli. Na przykład połączy Grodków, rodzinne miasto nauczyciela Chopina, i Kopice związane z dwoma wspaniałymi kobietami: Joanną von Schaffgotsch i Iwoną Kern. Brzmi nieźle. Plus poszukiwania nut. Podkręcanie sensacji. Już on dobrze wie, jak to się robi.

Trzeba będzie sprawić, żeby ta jego agencja wygrała jakiś gruby przetarg w którejś z instytucji podległej marszałkowi – postanowiła.

Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w notes, po czym dopisała: „Kania”. Obok postawiła trzy wykrzykniki.

Skoro prokurator IPN zajmie się poszukiwaniem nut Chopina, siłą rzeczy zainteresują go i inne skarby Schaffgotschów, po których ślad zaginął. Jest dobry. Internet zachwyca się jego talentem detektywistycznym. Więc może nawet mu się uda. A może nie.

Mówiąc szczerze, Iwone Kern było to zupełnie obojętne.

Interesowało ją jedno. Kania powinien podczas swojego dochodzenia odkryć coś, co ona chciała, aby odkrył. Mało tego. To musiało wyglądać tak, jakby odkrycia dokonał sam, bez niczyjego udziału.

Tylko jak to zrobić? – Przygryzła końcówkę długopisu. – W jaki sposób podsunąć mu trop?

Zanim kolejny radny sejmiku zdążył omówić swoje zastrzeżenia do planu zagospodarowania przestrzennego, Iwona Kern znała już odpowiedź na swoje pytania.

Ostrożnie i z namysłem, litera po literze, wykaligrafowała w notesie nazwisko człowieka, który kiedyś budził w Grodkowie postrach. A potem jednym zdecydowanym ruchem otoczyła je obwódką.

## ROZDZIAŁ VI

Październik 1848 – maj 1858 roku

### 1.

Szarzało, gdy powóz ze szczelnie zasłoniętymi oknami zatrzymał się niedaleko stacji kolei żelaznej linii Wrocław–Oława. Wąsaty stangret zawiązał lejce na specjalnym uchwycie, zszedł ze swojego siedzenia, nie wiadomo dlaczego nazywanego kozłem, i podał koniom worki z obrokiem. Następnie stanął w pobliżu i szczelnie owinął się obszernym surdudem, bo wraz z nadchodzącym wieczorem narastał ziąb.

Pomogło, ale tylko na kilka minut. Stangret, doświadczony w czekaniu na zimnie, przeszedł się szybkim krokiem wzdłuż brukowanej ulicy, a następnie wykonał kilka zamaszystych ruchów rękami, sięgając aż na plecy, jakby próbował objąć samego siebie.

Potyczkę z chłodem przerwał gwizd parowozu.

Wąsaty mężczyzna zatrzymał się i wbił wzrok w drzwi stacji. Po kilkunastu minutach pojawili się w nich ostatni pasażerowie: dystyngowany jegomość w cylindrze, prowadzący za rączkę małą dziewczynkę. Podróżny obrzucił ulicę szybkim spojrzeniem, dostrzegł stangreta i pozdrowił go trzymaną w dłoni laską.

Woźnica właśnie zdejmował koniom worki z obrokiem, gdy usłyszał przeraźliwy krzyk dziecka.

Rzucił parciate torby i chwytając leżącą na koźle laskę, wbiegł na ulicę.

Jegomość, który przyjechał pociągiem wraz z dziewczynką, zasłaniał ją teraz własnym ciałem. Naprzeciwko niego stał zbir z pistoletem w dłoni. Krzyczał coś, czego stangret nie rozumiał.

Nagle to do niego dotarło.

Napastnik nie zamierzał obrabować podróżnych ani skrzywdzić mężczyzny w cylindrze. Mógł wystrzelić tylko raz i ta jedna kula

przeznaczona była dla dziewczynki. Zbir chwycił lewą dłońią płaszcz mężczyzny, który niezdarnie starał się ją obronić, i szarpnął tak mocno, że tamten stracił równowagę. Poślizgnął się na mokrych kamieniach bruku i upadł.

Napastnik uzyskał czyste pole strzału.

Cofnął się o krok, aby krew nie opryskała mu ubrania, wymierzył prosto w głowę dziecka, ale w tej samej chwili pistolet wypadł mu z dłoni. Bezgranicznie zdumiony wpatrywał się przez chwilę w ostrze, które wysunęło się z jego piersi, a potem runął na bruk.

Stangret wyciągnął z jego ciała szpadę ukrywaną w lasce, przykłęknął i wytarł klingę o ubranie zbira, który wciąż patrzył na niego zdziwionymi oczami. Konał.

– Kto ci kazał? – spytał stangret, ale harda twarz napastnika nawet nie drgnęła. Było jasne, że zabierze tajemnicę do grobu.

Wąsaty woźnica podniósł się z klęczek i pomógł wstać opiekunowi dziewczynki, który zaraz potem objął płaczące dziecko i poniósł je do powozu. Stangret schylił się po jego cylinder i otrzepał go wierzchem dłoni. Rozejrzał się. Wokół nie było żywej duszy, więc podszedł do powozu, sprawnie wdrapał się na kozioł i cmoknął na konie, zachęcając je do jazdy.

To, co zdarzyło się na ulicy, nie zrobiło na nim wrażenia.

Zanim stangret zaczął pracę u jegomościa w cylindrze, stoczył wiele walk i zabił wielu ludzi. Był weteranem pruskiego pułku huzarów śmierci, nazywanego tak z racji trupiej główki noszonej na czapkach i budzącego powszechny strach.

## 2.

Maksymilian Scheffler zdjął cylinder i wszedł do kruchty kościoła mariackiego w Bytomiu. Umoczył koniuszki palców w kamiennym naczyniu z wodą święconą, przeżegnał się, pchnął drzwi do nawy głównej i zajął miejsce w jednej z tylnych ławek.

Od dawna nie potrafił modlić się zgodnie z liturgią.

Klepanie formułek wydawało mu się czymś lekceważącym, niemal niepoważnym. Nie umiał się przy tym skupić, a po dwóch wersach litanii uciekał myślami gdzie indziej, choć nadal powtarzał słowa modlitwy. Jaki z tego pożytek? Czy Bóg jest dyrektorem teatru, oceniającym recytację tego samego tekstu przez różnych aktorów? Dla Schefflera, poważanego w całej górnośląskiej prowincji Prus za wiedzę prawniczą, o wiele ważniejsza była rozmowa z Bogiem własnymi słowami. Czasami czuł się wtedy jak przed sądem, wyrażając w mowie obrończej żal za swoje grzechy w nadziei na uniewinnienie. Czasami – jak przed obliczem władcy, którego prosi się o pomoc. Układał swoje modlitwy na poczekaniu, ale z najgłębszym szacunkiem i zastanowieniem.

Dlatego lubił puste kościoły. Ich ciszę i zapach. Boskość, nie ludzkość.

Zanurzył się w myślach, gdy nagle zauważył w sąsiednim sektorze ławek zgarbioną postać kobiety. Miała na głowie czarny koronkowy czepek, który niemal zasłaniał jej twarz, i wyraźnie przesuwiała się w jego stronę. Dotarła do przejścia prowadzącego do ołtarza, pokonała je chyłkiem, ledwo przyklękając przed Najświętszym Sakramentem, i usiadła na skraju jego ławki. Scheffler bezceremonialnie odwrócił głowę w jej stronę. Rozpoznał Emilię Lukas, dawną gospodynię Karola Goduli.

Rozejrzał się po wnętrzu świątyni, burknął gniewnie i stanowczym ruchem głowy wskazał jej boczną nawę.

– Czy pani postradała rozum, kobieto? – wyszeptał, rozglądając się wokół. – Tyle razy mówiłem: żadnych spotkań! Żadnych kontaktów między nami! Jedynie przez umyślnych posłańców, moich zaufanych ludzi. A pani opuszcza kryjówkę i przyjeżdża za mną do Bytomia, jak gdyby nigdy nic? Nie potrafi pani pojąć, że to dla małej Joanny śmiertelne niebezpieczeństwo? A jeśli ktoś za panią szedł?

Emilia Lukas poczerwieniała jak zbesztane dziecko.

– Dlatego nie przyszłam do pana domu we Wrocławiu, ale przyjechałam tu. Wyczytałam w gazecie, że będzie pan miał dziś rozprawę w sądzie, a Karol Godula, świeć Panie nad jego duszą, kiedyś mi wyjawiał, że zawsze

przed procesem chodzi pan do kościoła. Domyśliłam się, że będąc teraz w Bytomiu, wybierze pan farę mariacką.

– Pewnie pół miasta już to wie – syknął prawnik. – Jeśli za mną łązi jakiś szpicel, to ruszą i za panią. I trafią do Joasi jak po nitce do kłębka. Chce ją pani mieć na sumieniu?

– Rodzina pana Karola jeszcze nie ochłonęła? – spytała cicho.

– Ochłonęła? – prychnął Scheffler. – O czym pani mówi? Oni dopiero szykują się do ataku. Testament Karola zaskarżyli do sądu. Chcą go obalić. Będzie proces, ale wcześniej mogą zrobić dziecku krzywdę.

– Co to znaczy? – Emilia poprzednie ostrzeżenia wzięła za atak nerwowy prawnika, ale teraz naprawdę się przestraszyła.

Scheffler głośno wypuścił powietrze.

– Karol postanowił tuż przed śmiercią, że cały jego majątek przechodzi na małą Joasię, gdy dojdzie do pełnoletności. Ale uparł się na zapis, który mu odradzałem: jeśli Joanna Gryzik umrze bezpotomnie, wszystko dziedziczą jego siostrzeńcy. Rozumie pani?

Nie rozumiała.

– W ich interesie jest, żeby Joasia zniknęła z tego świata, zanim wyjdzie za mąż i będzie mieć dzieci. A najlepiej, żeby już jej nie było.

– Ale chybaby się nie posunęli do... – powiedziała przez ściśnięte gardło.

– Tak? Co pani powie na to, że jeden zamach już mi się udało udaremnić?

– Spojrzał jej prosto w oczy. – Mój zaufany człowiek zgładził najemnego zbira, który miał zabić to dziecko. Tylko dzięki łasce Bożej udało się w ostatniej chwili zapobiec nieszczęściu.

Emilię Lukas przeszedł zimny dreszcz.

– Proszę mi wybaczyć. – Głos jej zadrżał. – Przyjechałam tu Właśnie z powodu Joasi. Czy moglibyśmy, oczywiście po cichu, wejść do pałacu Karola Goduli w Szombierkach?

Prawnikiem spojrzał na nią karcąco.

– A tam po jakie licho? – zdenerwował się.

– W sejfie w gabinecie są ukryte nuty kołysanki.

– Kołysanki?! I przyjechała tu pani z powodu kołysanki? – Z trudem panował nad oburzeniem.

– Ta melodia była jedynym lekarstwem na poszarpane nerwy pana Karola – wyjaśniła. – Grał ją Köpke, tutejszy stroiciel fortepianów z Krakauer Strasse. Świętej pamięci pan Karol przed śmiercią często go wzywał... Słuchał jak urzeczony. Nigdy go takim nie widziałam.

– Jakim? – spytał Scheffler.

Przez chwilę szukała odpowiednich słów.

– Pogodnym, łagodnym, wolnym od demonów, które go dręczyły. Sam pan zresztą wie.

– Po co pani teraz ta kołysanka?

– Dla Joasi. To biedne dziecko ma sześć lat i już skołatane, słabe serce. Doszła do siebie po śmierci ojca i odejściu matki. Ale teraz siostry urszulanki, u których ją pan ukrył, martwią się, że znów płacze po nocach.

– Po Karolu?

Emilia uciekła ze wzrokiem.

– Dzieci z Rudy, jeszcze jak tam mieszkaliśmy, naopowiadały jej niestworzonych rzeczy i mała panicznie się boi. Że po pana Godulę przyszedł diabeł i że po nią też przyjdzie. Bo skoro pan Karol przepisał na nią wszystko, to swoją klątwę też.

Scheffler się zastanowił.

– Zgodnie z wolą zmarłego jestem zarządcą majątku Joanny Gryzik. Pałac w Szombierkach należy do niej i może sobie zabierać stamtąd, co chce. Mam klucze, rzecz jasna od sejfu też. W szafie ogniotrwałej jest dużo papierów. Weksle, dokumenty zastawne, hipoteki. Żadnych nut nie widziałem, ale przejrzę wszystko jeszcze raz. Tylko sam, na litość boską. Bez pani asysty, bo diabły tu, na ziemi, gorsze i bardziej przebiegłe od tych z piekła.

– Bóg zapłać.

– Niech pani się jeszcze pomodli i wyjdzie parę zdrowasiek po mnie. I proszę bacznie się rozejrzeć, czy kto za panią nie idzie. Kiedy i jak wraca pani do Wrocławia?



Emilia Lukas odpowiedziała.

– Wyślę za panią człowieka – stwierdził Scheffler. – Czeka pod kościołem. Wysoki, chudy, z długimi wąsami, ale pod żadnym pozorem proszę nie zwracać na niego uwagi. Będzie uważał, czy nikt pani nie śledzi. A jak już pani dotrze do Wrocławia, lepiej przez jakiś czas nie odwiedzać Joasi w klasztorze.

Dawna gospodyni Goduli ukłoniła się nisko.

– Niech pana Bóg błogosławi.

– Kołysanki poszukam – obiecał Scheffler. – Dam znać przez umyślnego.

### 3.

– Nigdy nie wyjdę za mąż! – krzyknęła Joanna Gryzik, wpadając jak burza do wrocławskiej willi Maksymiliana Schefflera i zalewając się łzami. Dwie minuty później weszła za nią wyraźnie przygnębiona opiekunka. Sprawiała wrażenie osoby, która nie wie, co począć z kłopotem, który niespodziewanie ją zaskoczył.

Scheffler otwierał usta, żeby spytać, co się stało, ale gestem dała mu do zrozumienia, że powie później.

Odczekali, aż Joanna zniknie w swoim pokoju.

Mimo że miała już szesnaście lat, ciągle nie uporała się ze zmorami dzieciństwa. Krzyczała przez sen, a jej nerwy były zszarpane, choć siostry zakonne, które na parę lat udzieliły jej schronienia, polecały ją opiece Matki Najświętszej.

– Rozumiem, że zapoznanie z rodzicami kawalera się nie udało? – spytał ściszym głosem Scheffler.

Emilia machnęła ręką, co miało znaczyć, że sformułowanie „nie udało się” było zbyt delikatne.

– Joasia polubiła tego młodzieńca i otworzyła przed nim serce. Dlatego z radością przyjęła zaproszenie na herbatę do jego rodzinnego domu. Przez myśl by nam nie przeszło, że rozpęta się tam piekło.

– Z jakiej przyczyny? – chciał wiedzieć Scheffler.

– Pochodzenia panny Gryzik. Matka przyszłego narzeczonego najpierw spytała ją o nazwisko, a usłyszawszy odpowiedź, skrzywiła się z obrzydzeniem. Potem przesłuchiwała wybrankę syna jak w lochu na torturach. Joanna jest starannie wykształcona i ma nienaganne manieri, ale kiedy usłyszała prosto w oczy, że pochodzi ze śląskiego plebsu i ma czelność pokazywać się w ich domu, po prostu wstała i wyszła. Popłakała się dopiero w powozie. Bardziej z gniewu niż z żalu, jak przypuszczam.

– Może jeszcze da się to naprawić, skoro młodzi mają się ku sobie?

– Joasia nie chce więcej o tym słyszeć.

– No tak – westchnął prawnik. – Potrafi być uparta.

– Stwardniała w klasztorze – odparła Emilia. – Urszulanki skutecznie wpoily jej niezłomność świętej patronki swojego zgromadzenia, która wolała zginąć śmiercią męczeńską, niż ulec barbarzyńcy. Poza tym Joanna przez lata żyła w podwójnym ukryciu. Przed rodziną pana Goduli i przed zakonnikami, którym bała się zwierzyć ze swojego lęku, że gdzieś w jej cieniu czai się diabeł. Cud, że temu dziecku nie pomieszały się zmysły.

– Zwłaszcza że nie miała tej swojej kołysanki, działającej jak opium – dodał Scheffler. – Niestety. W sejfie jej wtedy nie odnalazłem. Może Karol przed śmiercią przeniósł gdzieś te nuty? – powtórzył pytanie, które zadawali sobie dziesiątki razy.

Opiekunka nie odpowiedziała.

– Cóż – prawnik wrócił do tematu nieudanej wizyty matrymonialnej – jednym słowem mamusia młodzieńca pozbawiła synka nie tylko szczęścia, ale i jednego z największych posagów w Europie – westchnął. – Szlachta – uśmiechnął się sarkastycznie. – Z gołym tyłkiem, ale honorowo, nieprawdaż? Czy ci ludzie naprawdę mają się za ulepionych z lepszej gliny?

– Nawet jeśli sami tak nie myślą – stwierdziła Emilia – to świat ich w tym utwierdza. Taki już jest porządek rzeczy.

Scheffler spojrzał na nią badawczo, jakby zdziwiła go mądrość kobiety, która całe życie zajmowała się gotowaniem żuru, praniem gaci

i zmiataniem chłopskich izb. Ale nie to było powodem jego nagłego zaskoczenia.

– Ma pani słuszność – potwierdził z entuzjazmem. – W rzeczy samej, ma pani słuszność.

Teraz Emilia wpadła w lekkie zdumienie.

– Joasia powinna być szlachcianką – oznajmił tonem odkrywcy.

– Może i powinna, ale nie jest. Urodziła się w domu nędzarza, wyrobnika, którego zabrała gruźlica.

Zbył to stwierdzenie lekceważącym machnięciem ręki.

– To nie ma najmniejszego znaczenia – uznał. – Żeby w Prusach dostać szlachectwo, potrzeba jednej z dwóch rzeczy. Albo trzeba mieć przodków, którzy pozwalali się rąbać mieczami w bitwach toczonych z wrogami ojczyzny, albo... – Potarł w wymownym geście kciuk i palec wskazujący.

– Pieniądze? – domyśliła się Emilia.

– Oczywiście. A tych Joasia ma tyle, że jak napiszę zaraz list do króla, poparty odpowiednim legatem finansowym, to Jego Wysokość Fryderyk Wilhelm Czwarty osobiście przyjedzie do Wrocławia wręczyć jej tytuł. Największy majątek ziemski panny Gryzik to Szombierki – myślał głośno. – Zatem może Joanna von Schomberg-Godulla? Co? Jak się pani podoba?

Po wyjściu opiekunki wyciągnął się na sofie, na której uwielbiał spędzać popołudnia. Pierwszy raz od dawna poczuł ulgę.

Statek, który od dziesięciu lat miał na pokładzie Joasię Gryzik, nareszcie dobijał do portu. Przetrwiał burze i sztormy, ataki korsarzy, ostrzał artyleryjski wrogich galer i nieustannie niespokojne morze. Sierota porzucona przez matkę, która stała się jedną z najbogatszych pańienek w Europie, od dekady się ukrywała. Najpierw wśród setki dziewczynek uczęszczających do wrocławskiej szkoły urszulanek, potem u niego w domu. Dziesięć lat spędziła w mroku tajemnicy i niebezpieczeństwa. Zaledwie kilka osób wiedziało, kim naprawdę jest. Surowo nakazano jej nieustannie oglądać się za siebie. Unikać koleżanek. Zakazano przyjaźnić się, a nawet rozmawiać z innymi dziećmi. Dzieciństwo dzieliła z demonami przeszłości.

Sądy i potężni śląscy prawnicy próbowali pozbawić ją majątku. Była obiektem oszczerstw i nienawiści. Mierzono do niej z pistoletu i kilkakrotnie próbowano zabić.

Koniec z tym – pomyślał Scheffler. Teraz, kiedy wpadł na pomysł wystąpienia dla Joasi o tytuł szlachecki, jej bezpieczeństwo wzrosło. Szlachcianki z „von” przed nazwiskiem nie zabija się tak łatwo, jak sieroty z gminu. Trzeba będzie szybko zaaranżować solidne małżeństwo – pomyślał, sięgając po pudełko z cygarami. Z kimś mocno utytułowanym. Z kimś, kogo nazwisko wytrąci broń z ręki siostrzeńcom Karola Goduli – doszedł do wniosku i uczcił tę myśl wypuszczonym z ust kłębem aromatycznego, białego dymu.

#### 4.

Spektakl rozpoczął się przed kilkoma minutami, dlatego porucznik Hans Ulryk von Schaffgotsch pokonał teatralny korytarz, stąpając na palcach. Delikatnie uchylił drzwi łoża, bezszelestnie wślizgnął się do środka i wtedy zrozumiał, że popełnił błąd.

Łoża była zajęta.

Siedział w niej znany wrocławski prawnik Maksymilian Scheffler, a obok niego młoda dama, która odwróciła głowę i spojrzała na intruza pytająco.

Schaffgotsch oniemiał.

Dziewczyna zrobiła na nim piorunujące wrażenie. Stał jak zaklęty i wpatrywał się w nią absolutnie wbrew dobrym manierom, które pod żadnym pozorem nie pozwalają gapić się na niewiasty. Ona jednak nic sobie z tego nie robiła. Dostrzegła zachwyty w jego oczach i najwyraźniej uznała go za szczerzy. Patrzyli na siebie, dopóki siedzący obok prawnik nie chrząknął ostrzegawczo.

– To jest prywatna łoża, łaskawy panie – poinformował, oschle zniżając głos, a Hans Ulryk spłonił się jak pensjonarka.

– Najmocniej przepraszam – szepnął na tyle wyraźnie, aby go usłyszano.

– Pomyliłem numery. Zechcą państwo wybaczyć.

Uklonił się i wyszedł.

Podczas antraktu zauważył znajomego: zubożałego barona, doskonale zorientowanego w kwestiach towarzyskich. Hans Ulryk uważał go za bawidamka i raczej unikał, ale dziś wyraźnie się z tego spotkania ucieszył.

– Co za radość widzieć pana Reichsgrafa! – Znajomy powitał go odpowiednio głośno, akcentując wysoki tytuł hrabiowski Schaffgotscha, aby kilkanaście par oczu zwróciło się w stronę Hansa Ulryka i zapamiętało, jakie baron ma koneksje.

– Trzy filary na lewo za tobą stoi pewna młoda dama zajęta konwersacją ze starszym dżentelmenem w przyciasnym fraku – powiedział i przytrzymał barona za ramię, bo ten natychmiast chciał się odwrócić. – Zaczekaj – szepnął. – Rozmawiajmy, jakbyśmy to robili naturalnie. Potem ja odejdę, a ty przejdź się korytarzem i rzuć okiem.

Ale baron miał swój własny plan. Spojrzał najpierw nad ramieniem Schaffgotscha, a potem zaczął się nerwowo rozglądać. Zlustrował obydwie strony korytarza, poruszając głową jak kukiełka na nitkach, podszedł do balustrady i zerknął do foyer, a następnie wrócił do swojego rozmówcy, rozkładając bezradnie ręce. Każdy widz tego przedstawienia mógłby przysiąc, że gorączkowo kogoś szukał, ale nie znalazł.

– Już wszystko wiem – szepnął, poprawiając monokl.

– Kim jest ta dziewczyna? – spytał rozemocjonowany Hans Ulryk.

– To miss Fortuna. – Baron uśmiechnął się szelmowsko. – Posag, jakiego nie mają księżniczki Hohenzollernów i Habsburgów razem wzięte.

Schaffgotsch posmutniał.

– Strapileś się, żeś goły? – Baron potrafił błyskawicznie diagnozować podobne rozterki. – Nie martw się. Masz tytuł. A ona z plebsu, tyle że bajecznie bogata. Twoja pozycja społeczna i hrabiowskie nazwisko na pewno pomogą.

– Nie wygląda na łowczynię tytułów – uznał Hans Ulryk.

– Może i masz rację. Jak się ma tyle pieniędzy, to można sobie pozwolić nawet na to, żeby wyjść za mąż z miłości.

– Jak ma na imię?

– Joanna – zaśpiewał baron, wykonując taneczny gest dłońmi. – Szesnaście lat, świeża i soczysta jak dojrzały owoc. Nie jesteś dla niej za stary? – Teatralnie zmarszczył czoło.

– Skończ z tymi wygłupami – zgasił go hrabia Schaffgotsch, po czym wbrew swoim własnym przestrogom dyskretnie zerknął w stronę krużganka.

Joanna patrzyła nie niego z wyraźnym zaciekawieniem.

## 5.

– Tak – powiedziała parę miesięcy później, potwierdzając, że ślubuje miłość, wierność i uczciwość małżeńską. I że nie opuści go aż do śmierci.

Pytanie zadał prowadzący ceremonię biskup Brna Anton Ernest Schaffgotsch, kuzyn jej właśnie poślubianego męża.

W kościele Najświętszej Marii Panny w Bytomiu.

Idący w orszaku od ołtarza do drzwi wyjściowych Maksymilian Scheffler poczuł, że ktoś ujmuje go pod ramię. Młody hrabia Ballestrem.

– Sprytnie rozegrane – szepnął mu do ucha.

– Co wasza wielmożność ma na myśli? – spytał prawnik.

– Niech pan nie udaje. Zorganizowanie ślubu w Bytomiu, w stolicy imperium Goduli, w obecności wszystkich znaczących rodów arystokratycznych Śląska, było zręcznym posunięciem. Ta uroczystość to depesza do siostrzeńców nieboszczyka Karola, nieprawdaż? Niech zobaczą, jakie nazwiska, jakie majątki, jaka potęga za wami stoi. Odtąd nie ośmielą się podnieść nie tylko ręki, ale nawet oczu na Joannę Gryzik.

– Joannę von Schomberg-Godulla, hrabinę Schaffgotsch – sprostował Scheffler.

– O tym właśnie mówię – uśmiechnął się Ballestrem. – Po ceremonii państwo von Schaffgotsch wyjeżdżają do Wrocławia?

– Bynajmniej – odparł prawnik. – Na jakiś czas zamieszkają w pałacu Joanny w Szombierkach.

– Zręczne, bardzo zręczne. – Ballestem pokiwał palcem wskazującym i rozplątał się w tłumie gości.

Nazajutrz po śniadaniu Joanna postanowiła pokazać mężowi pałac. Dzielił jej zachwyty, jakby nigdy wcześniej nie widział magnackiej rezydencji. Chwalił przepych, z jakim Karol Godula urządził swój reprezentacyjny dom, choć z niego nie korzystał.

Wreszcie doszli do sali balowej.

– Złe wspomnienia? – Hans Ulryk zaniepokoił się łzami, które nieoczekiwanie zaszkliły oczy Joanny, i podał jej chusteczkę.

– Po prostu wspomnienia. – Zamaskowała wzruszenie bladym uśmiechem. – Gdy byłam mała, mój dobroczyńca zabierał mnie tu, sprowadzał z Bytomia człowieka, który stroił fortepiany i grał tylko dla nas piękną kołysankę. Dla pana Goduli była czymś niezwykle cennym. Zdobył gdzieś jej nuty, które przechowywał jak skarb. Ponoć były dziełem jakiegoś genialnego polskiego kompozytora, w co jestem skłonna uwierzyć, bo rzadko się słyszy tak niezwykłą muzykę. Brzmiała, jakby docierała do głębi duszy i przynosiła ukojenie. Niestety nuty zaginęły – dodała ze smutkiem.

– Stroiciel z Bytomia ich nie pamięta? – spytał Hans Ulryk. – Ludzie obdarzeni słuchem muzycznym potrafią odtwarzać melodię bez nut.

– Posyłałam po niego przed naszym ślubem. Na próżno. Wymówił się reumatyzmem dłoni. Nie zgodził się nawet zajrzeć do fortepianu w Szombierkach, choć kochał ten instrument i zajmował się nim od samego początku.

– Dziwne. – Hrabia Schaffgotsch potarł podbródek. – A może to on ma coś wspólnego ze zniknięciem nut?

– Niemożliwe. – Joanna przecząco pokręciła głową. – Karol Godula trzymał je w metalowej szafie w gabinecie. Nikt inny nie miał do nich dostępu. Pan Scheffler podejrzewa, że mógł je zabrać ze sobą, gdy wyjechaliśmy do Wrocławia – dodała ciszej i w jej oczach znów pojawiły się łzy.

Jakby za sprawą telepatii, w tym samym momencie uchyliły się drzwi sali, a lokaj, który w nich stanął, zaanonsował przybycie Maksymiliana Schefflera.

– Zupełnie zapomniałam – powiedziała Joanna. – Mój plenipotent pytał, czy przed wyjazdem do Wrocławia może nas na chwilę odwiedzić. Proś – zwróciła się do lokaja. – Przyjmiemy pana Schefflera tu, w sali balowej.

Kilka minut później prawnik wszedł pewnym krokiem, trzymając pod ręką tekę z dokumentami.

Raz jeszcze pogratulował młodej parze i przeprosił, że zakłóca spokój dzień po ślubie, ale wraca do siebie i chciałby pozostawić kilka prywatnych papierów z sejfu Karola Goduli.

– Niestety, to nie nuty, na które tyle czekałaś – zwrócił się do Joanny z wyrazem twarzy świadczącym, że on też czuje się zawiedziony ich utratą.

– A co? – spytała.

– Zapiski i parę listów otrzymanych tuż przed śmiercią. Karol z reguły je wyrzucał, ale zostawiał te, które uznawał za najważniejsze. – Scheffler sięgnął do teczki i wyjął arkusz opatrzony herbem i zapisany eleganckim pismem kogoś, kto bez wątpienia uczył się kaligrafii.

– To od hrabiego von Sierstorpffa z Kopic. – Podał kartkę Joannie. – Z listu wynika, że Karol porozumiał się z nim w sprawie kupna majątku niedaleko Opolą. Mowa o pałacu i dobrach ziemskich.

– Ale przecież miał własny pałac – wtrącił się Hans Ulryk, omiatając gestem salę balową.

– Pod koniec życia szukał ciszy i wytchnienia. Z dala od Górnego Śląska, panie hrabio – wyjaśnił prawnik. – Transakcja nie doszła do skutku z powodu pogorszenia się jego stanu zdrowia – jak sądzę. Ale przyszło mi do głowy, że może warto zainteresować się tymi Kopicami. Mógłbym podjąć stosowne kroki.

– Po dziesięciu latach? – zdziwił się hrabia Schaffgotsch, zerkając na datę w nagłówku listu trzymanego przez żonę.

– Jeśli to nadal aktualne, to tak – zawyrokował prawnik. – Karol nigdy nie kupił niczego, co nie okazałoby się żyłą złota.



– A jakie korzyści może przynieść majątek ziemski? Sugeruje pan, że powinniśmy uprawiać zboże i hodować krowy?

– Nie, panie hrabio. Sugeruję lokatę kapitału. Kopalnie węgla należące do pańskiej żony przynoszą zyski większe, niż jesteśmy w stanie mądrze zainwestować. Tymczasem ziemia i nieruchomości to zawsze niezawodny depozyt.

– Poza tym powietrze tam o wiele zdrowsze – dodała Joanna, co Hans Ulryk uznał za budowanie koalicji z Schefflerem. I to dzień po ślubie.

Spojrzał na nią, mrużąc oczy, i doszedł do wniosku, że każdy, kto uznałby nową grafinię von Schaffgotsch za płochą szesnastoletnią dziewczynkę, mógłby się srodze pomylić.

Postanowił szybko zmienić front.

– Drogi Maksymilianie – odezwał się do prawnika znacznie łagodniejszym tonem. – Proszę w imieniu własnym i żony o rozeznanie się w możliwości kupna Kopic. Będziemy wdzięczni, jeśli pan tego dopilnuje.

Joanna z prawnikiem wymienili krótkie porozumiewawcze spojrzenie. Trwającą sekundę wymianę satysfakcji. Hrabia szybko pojął, że może ogłaszać decyzje, pod warunkiem że są zgodne z wolą żony. Sprzeciw mógłby mieć przykre konsekwencje. Kontrakt małżeński pozwalał mu korzystać tylko z tej części majątku Karola Goduli, który Joanna wniosła w posagu. Reszta niepodzielnie należała do niej. Olbrzymia reszta.

Hans Ulryk von Schaffgotsch był o jedenaście lat starszy, dowodził żołnierzami, nosił znakomite arystokratyczne nazwisko i nobilitujący tytuł.

Ale z pewnością nie on tu rządził.

## 6.

August Kern po raz ostatni spojrzał w lustro i z przerażeniem zauważył, że szew łączący gors jego fraka z lewym rękawem pękł, ujawniając fragment zgrzebnej tkaniny używanej do watowania ramion.

W popłochu wypadł na korytarz pałacu w Kopicach, schwycił pierwszą pokojówkę, jaka wpadła mu w ręce, i błagalnie poprosił o ratunek. Dziewczyna była doskonale przygotowana do swojej roli.

Rozgorączkowana nie mniej od niego i czerwona z emocji, w kryzysowej sytuacji uspokoiła się w ułamku sekundy. Sięgnęła do kieszeni sukni, wydobyla aksamitną poduszeczkę, w której tkwiło kilka igieł z nawleczonymi różnobarwnymi niciami, wybrała tę czarną, nałożyła napastrak i w kilka chwil naprawiła usterkę tak, że nie było śladu.

August obdarzył ją uśmiechem rozbitka, którego właśnie wyłowiono ze wzburzonego oceanu. Spojrzeli sobie w oczy i odetchnęli z ulgą. Teraz mogli spokojnie zacząć się denerwować przed prezentacją nowym właścicielom Kopic.

Kilka chwil później do holu w asyście hrabiego Sierstorpffa weszli Joanna z Hansem Ulrykiem. Lustrowali idealnie równy szereg służby, czekającej, aby ich powitać.

Kern od kilku dni z niepokojem myślał o przyszłości.

Nowy pan miał ponoć majątek w Cieplicach, czyli daleko stąd. Jego żona też posiadała pałac gdzieś na Górnym Śląsku, a jedno dodane do drugiego dawało pocieszający wynik: obydwójce nie mieli na miejscu swojej służby. Co z kolei zwiększało szanse na zachowanie posady. Ale czy na pewno?

Wychylił się o kilka milimetrów i nie przekrzywiając głowy, zerknął w lewo, gdzie prężyli się kucharze, pokojówki, lokaje i kamerdynerzy. Ludzie, bez których pałac nie funkcjonował. Niezbędni. Ale czy on, prywatny kapelmistrz, który dopiero co objął obowiązki po ojcu, jest tak samo potrzebny? A co, jeśli to nowe hrabiostwo nie lubi muzyki? Albo jest chorobliwie skąpe? Wśród pruskiej arystokracji obydwaj zjawiska były nagminne.

Czekając, aż nowi właściciele podejda i do niego, August Kern postanowił, że w razie czego będzie się ratował wspomnieniem ojca, który był znakomitym muzykiem i znajomym Karola Goduli, dobroczyńcy Joanny von Schaffgotsch, stojącej teraz dwa metry od niego. Ojciec zawsze powtarzał: żyjemy w świecie, w którym koneksje znaczą więcej od kompetencji.

Ale powitanie przebiegło nad wyraz uprzejmie.

Joanna okazała się skromną młodą damą bez cienia zadufanej wielmożności, a jej mąż Hans Ulryk wyraźnie się ożywił, potrząsając dłonią kapelmistrza.

Trzy dni później wezwał go na prywatną audiencję.

– Długo pan służył w Kopicach, panie Kern? – spytał, wyglądając na ogród przez okno gabinetu.

– Dwa lata, wielmożny panie hrabio. Miejsce objąłem po ojcu.

– Możesz mieć miejsce i u nas – stwierdził von Schaffgotsch. – Ale najpierw zaangażujesz się pan w pewną delikatną kwestię, o której nie może wiedzieć moja żona.

Kern lekko się spłoszył, ale nie dał tego po sobie poznać. Co niby miałby robić? Stręczyć hrabiemu tancerki z baletu?

– Co pan hrabia rozkaże. – Ukłonił się.

– Otóż hrabina Joanna w dzieciństwie była mocno przywiązana do pewnego utworu muzycznego. Ściślej mówiąc: kołysanki, która kojąco działała na jej nerwy nadszarpnięte przeżyciami, które doprowadziły ją do domu Karola Goduli.

Kapelmistrz z szacunkiem skinął głową na znak, że zna prawdziwą historię Kopciuszka, o której mówiła cała śląska prowincja Królestwa Prus.

– Żona była zbyt małym dzieckiem, aby zapamiętać szczegóły, ale dzięki jej opiekunce zachował się przekaz, że kołysankę skomponował niezwykle uzdolniony, wręcz genialny Polak, którego nazwiska niestety nie zna.

– Ośmielę się zapytać, panie hrabio, w jakich to było latach? – Kernowi coś zaświtało w głowie.

Hans Ulryk odpowiedział, patrząc na niego z zaciekawieniem.

– Ze wspomnień mojego ojca wynika – powiedział z namysłem kapelmistrz – że właśnie wtedy poznał pana Karola Godulę, tu, w Kopicach.

– Co pan mówisz? – Hrabia zrobił krok w jego kierunku.

– Ręczę honorem, że nie była to znajomość przelotna – dodał August Kern. – Trwała jeszcze dość długo, w postaci wymiany korespondencji.

– Czy to ma coś do sprawy, w którą pana wtajemniczyłem? – spytał von Schaffgotsch.

Kapelmistrz odetchnął głęboko.

– Ośmielam się przypuszczać, że w tym tkwi sekret kołysanki – odparł.

– Mów pan.

– Mój ojciec przyjaźnił się z Józefem Elsnerem, kompozytorem z Grodkowa. Chodzili do tej samej szkoły i utrzymywali bliskie kontakty nawet po tym, gdy pan Elsner przeniósł się do Warszawy. Głowę dam, że to on umożliwił panu Goduli wejście w posiadanie kołysanki, o której wielmożny pan był łaskaw mnie poinformować.

– Sugerujesz pan, że to on ją napisał?

– Pan Elsner był... – Kern zawahał się przez moment – a raczej: czuł się Polakiem. To się zgadza. Sięgnął też wyżyn sztuki muzycznej. Ale, proszę mi darować otwartość, nikt nie nazwie go geniuszem. Geniuszem był jego uczeń. Fryderyk Chopin.

Hans Ulryk milczał, próbując poukładać w głowie to, co usłyszał.

– Tak pan twierdzisz...

– Z bezwarunkową pewnością – stwierdził Kern. – Natomiast, jeśli wielmożny pan hrabia ma wątpliwości, gotów jestem spróbować przeprowadzić na to dowód.

– Jaki?

– Proszę łaskawie poprosić panią hrabinę. Usiądę do fortepianu i zagram kilka utworów Chopina. Największy polski kompozytor miał bardzo rozpoznawalny styl. Jeśli w tych dźwiękach wielmożna pani von Schaffgotsch odnajdzie wspomnienie swojej kołysanki...

– Świetna myśl – ucieszył się hrabia i sięgnął po dzwonek, aby wezwać lokaja. Ale zaraz odstawił go z powrotem na stolik. – Wiesz pan co, Kern? – Spojrzał na kapelmistrza, mrużąc oczy. – Ja przyjmuję, co pan powiedziałeś, i bez tego dowodu. Ale wtajemniczenie hrabiny popsułoby ową delikatną kwestię, jaką chciałem panu powierzyć.

Wskazał kapelmistrzowi fotel i wyłuszczył całą rzecz.

– Co pan na to powiesz? – spytał.

August Kern wydawał się zmieszany.

– Nie wiem, czy podołam, panie hrabio.

– A kto ma podołać, jak nie pan? – Hans Ulryk dodał mu otuchy. – Znasz pan świat muzyczny, wiesz pan, gdzie zajrzeć i zapukać. Ja nie pożałuję pieniędzy na pańskie poszukiwania, a pan nie pożałuj starań i animuszu. Nie muszę chyba tłumaczyć, jak wielką radość sprawiłoby to mojej żonie.

– Jestem w stanie to sobie wyobrazić – potwierdził kapelmistrz.

– Zatem działaj pan! – ucieszył się hrabia. – Masz pan sporo czasu, bo chcemy przebudować ten nudny dom w rezydencję nie gorszą niż te nad Loarą. Weźmiemy najlepszego architekta. W nowych Kopicach będzie sala koncertowa, pod pana nadzorem, Kern. Liczę, że moja droga żona usłyszy w niej rezultat pańskich poszukiwań.

– Zrobię, co w mojej mocy. – Kapelmistrz ukłonił się.

– Pobladłeś pan – zauważył von Schaffgotsch.

– To z zaskoczenia – wyznał August Kern. – Marzyłem, że wasza wielmożność posadzi mnie na stołku przed fortepianem, tymczasem czeka mnie podróż.

– Jak służyłem w wojsku, tajnym zadaniom nadawaliśmy umowne miana znane jedynie wtajemniczonym – powiedział Hans Ulryk. – Jak byś pan nazwał swoją misję?

Kern myślał przez kilka sekund.

– „Kołysanka”?

– Jeszcze kwadrans temu widziałem pana najwyżej na czele pułkowej orkiestry – oświadczył von Schaffgotsch z uznaniem. – A pan masz zadatki za oficera wywiadu – dodał i szeroko się uśmiechnął.

## 7.

Listopadowy chłód wdzierał się do sali balowej tak intensywnie, że przechodząca korytarzem hrabina Joanna von Schaffgotsch poczuła, jak zimno wyślizguje się szczeliną pod drzwiami i kąsa jej kostki.

Zatrzymała się, ujęła oburącz klamki obydwu skrzydeł i pchnęła je, wchodząc do środka. Wszystkie okna były otwarte, mimo to dało się

wyczuć zapach wilgotnego wapna. Jeszcze nie wywietrzał po remoncie.

Kilka sekund później tuż za nią pojawiła się pokojówka, która dygnęła i znieruchomiła, gotowa na rozkazy.

– Dlaczego wszystkie okna są pootwierane? – spytała Joanna. Była poirytowana. Od kilku dni dokuczał jej żołądek, który odzywał się każdej jesieni, wypełniając usta goryczą, a głowę bólem. Najmniejszy błąd w diecie kończył się cierpieniem, na które pomagał jedynie paskudny w smaku i wyglądzie sok z surowych ziemniaków.

– Pan hrabia kazał – oświadczyła pokojówka, spuszcżając wzrok.

– Tu mają być koncerty, a nie chłodnia na mięso – stwierdziła cierpko. – Zamykaj te okna.

– Ale pan...

– Zamykaj, powiedziałam.

Pokojówka wpadła w popłoch.

– Nigdy bym się nie ośmieliła sprzeciwić woli jaśnie pani, tylko że ta sala musi się wywietrzyć.

– Jedno okno wystarczy – uznała Joanna. – Za parę dni nie będzie już żadnych zapachów.

– Ale sala musi się wywietrzyć dziś – szepnęła pokojówka i jeszcze bardziej się przestraszyła, jakby zdradziła Bóg wie jaki sekret. – Wielmożny pan hrabia stanowczo przykazał.

Joanna nie zamierzała jej dręczyć.

Machnęła dłonią i wyszła na korytarz.

Idąc do swojego skrzydła pałacu, przez moment miała wrażenie, że w holu mignęła jej postać Kerna. Dziwne. Od jakiegoś czasu schodził jej z drogi, zamykał się z Hansem Ulrykiem i wiele wskazywało na to, że mają jakieś wspólne sekrety.

Zabrakło jej siły, aby dziś tego dociekać.

Nie zdejmując sukni, położyła się na szezlongu w swojej komnacie i zapadła w płytki, niespokojny sen.

Obudził ją dotyk dłoni Hansa Ulryka, który gładził jej policzek.

– Żołądek dokucza? – spytał z troską.

– Już mi lepiej. – Przytrzymała jego rękę. – Co to się dzieje w sali balowej? – przypomniała sobie. – Zimno tam jak w psiarni.

Mąż chrząknął.

– No właśnie. Chciałem cię dziś po kolacji zaprosić na koncert.

– Koncert?

Potwierdził eleganckim skinieniem głowy.

– Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś?

– To miała być niespodzianka.

– Niespodzianka? – zdziwiła się. – Z jakiej okazji?

– Myślałem, że się domyślisz.

– Zakończenia przebudowy pałacu? – spytała. Ale jej mąż miał minę jak podczas gry w poszukiwanie ukrytych przedmiotów, kiedy powtarzał „zimno, zimno, coraz zimniej”

W tej samej chwili ją olśniło.

– Boże – szepnęła. – Na śmierć zapomniałam. Rocznicę ślubu.

– Piąta – uśmiechnął się Hans Ulryk.

– Wybacz... – Joannie zrobiło się wstyd. – To przez ten żołądek i w ogóle... trudny czas ostatnio.

– Dawne demony? – upewnił się. – Bądź spokojna, dziś je wszystkie przepędzimy.

Wstała i podeszła do lustra.

– Wyglądam okropnie – stwierdziła. – Jak ja się pokażę gościom?

– Nie będzie żadnych gości. Tylko my dwoje – odparł.

– Tylko my? Sami na koncercie?

– Właśnie tak.

– I Kern przy fortepianie?

– Tak, ale nie tylko on.

– Kto jeszcze?

– Joanno – mąż podszedł i położył jej dłonie na ramionach – wszystkiego dowiesz się o dwudziestej. Mogę cię tylko zapewnić, że to będzie coś absolutnie wyjątkowego. Tylko dla ciebie. Dlatego, proszę,

pozostań w swoich pokojach. Odpocznij i nie wypytuj służby, dobrze? Zrobisz to dla mnie?

Pokiwała głową.

– Włóż swoją ulubioną suknię – ucieszył się. – Przyjdę po ciebie przed ósmą.

Pocałował ją w czoło i wyszedł.

Okna sypialni wychodziły na park, dlatego wydarzeń na dziedzińcu mogła się jedynie domyślać. Przez jakiś czas panował tam gwar, słychać było stukot niezliczonych końskich kopyt i kół powozów. Potem wnoszono coś po schodach, wreszcie z sali balowej dało się usłyszeć dźwięki strojenia instrumentów.

Joanna była coraz bardziej zaintrygowana, ale zegar na ścianie przypomniawszy jej, że zostało niewiele czasu. Zadzwoiła po pokojówkę i zabrała się za przygotowania.

Hans Ulryk przybył pięć minut przed dwudziestą.

Wyraził zachwyt jej wyglądem, po czym podał ramię, tak jak wtedy w kościele w Bytomiu, i poprowadził do sali balowej.

O nic nie pytała.

Gdy dwaj lokaje otworzyli przed nimi drzwi, hrabina von Schaffgotsch ujrzała około dwudziestu mężczyzn w wizytowych frakach, stojących obok swoich krzeseł i trzymających w dłoniach instrumenty.

– Przedstawiam ci znakomitych muzyków z Wrocławia – powiedział Hans Ulryk, a panowie we frakach złożyli Joannie wytworny pokłon. Jeden z nich, z batutą w ręku, podszedł, przedstawił się i ucałował jej dłoń.

Hrabina zajęła miejsce w jednym z dwóch foteli stanowiących widownię.

Mąż usiadł obok niej i dyskretnie skinął na Kerna, który rozdał muzykom nuty. Gdy umieszczali je na pulpitach, usiadł do fortepianu.

Dyrygent wszedł na niewielkie podwyższenie, uspokoił ruchem dłoni hałas strojonych instrumentów i w sali zapanowała absolutna cisza.



A potem uniósł batutę, wykonał płynny ruch i rozległy się pierwsze dźwięki kołysanki.

## 8.

Joanna von Schaffgotsch nie była w stanie bić braw.

Gdy muzycy skończyli i złożyli głęboki ukłon dwuosobowej widowni, wstała i uniosła ręce, ale jej dłonie drżały tak bardzo, że nie mogły się spotkać. Hans Ulryk natychmiast to zauważył, podszedł do żony, ujął jej przedramiona i ucałował nadgarstki.

Z sali balowej wyszli w ciszy, z arystokratyczną godnością, która pierzchła dopiero na korytarzu. Hrabina zachwiała się, aż trzeba ją było podtrzymać. Płakała.

Mąż dyskretnie został pół kroku z tyłu, a kiedy otarła oczy chusteczką, zrównał się z nią. Milczał.

– Nigdy tego nie zapomnę – powiedziała cicho. – Dziękuję ci po stokroć, kochany. – Odwróciła się i nie zważając na służbę, kręcącą się w głębi korytarza, pocałowała go w usta. Poczul na wargach słony smak łez.

– Jak tego dokonałeś?

– To nie ja, to Kern.

– To jego idea?

– Idea moja, ale on się wszystkim zajął. W poszukiwaniach zjeździł pół Europy...

– Dlatego mnie unikał – uśmiechnęła się Joanna. – Starał się dochować sekretu.

– To wyjątkowo prawy człowiek.

Pokiwała głową.

– Jestem najszczęśliwszą żoną za ziemi. I pomyśleć, że nasze małżeństwo zaaranżowano...

– Na szczęście spełniam warunki. – Hans Ulryk westchnął z nieco teatralną ulgą.

– Ja miałam tylko jeden. Miłość. Który mężczyzna podarowałby mi coś takiego? – Kiwnęła dłonią w stronę sali balowej. – Będę pamiętać ten

wieczór do końca swoich dni.

Hrabia ukłonił się z galanterią.

– Jeśli zechcesz, możemy urządzić podobny koncert dla przyjaciół. Teraz to twoje nuty. Wystarczy jedno skinienie.

– Kuszące – uznała. – Bylibyśmy na ustach wszystkich. Ale nie. Tyle lat żyłam w tajemnicy, że chyba wolałabym zachować twój dar tylko dla siebie. Czy to bardzo egoistyczne? Wybaczysz?

– Naturalnie – odparł hrabia. – Zajmę się tym. Służba miała zapowiedziane, żeby nie puścić pary z ust przed tobą, to teraz nakażę milczeć także przed innymi. Muzykom też zapowiem i dam godziwy napiwek za dyskrecję. To będzie nasza tajemnica.

## ROZDZIAŁ VII

Marzec–kwiecień 2014 roku

### 1.

Józef Galica, w Grodkowie bardziej znany jako „Kozik”, wetknął do kontaktu wtyczkę staromodnej grzałki, którą umieścił w blaszanym kubku. Nie minęły trzy minuty, gdy pokryty brązową emalią garnuszek zaczął drzeć.

„Kozik” wyłączył grzałkę i odwiesił ją na oparcie krzesła, aby wystygła, a następnie wsypał do szklanki z metalowym uchwytem trochę herbaty. Potem ostrożnie, po łyżeczce, żeby szklanka nie pękła, zalał ją wrzątkiem. Gdy woda nabierała słomkowego koloru, sięgnął do plastikowej reklamówki, w której czekała kolacja. Ćwierć bochenka chleba i solidny kawałek wątrobianej kiszki, która najlepiej smakowała „Kozikowi” wprost z gazety.

Rozłożył wszystko na stole i wydobyl z własnoręcznie uszytej pochwy przy pasku swój legendarny nóż. Przedmiot, któremu zawdzięczał pseudonim, towarzyszył mu od siedemdziesięciu lat i był świadkiem wielu ponurych wydarzeń w historii Grodkowa.

Nóż pochodził z tego samego tatrzańskiego zakątka co Galica. Małej wsi niedaleko Nowego Targu. Był dziełem ojca Józefa, który wyszlifował nóż z kawałka niemieckiego bagnetu, wyostrzył go jak brzytwę i oprawił w kawałek jeleniego rogu. Czyli wychodziło na to, że Ziutek „Kozik” i nóż kozik są braćmi. Obu zrobił ten sam człowiek i obaj byli ze stali.

Mały Galica przyjechał z rodzicami do Kopic pod Grodkowem z pierwszą falą górali, którzy podobnie jak repatrianci z za Bugu mieli tu zajmować opuszczone poniemieckie chałupy.

Józek miał wtedy osiem lat. Nóż rok.

Obu omijano z daleka.

Niski i krępy wyrostek spod Nowego Targu był tak mściwy i zawzięty, że budził respekt nawet u starszych i o wiele silniejszych chłopaków. Z byle powodu rzucał się na nich z pięściami, a kiedy nie dawał rady, sięgał po nóż. Wkrótce zaczęto go uważać za wściekłego psa, który nie boi się nikogo i niczego, za to gotów jest pokąsać każdego. Odważniejsi parokrotnie skrzykiwali się przeciwko niemu, ale nigdy nie zdecydowali się zaatakować. Bali się noża, a raczej braku u Ziutka „Kozika” oporów, aby go użyć.

To było dziewięć lat po przyjeździe Galiców do Kopic.

Grupa chłopaków pojechała do miasta na zabawę taneczną. Siedemnastoletni Józek upatrzył sobie na niej córkę kolejarza, największą grodkowską piękność. Cała okoliczna kawalerka do niej wzdychała, ale ona prowadziła się z przystojnym brunetem, który nosił angielski battledress po bracie, żołnierzu armii Andersa. Ze względu na naszywkę na ramieniu chłopaki wołali na niego „Poland”.

„Poland” bardzo dobrze tańczył, dlatego dziewczyny same go prosiły.

Dziś też.

Gdy odpoczywali z narzeczoną przy bufecie, podpłynęła do nich nastoletnia blondynka w sukience barwnej jak wiosenna łąka. Dygnęła i spytała, czy pan „Poland” zechce zatańczyć z nią polkę. Przystojniak przygładził włosy zaczesane do tyłu, zapytał wzrokiem partnerkę, a gdy ta uśmiechnęła się na znak, że nie ma nic przeciwko temu, ujął wiosenną łąkę pod ramię i powiódł na parkiet. A ściślej: podłogę przed remizą, zbitą z nieheblowanych desek i posypaną mokrymi trocinami, żeby się nie kurzyło.

W tej samej chwili przed piękną córką kolejarza wyrósł Józek Galica.

Był niższy o głowę, miał brzydką twarz i reputację, ale żadne z tych zjawisk nie powstrzymało go przed próbą podrywu narzeczonej „Polanda”.

Powiedział coś wulgarnego, przez co dziewczyna nie tylko odmówiła mu tańca, ale poczerwieniała na twarzy i ostentacyjnie odwróciła się tyłem. Tej zniewagi „Kozik” nie był w stanie znieść.

Szarpnął córkę kolejarza za ramię tak mocno, że się zatoczyła i upadła.

Zrobiło się zamieszanie.

„Poland” przeprosił wiosenną łąkę i podbiegł do narzeczonej. Pomógł jej wstać, a wtedy „Kozik” podskoczył i uderzył go w twarz. Nie tolerował, gdy ktoś mieszał mu szyki. Córka kolejarza miała zostać ukarana, a nie ratowana przez swojego rycerza.

Przystojniak nie oddał.

Wierzchem dłoni otarł krew z rozbitej wargi i wskazał „Kozikowi” pobliską łączkę. Spraw honorowych nie załatwia się przy świadkach.

Gdy uszli kilkanaście kroków, Józek Galica rzucił się na niego, ale „Poland” nie na darmo trenował boks. Zrobił unik, zamarkował cios prawą, a lewym prostym rozkwasił góralowi nos. Wtedy „Kozik” dostał białej gorączki.

Spróbował wściekłego ataku, ale jego pięści pruły powietrze, w odróżnieniu od ciosów „Polanda”, po których lądował na ziemi. Najskuteczniejszy okazał się prawy hak wycelowany w podbródek. Galica niemal oderwał stopy od podłoża, poleciał kilka kroków do tyłu i runął na wznak.

„Poland” ocenił sytuację, obciągnął battledress, wytarł chusteczką poranione kłykcie dłoni i odszedł bez słowa.

Był w połowie drogi do remizy, gdy Józek dopadł go, wbijając nóż w plecy. Jak to potem opíše lekarz, w sam środek lewej komory serca.

Tej samej nocy po „Kozika” przyjechała milicja. Jednak jego rodzice nie mieli pojęcia, co się z nim stało. Nie wrócił z zabawy. To wszystko.

Ukryty na strychu sąsiadów Józek patrzył, jak przeszukują dom i zabudowania, a potem odjeżdżają.

Sąsiedzi przyjechali z Wołynia, a władza dała im piękny dworek niedaleko pałacu kopickich grafów. Nosili nazwisko Gawryluk i mieli gromadkę dzieci.

Ich ojciec pił z ojcem Józka bimber, który sami pędzili, a takie rzeczy łączą ludzi. Dlatego gdy „Kozik” zastukał do drzwi dworku, spodziewając

się aresztowania, Gawryluk nie odmówił. „Na razie ukryjesz się na naszym strychu – powiedział – a potem coś zaradzimy”

Wiedział, co mówi.

Całe Kopice znały go jako żarliwego komunistę, który wierzył w Stalina mocniej niż inni w Jezusa Chrystusa. Należał do partii i miał swoje znajomości. W Komitecie przekonał kogo trzeba, że Józek Galica zabił wroga ludu, którego brat siedział w więzieniu za armię Andersa.

Dzięki temu Ziutek „Kozik” zniknął z Grodkowa na wiele lat.

Towarzysze Gawryluka sprawili, że trafił do tajnej jednostki komandosów, szykowanej do działań na tyłach wroga. Uczył się tam skakać na spadochronie, zakładać ładunki wybuchowe, walczyć wręcz, prowadzić dywersję, a nawet mówić po angielsku. Tego ostatniego nienawidził. Najbardziej lubił zajęcia z posługiwania się i rzucania nożem.

Po służbie zasadniczej został na zawodowego i szkolił rekrutów, a kiedy na grobie „Polanda” spróchniał krzyż i porosła dziesięć trawa, wrócił do Kopic. Przywitał się z rodzicami, zjadł oscypka przywiezionego przez kuzyna z Nowego Targu i wyjechał do Grodkowa, gdzie dostał małe mieszkanie i etat podoficera w Służbie Bezpieczeństwa.

Brał robotę, przed jaką wzdrygali się najgorsi hycle z bezpieki.

Bił. Wymuszał zeznania. Szantażował i prześladował Ślązaków, którzy nie chcieli składać donosów po powrocie od rodziny z Niemiec. Mimo że najczęściej posługiwał się brutalną przemocą, potrafił zastawiać wymyślne pułapki. Księdzu, który podpadł bezpiece, wsypał narkotyk do kawy, a potem sprowadził prostytutkę i zrobił zdjęcia. Fabrykował i podrzucał dowody. Niszczył ludzi.

Na miasto padł blady strach.

Józka Galicy bali się wszyscy. Z wyjątkiem Gawryluków, którym poprzysiągł dożgonną wdzięczność.

## 2.

Józek pokroił wątrobiankę na grube plastry, a te z kolei w kostkę. Starannie układał je na przygotowanych wcześniej kwadratowych

kawałkach chleba, gdy usłyszał pukanie w plastikowe okno starej przyczepy kempingowej. Stała na ceglach i służyła Galicy za stróżówkę, w której pilnował składu drewna. Miał siedemdziesiąt siedem lat, ale żaden złodziej nie poważyłby się zadrzeć z „Kozikiem”

Uchylił brudną zasłonkę, ale w oknie odbijało się tylko wnętrze przyczepy. Wstał od turystycznego stolika, wykręcił żarówkę pod sufitem i zerknął jeszcze raz.

Na zewnątrz stała Iwona Kern.

Otworzył drzwi, z esbecką wprawą rozejrzał się dookoła, po czym gestem zaprosił ją do środka. Usunął z siedziska plik starych czasopism i zachęcił, aby usiadła.

– Nie boisz się, że cię ktoś zobaczy z grodkowskim wilkołakiem? – spytał. Od kiedy dziadek Iwony uratował go przed procesem i wyrokiem za morderstwo, „Kozik” był oddany Gawrylukom z całą swoją góralską żarliwością.

– Przytulnie tu – stwierdziła, hamując obrzydzenie wywołane zaduchem panującym w przyczepie. Składał się na niego zapach kiszki pasztetowej, stęchlizny, niepranych skarpet i starości Galicy, który nie przesadzał z higieną. – Przyszłam, bo jest sprawa, panie Józku. – Strzepnęła ze spodni okruch chleba, który stoczył się z kempingowego stolika wprost na jej kolana.

Popatrzył na nią, jak patrzą ludzie dyspozycyjni i gotowi na wszystko.

– Trzeba, żeby się pan zajął jednym prokuratorem z IPN, który węszy w Grodkowie.

W oczach „Kozika” błysnęło coś złowrogiego.

– Jasne – potaknął ochoczo. – Daj namiar, a gwarantuję ci, że nie wyjdzie ze szpitala przez parę tygodni.

Iwona pokręciła przecząco głową.

– Nie o to chodzi, panie Józku.

Spojrzał zdezorientowany.

– A o co?

– Chciałabym, żeby się pan z nim spotkał i pogadał.

– Mam z nim gadać? – Galica zaczerwienił się z gniewu. – Te skurwysyny z IPN-u zrobili mi proces o zbrodnie komunistyczne, pamiętasz przecież. Gdybyś mi nie załatwiła tej roboty ciecia, tobym chyba musiał iść żebrać. Nie chcę gadki z żadnym gnojem od nich. O to mnie nie proś.

– Nie prosiłabym, gdyby to nie było ważne. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Ale jest. Bardzo ważne. I ma związek ze sprzedażą pałacu w Kopicach bogatemu Holendrowi. Jestem o włos od tej transakcji. A wtedy, panie Józku, dostanie pan tam taką pracę, że będzie pan mógł napluć na swoją głodową emeryturę.

„Kozik” przez dłuższą chwilę rozważał to, co usłyszał.

– O czym miałbym z nim gadać? – spytał. – Bo jeśli będzie dopytywał o moją przeszłość w resorcie, to mogę nie zdzierżyć. Mordę mu skuje i na tym się skończy.

– Będzie pytał o przeszłość, ale nie pańską.

– A czyją?

– Schaffgotschów. Konkretnie tego, co mogło się stać ze skarbami, których nie zdążyli wywieźć z Kopic, gdy uciekali przed Armią Czerwoną.

– Ze skarbami? – „Kozik” roześmiał się chrapliwie. – To teraz IPN szuka takich rzeczy? W sumie to czemu się tu dziwić. – Wzruszył ramionami. – Oni uwielbiają grzebać się w gównach, które dawno przestały śmierdzieć.

Iwona Kern nie skomentowała.

– Co chcesz, żeby mi powiedział? – spytał niechętnie.

– Wszystko. O rabunku pałacu i pożarze w pięćdziesiątym szóstym.

– Nie było mnie wtedy w Kopicach. Służyłem w wojsku.

– Nieważne. Ale dużo pan wie.

Galica podrapał się w głowę i spojrzał na nią badawczo.

– Dobrze usłyszałem? Mam powiedzieć wszystko? – Wyraźnie podkreślił ostatnie słowo.

– Tak.

– O twoim dziadku też?

Skinęła głową.

– Wiesz, co robisz?



Powtórzyła kiwnięcie.

– Panie Józku, trzeba, żeby to teraz ujrzało światło dzienne. Kiedyś to panu wytłumaczę, dziś na to za wcześnie. Niech mi pan zaufa.

– Dobra. Jak chcesz.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Byłoby dobrze, żeby ten człowiek z IPN-u zobaczył akta. Wie pan które.

– Te, co pokazałaś teściowi i skończyło się udarem?

– Dokładnie.

Galica pomyślał przez moment.

– Da się zrobić.

– Teraz ja będę miała u pana dług. – Wstała.

– Powiedz mi – zatrzymał ją gestem – czemu nigdy nie rzuciłaś tej sprawy na żer pismakom?

– Bo czekałam na odpowiedni moment – odparła bez wahania. – Właśnie nadszedł. Poza tym, gdyby gazety dostały to ode mnie lub anonimowego nadawcy – nie byłoby takiego efektu. A teraz wszyscy polecą po komentarz do prokuratora IPN, a on potwierdzi, rozumie pan?

Galica pokręcił głową.

– Już jako siuśmajtka byłaś sprytna – stwierdził z uznaniem.

Roześmiała się i zrobiła krok w stronę drzwi przyczepy.

– Dobrze to rozegraj – ostrzegł Kozik. – Jeśli ten z IPN-u jest cwany, nie może się połapać, że to, co mu powiem, zostało nagrane przez ciebie.

Iwona Kern położyła mu dłoń na ramieniu.

– Właśnie taki miałam zamiar, panie Józku – powiedziała i wyszła.

### 3.

– Wszelki duch Pana Boga chwali – wyrzucił z siebie komendant policji w Grodkowie na dźwięk głosu Iwony Kern w słuchawce służbowego telefonu. – Czemu zawdzięczam zaszczyt?

– Mam drobną, ale dyskretną prośbę – odparła słodko.

– Politycy zawsze dzwonią do mnie z powodu drobnych, ale dyskretnych próśb. Z reguły chodzi o anulowanie mandatu.

– Nie – uśmiechnęła Iwona. – Tym razem nie trafiłeś. Jestem w mieście. Mogę wpaść na chwilę?

– Już rozwijamy czerwony dywan – skwitował komendant i odłożył słuchawkę.

Kwadrans później, gdy sekretarka podała już kawę, zamknęła za sobą drzwi gabinetu i zostali sami, szeroko uśmiechnął się do Iwony.

– Zamieniam się w słuch – oświadczył uprzejmie szef grodkowskiej policji.

– Na prośbę marszałka – zaczęła Iwona Kern, aby nadać sprawie wyższą rangę – pomagam prokuratorowi IPN z Warszawy, który prowadzi dochodzenie w sprawie rabunku dóbr kultury z pałacu w Kopicach w latach powojennych.

– Iwona – wtrącił się komendant – ja o tym nawet nie słyszałem. To sprawa zakopana głębiej niż te z archiwum X. O ile w ogóle jest jakaś sprawa. Mogę popytać, ale głowę dam, że policja nic o niej nie wie. Szkoda czasu twojego i tego gościa z IPN-u.

– Zgadza się – potwierdziła radna. – Rzecz w tym, że nie masz być dla niego źródłem, ale mu to źródło wskazać.

Policjant wydał wargi.

– Co to ma być za źródło?

– Józef Galica – odparła.

– Nie wierzę, że to słyszę. – Twarz komendanta stężała. – Ja mam polecać komuś tego szubrawca? Dlaczego?

– Bo cię o to proszę.

Żachnął się.

– Dlaczego prokurator IPN ma przyjść z tym do mnie? Policja nie zajmuje się sprawami sprzed sześćdziesięciu paru lat.

– Bo go o to poproszę.

– A ja mam być pionkiem w tej grze i wykonać tylko jeden ruch: wskazać mu Galicę?

Otwierała usta, ale nie dopuścił jej do głosu.

– Tak, wiem. Bo mnie o to prosisz. Zgoda. Niech ten z IPN-u zadzwoni. Ale pamiętaj, robię to tylko w imię naszej długoletniej znajomości.

– Doceniam – stwierdziła Iwona Kern. – I nie zapomnę.

Wyszła z komendy, wsiadła do auta i ruszyła w stronę Kopic.

Nie spieszyła się.

Gdyby nie konieczność zabrania z domu ważnych dokumentów, w ogóle by się tam nie pokazywała. Mdlilo ją na samą myśl o spotkaniu z Tomaszem, jego entuzjastycznymi zachwykami, że przyjechała w środku tygodnia, i miną zbitego psa, że nie zawiadomiła wcześniej, bo przecież ugotowałby jej ulubiony obiadek.

Spojrzała na zegarek. Środa. Prawie czternasta. O której Kamil kończy dziś lekcje? Jakoś tak koło drugiej chyba. A może trzeciej? Dawno wymazała z pamięci plan zajęć syna.

Zawsze był dzieckiem tatusia. Miał jego oczy, rysy i charakter. Z nią nigdy nie znalazł wspólnego języka. Nie tolerowała jego miękkości i wrażliwości. Wiecznego uzalania się nad sobą, pochlipywania oraz jakiejś popieprzonej dziecięcej odmiany hipochondrii. Ten smarkacz wiecznie na coś narzekał. A to bolało go uszko, a jak nie uszko, to główka, a jak nie główka, to brzusek. Nie skarżył się chyba tylko na choroby brwi i paznokci.

Owszem, była dla niego szorstka. Ale kto miał go wychować na mężczyznę? Rozmamłany tatuś? Gdy Kamil podrósł, zaczął jej unikać. Najchętniej spędzał czas z ojcem, a gdy Tomasz musiał wyjechać z domu, syn nagle przypominał sobie, że ma kolegów, i się ulatniał.

Nie przejmowała się tym. Uważała, że nie ma instynktu macierzyńskiego, a Kamila traktowała jak zakładnika związku z Tomaszem. Wystarczyło jej, że syn odczuwał przed nią lęk i bez szemrania wykonywał polecenia.

Dając mu czas, aby dojechał ze szkoły w Grodkowie, i nie odnotowując nawet śladu refleksji, że przecież mogła go zabrać, zaparkowała w pobliżu ruin pałacu.

Odszukała w schowku samochodu klucz do kłódki wiszącej na bramie tuż pod tablicą zabraniającą wstępu osobom postronnym. Odpięła łańcuch, pchnęła skrzydło broniące wejścia i znalazła się na terenie dawnej rezydencji Schaffgotschów.

Dzień był wymarzony na robienie zdjęć. Wiosenne słońce dostarczało dokładnie tyle światła, ile w studio fotograficznym potrafią wypracować najlepsze lampy w rękach najlepszych ludzi. Na ciemnobłękitnym tle nieba rysowały się kalekie sylwetki wież, wyszczerbione kontury sal i wspomnienia architektonicznej charyzmy pałacu.

Iwona Kern знаła ten widok na pamięć, ale za każdym razem miała wrażenie, że patrzy na niego po raz pierwszy. Tak działają tylko miejsca niezwykle.

W dzieciństwie przychodziła tu niemal codziennie. Z dworku, przydzielonego dziadkom zaraz po wojnie, miała tu parę kroków. Wbrew przestrogom rodziców, którzy co raz widywali w zdziczałym parku rozmaitych podejrzanych ludzi, wymykała się i spacerowała cieniami dawnych alejek.

Uwielbiała wkraczać w ten magiczny świat.

Jej siedmioletnia wyobraźnia ukształtowana przez wróżki i jednorożce pozwalała wierzyć, że przekracza granice czasu, stając się uczestniczką bajki o Kopciuszku. Bajki, która zdarzyła się naprawdę, a jej bohaterką była Joanna Gryzik. Dziewczynka w jej wieku. Z krwi i kości. Sierota, która została najbogatszą panią na świecie i miała swój pałac. Tak prawdziwy, że Iwona mogła go codziennie oglądać z okna swojego pokoju, a jeśli chciała – pójść i dotknąć murów.

Czuła się wtedy wyjątkowa.

Rówieśnicy, jak świat długi i szeroki, mieli Kopciuszka narysowanego przez ilustratorów książeczek dla dzieci i twórców telewizyjnych kreskówek, ona w każdej chwili mogła znaleźć się w świecie Kopciuszka istniejącego naprawdę.

Im była starsza, tym większe robiło to na niej wrażenie. Wracała do domu rozmarzona. Wyciągała adapter „Bambino” i stare winylowe

płyty, jakie zostały po babci Gawrylukowej. Puszczą zwłaszcza jedną. Z przedwojennymi szlagierami, wśród których wręcz magnetycznie działała na nią kołysanka z refrenem: „Ach, śpij, kochanie...”

Z dzieciństwa wyszła z postanowieniem, że chce gwiazdkę z nieba i ją dostanie.

Nie od Karola Goduli, bo takie przypadki zdarzają się raz na tysiąc lat.

Na świecie istniała tylko jedna osoba zdolna podarować jej spełnienie marzeń. Ona sama.

Gdy poszła do polityki, przyjaciele pytali: po co ci to, Iwona? Dieta radnej jest wielokrotnie mniejsza niż pensja nauczycielki angielskiego. W takich chwilach uśmiechała się, rozkładając ramiona. Głupcy – myślała. Dieta nie ma tu żadnego znaczenia. Liczą się możliwości.

Nie myliła się.

Dzięki możliwościom stała dziś przed ruinami umarłej bajki, którą tylko ona mogła wskrzesić.

Firma ze Śląska zgodziła się sprzedać Kopice. Marszałek podpisał list intencyjny i oddał sprawę w jej ręce. Maarten van Daas wpłacił na konto nowej spółki właścicielskiej dwa miliony złotych. Można będzie za to uporządkować teren i zabezpieczyć zagrożone sektory budynków, a potem sięgnąć po pieniądze unijne, które uruchamiał wkład własny. Już ona wiedziała, jak to zrobić. A kiedy uda się ruszyć z remontem obiektu, przyjdzie czas na plan B.

Spojrzała na pozostałości po pałacu i znów opanowało ją to samo uczucie. Że widzi je zupełnie na nowo.

Może dlatego, że nigdy nie była tak blisko spełnienia swoich marzeń.

Nadszedł czas, aby Kopice przygotowały się na kolejnego Kopciuszka.

#### 4.

Tomasz Kern zdziwił się, słysząc dźwięk dzwonka do drzwi. Listonosz? Bo na Kamila za wcześnie.

Wytarł ręce w kuchenną ściereczkę i poszedł otworzyć.

– Iwonka! – roztopił się z radości. – Kochanie! Co za niespodzianka.

Rzucił się ją całować.

– Mam opryszczkę. – Zrobiła krok do tyłu, co automatycznie uruchomiło reakcję, jaką przewidziała. Mąż natychmiast przestawił się na żal.

– Dlaczego nie zawiadomiłaś, że przyjedziesz? Zrobiłbym ci dobry obiad.

– Przed chwilą ucieszyłeś się z niespodzianki – zgasła go. – Gdybym zawiadomiła, toby jej nie było, tak?

Zgodził się z groteskowo zboloną miną.

– Zjesz naleśniczki? – spytał, gdy weszli do kuchni. – Właśnie przygotowuję dla Kamila. Z nutellą. Ale jeśli dla ciebie za słodka, to może ci rozsmażę jabłuszko?

– Może być nutella – odparła, dochodząc do wniosku, że nie wytrzyma jeszcze jednego zdrobienia. Wolałaby zjeść na surowo jajko i łyżkę mąki niż „naleśniczki z jabłuszkiem”. – Kamil jeszcze w szkole? – spytała, żeby zmienić temat.

– Oj, tak. Ma zajęcia pozalekcyjne. Bardzo dużo pracuje przed maturą. To już za miesiąc.

– Nie zmienił planów? – zaniepokoiła się.

– Nie – odpowiedział smutno Tomasz. – On się tobie nie sprzeciwi. To dobre dziecko.

– Chcesz powiedzieć, że idzie do seminarium, bo ja tak chcę?

Mąż wpadł w zakłopotanie.

– No nie. Kamil jest głęboko wierzący. Od pierwszej komunii służy do mszy i jest ulubieńcem księdza Bernarda. Ale...

– Co „ale”? – spytała stanowczo.

– Iwonka, to decyzja na całe życie.

– Nie gadaj głupstw. Mało to księży zrzuca sutannę?

Tomasz wpadł w popłoch.

– Wiesz, jak on by to przeżył? Nie wyobrażam sobie. Dlatego ciągle jeszcze myślę...

– To nie myśl – ucięła. – Ksiądz to w tym kraju wymarzony zawód. Zwłaszcza dla kogoś takiego jak Kamil. Przecież to niezdara, możemy to

sobie szczerze powiedzieć. W każdej innej pracy zginie marnie, zjedzony żywcem. A tak będą go całować w jedną rękę, a w drugą wciskać hajs. Postaram się, żeby trafił do dobrej parafii.

– A inne kwestie? – spytał ostrożnie Tomasz.

– Jakie? O co pytasz? O dziewczyny? Jesteś z nim na co dzień, widziałeś, żeby jakąś miał przez całe liceum? Najchętniej siedzi w domu. No – spojrzała uważnie – chyba, że jest gejem. Co w seminarium nie jest niemiłe widziane – uśmiechnęła się cynicznie.

– Nie jest gejem – zapewnił Tomasz. – I sędzę – zdobył się na odwagę – że dziewczyny go interesują.

Wzruszyła ramionami.

– To też nie problem. Jak byłam w liceum, zawsze chciałam sprawdzić, jak by to było z księdzem. Nasz Bernard nawet w młodości zachowywał się jak stary pierdoła, ale w Grodkowie był taki przystojny wikary...

– Przestań, proszę cię – jęknął Tomasz.

Podeszła do lodówki i naląła sobie szklankę soku.

– Nie kombinujcie z tym seminarium – ostrzegła. – Powiedz lepiej, co z prokuratorem Kanią.

– On jest w porządku – stwierdził Tomasz.

– No proszę. Kto by się spodziewał takiej deklaracji jeszcze paręnaście dni temu.

– Wiem. – Mąż zrobił skruszoną minę, jedną z tych, które wychodziły mu najlepiej. – Chciałem go spławić, bo obawiałem się, że rozgrzebie stare sprawy i znów pojawią się te wszystkie okropne oskarżenia pod adresem mojego dziadka. Wiesz, jak media by się na to rzuciły. Zwłaszcza teraz, gdy finalizujesz sprzedaż pałacu. Czy ktoś napisze, że robisz to dla dobra Kopic i regionu? Nie. Napiszą, że mój dziadek kolaborował z Sowietami i oddał im dzieła sztuki należące do Schaffgotschów. Dlatego chroniłem również ciebie, Iwonko.

– Mnie?

– Nosisz nazwisko Kern – podkreślił.

Niestety – pomyślała. Spojrzała na męża, mrużąc oczy.

– Naprawdę wierzysz, że prokurator IPN nie dokopie się do zarzutów pod adresem twojego dziadka? I że nie zrobi z tego użytku?

– Może się i dokopie – zgodził się Tomasz. – Ale zostawi to dla siebie.

– Skąd ta pewność? – spytała zaintrygowana.

– Stąd, że teraz szuka zaginionych nut. Jest pewien, że były lub nadal są ukryte w jakiejś pałacowej skrytce. Istnieje wiele poszlak, które to potwierdzają. Chociażby osobliwy koncert w piątą rocznicę ślubu Joanny i Hansa Ulryka.

– Masz na myśli nieznaną utwór Chopina, o którym wspominałeś przez telefon? Wart pół miliona funtów?

– Może i więcej – odparł z triumfującą miną. – I tu docieramy do sedna mojej nowej relacji z panem Kanią. Aby zdobyć jedyny dowód, że rodzina Schaffgotschów miała nuty Chopina napisane tylko dla nich, prokurator IPN potrzebuje mojego ojca. Dlatego nie ujawni niczego o dziadku. Trzymam go w szachu.

Iwona przyjrzała mu się uważnie.

– Bo?

– Bo – podchwycił – mój tato zna i potrafi zagrać z pamięci „melodię Schaffgotschów”, coś, co pokolenia hrabiów traktowały jako rodzinny talizman. Rozumiesz, kochanie? To muzyka, którą wykonywano podczas tego tajnego koncertu, tylko dla Joanny i jej męża. Mój prapradziadek go organizował. Ściągnął wybitnych muzyków z Wrocławia, a sam usiadł przy fortepianie. Tak nauczył się tego utworu na pamięć. Potem przekazał ją swojemu synowi, on swojemu i tak dalej – aż do mojego ojca. Ostatniego Kerna obdarzonego słuchem muzycznym. Bo mnie to słoń na ucho nadepnął.

– No tak – zastanowiła się Iwona – gdyby twój ojciec zagrał „melodię Schaffgotchów”, nie byłoby cienia wątpliwości, że skomponował ją Chopin. Jest w stanie to zrobić?

– Próbował – stwierdził Tomasz. – Byliśmy u niego z Kanią, ale nic z tego nie wyszło. Nie zapanował nad rękami. Co nie zmienia faktu, że w nim cała nadzieja. Prokurator IPN wie to równie dobrze jak ja.



– Może trzeba ojcu puścić jakiś kawałek Chopina z YouTube'a? Może to na niego podziała?

– Puszczalem mu. Z płyty CD. Słuchał, ale kiedy zacząłem naciskać, czy „melodia Schaffgotschów” mogła być dziełem Chopina, zdenerwował się. Napisał w notesie, żebym mu dał spokój.

– I co teraz?

Tomasz wzruszył ramionami.

– Kania szuka innych tropów.

Iwona Kern rozważyła w myślach wszystko, co usłyszała, i doszła do wniosku, że miała nosa, aby zajrzeć dziś do domu.

– Wiesz co, Tomek? – powiedziała po dłuższej chwili. – Zrób mi jednego naleśnika z nutellą.

I niemal się do niego uśmiechnęła.

## 5.

Czarne bmw przypominające olbrzymiego żuka mrugnęło światłami cofania i powoli wygramoliło się z ciasnego miejsca postojowego przy Ordynackiej.

Jakub Kania, który przyhamował parę metrów dalej, rutynowo spojrzął w lusterko wsteczne auta i ujrzał w nim swoją uradowaną twarz. Zaparkowanie o tej porze w pobliżu Nowego Świata było trudniejsze niż trafienie w lotto. Odczekał, aż młoda kobieta za kierownicą włączy się do ruchu, i bez sekundy wahania wjechał na zwolnione przez nią miejsce. W Warszawie zbyt długa chwila namysłu mogła oznaczać brak drugiej szansy. Wyłączył silnik, wysiadł i niemal tanecznym krokiem przeszedł się po bilet parkingowy, odprowadzany złym wzrokiem kierowców, którzy w poszukiwaniu miejsca kończyli siedemnasty objazd pobliskich ulic.

Umieścił za szybą kwit z parkomatu, potwierdzenie swojego statusu farciarza, i doszedł do wniosku, że czeka go dobry dzień. Zabawne. Od dziecka lubił wróżyć z wydarzeń. Wystarczyła seria trzech pechowych detali pokroju upuszczonej szczoteczki do zębów albo telefonu z niechcianą wiadomością, a już wiedział, że tak będzie aż do wieczora. I odwrotnie.

Jeśli coś się nieoczekiwanie udawało, tak jak teraz, mógł śmiało stawić życiu czoła. Często oskarżał się wtedy o uleganie kretyńskim zabobonom i obiecywał sobie, że to ostatni raz, a jednak za parę dni do nich wracał. Zwłaszcza że zawsze się sprawdzały.

Gwiżdżąc pod nosem melodię, która przyczepiła się do niego podczas wczorajszych poszukiwań na YouTube, skręcił w Tamkę i doszedł do Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina. Z uwagi na parkingową łaskawość losu miał jeszcze dziesięć minut do umówionego spotkania, dlatego postanowił spędzić je na zewnątrz, czekając przed budynkiem.

Kobietę, która zgodziła się z nim porozmawiać, zauważył niemal w tej samej sekundzie. Być może też miała fart z samochodem. Porównał ją ze zdjęciami z wyszukiwarki i doszedł do wniosku, że tam wyglądała jakoś milej.

Była po sześćdziesiątce. Szczupła, wręcz chuda. Albo nie: zasuszona. Krótkie, niemal po męsku ostrzyżone włosy, czarny golf, szara marynarka, czarne spodnie, szary trencz. Czarne buty na płaskiej podeszwie, czarna męska teczka, wypchana, jakby przenosiła w niej granaty do powstania. Gdy podeszła bliżej, Kuba dostrzegł brak makijażu i drucziane okulary, które dodawały jej twarzy surowości. Wyglądała jak prawnuczka Curie-Skłodowskiej, która zaraz odkryje kolejny pierwiastek promieniotwórczy.

– Dzień dobry, pani profesor – odezwał się, gdy zrównali się na chodniku.

Stanęła zaskoczona.

– To z panem byłąm umówiona? – Spojrzała na zegarek. – Jestem przed czasem, przepraszam. Nie wiedziałam, że pan już czeka.

Zaskoczenie przeniosło się na niego.

Miała ciepły, aksamitny głos i spojrzenie tak pełne życzliwości, jakby pomaganie zagubionym prokuratorom IPN było jej anielską misją. Pod czarno-szarą, suchą skorupą, spotykaną u ludzi oddanych nauce, kryła się istota wrażliwa i przyjazna. Bez granatów i apetytów na rozszczepianie jądra atomu.

– Wchodzimy? – uśmiechnęła się na widok jego zdezorientowania.

– Naturalnie. – Ocknął się i otworzył drzwi Instytutu, puszczając panią profesor przodem.

Wszyscy ją tu znali.

Nie unosili dłoni na powitanie i nie podawali rąk, ale z głębokim szacunkiem pochylali głowy i kłaniali się wytwornie, bez niepotrzebnych słów. Na taką charyzmę pracuje się latami.

Gdy usiedli w jednym z pomieszczeń, pani profesor wysłuchiwała w skupieniu opowieści Kubby.

– Wszystko, co pan powiedział, jest prawdopodobne – stwierdziła, gdy skończył. – Józef Elsner rzeczywiście mógł zamówić u Chopina kołysankę dla Karola Goduli. Nie ma o tym nigdzie żadnej wzmianki, ale umówmy się: czy wybitny kompozytor, który napisałby piosenkę na urodziny producenta wędlin, chwaliłby się tym w swojej biografii?

– Nie sądzę – odparł Kuba.

– No właśnie. Takie rzeczy robi się pod dwoma warunkami: za duże pieniądze i po cichu. Dlatego odpowiedź na pańskie pytanie, czy Fryderyk Chopin mógł skomponować prywatną kołysankę, brzmi: mógł.

Kuba odetchnął z ulgą.

– Czyli jednak – ucieszył się. – Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że pani profesor popuka się w czoło i odeśle mnie do diabła.

– Do diabła? – uśmiechnęła się. – Kto wie, czy właśnie w jego pobliżu nie kryje się sedno tej historii.

Prokurator IPN popatrzył na nią kompletnie zaskoczony.

– Wspomniał pan, że Karol Godula przeżył w młodości głęboką traumę. Mrówki, o ile dobrze zapamiętałam? – upewniła się.

– Zjadły mu połowę twarzy – potwierdził. – Gdy był tego całkowicie świadomy.

Wzdrygnęła się.

– Przyznam, że na początku w pana opowieści coś mi bardzo nie pasowało.

– Co?

– Karol Godula. Król cynku, odludek, chorobliwie oddany pracy i robieniu pieniędzy. Czy ktoś taki może się zauroczyć muzyką? Nie. Dopiero gdy pan opowiedział o tym, co go spotkało nad mrowiskiem, zrozumiałam. Ten człowiek musiał gdzieś usłyszeć Chopina i podziałało to na niego, jakby to powiedzieć: terapeutycznie.

– Terapeutycznie? – powtórzył Kuba.

– Tak. Nie wiem, czy panu wiadomo, że muzyka wielkiego Fryderyka ma taką moc. Serio. Jeśli Godula ją usłyszał i poczuł, że jest balsamem dla jego skołatanej duszy, pewnie zrobił wszystko i użył swoich pieniędzy, aby ją zdobyć. Szczególnie że – jak byśmy to dziś określili – miał dojść do Elsnera, a ten do Chopina. Dlatego pańska hipoteza ma sens. No cóż, proszę szukać tego zaginionego utworu w Kopicach. Będę panu serdecznie kibicowała.

– Utworu lub chociaż dowodu na to, że istniał – uzupełnił Kuba. – Bo ciągle tego nie wiemy.

– Będę bardzo zobowiązana, jeśli mnie pan poinformuje o efektach swojego dochodzenia. Chciałabym wiedzieć, czy potwierdzi się, że Karol Godula, a potem jego spadkobierczynie mieli te nuty. No i czy dostały się w ręce Arama Chaczaturiana. – Pokręciła głową. – Skądinąd niesamowita historia z tą jego misją w Grodkowie.

– Jeśli tylko coś znajdę, pierwsza się pani o tym dowie – obiecał Kuba.

– Miło mi było pana poznać. – Wstała i wyciągnęła rękę. Uściskał jej dłoń i przytrzymał ją przez chwilę.

– Jeszcze jedno, pani profesor.

– Słucham.

– Czy istnieją jakieś dowody na te terapeutyczne walory muzyki Chopina?

Podeszła do biblioteczki, z której wyjęła jakąś starą książkę. Przerzuciła kilka kartek, docierając do paska papierowej zakładki.

– Maurycy Karasowski – spojrzała na Kubę – kompozytor, wiolonczelista i autor książek o Chopinie, wspomina sytuację z domu rodzinnego Fryderyka. Któregoś dnia szalała tam gromadka rozbrykanych dzieci,

a guwerner zatrudniony przez rodziców nie potrafił sobie z nimi poradzić. Mały Fryderyk zaofiarował się, że mu w tym pomoże. Usiadł do fortepianu i zagrał własny utwór, który sprawił, że dzieci najpierw się uspokoiły, potem usiadły i po paru minutach zasnęły. Wszystkie. – Postukała palcem w książkę. – Mało tego. Zasnął też guwerner. Fryderyk przestał grać, pobiegł po matkę i siostry, po czym obudził towarzystwo mocnym akordem. Chce pan wiedzieć, co im zagrał?

Kuba domyślał się odpowiedzi, ale ochoczo skinął głową.

– Kołysankę, którą skomponował na poczekaniu – uśmiechnęła się. – Podczas koncertów wielokrotnie widywałam słuchaczy, którzy ulegali stanom zbliżonym do hipnozy.

## 6.

Czyli wszystko gra – pomyślał Kuba, siadając na ławce przy skwerze parę kroków od Tamki. Wszystko tu było chopinowskie. Instytut, z którego właśnie wyszedł, gmach uniwersytetu muzycznego noszącego imię kompozytora i jego muzeum. Nawet ławeczka z czarnego kamienia, na której można było usiąść, nacisnąć guzik i usłyszeć muzykę wielkiego Fryderyka.

Sięgnął do kieszeni po notatnik. To, co w nim notował, zaczynało się układać w coraz wyraźniejszy ciąg logiczny:

Godula za pośrednictwem Kerna i Elsnera sprowadza z Paryża nuty prywatnej kołysanki Chopina. Koi nią nerwy, a potem przekazuje Joannie Gryzik wraz z całym majątkiem. Przyszła hrabina von Schaffgotsch traktuje utwór z podobną adoracją. Nietrudno się domyślić dlaczego. Ona też przeżyła traumę. Śmierć ojca, porzucenie przez matkę, próby zamachu na życie, wiele lat w ukryciu. Z pewnością kołysanka działała na nią podobnie. W pałacu musiała być traktowana jak przedmiot magii. Pewnie stąd tajemnica koncertu, o którym nie wolno było mówić.

Kuba przygryzł końcówkę długopisu, a następnie napisał słowo „muzyka”, a obok „zaklęcie” i postawił między nimi znak równości.

Poprzedniego wieczoru przed spotkaniem w Narodowym Instytucie Fryderyka Chopina studiował materiały z historii Kopic. Przez kilkanaście minut wpatrywał się w kserokopię planu założenia parkowo-pałacowego zleconego przez Joannę i Hansa Ulryka, gdy nagle coś go zastanowiło.

Zajrzał do szuflady biurka, w której przechowywał starą szkolną linijkę. Nie używał jej od lat, ale z satysfakcją odnotował fakt, że była na swoim miejscu. Ile razy żartowano z niego, że jest nadmiernie poukładany? Że wszystko ma pod sznurek? Nie tylko książki, ale swetry i skarpetki również. Nawet szpargały leżały w pudełkach w określonym porządku.

Żarty były bezbolesne, jednak ich przedmiot bezcenny. Kuba zawsze wiedział, gdzie czego szukać. I zawsze znajdował.

Przyłożył linijkę do kserokopii dziewiętnastowiecznego planu Kopic i narysował ołówkiem kilka prostych łączących pięć najważniejszych obiektów: pałac, mauzoleum w parku, sztuczną ruinę, Kolumnę Zwycięstwa i chiński pawilon. Odległości między nimi były identyczne. Odsunął linijkę i ujrzał idealnie równą pięcioramienną gwiazdę o wierzchołku skierowanym ku górze.

Biały pentagram.

Tajemny znak łączący punkty ognia, ziemi, powietrza, ducha i wody. Rysowano go jednym pociągnięciem bez odrywania ręki.

Nie mogło być żadnej wątpliwości.

Pałac i park w Kopicach zostały przebudowane przez Schaffgotschów tak, aby stanowiły naturalny amulet chroniący przed klątwą i urokiem złej magii. Na wyznaczony w ten sposób teren demony dręczące Joannę nie miały wstępu.

Kołysanka musiała mieć dla niej podobne znaczenie.

Z rozmyślań wyrwał go dzwonek telefonu.

– A jednak mnie pan posłuchał i nie wyjechał do Warszawy – stwierdziła na powitanie Iwona Kern.

– Właśnie jestem w Warszawie – odparł.

– Ale wraca pan do nas.

– Skąd ta pewność?

– Godzinę temu rozmawiałam z mężem. Miło mi słyszeć, że znów panowie współpracujecie. Doszły mnie też słuchy związane z poszukiwaniem cennych nut. Chopina, o ile się nie mylę.

– Nie myli się pani, ale nie ma stuprocentowej pewności, że chodzi właśnie o niego. Brakuje twardego dowodu, że tak zwana „melodia Schaffgotschów”, którą potrafi, a raczej potrafił zagrać pani teść...

– Rozumiem – ucięła. – Czy zalicza pan te nuty do zaginionego skarbu Schaffgotschów?

– Niewiele wiem o tym skarbie – stwierdził Kuba.

– Swego czasu było o tym głośno, ale tak jak już panu kiedyś wspominałam, ja nie pomogę. Wiązą się z tym zbyt bolesne sprawy rodzinne. Nie chcę o tym mówić.

– Rozumiem i nie wnिकam – odparł. – Poszukam źródeł oficjalnych.

– Policja? – spytała mimochodem.

– Pewnie tak – zgodził się. – Choć sprawdziłem i wychodzi na to, że każdy z funkcjonariuszy z Grodkowa urodził się wiele lat po rabunku i pożarze pałacu.

Milczała zaskoczona, że prokurator IPN dotarł już tak daleko.

– Ale ponieważ każdy policjant zna starszego, emerytowanego policjanta – dywagował Kuba – to chyba rzeczywiście odwiedzę komendę.

Ucieszyła się, że sam na to wpadł. Bez jej sugestii, która mogła się wydać podejrzana. Bo tu niby ukrywa jakąś przykrą sprawę rodzinną, a z drugiej strony zachęca do sprawdzenia tematu na policji? Super, że nie musiała nic mówić.

– Trzymam kciuki – skwitowała.

– Czyli jednak pani zależy? – zaczepił.

– Panie prokuratorze – przeszła na oficjalny ton. – Ja kocham Kopice. Chcę wyjaśnić wszystkie tajemnice pałacu i zamienić go w miejsce znane i popularne w całej Europie. Dla dobra nas wszystkich.

– A zwłaszcza twojej przyszłej kampanii wyborczej – powiedział półgłosem Kuba, ale już po tym, gdy usłyszał sygnał zakończonego połączenia.

## 7.

Pierwsze dwie kule trafiły w serce, trzecia idealnie w środek czoła. Typowy scenariusz egzekucji dającej potrójną gwarancję, że ofiara nie przeżyje.

Komendant grodkowskiej policji błyskawicznie przeładował broń, uważając, aby nie skaleczyć dłoni o szczyrbinę pistoletu, i powtórzył tę samą kombinację z przestępcą odległym od poprzedniego o kilka metrów. Serce, serce, głowa.

Dwóch bandziorów mniej – pomyślał i nacisnął guzik, który spowodował, że obydwie tarcze strzelnicze z sylwetkami napastników ruszyły w jego stronę z piskiem metalowych linek.

– Ciągłe masz niezawodne oko – stwierdził instruktor, wręczając mu perfekcyjnie podziurawione arkusze. – Masz, powieś sobie w gabinecie.

– Nie wypada. – Komendant rozłożył ręce. – To niehumanitarne. Gdybym strzelał do normalnych tarcz olimpijskich, to tak. Ale sylwetki ludzkie odpadają.

– Założę ci olimpijki – podchwycił instruktor, ale komendant pokręcił głową.

– Nie mam już czasu. Umówiłem się z gościem z Warszawy.

– Kiedyś żeś łapał takich jak ci. – Instruktor wskazał papierowych bandytów z dziurami w sercach i głowach. – A dziś? Biureczko, spotkanka, obiadki. No i efekty są. – Poklepał wystający brzuch policjanta. – Dorobisz się stłuszczenia wątroby.

– A ty ogłuchniesz – odciął się komendant i pożegnali się głośnym kłaśnięciem, jakie wydaje uderzenie dłoni złożonych jak do siłowania się na rękę.

Do komisariatu dotarł dwie minuty przed czasem.

Gość już czekał.

Był brunetem o miłej aparycji, budzącym sympatię. W wieku zbliżonym do komendanta i o analogicznych okrągłościach, a podobieństwa zawsze ułatwiają rozmowę.

– Stare dzieje – westchnął policjant, wysłuchawszy powodu wizyty prokuratora IPN. – Jestem tutejszy, coś niecoś słyszałem. Ale wie pan,



rabunek i pożar pałacu to sprawa sprzed prawie sześćdziesięciu lat. Chociaż w pańskiej robocie to chyba normalka, co nie?

Kuba potwierdził.

– Gdy posłuchać, co ludzie opowiadali o tym, co się działo w Kopicach zaraz po wojnie, to, powiem panu, włos się jeży na głowie.

Prokurator IPN nastawił uszu.

– Jak Niemcy się wycofali, we wsi pojawiła się jakaś banda żołnierzy Wehrmachtu. Diabli wiedzą, dezertarów czy partyzantów mających nękać Armię Czerwoną za linią frontu? Grunt, że wymordowali Polaków przywiezionych do Kopic na roboty przymusowe i uciekli. Tuż za nimi weszli Ruscy. Szkoda słów na to, co wyprawiali. Tym razem ze Ślązakami. Potem przyszedł czas na repatriantów. Z Tatr i zza Bugu. Pałacu nie splądrowali, bo oficjalnie stanowił już mienie państwowe, ale mauzoleum Schaffgotschów tak.

Komendant zrobił parę sekund przerwy, jakby zastanawiał się, czy powtarzać plotki.

– Ludzie mówili – jednak się zdecydował – że zmumifikowane zwłoki hrabiny Joanny i jej męża zostały wywleczone z trumien i ustawione koło gospody, oparte o rowery. Każdy, kto szedł na wódkę, pękał ze śmiechu. Pan sobie wyobraża? Dziś za taką profanację z pierdła by nie wyszli. A wtedy? To był odwet na Szwabach, rachunek wystawiony za wojnę.

– Co się stało ze szczątkami? – spytał Kuba.

– Poniewierały się po parku. Ktoś widział, jak mali chłopcy grali czaszkami w piłkę, ktoś inny przysięgał, że mumie pływały w mokradłach. Dopiero jak we wsi pojawiły się pogłoski, że grafini Joanna miała jakieś związki z czarami i w Kopicach zaczęły się rodzić ułomne dzieci, na wszystkich padł blady strach. Szczątki zebrano i wiele lat później doczekały się ponownego pochówku.

– Żyje ktoś ze świadków?

– Żyją, ale czy zechcą mówić? Przypuszczam, że wątpię. Pewnie wielu z nich ma coś na sumieniu. Chociaż... jest jeden człowiek...

– Tak?

– Nazywa się Józef Galica. Kiedy tu przyjechał z rodzicami po wojnie, był już dość dużym chłopakiem. W pięćdziesiątym szóstym, jak spłonął pałac, Galica służył w wojsku, ale dużo wie.

– Skąd?

– Po powrocie pracował w resorcie.

– Milicja?

– Służba Bezpieczeństwa. – Komendant skrzywił się. – Uprzedzam pana, to wyjątkowy drań. Pewnie wy w IPN-ie wiecie o nim więcej niż ja, ale ma sporo za uszami.

Kuba zmarszczył czoło.

– Może nie chcesz ze mną rozmawiać.

– Lepiej niech pan się nie przedstawia – doradził komendant. – Niech pan powie, że pisze pan książkę o pałacu, albo coś w tym stylu.

– Gdzie go znajdę?

– Mogę dać panu adres, ale to na nic. Kiedyś chcieliśmy go przepytac w związku z innym zajściem. Nawet nie otworzył drzwi. Nie wpuszcza nawet listonosza. Musi go pan przypilnować pod wieczór, jak obejmuje służbę w składzie tartacznym, gdzie jest nocnym stróżem. To jedyna opcja.

## 8.

Zmierzchało, gdy na drodze prowadzącej do ogrodzonego terenu wypełnionego pryzmami desek pojawił się niewysoki mężczyzna. Musiał już mieć po siedemdziesiątce, ale zachował idealnie prostą sylwetkę i sprężyste ruchy. Kiedy podszedł bliżej, Kuba zauważył, że jest ubrany w podniszczone dżinsy i krótką kurtkę, spod której wystawała skórzana pochwa na nóż. Na nogach miał stare sportowe buty, na głowie bejsbolówkę z logotypem firmy ochroniarskiej.

– Pan Galica? – spytał Kuba.

– Kto pyta?

– Nazywam się Jakub Kania. Interesuje mnie powojenna historia pałacu w Kopicach.

– Kto przysłał?

– Komendant policji z Grodkowa.

Przez twarz Galicy przebiegł prawie niewidoczny grymas, który można było odczytać jako przejaw satysfakcji.

– Zaczekaj pan tu – powiedział. – Wyjdę do pana, tylko zostawię rzeczy.  
Kuba skinął głową.

Przez dziesięć minut stał przed składem drewna, od czasu do czasu zerkając w stronę starej przyczepy kempingowej, produkowanej niegdyś w Niewiadowie. Zastanawiał się, jakie podróże odbyła, zanim stała się wartownią, i doszedł do wniosku, że fajnie byłoby zrobić takie dochodzenie. Odtworzyć biografię przyczepy. Do kogo należała, jakich przygód była świadkiem.

Tymczasem nic się w niej nie działo. Galica zniknął we wnętrzu, a przez wypukłe plastikowe okno nie było widać żadnego ruchu.

Kuba zaczął się niecierpliwić, gdy drzwi w końcu się otworzyły, a stojący w nich stróż przywołał go gestem dłoni.

Podszedł bliżej.

– Mój czas kosztuje – powiedział Galica, bezczelnie patrząc mu prosto w twarz.

Kuba sięgnął po portfel i wyjął z niego banknot pięćdziesięciotowy.

– Dodam jeszcze jeden – zapewnił na widok rozczarowanej miny stróża.  
– Ale później, jak porozmawiamy.

– Co chcesz pan wiedzieć? – Galica wskazał mu siedzisko naprzeciwko swojego.

– Wszystko, co panu wiadomo o grabieży pałacu.

– Panie – roześmiał się Galica. – Musiałbym gadać do rana. Pytaj pan konkretnie.

– Czy pogłoski o skarbie Schaffgotschów są prawdziwe? – zaczął Kuba, wyjmując notes.

– Żadne pogłoski. Graf jeszcze niedawno przyjeżdżał do Kopic i opowiadał, że spieprzali przed Armią Czerwoną, aż się kurzyło. Każdy z jedną walizką. Cały majątek zostawili pod opieką służby. A hrabiowscy lokaje nie byli w ciemię bici. Wiedzieli, że Rusczy przetrząsną pałac

w poszukiwaniu kosztowności, dlatego spakowali wszystko i zakopali w paru miejscach w parku. Sołdaci wpadli do Kopic, ale niczego nie znaleźli. Wkurwili się, rozwalili kilkoro miejscowych, zgwałcili parę kobiet i pojechali *wperiod* ścigać Hitlera. Skarb Schaffgotschów pozostał w ziemi.

– Czytałem, że nie na długo.

– Tak jest. Rok później ktoś ze służby doszedł do wniosku, że graf już raczej nie wróci, i puścił parę, gdzie są zakopane kosztowności. Ludzie są przekonani, że zrobił to niejaki Kern. Dogadał się z Ruskimi, był ich – jak to się mówi – „tajnym współpracownikiem”

– Gazety pisały, że to była robota szabrowników – wtrącił Kuba.

– A pan wierzysz pismakom? Panie, jak pracowałem w resorcie, dokładnie przyjrzałem się tej sprawie. Było tak: rzekomi szabrownicy spakowali skarby Schaffgotschów do beczek i wywieźli ciężarówką. Spokojnie wyjechali z Kopic, ale wiele kilometrów dalej zatrzymał ich dzielny szeryf. Sierżant z Urzędu Bezpieczeństwa z Niemodlina. Wytłumacz mi pan, dlaczego z Niemodlina, a nie z Grodkowa? Czy przypadkiem nie chodziło o to, aby miejscowa milicja o niczym nie wiedziała? – Popatrzył na Kubę z wyrazem twarzy świadczącym, że to jasne jak słońce. – Kolejne pytania. – Galica uniósł dwa palce. – Skąd sierżant UB z Niemodlina wiedział, że „szabrownicy” będą przejeżdżać z fantami akurat tamtędy i akurat w czasie, gdy będzie na nich czekał? Jasnowidz, czy co? I następna kwestia: dlaczego był sam? Gdyby miał do czynienia z prawdziwymi bandziorami, dostałby kulkę w łeb. Zaciągnęliby go do lasu, a tam już wilki i lisy wiedziałyby, jak dokończyć sprawę. Po dzielnym szeryfie zostałyby sprzączka od pasa, guziki i orzełek.

– Podejrzewa pan, że to wszystko było ukartowane?

– Na sto procent. Słuchaj pan, co się dzieje dalej: szeryf aresztuje „szabrowników”, a skarb odwozi do wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Opolu. Niestety – Galica zrobił teatralną minę i zatrzepotał palcami – tu ślad się urywa. W aktach nie ma ani jednej wzmianki, że złodzieje byli sądzeni i skazani. Nic. Ani słowa. A żeby było śmieszniej – zawiesił głos – ginie też skarb. Z parkingu UB, dasz pan wiarę?

„W tajemniczych okolicznościach” – napisano w protokole. Masz pan jeszcze jakieś wątpliwości?

– Nie wiem – odparł szczerze Kuba.

– To panu powiem coś jeszcze: dzielny szeryf, który wytropił i aresztował „szabrowników” z Kopic, dostał za to Krzyż Zasługi, dwa miliony złotych i awans na stanowisko szefa UB w Grodkowie. Znałem go osobiście, ale nawet jak był kompletnie zalany, nie chciał mówić o swoim największym sukcesie i najwyższej nagrodzie pieniężnej w dziejach bezpieczeństwa na Opolszczyźnie.

Kuba uniósł głowę znad notatek.

– Rzeczywiście dziwne. Ciekawe, w czyje ręce trafił skarb? Jak pan myśli?

– Jeśli towarzysze z UB coś z tego uszczknęli, to za zgodą Rosjan. Wtedy trzeba było mieć ich pozwolenie na taki skok. Jak od ojca chrzestnego w mafii – zaśmiał się. – A pana to interesuje w tym skarbie coś konkretnego? – Spojrzał podejrzliwie.

– Nuty – odparł Kuba.

– Co? – Galica patrzył na niego z bezgranicznym zdumieniem. – Jakie nuty?

– Unikalne i bardzo cenne.

– W sensie takie na papierze? W pięciolinie?

– Dokładnie.

Teraz Galica rozśmiał się na dobre.

– Panie, takimi rzeczami to się wtedy paliło w piecu. Schafftsche mieli olbrzymią bibliotekę, tysiące starych książek. Pewnie warte majątek. Myśli pan, że chociaż jedna ocalała? Jeśli te pana nuty rzeczywiście były w pałacu, to tylko w bibliotece. A wtedy... – znów zatrzepotał palcami, tym razem imitując unoszący się dym – szukaj pan ich w atmosferze.

Kuba pokiwał głową.

– Pewnie ma pan rację. Jeśli trafiły w ręce kogoś, kto nie miał pojęcia, ile są warte, mogły pójść z dymem.

– A w czyje ręce miały trafić? Tu przyjechali prości ludzie. Niepiśmienni. Biedni jak myszy kościelne i nienawidzący Szwabów. Myślisz pan,

że mieli sentyment do niemieckich papierzysek?

– To akurat były polskie nuty. Podejrzewam, że Fryderyka Chopina.

– Co pan powiesz? – ożywił się Galica i dodał z dumą: – Mieszkam na ulicy Elsnera. To był jego nauczyciel, słyszałeś pan?

– Obito mi się o uszy.

– Ale po mojemu to żadnych nut pan nie znajdziesz.

– Może i tak – zmartwił się Kuba. – Zwłaszcza że nawet jeśli przetrwały w jakiejś skrytce, to dziesięć lat później był kolejny pożar, prawda?

– Prawda – zgodził się Galica. – Wtedy to już cały pałac poszedł z dymem.

– Czy to miało zatrzeć ślady rabunku?

– Panie, rabunek to tam szedł na okrągło. Jakbyśmy się tak dziś przeszli po domach w Kopicach, to stawiam skrzynkę wódki przeciwko czapce śliwek, że znaleźlibyśmy fanty z pałacu. Latami kierownik gorzelni skupował kradzione hrabiowskie fanty za bimber. To działało jak lombard. Można było przynieść różne rzeczy i dostać szmal, albo przynieść szmal i dostać różne rzeczy. Moja ciotka kupiła sobie u niego materiał na płaszcz, taki elegancki aksamitny, z pałacowych zasłon. Zresztą, co to dużo gadać...

– Galica sięgnął po metalowy kubek z grzałką, stojący na turystycznym stoliku. Przetawił go i ujął w dłoń wyszczerbioną ceramiczną płytkę, pełniącą funkcję podstawki w zestawie do parzenia herbaty. Podał ją Kubie. – Wiesz pan, co to jest?

Nie wiedział.

– Kawalek kafelka z pałacu. Było ich mnóstwo. Joanna z mężem zamówiła je w jakiejś niemieckiej fabryczce, bo wzory się jej spodobały. Tam są nawet nazwiska właścicieli, odwróć pan.

Kuba zerknął na rewers.

– Villeroy and Boch – przeczytał.

– O, widzisz pan – pouczył go Galica. – To był chodliwy towar. Kafle, deski na boazerie, drzwi, podłogi. A nie jakieś nuty, panie.

– Dużo pan wie – stwierdził Kuba.

– Bo to była moja wieś. I moja robota, po tym jak wróciłem z wojska.

– Kto podpalił pałac w pięćdziesiątym szóstym? – spytał Kuba.

– Panie, gdybym to ja wiedział, tobym takiemu nogi z dupy wyrwał. To było piękne miejsce. Kolonie się tam odbywały, obozy dla harcerzy. Bale karnawałowe. Ale komuś to było nie na rękę.

– Komu?

– Wtedy gazety pisały, że zrobili to Schaffgotschowie. Z zemsty za utracone dobra. Bzdura. UB znalazło kobietę z Kopic, która rzekomo widziała Niemca w jasnym garniturze, który się kręcił po parku przed pożarem, i rozpoznała w nim hrabiego. Przesłuchałem ją parę lat później, przyznała się, że nikogo nie widziała, ale kazano jej tak zeznać. Powiem panu tyle, że podpalenie było fachowe. Znaleziono rozlaną naftę, a wcześniej ktoś wypompował wodę ze stawu. Jak przyjechała straż, zastała tylko błoto.

– Pańska hipoteza? – spytał Kuba. Już wcześniej zauważył, że Galica lubi, gdy się go pyta o zdanie.

– Ktoś chciał coś ukryć. Głośno było o szajce, która ogołociła pałac z wszystkiego, co się dało, i podłożyła ogień, żeby zatrzeć ślady. Podejrzenie padło na mojego sąsiada. Aresztowali go, choć był partyjny i miał znajomości. Ale był za Bierutem i nie podobał się tym, co nastali po nim. Siedział kilka miesięcy. Jak go wypuścili, był wrakiem człowieka. Nie wychodził z domu, nie odzywał się do nikogo. Z pomocą sąsiadów naprawił dach, który się zajął od iskier z płonącego pałacu. Ponoć przez cały czas się nie odzywał. Jak skończyli, poszedł na strych i się powiesił. Dobry był człowiek. Uczciwy. Gawryluk się nazywał.

Kuba drgnął.

– Czy to...

– Tak – dokończył za niego Galica. – Rodzina tej radnej. Dziadek.

## 9.

Archiwista miał na sobie szary fartuch, jakby wystylizował go kostiumolog pracujący na planie serialu kryminalnego z czasów PRL. Lubił ten strój. Uważał, że jest idealny na kurz i w pewnym sensie prestiżowy.

Jak mundur generała, który od trzydziestu lat toczy bitwę z widmami przeszłości.

– Nie było kłopotu ze znalezieniem – powiedział do Jakuba Kani, taszcząc tom akt rozmiarów słownika oxfordzkiego. – To najgrubsza teczka z pięćdziesiątego szóstego.

Kuba rzucił okiem i odczytał pożółkłą papierową etykietę naklejoną na tekturze: „Sprawa Kopic”. Uśmiechnął się do archiwisty.

– Ma pan szczęście – uznał człowiek w szarym fartuchu. – Dawno by to poszło na przemiał, ale Komenda Główna Policji nadała aktom sygnaturę „A”. Wie pan, co to znaczy?

– „Źródło o wartości historycznej, przechowywane wieczyście i nie podlegające brakowaniu” – Kuba zacytował przepisy.

– Spędza się trochę czasu w archiwach, co? – Człowiek w szarym fartuchu puścił do niego oko.

– Taka robota. – Prokurator IPN odmrugał.

– Zatem pomyślnych łowów. – Archiwista odwrócił się na pięcie, ale Kuba zatrzymał go pytaniem:

– Domyśla się pan, dlaczego jakieś powiatowe śledztwo w sprawie okradzenia i podpalenia poniemieckiego pałacu ma sygnaturę „A”?

– Już pan sobie odpowiedział – orzekł archiwista. – Skoro pałac poniemiecki, to sprawa jasna. Jesteśmy w Unii, proszę szanownego pana. Bardzo podkreślamy naszą otwartość i to, że nie mamy nic do ukrycia. To taka odmiana wstydu za przeszłość. A sprawa chyba ciekawa, bo parę lat temu interesowała się tymi aktami jedna elegancka pani.

Kuba drgnął.

– Pamięta pan, kto to był?

– Jakaś radna wojewódzka. Nazwisko mi umknęło. Ale mogę sprawdzić w rejestrze.

– Nie trzeba – stwierdził.

Podziękował i zabrał się za lekturę dokumentów.

Galica miał rację. To było śledztwo udokumentowane tak starannie, jakby zgłoszono je do ogólnopolskiego konkursu na najlepsze milicyjne



dochodzenie dziesięciolecia.

„Ambicja komendanta – wyjaśnił były esbek podczas rozmowy w przyczepie. – Facet nazywał się Zawisza, był szefem komendy powiatowej w Grodkowie i wziął sobie za punkt honoru rozwiązać tę zagadkę”.

Rzeczywiście był ambitny.

Akta pełne były zeznań świadków, zdjęć, szkiców sytuacyjnych i opisów przedmiotów, które zaginęły, zostały skradzione lub spłonęły. Co w sumie na jedno wychodzi. Meble, podłogi, framugi i skrzydła drzwi, piece, kafle, elementy kominków. Żadnych nut. Żadnych sprawców.

Poza jednym. Domniemanym.

Jego aresztowaniu, przesłuchaniom i samobójstwu poświęcono kilkanaście stron dokumentów. I kilka stron fotografii. Bardzo dobrych, wyraźnych fotografii, wykonanych przez kogoś, kto znał się na robocie.

Dokumentowały każdy detal.

Człowiek, który odebrał sobie życie na strychu dworku, przydzielonym mu przez komisję repatriacyjną, powiesił się na grubej linie, jakiej nie powstydziałaby się prawdziwa szubienica.

Było w tej śmierci coś zagadkowego.

Gawryluk budzi się w nocy, widząc, że pałac w Kopicach pali się jak pochodnia. Wybiega na zewnątrz. Zauważa, że wiatr zmienia kierunek i niesie w stronę dworku płonące strzępy pałacowych zasłon. Lądują na jego dachu, który też zaczyna się palić. Krzyczy, wzywając ratunku, ale wszyscy sąsiedzi zajęci są pałacem. Musi sobie radzić sam. Z wiadrami wody ze studni biega po schodach na strych i próbuje gasić. Pomagają mu żona i dzieci. Udaje się opanować pożar, ale część dachu jest nie do odratowania. Zawala się z łoskotem. W obawie, że coś jeszcze może się tam tlić, Gawrylukowie zalewają zniszczoną część kilkunastoma dodatkowymi wiadrami wody. Choć jest środek nocy, wokół jasno jak w dzień. Płonący pałac oświetla pół wsi.

Skonany ze zmęczenia Gawryluk biegnie na dziedziniec dawnej rezydencji Schaffgotschów, ale tam nie ma już czego ratować. Straż pożarna

pozbawiona wody ze stawu może tylko stać i patrzeć.

Nazajutrz Gawryluk jedzie do Grodkowa z podaniem o przydział drewna na remont dachu. Znają go. Jest członkiem partii. Zgodę dostaje od ręki. Wynajmuje furmankę i przywozi do Kopic belki i deski jeszcze pachnące żywicą. Prosto z tartaku. Organizuje sąsiadów znających się na ciesielce. Rozpoczynają prace, ale przerywa je niespodziewana wizyta milicji.

Gawryluk zostaje aresztowany. Pod zarzutem zorganizowania rabunku pałacu w Kopicach i podpalenia obiektu dla zatarcia śladów. Trafia do aresztu. Jest poddany śledztwu. Brutalnemu, jak twierdzi Galica.

Nie przyznaje się do winy.

Wypuszczony z braku dowodów, wraca do domu. Przechodzi załamanie nerwowe. Milczy. Kilka dni spędza na dachu, kończąc remont. Pomaga mu paru sąsiadów. Pracują w ciszy. We wtorek przybijają deski poszycia, kładą papę i uszczelniają ją smołą. W środę rano Gawryluk wchodzi na strych. Nikogo to nie dziwi. Domownicy są przekonani, że chce sprawdzić efekt. Dwie godziny później zaniepokojona żona wysyła na strych syna i to on ujrzy obraz, który będzie go prześladował do końca życia.

Kuba odwrócił stronę i raz jeszcze przyjrzał się fotografiom. Upiorny widok wisielca. But, który rozsznurował się pewnie pod wpływem drgawek ciała i ześlizgnął się ze stopy powieszonego. Wszędzie czarne krople smoły. Belki nowej więźby dachowej, na których wyraźnie widać słoje drewna.

Solidna robota. Konstrukcja dająca rodzinie dach nad głową. Chroniąca przed wiatrem, deszczem i śniegiem. Mocna na tyle, że bez trudu uniosła ciało dorosłego mężczyzny, powiększone o ciężar zarzutów.

Kuba odsunął akta i pogrążył się w myślach.

Rozumiał wszystko, poza jednym. Na jakiej podstawie aresztowano i przesłuchiowano Gawryluka? Skoro były ku temu jakieś przesłanki, to dlaczego zwolniono go z braku dowodów?

Szybkim ruchem sięgnął po dokumenty i zaczął je wertować od początku.

Znalazł.

Wśród zeznań świadków opowiadających o pożarze dawnej rezydencji Schaffgotschów ukrył się donos. Zapisana równym pismem informacja, że kradzież rzeczy z pałacu zorganizował Gawryluk Jan, zamieszkały i tak dalej. Autor donosu zapewniał, że widział go feralnego wieczoru, jak skradał się przez park z bańką nafty.

Kuba dokończył lekturę „zawiadomienia” podpisanego przez „Polskiego Patriotę” i odszukał protokół zatrzymania Gawryluka. „Na terenie posesji zabezpieczono bańkę po nafcie” – napisał prowadzący czynności sierżant Milicji Obywatelskiej. Do aresztowania i przesłuchania wystarczyło. Dla sądu nie. Dlatego Gawryluka trzeba było wypuścić – podpowiedziała prawnicza intuicja prokuratora IPN.

Wyjął z kieszeni telefon, sfotografował donos i oszczędzając zniszczone kurzem płuca archiwisty, sam odniósł akta na miejsce.

## 10.

Scena, jaka rozegrała się jakiś czas później przed składem tartacznym w Grodkowie, mogła uchodzić za *déjà vu*.

Tuż po zamknięciu placu z drewnem, na ulicy, która do niego prowadziła, pojawił się stróż nocny ze swoim nieodłącznym nożem przy pasie. Szedł w kierunku bramy, przed którą czekał ten sam gość, co kilka dni temu.

– Wiedziałem, że pan wróci – powiedział, zbliżając się do Kuby.

– Dlaczego?

– Bo z pana rasowy pies. Umiem to rozpoznać.

– Niby jak?

– Byłem pewien, że po przejrzeniu akt, do których pana odesłałem, będziesz pan miał pytania i przyjdiesz pan z nimi do mnie.

– Tylko jedno – stwierdził Kuba.

– Pytaj pan.

Kania sięgnął po telefon, wybrał zdjęcie donosu, powiększył je i odwrócił ekran w stronę Galicy.

– Wie pan, kto to napisał.

Emerytowany esbek przez chwilę się zastanawiał.

– Wiem.

– Kto?

– Stary Kern. Dziadek Tomasza. Od dawna gryzie ziemię.

– Skąd pan wie, że to on?

Galica uśmiechnął się i spojrzał na Kubę z wyższością.

– Po charakterze pisma. Geniusze z milicji dwa lata prowadzili śledztwo w tej sprawie, a nie wpadli na to, żeby paru osobom z kręgu podejrzeń kazać napisać kawałek tego tekstu i porównać pismo. Przede wszystkim należało sprawdzić Kerna. Nienawidził Gawryluków. Nie mógł im wybaczyć, że stracił przez nich swój wielkopański dworek i trochę sobie pomieszkał w oborze. Ale ci durnie na to nie wpadli. Bo gdyby wpadli i udowodnili Kernowi donos, należałoby go spytać, jakie ma dowody na to, że Gawryluk okradł i spalił pałac. A gdyby ich nie miał, to milicja powinna dać mu porządnie po ryju, a potem zamknąć w areszcie. Jego, nie Gawryluka.

– Dlaczego pan tego nie zrobił?

– Nie było mnie tu wtedy. Kiedy wróciłem i zacząłem pracę w resorcie, sprawa była od dawna zamknięta, a Gawryluk na cmentarzu półtora metra pod ziemią. Coś jeszcze?

Kuba przecząco pokręcił głową. Schował telefon i już otwierał usta, żeby powiedzieć do widzenia, ale były esbek pchnął bramę i odszedł w stronę swojej przyczepy kempingowej.

– Dziękuję! – zawołał za nim, Galica się jednak nie odwrócił.

Prokurator IPN odprowadził go wzrokiem i wrócił do samochodu zaparkowanego dwieście metrów dalej. Wsiadł, uruchomił silnik i wybrał numer Kasi.

Odpowiedziała po pierwszym dzwonku.

– Zaczynałam się martwić. – W jej głosie, przenoszonym przez sieć komórkową i instalację głośnomówiącą w aucie, rzeczywiście brzmiał lekki niepokój. – Nie dzwoniłeś od wczoraj.

– Dużo się działo, przepraszam.

– Opowiadaj.

– Ty pierwsza. Skarżyłaś się ostatnio na ból zęba. Co z nim?

– Kanał.

Kuba syknął przeciągle.

– Czemu syczysz? Jesteś jedynym znanym mi facetem, który nie boi się dentysty.

– Syczę za ciebie.

– To bardzo rycerskie – roześmiała się. – Kolejny wpis do podręcznika manier dżentelmena: syczeć za kobietę, którą boli ząb.

– Powiedz lepiej, jak się mają dziewczynki?

– Wyśmienicie. Kiedy przyjedziesz na weekend? Jakbyś dał radę w piątek, to się umówię po południu na to leczenie kanałowe.

– Umawiaj się. Będę na pewno. A najchętniej to przyjechałbym już dziś.

– Słyszę ton rezygnacji?

– Nie wiem – westchnął. – To szukanie igły w stogu siana. Nawet nie wiem, czy ta cholerna melodia Schaffgotschów rzeczywiście była dziełem Chopina. Mam tylko przypuszczenia i poszlaki. Żadnego dowodu. Tymczasem zamiast zaginionych nut znajduję coraz więcej tajemnic rodziny pani radnej i jej męża.

– Zaczekaj – powiedziała Kasia. – Tylko włączę program w pralce.

Głośnik samochodowy przyniósł jakieś dziwne odgłosy, po których zapadła cisza i deklaracja:

– Już siedzę wygodnie i zamieniam się w słuch.

Kuba opowiedział jej wydarzenia ostatnich dni.

– Nie wydaje ci się dziwne – powiedziała Kasia, gdy skończył – że ten były esbek okazał się bardzo wylewny? Z tego, co mówisz, to opowiedział wszystko jak w konfesjonale. O ile w jego wypadku to właściwe porównanie.

– Masz rację – zgodził się Kuba. – Też mi to przyszło do głowy. Zwłaszcza że przywoływał fakty sprzed prawie sześćdziesięciu lat, jakby miały miejsce tydzień temu. Przypuszczałem, że się dobrze przygotował do tej rozmowy.

- Przypuszczałeś? I już nie przypuszczasz?
- Już nie, bo po dzisiejszej rozmowie mam pewność.
- O! – zdziwiła się Kasia.
- Wiesz, co mi przed chwilą powiedział? Że rozpoznał we mnie rasowego psa.
- Psa?
- No wiesz: policjanta, śledczego, który za czymś węszy. Moim zdaniem wiedział, kim jestem, a przecież ani razu o to nie zapytał.
- Czyli znów ci ktoś podsunął informatora?
- Tak sądzę, ale nie wiem kto.
- A kto cię do niego skierował?
- Komendant policji. On ma tę sprawę gdzieś, ale mógł działać na czyjąś prośbę.
- Ciekawe czyją? – zastanowiła się Kasia.
- Tomasza Kerna na pewno nie – zawyrokował Kuba. – On raczej nie ma interesu w tym, żeby wyszła na jaw paskudna historia z jego dziadkiem. Nie dość, że facet był uważany za informatora Rosjan, to jeszcze na skutek jego donosu doszło do tragedii z dziadkiem Iwony w roli głównej.
- Wobec tego to ona.
- Kuba pomyślał przez chwilę.
- Nie. Raczej nie.
- Dlaczego nie? Miała motyw.
- Jaki motyw? Zemstę po latach? W archiwum dowiedziałem się, że znała akta „Sprawy Kopic” od kilku lat. Dlaczego wówczas nie ujawniła mediom, że jej dziadek zginął z powodu starego Kerna?
- Bo to jej wtedy nie było potrzebne.
- A teraz nagle jest?
- Teraz nagle jest – powtórzyła Kasia z przekonaniem.
- Po co?
- Już zapomniałeś, co mi o niej opowiadałeś? Że się migdaliła z tym Holendrem?
- Taki z niego Holender jak ze mnie Eskimos.

– Nieważne. Ważne, że się migdałiła.

– I co z tego?

– A to, że na moje oko wcale nie chodzi tu o romans.

– A o co?

– Założę się, że oni mają wspólny plan. A elementem tego planu jest porzucenie męża pantoflarza.

Kuba oparł dłonie na kierownicy.

– Czy do tego potrzebna jest przeszłość?

– Oczywiście – potwierdziła Kasia. – Nie zapominaj, że to pani polityk. Z tego co mówisz – kuta na cztery łapy. Jak myślisz, jak zareagują jej wyborcy w Kopicach i Grodkowie, gdy się dowiedzą, że zostawiła męża i wymieniła go na lepszy model? Jak przyjmą wiadomość, że pozbyła się miłego pana Tomusia, którego wszyscy tam lubią, bo jest taki kochany? Wszyscy uznają ją za podłą sukę, tak czy nie?

– Tak – zgodził się Kuba.

– Ale jeśli się okaże, że pani radna nie chce już mieć nic wspólnego z Kernami, bo to rodzina zdrajców narodu, którzy donosili na prawdziwych Polaków, to cała sytuacja z porzuceniem męża będzie wyglądała zupełnie inaczej. Moim zdaniem dziadek Kern przyda się w tej sytuacji jak piłka do metalu w więzieniu.

– Nie poznaję cię – oświadczył Kuba. – Co ty tam robisz, jak mnie nie ma? Chodzisz na jakieś kursy dla detektywów?

– No widzisz – zatriumfowała Kasia. – Wspomnisz moje słowa.

– Pewnie tak – zgodził się. – Ale po co ja mam wziąć udział w tej grze?

– To proste – odparła. – Gdy tylko sprawa wybuchnie, spodziewaj się telefonów od dziennikarzy. Założę się, że jakimś cudem dowiedzą się, że czytałeś akta, i będą chcieli komentarza prokuratora IPN na temat donosu. To bardzo uwiarygodni doniesienia medialne. Nie sądzisz?

Kuba doszedł do wniosku, że każdy element układanki Kasi pasuje jak ulał.

– Możesz mieć rację, Watsonie – powiedział.

– Watsonie? – oburzyła się. – Sherlocku, chyba. Kto rozkminił zagadkę pani radnej?

## 11.

Nagle zerwał się silny wiatr, więc Tomasz Kern zrezygnował ze spaceru wzdłuż krawężnika Miejsca Obsługi Podróżnych przy autostradzie A4 i schronił się w budynku stacji benzynowej.

Zamówił herbatę w tekturowym kubku i z nosem przyklepionym do szyby obserwował busy wjeżdżające na parking. Czekał na granatowy z białym napisem *Le Voyage France-Pologne*. Powinien przyjechać godzinę temu, ale jeśli się ktoś w Rzędziwojowicach na Opolszczyźnie umawia na konkretną porę z kierowcą jadącym z Aix w Prowansji, to nie powinien się nastawiać na punktualność.

Bus miał dostarczyć przesyłkę specjalną.

*Foie gras*, trochę trufli, kilka składników zupy *bouillabaisse*, których nie można było dostać w Polsce, oraz skrzynkę różowego wina. Wszystko to miało wspólny mianownik. Pasztet z gęsich wątróbek, legendarną zupę rybną oraz *rose* z apelacji Bandol uwielbiała Iwona. Właśnie zbliżały się jej urodziny i Tomasz postanowił uczcić je prowansalską niespodzianką.

Dwa tygodnie wcześniej zadzwonił do Vincenta, właściciela winnicy niedaleko Aix-en-Provence, i poprosił go o kupno tych wszystkich delikatesów.

Znali się od kilkunastu lat. Dawno temu trafił do niego przypadkiem, szukając zarobku przy winobraniu. Uwagę Francuza zwrócił fakt, że Tomasz pracuje niezwykle sumiennie, a przy tym instynktownie rozumie winorośl. Nie kaleczył jej jak inni robotnicy sezonowi i traktował z czułością, dzięki której roślina oddaje swoją wrażliwość owocom.

Od tamtej pory Tomasz przyjeżdżał regularnie.

Za każdym razem przywoził suchą kiełbasę, kiszony ogórek i wódkę z ziemniaków, po której nie bolała głowa. I jeszcze coś: coraz lepszą z roku na rok znajomość angielskiego. Żona go uczyła. Vincent, który przed kupnem winnicy pracował w londyńskim biurze globalnej korporacji



finansowej, mówił po angielsku doskonale, ale Tomaszowi zazdrościł akcentu. *Magnifique Ivone* – cmokał z podziwem, doceniając postępy w nauce.

Szybko się zaprzyjaźnili.

Kiedy Kern przyjeżdżał na krótko, dostawał premie i koszyki prowansalskich specjałów. Ale gdy zostawał na cały sezon, aby zarobić na kolejną kampanię wyborczą żony, Vincent zabierał go na wycieczki w Dolinę Rodanu, połączone z wizytami u zaprzyjaźnionych winiarzy.

Tomasz wyjął z kieszeni smartfona i przeglądał zdjęcia z ostatniej z wypraw, gdy za szybą mignęła granatowa sylwetka mercedesa vito.

Pospiesznie dopił herbatę, wyrzucił kubek do pojemnika na odpadki i podszedł do auta, akurat w chwili, gdy kierowca wypuścił pasażerów na dziesięciominutową przerwę.

– Ma pan dla mnie przesyłkę od Vincenta – powiedział.

– Tak jest – potwierdził mężczyzna, rozprostowując kości. Obsługiwał tę trasę po raz pierwszy, ale słyszał od kolegów, że dwaj faceci oddaleni od siebie o tysiąc osiemset kilometrów parę razy w roku wymieniają się smakołykami. I obaj dają dobre napiwki, bo ludzie, którzy troszczą się o własne podniebienie, zazwyczaj są hojni.

Na potwierdzenie tych pogłosek Tomasz wręczył mu dwa banknoty, podziękował, po czym przeniósł rzeczy do bagażnika swojego auta. Kiwnął dłonią kierowcy, który odmachnął z entuzjazmem wartym dwadzieścia euro. Kern ruszył w stronę Kopic. Zjechał z autostrady, stanął w pierwszej zatoczce i sprawdził przesyłkę. Nie chciał tego robić przy kierowcy busa, żeby go nie urazić.

Wszystko się zgadzało.

Tomasz ułamał kawałek nugatu, dorzuconego przez Vincenta jako bonus, i nucąc pod nosem, pojechał wprost do domu rodziców.

Przez kilka chwil bił się z myślami, czy przypadkiem nie popełnił wykroczenia przeciwko Iwonie, ofiarowując ojcu jedną butelkę różowego wina, ale zwyciężyły więzy krwi. Sięgnął do bagażnika, ukrył *rose* pod kurtką i niemal chyłkiem przebiegł do drzwi.

Zapukał, ale matka chyba gdzieś wyszła.

Skorzystał z własnego klucza, wszedł do holu i stanął jak wryty.

## 12.

Jakub Kania skończył rozmowę z Kasią, przekomarzając się, kto jest lepszym detektywem, i rozłączył się, aby w tej samej sekundzie znów usłyszeć sygnał przychodzącego połączenia.

– Czym cię mogę uszczęśliwić? – spytał, nie sprawdzając abonenta, w stuprocentowym przekonaniu, że to Kasia o czymś zapomniała. Ale zamiast niej usłyszał wyraźnie podekscytowany głos Tomasza Kerna.

– Jesteś jeszcze w Grodkowie? – spytał nerwowo, uznając pytanie Kubę za samoistną propozycję przejścia na ty.

– Właśnie miałem wyjeżdżać – odparł zaskoczony Kuba. – Czy coś się stało?

– Przyjedź szybko do Kopic. Pamiętaj, jak trafić do domu moich rodziców? Czekam tu na ciebie. Tylko się pośpiesz – szeptał do telefonu Tomasz, w obawie, że ktoś go usłyszy.

– Powiesz, co się stało? – Kuba uznał, że dalsze używanie formy „pan” będzie nietaktowne.

– Tato gra – wydyszał Tomasz.

– Jak to „gra”?

– Normalnie. Na pianinie. Melodię Schaffgotschów! Wyobrażasz sobie? Przełamał się. I gra. Musisz to usłyszeć. Przyjeżdżaj.

– Szepczesz, bo ojciec nie ma pojęcia, że tam jesteś? – upewnił się Kuba.

– Skąd wiesz?

– Domyśliłem się. Posłuchaj: niech tak pozostanie. Rozumiesz? Nie ujawniaj się, jeśli to możliwe.

– Dlaczego? – zdziwił się Tomasz.

– Bo go spłoszysz. Może czuł się niepewnie, gdy w domu był ktoś jeszcze, dlatego nie siadał do pianina przy świadkach. Może krępował się swojej niemocy. Nie wiemy, jak działa mózg po udarze.

Tomasz się przejął.

- Mam się schować?
- Najlepiej tak. Umiesz obsługiwać dyktafon w telefonie?
- Nie. Jak to się robi?
- Odszukaj taką funkcję w narzędziach i uruchom. To proste. Dasz radę.
- I co mam robić dalej?
- Nagraj go.

W słuchawce zapanowała cisza, jakby propozycja była co najmniej niestosowna i wymagająca zastanowienia.

- Rozumiem, że nie przyjedziesz? – spytał bezradnie Tomasz.
- To by wszystko zepsuło. Głowę dam, że twój tato by przerwał grę i nie podjął dalszych prób. Nagrywaj go. Dyskretnie. Zakradnij się, najbliżej jak się da.

- Dobra. Spróbuję.
- Zdzwoń zaraz potem.

Kern rozłączył się bez słowa.

Kuba wrzucił bieg i wystartował w kierunku Kopic.

Dotarł tam po niecałych dziesięciu minutach i zaparkował w pobliżu ruin pałacu, ale Tomasz nie dzwonił. Zerkanie co kilkanaście sekund na ekran w niczym nie pomagało.

Wreszcie się odezwał.

- Masz to? – spytał nerwowo Kuba.
- Mam nawet więcej.
- Co to znaczy?
- Gdzie jesteś? – Tomasz odpowiedział pytaniem.
- Przed pałacem.
- Już jadę.

Kuba wyszedł z auta i poczekał na niego na zewnątrz.

- Ale akcja. – Kern był zaczerwieniony z emocji.
- Co to znaczy, że masz więcej? – Kuba powtórzył pytanie sprzed kilku minut.

– Nagrałem tatę, a jak skończył, to podszedłem i go uściskałem. – W oczach Tomasza zabłyśły łzy. – Powiedziałem mu, że słuchałem

i że jestem z niego bardzo dumny. I szczęśliwy, że wraca mu sprawność. Wzruszył się. A wtedy zapytałem, czy mógłby zagrać tę piękną melodię Schaffgotschów jeszcze raz, od początku. Przez chwilę się wahał, ale skinął głową i zagrał. Mam czyste nagranie całego utworu. Ponad pięć minut.

– Wspaniale. – Kuba miał ochotę go uściskać. – Puścisz?

Kern uruchomił telefon i przez kilka minut słuchali jak urzeczeni.

– To Chopin? – spytał Jakub Kania, gdy utwór dobiegł końca.

– Mnie pytasz?

– A kogo? – uśmiechnął się. – To ty jesteś z rodziny słynnej z muzykalności od wielu pokoleń.

– Ale jako pierwszy z Kernów urodziłem się z drewnianymi uszami – wyznał Tomasz. – Dla mnie każdy stary utwór grany na klawiszach to Chopin.

– Cholera. – Kuba podrapał się w głowę. – To tak jak dla mnie.

– Mogłem zapytać ojca – zmartwił się Tomasz. – Kurczę, byłem pewien, że ty rozpoznasz. Wracam do niego – zdecydował nagle, chowając telefon do kieszeni.

– Mam lepszy pomysł. – Kuba przytrzymał go za ramię. – Poznałem niedawno panią profesor z Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina w Warszawie. Ją spytamy. Będziemy mieli stuprocentową pewność.

– Jak spytamy? – nie zrozumiał Tomasz. – Puścisz jej to przez telefon?

– Wyślę jej plik dźwiękowy. Daj mi swojego smartfona.

Kilkoma sprawnymi ruchami przesłał sobie nagranie Tomasza, a następnie wybrał numer muzykolożki.

Nie odebrała.

– Co teraz? – zaniepokoił się Tomasz.

– Spokojnie. Odezwie się. Wpisała sobie mój numer, nie potraktuje tego połączenia jako nieznanego. A jak się nie odezwie, to spróbuję jeszcze raz wieczorem. Czekamy.

Ale nie trzeba było czekać nawet pięciu minut.

– Dziękuję, że pani oddzwania. – Kuba zareagował błyskawicznie, odbierając połączenie. – Mam wielką prośbę. Znalazłem... A właściwie mój

partner znalazł – sprostował, patrząc na Tomasza – tę tajemniczą melodię, o której pani opowiadałem. Czy mógłbym podesłać nagranie? Nie jest profesjonalne, ale... Tak? – ucieszył się. – O, to bardzo dziękuję. Chcielibyśmy potwierdzenia autentyczności kompozycji Chopina, rzecz jasna. Super – rozpromienił się. – Jeszcze dziś wieczorem? – Zerknął na Kerna, unosząc kciuk skierowany do góry. – Jest pani bardzo uprzejma. Dziękuję.

Ale pani profesor nie spełniła obietnicy. Ani wieczorem, ani następnego dnia.

Kuba odebrał w tym czasie kilkanaście telefonów od zniecierpliwionego Tomasza. Dwukrotnie musiał go powstrzymywać przed kolejną wizytą u ojca i wypytywaniem go o autorstwo kompozycji.

Wreszcie nie wytrzymał i sam zadzwonił do pani profesor.

– Przepraszam, że się narzucam – zaczął, ale nie pozwoliła mu dokończyć.

– W jaki sposób wszedł pan w posiadanie tego utworu? – spytała na przywitanie, a jej głos nie brzmiał już ani ciepło, ani aksamitnie.

– Tak jak wspominałem, to jest ta zagadkowa melodia hrabiostwa von Schaffgotsch, którą kojarzyłem z Elsnerem i Chopinem. Zapamiętał ją syn, a potem wnuk ostatniego nauczyciela muzyki z pałacu w Kopicach. Jest po udarze, ale zdobył się na to, żeby ją zagrać.

– Czy ten człowiek ma nuty tego utworu? – spytała profesorka.

– Nie. Grał z pamięci. Jak jego przodkowie, kapelmistrze Schaffgotschów od kilku pokoleń.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Pani profesor... – przerwał ją Kuba po zbyt długim czasie oczekiwania.

– Czy coś nas rozłączyło?

– Nie – odparła. – Nic nas nie rozłączyło.

Już wcześniej miał wrażenie, że w tonie muzykolożki brzmi jakieś napięcie. Teraz zyskał pewność.

– Mam wrażenie, że sprawiłem jakiś kłopot. Powie mi pani, w czym rzecz?

– Nie odzywałam się – wyjaśniła – bo od dwóch dni w ścisłej tajemnicy konsultuję ten utwór z kolegami w całej Europie. Chciałam zadzwonić, gdy będziemy mieli stuprocentową pewność. Czekamy jeszcze na opinię profesora Pichlera z Wiednia, ale pozostałe, niezależne ekspertyzy są identyczne: mamy do czynienia z genialnym dziełem, którego nikt nie zna. Ani jeden z wybitnych historyków muzyki nigdy nie słyszał tej kołysanki, choć żaden nie ma wątpliwości co do jej autorstwa.

– Chopin? – upewnił się Kuba.

– Nie, proszę pana. To nieznana kołysanka Piotra Czajkowskiego. Unikat na skalę światową.

# OPUS 2

## ROZDZIAŁ VIII

Kwiecień 2014 r.

### 1.

Naczelniczka delegatury IPN w Opolu założyła okulary i po raz kolejny przeczytała pismo, leżące przed nią na biurku. Widywała w tej pracy wiele osobliwości, ale coś takiego zdarzyło się jej po raz pierwszy.

Z niedowierzaniem pokręciła głową.

Wyjęła z torebki telefon komórkowy, odszukała numer Jakuba Kani, a następnie nacisnęła kwadracik z zieloną słuchawką.

– Cześć, Kuba – powiedziała i nie czekając na odwzajemnienie powitania, spytała: – Czy moglibyśmy się jakoś spotkać?

– Dziś?

– Jeśli mógłbyś mnie odwiedzić, będę zobowiązana. To pilne.

– Co się stało?

– Mamy kłopot. Chodzi o Kopice.

– O Kopice? – zdziwił się. Miejscowa delegatura IPN nie znała ani tematu, ani tym bardziej szczegółów jego śledztwa na Opolszczyźnie. Z uwagi na wątek Chaczaturiana sprawa była poufna i naczelniczka, choć znali się od lat, nie zadawała pytań. Centrala, zgodnie z procedurą, poinformowała ją, że prokurator z Warszawy działa na jej terenie. To musiało wystarczyć. A jednak dowiedziała się o Kopicach – pomyślał Kuba. Otwierał usta, gdy naczelniczka uprzedziła jego dalsze pytania.

– Wolałabym nie przez telefon.

– Dobrze – zgodził się. – Postaram się być w ciągu pół godziny.

Szefowa delegatury odłożyła smartfona i zabierając ze sobą pismo, wyszła ze swojego pokoju do pomieszczenia biurowego. Podeszła do drukarki, która kopiowała i skanowała dokumenty.



– Ja to zrobię, pani naczelnik. – Jeden z archiwistów poderwał się z krzesła, ale powstrzymała go ruchem dłoni.

Zrozumiał, że sprawa jest utajniona, o czym przekonał się dwadzieścia minut później, gdy do biura delegatury wszedł Jakub Kania. Legenda Instytutu. Archiwista uważał go za swojego idola. Znał wszystkie śledztwa warszawskiego prokuratora i pasjonował się wyjaśnionymi przez niego zagadkami. Bez chwili wahania odszukał na półce wydanie czasopisma „Focus Historia”, w którym redakcja zamieściła wywiad z Kanią, i zanim ten zdążył dojść do pokoju naczelniczki, podbiegł, prosząc o autograf. Kuba z rozbawieniem obserwował brawurowy slalom archiwisty między biurkami. Zarumienił się z zakłopotania i sięgnął po podany mu cienkopis.

– Powinien pan wydać książkę o sprawach, które pan rozwiązał – uznał archiwista. – Podziwiam pana. Studiuję zaocznie prawo i jak skończę, też będę aplikował na stanowisko prokuratora IPN – wyznał gorliwie.

– Wobec tego zaczekam na pana – stwierdził Kuba. – A potem razem wydamy książkę, zgoda?

Zostawił archiwistę z miną nastolatka, którego gwiazdor rapu zaprosił na piwo, i zapukał do drzwi naczelniczki.

– Przeczytaj to. – Szefowa delegatury zaprosiła go, by usiadł, i podała dokument z pieczętką potwierdzającą datę wpływu.

Kuba szybko przebiegł wzrokiem trzy krótkie zdania.

Składały się na oficjalny wniosek o wszczęcie postępowania w sprawie śmierci Jana Gawryluka, represjonowanego i zmarłego w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku na skutek fałszywych doniesień. Drugie zdanie wskazywało odpowiednie paragrafy Kodeksu karnego, Rozporządzenia Prezydenta RP oraz zapisy Ustawy o Ściganiu Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. W trzecim zdaniu mieściła się informacja o materiale dowodowym dołączonym do wniosku.

Na dole widniał podpis Iwony Kern.

Kasia miała rację. Radna rozpoczęła swoją grę, ale nie zamierzała wyciągać gorących kartofli z ognia rękami dziennikarzy. Zaczęła z otwartą przyłbicą i z grubej rury.

– Dlaczego mi to pokazujesz? – spytał Kuba, odkładając pismo na biurko.  
– Czy prowadząc swoje śledztwo w Kopicach, natknąłeś się na tę historię? – odpowiedziała pytaniem.

– Natknąłem się – potwierdził Kuba.

– Ktoś ci o niej mówił czy...?

– Czytałem akta.

– Niedobrze. – Ściągnęła usta.

– Dlaczego?

– Bo gdyby to były tylko pogłoski, mogłabym odmówić wszczęcia postępowania. Ale skoro widziałeś akta, nie mam wyboru. Jeśli odeślę panią radną z kwitkiem, zrobi aferę na całą Polskę. Rozumiesz? Ogłosi, że tuszujemy komunistyczne zbrodnie, zamiast je ścigać. Podniesie larum, że odmówiliśmy śledztwa, mimo że ona wystąpiła z oficjalnym wnioskiem, a prokurator IPN widział akta sprawy, bo jego nazwisko figuruje w rejestrze archiwum.

Kuba jeszcze raz przyznał słuszność teorii Kasi. Iwona Kern pokierowała nim jak modelem samochodu sterowanym radiem. Teraz był już pewien, że to ona zaaranżowała spotkanie z Galicą. Esbekiem, który nagle zapalał sympatią do prokuratora IPN i poczuł przemożną potrzebę, aby mu się zwierzyć. Jak mogłem być tak głupi – pomyślał.

– Z jakich powodów chciałybyś odmówić wszczęcia tego postępowania?  
– spytał.

– Kuba – szefowa delegatury splotła palce dłoni – ta sprawa śmierdzi na kilometr.

Kania spojrzał na nią zaskoczony.

– Przecież to jawne wypowiedzenie wojny rodzinie męża – wyjaśniła naczelniczka. – Nie wydaje ci się to dziwne?

– Może się odkochała? – powiedział Kuba, żeby powiedzieć cokolwiek.

– Nie żartuj – obruszyła się. – W grę wchodzi poważne działania Instytutu Pamięci Narodowej, a nie jakiejś plotkarskiej strony w Internecie.

Wzruszył ramionami.

– Chciałem tylko podkreślić, że nie znam intencji pani Kern. Ją samą też znam tyle, co nic. Widzieliśmy się raptem dwa razy.

– Za to my w Opolu znamy ją doskonale. Możesz mi wierzyć, to kobieta pozbawiona skrupułów i dążąca do celu bez względu na koszty. Jeśli dostrzegła jakąś korzyść w skompromitowaniu nazwiska, które sama nosi, to robi to bez wahania. Ale ja nie zamierzam być pionkiem w jej grze.

– Obawiam się, że nie masz wyboru.

Zrezygnowana kiwnęła głową.

– A ja się obawiałam, że właśnie to od ciebie usłyszę. Choć nie ukrywam, że liczyłam na jakiś fortel. Mam w delegaturze człowieka, który uważa cię za umysł pokroju Sherlocka Holmesa.

– Jestem tylko Watsonem – odparł Kuba. – Ale proszę, wyślij mi mailem skan tego wniosku. Zastanowię się, jak zmienić status pionka w grze.

– Czy to w ogóle możliwe? – spytała.

– Grasz w szachy?

– Nie.

– To ciekawa gra. Wygrywa ten, kto potrafi bezbłędnie przewidzieć ruchy przeciwnika. Pionki są w niej najmniej ważne. Ale jeśli graczowi uda się tak poruszać pionem, aby dojść nim do końcowej linii szachownicy, może w nagrodę zmienić go w każdą, nawet najmocniejszą figurę i zmienić losy partii. Nawet jeśli wydawała się przegrana.

## 2.

Po wyjściu z siedziby delegatury Kuba przeszedł przez zielony mostek nad kanałem Młynówka i minął gmach Filharmonii Opolskiej. Młody mężczyzna w bluzie z kapturem wieszał afisz z zaproszeniem na koncert muzyki Piotra Czajkowskiego.

Odnalezienie nieznaney kołysanki genialnego rosyjskiego kompozytora miało swoje medialne pięć minut. Gazety, portale, stacje telewizyjne i rozgłośnie radiowe podawały wiadomość, podlewając ją sosem sensacji. Kolegia redakcyjne dopingowały swoje mózgi do poszukiwania

najciekawszych wątków tematu. Działy marketingu głowiły się, jak przy tej okazji podnieść sprzedaż egzemplarzy, oglądalność, słuchalność i klikalność. Trwał wielki wyścig pretekstów. Księgarnie odgrzebały na półkach i wystawiły w witrynach biografie kompozytora, a filharmonie organizowały koncerty.

Kopice znalazły się w centrum zainteresowania.

Ożył też Karol Godula, wróciła historia śląskiego Kopciuszka, a nad ruinami dawnej rezydencji Schaffgotschów pojawiła się aureola świetlanej przyszłości.

A w jej blasku Iwona Kern.

Mądra i troskliwa opiekunka regionu. To ona znalazła inwestora i to dzięki niej zdewastowany pałac wróci do dawnej świetności, zamieniając się w elegancki hotel spa z centrum odnowy. Miejscowi zyskają miejsca pracy, a region wpływy z podatków. Bogaci Niemcy będą zostawiać tu walizki euro w zamian za masaże i obkładanie swoich zwiotczących ciał gorącymi kamieniami i płynną czekoladą. Przy akompaniamencie relaksacyjnej muzyczki. Na przykład kołysanki Czajkowskiego, która na całym świecie odtąd będzie kojarzona z Kopicami.

Wiedziała, jak to rozegrać.

I jak idealnie wybrać moment ataku na Kernów. Przez najbliższe dwa-trzy tygodnie będzie dobroczyńcą Opolszczyzny i boginią mediów. A potem nagle wypłynie sprawa samobójstwa jej dziadka, na skutek ohydneho donosu rodziny męża.

Majstersztyk – pomyślał Kuba. Iwona Kern pokaże się przed kamerami i obiektywami fotoreporterów zdruzgotana tą sytuacją, a opinia publiczna stanie po jej stronie. Wszyscy zrozumieją, że wydarzenia z przeszłości, które IPN ściga z urzędu jako zbrodnię komunistyczną, musiały doprowadzić do rozpadu jej małżeństwa. Że po czymś takim nie da się już razem żyć i udawać, że nic się nie stało.

W ten sposób – przewidywał Kuba – nie tylko pozbędzie się Tomasza, ale zyska poparcie w sondażach, bo to ją ludzie uznają za pokrzywdzoną.

I nikt się nie zdziwi, jeśli za jakiś czas u jej boku pojawi się Maarten van Daas.

Minął skwer i skręcił w ulicę Minorytów, która doprowadziła go do Rynku. Przez plac Wolności było bliżej, ale po pierwsze, bardzo lubił przesmyk na tyłach klasztoru Franciszkanów, a po drugie, potrzebował dłuższego spaceru, aby zebrać myśli.

Wieczorem był umówiony na kolację u Kernów.

Mieli sobie złożyć życzenia na Wielkanoc, a przy okazji uczcić odnalezienie kołysanki Czajkowskiego. Tomasz obiecał jakąś prowansalską zapiekankę z bakłazanem i ciasto z kawiarni w Grodkowie, w której spotkali się po raz pierwszy.

Kuba, jak zwykle zapobiegliwy, miał już bilet na autobus, ale teraz zastanawiał się, czy nie lepiej będzie odwołać tego spotkania. Ma przez cały wieczór siedzieć przy stole z Iwoną Kern, patrzeć jej w oczy i udawać, że o niczym nie wie? Jak ona to sobie wyobraża? Wierzy, że delegatura IPN nie poinformuje go o wniosku ścigania zbrodni komunistycznej zarzucanej dziadkowi Tomasza? Uważa go za takiego samego durnia, jak swojego męża? Pewnie tak, skoro pozwolił jej sobą manipulować.

Stojąc przed opolskim ratuszem, Kania zaczął się zastanawiać nad wymówką, ale nagle odezwał się w nim duch walki. Jeśli się nie pojawi, sprytna pani radna uzna, że stchórzył. O nie. Tak nie będzie.

Wszedł do sklepu z winami, wybrał dobrego shiraza, a w drodze na dworzec PKS kupił bukiet żółtych tulipanów. Kiedyś przeczytał, że ten kolor kwiatów oznacza pogardę lub symbolizuje miłość pozbawioną sensu, która wkrótce się skończy. Obydwa znaczenia wydały mu się idealnie trafione.

– O, jak miło – zareagował Tomasz na widok tulipanów, gdy punktualnie o osiemnastej Kuba zapukał do domu Kernów. – Niestety – posmutniał – Iwonce wypadła jakaś niespodziewana sprawa z budżetem województwa. Zapewniła przez telefon, że później do nas dołączy – wyjaśnił, odbierając bukiet.

Mogę się założyć, że nie dołączy – pomyślał Kuba i poczuł słodki smak satysfakcji. Sprawa z budżetem? Pod koniec kwietnia? Ta kobieta rzeczywiście ma nas za idiotów. Uśmiechnął się i wszedł do środka.

Stół w jadalni nakryty był na trzy osoby, co oznaczało, że Iwona odwołała udział w kolacji w ostatniej chwili. Był jeszcze Kamil, syn Kernów, ale dziś spał u kolegi, z którym zakuwał do matury.

Trzeba przyznać, że gospodarz zadbał o oprawę wieczoru.

Z głośników drogiego zestawu stereo sączyła się francuska muzyka, podkładki pod talerze przedstawiały pola lawendy, a na środku stołu królowała deska serów wraz z zestawem specjalnych noży, jakich nie powstydziliby się najlepsza restauracja w Nicei.

– Aperitif? – spytał Tomasz, unosząc w dłoni butelkę *pastis*.

Kuba nie pił tego kultowego trunku od lat, dlatego z entuzjazmem pokiwał głową.

Gospodarz zmieszał likier z wodą w idealnych proporcjach i podał mu drinka wyglądającego jak szklanka mleka. Wzniósł toast za spotkanie, upił łyk i zniknął w kuchni.

Jakub Kania przymknął oczy, a smak anyżu, lukrecji i ziół opanował jego podniebienie. Nie pozwolił mu jednak zniknąć, pociągając kolejny łyk. Koktajl dotarł do żołądka i rozpoczął swoją misję pobudzania apetytu. Był w tym niezrównany.

Podobnie jak Tomasz w kuchni.

Zapiekanica zasługiwała na gwiazdkę Michelina, ale była tylko preludium. Po niej pojawiło się jeszcze danie główne w postaci królika po prowansalsku, duszonego z oliwkami i winem. Z muślinowym purée i sałatą.

Przy deserze powrócił temat kołysanki.

– Za sukces. – Tomasz uniósł kieliszek wina. – Szukaliśmy Chopina, znaleźliśmy Czajkowskiego, ale tak czy inaczej mamy powody do dumy. Wypijmy za to.

Kuba spełnił toast.

– Masz jakąś teorię na temat tej kołysanki? – spytał Kern, pociągając łyk shiraza. – Bo moim zdaniem ta, którą przypisywaliśmy Chopinowi, była tylko wytworem naszej wyobraźni. Uwierzyliśmy w kilka zbiegów okoliczności i uznaliśmy je za prawdę. Nie sądzisz?

– Nie – zaprzeczył Kuba. – Nie sądzę. Mało tego. Jestem pewien, że kołysanka Chopina istniała i była własnością Karola Goduli.

– Serio? – Tomasz odstawił kieliszek. – Masz jakieś dowody?

– Kilka dni temu rozmawiałem z profesorem Erhardtem z Niemiec. To historyk badający dzieje Schaffgotschów – wyjaśnił, przechwytyjąc pytające spojrzenie Tomasza. – Znamy się. Niedawno byłem u niego w Berlinie. Tam dowiedziałem się o tajemniczym koncercie w piątą rocznicę ślubu Joanny i Hansa Ulryka, choć Erhardt nie miał pojęcia, co muzycy ściągnięci z Wrocławia zagrali hrabiowskiej parze. Dlatego kiedy przeczytał w Internecie o sensacyjnym odnalezieniu nieznannej kołysanki Piotra Czajkowskiego, natychmiast do mnie zadzwonił. Chciał poznać jak najwięcej szczegółów, ale też miał coś ciekawego na wymianę. Otóż po mojej wizycie w Berlinie profesor skontaktował się z potomkami Schaffgotschów i dostał skan jednego z prywatnych listów Joanny. Hrabina opisuje w nim swoje dzieciństwo, wspominając o kołysance, jaką zamówił dla niej Karol Godula i która zaginęła po jego śmierci. List napisany jest sześć lat po ślubie z Hansem Ulrykiem. Rozumiesz?

– Sześć lat po ślubie – kalkulował Tomasz – kołysanka Chopina nadal się nie odnalazła. A więc to nie ją grali wrocławscy filharmonicy w Kopicach z okazji piątej rocznicy małżeństwa grafów.

– Nie ją – potwierdził Kuba.

– To co się z nią stało?

– Przepadła. Według mnie we Wrocławiu tuż po śmierci Goduli.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo tam trop się urywa.

– No dobrze – zgodził się Tomasz. – Załóżmy, że tak się właśnie stało. Ale ciągle nie widzę związku z drugą kołysanką skomponowaną przez Czajkowskiego.

– Zaraz zrozumiesz – obiecał Kuba. – Wróćmy do tego, co dzieje się po śmierci Goduli. Joanna przez dziesięć lat żyje w ukryciu i w strachu przed jego siostrzeńcami. Potem wychodzi za mąż za hrabiego von Schaffgotscha. Z miłości. Hans Ulryk poznaje historię kołysanki i uświadamia sobie, jak wielkie znaczenie miała ona dla jego ukochanej żony. Myślę, że chce jej sprawić niespodziankę i szuka nut na własną rękę. Pewnie z pomocą twojego przodka, kapelmistrza Kerna.

– Naprawdę? – ucieszył się Tomasz.

– To tylko teoria. Ale słuchaj dalej. Poszukiwania nic nie dają. Dlatego von Schaffgotsch zmienia plan uszczęśliwienia Joanny. W tajemnicy przed żoną postanawia zamówić u któregoś ze współczesnych twórców równie piękną kołysankę. Chopin od dawna nie żyje. Trzeba znaleźć kogoś innego. Więc ponownie wzywa twojego prapradziadka i każe mu wybrać kompozytora. Najlepiej takiego, który pisze podobne utwory na fortepian. Wybór pada na genialnego studenta konserwatorium w Petersburgu. Piotra Czajkowskiego. Jego kołysanka staje się prezentem na piątą rocznicę ślubu dla Joanny i zostaje odtworzona przez muzyków wrocławskich podczas prywatnego koncertu. Potem jest często grana w pałacu przez twojego prapradziadka i następnych Kernów. Przechodzi do historii jako „melodia Schaffgotschów”. Oto cała zagadka.

– Piękne – rozczulił się Tomasz. – Czy mogę to opowiadać dziennikarzom?

– Czemu nie? – odparł Kuba. – Oni lubią takie opowieści. Rozumiem, że ciągle dzwonią?

– Oj tak – powiedział Tomasz. – Dzwonią, przyjeżdżają. Muszę się sporo nagimnastykować, żeby chronić ojca przed mediami – dodał tonem gwiazdora, udającego zmęczenie sławą. – Oczywiście wszyscy pytają o nuty.

– Rychło w czas – skomentował Kuba.

Tomasz upił łyk wina.

– Reporterom tego nigdy nie powiem – zniżył głos, żeby brzmiał bardziej konfidencjonalnie. – Ale tobie mogę. Prywatnie – zastrzegł.

– Zamieniam się w słuch.



– Wiesz, Kuba, ja spytałem ojca o te nuty. Wcześniej on w ogóle nie reagował na to pytanie. Patrzył w ścianę i nawet powieka mu nie drgnęła. Ale ta sprawa z odnalezieniem kołysanki Czajkowskiego bardzo go ożywiła. Poczul się potrzebny. To przecież on zagrał tę melodię...

– Co z nutami? – ponaglił go Kuba.

– Tato napisał mi na kartce, że one były. Pamięta z dzieciństwa. Jak przez mgłę, ale pamięta.

– Gdzie były?

– W naszym domu. W sensie w naszym dawnym domu. Wiesz, tam, gdzie teraz mieszkają rodzice Iwonki. Pewnie dziadek zabrał je z pałacu, żeby nikt ich nie zniszczył.

Kuba przez chwilę układał coś w myślach.

– Wiem, co ci chodzi po głowie – powiedział Tomasz. – Że mój dziadek oddał je Chaczaturianowi.

– Nie zgadłeś – odparł Kuba. – Gdyby tak się stało, specjalny wysłannik NKWD by je ujawnił. W końcu Czajkowski to jeden z najśłynniejszych rosyjskich kompozytorów – podkreślił i pokręcił głową. – Nie, to niemożliwe. Nie wierzę, żeby Chaczaturian zostawił taki skarb tylko dla siebie i po kryjomu grał sobie Czajkowskiego na pianinie do snu.

– To dlaczego się tak zamyśliłeś?

– Zastanowiło mnie, co sprawiło, że twój ojciec nagle sobie o tych nutach przypomniał.

– Tak działają emocje po udarze – wyjaśnił Tomasz. – Rozmawiałem z lekarzem. Tato jest teraz w fazie euforii, a jego mózg odkrywa coraz nowsze obszary. Tak jakbyś po kawałku oświetlał jakąś ciemną przestrzeń. On jest naprawdę szczęśliwy, widzę to. Tyle lat czekał, żeby nazwisko Kern odzyskało blask. I doczekał się.

Spojrzał triumfująco, ale uśmiech zastygł mu na twarzy na widok Kuby, który wyraźnie posmutniał.

– Co się stało? – spytał lekko zaniepokojony.

– Mam złą wiadomość.

– Powiedz. – Gospodarz odstawił kieliszek, którym bawił się od dłuższego czasu. Pobladł.

– Do delegatury IPN w Opolu wpłynął wniosek o ściganie zbrodni komunistycznej. Chodzi o twojego dziadka.

– Bzdura – prychnął Tomasz. – Ktoś z ludzi, którzy nas przez tyle lat oczerniali, nie może znieść, że Kernowie wrócili na należne sobie miejsce i znów są na świeczniku. To zwykła zawiść. Kolejny parszywy anonim.

Prokurator IPN popatrzył na niego ze współczuciem.

– Niestety nie. Zakładam, że słyszałeś o informacji swojego dziadka złożonej do władz w sprawie Jana Gawryluka. Aresztowano go na podstawie tego donosu.

– To tylko pogłoski. Nigdy nie udowodnione. Nie wiadomo nawet, czy takie zawiadomienie w ogóle istniało.

– Niestety tak. – Kuba wyjął smartfona i powiększył zdjęcie tekstu. – Poznajesz charakter pisma?

Tomasz przygryzł dolną wargę. Nie odpowiedział.

– Skąd to masz? – spytał po chwili.

– Z akt sprawy.

– Nie było żadnej sprawy.

– Była. Mówię o śledztwie prowadzonym po rabunku i pożarze pałacu. Oskarżono o to dziadka twojej żony. Ciąg dalszy znasz.

– I co? Ktoś to teraz wygrzebał?

Kuba potwierdził.

– To brednie – zachnął się Tomasz. – Przez lata ludzie rozsiewali oszczerstwa, że mój dziadek miał kontakty z NKWD, a potem z polską bezpieką. Że zemścił się na Gawrylukach za to, że zajęli nasz dawny dworek i wyrzucili go z rodziną do obory. Ale to nie oni go wyrzucili, tylko komisja repatriacyjna! Niestety źli ludzie ciągle fabrykowali i rozpowszechniali plotki, za co mój ojciec zapłacił udarem. Dopiero nasze małżeństwo z Iwonką położyło temu kres. A teraz znowu wrogowie podnoszą głowę?!

Wzburzony stał od stołu i zaczął się przechadzać po jadalni.

– Jesteś pewien, że wniosek przeciwko mojemu dziadkowi rzeczywiście wpłynął? – spytał wyraźnie zdenerwowany.

– Na sto procent.

– Muszę zadzwonić do Iwonki – postanowił. – Ona zna szefową delegatury IPN w Opolu. Niech z nią pogada i wytłumaczy całą sytuację. Nawet jeśli mój dziadek napisał coś takiego w gniewie, to przecież nikt nie udowodni związku jego pisma z samobójstwem dziadka Iwony. Moja żona to załatwi, zobaczysz.

Kuba nabrał powietrza i powoli je wypuścił.

– Obawiam się, że jesteś w błędzie.

Kern stanął jak wryty.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo to twoja żona złożyła ten wniosek.

Żrenice Tomasza rozszerzyły się ze zdumienia.

– Co ty pleciesz? – spytał nieswoim głosem.

– Mówię prawdę.

– Co to za absurd?! – Szok Kerna ustąpił miejsca oburzeniu. – Nigdy w to nie uwierzę.

Patrzył nerwowo na Kubę, ale nie doczekał się zaprzeczenia.

– Jesteś pewien? – powtórzył pytanie sprzed kilku chwil.

– Powiedziałem już. Na sto procent.

– Niemożliwe. – Tomasz pokręcił głową. – Nie wierzę w to.

– A jednak.

– To musi być jakaś intryga. Jakiś polityczny szantaż – uznał Tomasz. – Jeśli Iwona to zrobiła, to ktoś ją zmusił. Ona by nigdy sama z siebie... – Popatrzył na Kubę, szukając wytłumaczenia.

Nie znalazł.

– A ty? Jesteś pewien, że gracie z żoną w jednej drużynie? – Prokurator IPN odbił piłeczkę.

– Oczywiście. Zadzwonię do niej. – Zerwał się z krzesła. – Zobaczysz, zaraz się okaże, że to jakieś kosmiczne nieporozumienie.

– Zaczekaj – powstrzymał go Kuba. – Nie powiedziałem ci wszystkiego.

Tomasz wbił w niego wzrok. Milczał.

– Jakiś czas temu byłem mimowolnym świadkiem dość intymnej sytuacji z udziałem twojej żony i tego Holendra, który kupuje pałac w Kopicach.

Kern przez kilka sekund wpatrywał się w niego jak w przybysza z innej planety. Wreszcie wybuchł krótkim, nerwowym śmiechem.

– A więc o to chodzi? Tak? O urodę Iwony? – spytał z rosnącą irytacją. – Człowieku, wiesz, ile ja dostałem takich wiadomości w ciągu blisko dwudziestu lat małżeństwa? Ilu ludzi próbowało mi wmawiać, że Iwonka mnie zdradza? Żebym uważał w domu na sufit, bo porysuję go rogami? Wiesz ile? Dziesiątki, może setki. Nigdy nie reagowałem, bo to tylko zawiść. Nie możecie znieść, że mam piękną żonę, która tak daleko zaszła, i że jesteśmy szczęśliwym małżeństwem.

– Nie możemy? – powtórzył Kuba. – Mnie też zaliczasz do tego grona?

– A czym się różnisz od innych, którzy próbowali i próbują psuć nasz związek?

Kuba wstał.

– Czas na mnie – oświadczył. – Chciałem cię ostrzec, ale to bezcelowe. Rób, co chcesz. Do widzenia.

Ruszył w stronę drzwi.

Tomasz poszedł za nim.

– Nie spodziewałem się, że jesteś tak podłym człowiekiem – rzucił do jego pleców.

Kuba się odwrócił. Był czerwony z gniewu. Wyszarpnął komórkę z kieszeni spodni, odnalazł skan wniosku przysłany przez szefową delegatury i podsunął Kernowi pod nos.

– W tej chwili łamię prawo, ale może to jest potrzebne, abyś przejrzał na oczy. Widzisz, kto podpisał ten dokument? Widzisz czy nadal wolisz być ślepy?

Tomasz zachwiał się, jakby miał stracić przytomność, ale za moment zacisnął szczęki. Wpatrywali się w siebie, oddychając szybko jak przed walką. Wreszcie Kern opanował szok.

– Zaczekaj – powiedział. – Za dużo tego wszystkiego. Nie chciałem cię urazić. Przepraszam. Chodź, usiądź. Proszę – dodał na widok wahania Kuby.

Sprawił wrażenie człowieka, który stoi przed swoim płonącym domem i uświadamia sobie, że nigdy nie rozumiał potrzeby wykupienia polisy ubezpieczeniowej. Kubie zrobiło się go żal.

Wrócili do stołu.

– Posłuchaj. – Położył dłoń na ramieniu Kerna. – Dawno temu zakochałem się w dziewczynie, która była na praktyce w mojej prokuraturze w Gdańsku. Świata poza nią nie widziałem. Ludzie próbowali mnie ostrzegać, że to nie jest dobry związek. Że ona jest córką gdańskiego gangstera i ma geny po tatusiu. Nie słuchałem. Nie miało to dla mnie żadnego znaczenia, bo liczyła się tylko moja miłość. Byłem ślepy i głuchy. I wiesz, co zrobiłem? Ożeniłem się z nią. Niecały rok po ślubie poprosiła mnie o przekręt. Usunięcie dowodów w sprawie bandytów, koleśi jej ojca. Odmówiłem, a ona odeszła. Okazałem się bezużyteczny, więc dostałem kopa.

– Iwona taka nie jest – stwierdził Kern, choć Kuba wyczuł, że jego przekonanie nie jest już tak silne jak przed kwadranssem.

– Nie mówię, że jest. Nie powiedziałem ci tego wszystkiego, aby cię zdołować. Raczej, żeby pomóc.

Tomasz popatrzył na niego z nadzieją.

– Co powinienem zrobić?

– Przede wszystkim ochłoń. Pozwól, żeby opadły emocje. Nie dzwoń do żony. Porozmawiaj z nią w cztery oczy.

– Może zaraz przyjedzie – ożywił się Kern.

– Nie przyjedzie – zapewnił go Kuba. – Domyśla się, że dowiedziałem się o wniosku, i nie chce ewentualnej konfrontacji. Dlatego nie czekaj, aż pojawi się w domu na święta. Jedź rano do Opola. Zaskocz ją.

– Będzie niezadowolona.

Kuba popatrzył na niego z politowaniem.

– Dobrze. – Tomasz zrozumiał jego spojrzenie. – Pojadę. Co mam powiedzieć?

– Ja bym ją na twoim miejscu przycisnął.

– Przycisnął? – jęknął.

– Właśnie tak. Powiedz, że wiesz o wniosku złożonym do IPN i o romansie z Holendrem. Musisz zagrać ostro. Dać jej do zrozumienia, że jeśli natychmiast nie wycofa wniosku, ujawnisz jej związek z Maartenem van Daasem. Dla jej kariery to byłby cios. Teraz. Bo jak zacznie się oficjalne śledztwo w sprawie twojego dziadka, to wyborcy wybaczą jej Holendra, uznając, jak bardzo została oszukana przez rodzinę Kernów.

Tomasz na moment zakrył twarz dłońmi.

– Nie wiem, czy dam radę tak to rozegrać. Iwonka zawsze...

– Pomyśl o ojcu – podkreślił Kuba. – Myślę, że szefowa delegatury odetchnęłaby z ulgą, gdyby ten wniosek zniknął. Ale to może sprawić tylko osoba, która go złożyła. Jeśli tak się nie stanie, IPN zacznie procedurę. Z całą pewnością śledczy przyjdą do ciebie. I do twojego ojca również.

### 3.

Ledwo zdążył na ostatni bus do Opola.

Z nosem przyklejonym do szyby patrzył w ciemność, próbując wydedukować, co wyniknie z rozmowy z Tomaszem. Zdoła się postawić żonie, której zawsze ulegał, czy nie? Gdyby to pytanie można było obstawić u bukmacherów, pewnie płaciliby dwadzieścia do jednego tym przekonany, że zdoła. O ile w ogóle by się tacy znaleźli.

Nie zastanawiając się, jak on by obstawił, Kuba wygodniej umościł się na siedzeniu i przymknął powieki. Był jednym z pięciu czy sześciu pasażerów. Wszyscy sprawiali wrażenie spóźnionych, zmartwionych i zmęczonych. Czuł się podobnie.

Wyjeżdżając z Kopic, opuszczał nie tylko wieś naznaczoną piętnem ruin, ale całą tę historię. Sprawę Chaczaturiana. Prawdziwą bajkę o Kopciuszku.

Zagadkę kołysanek Chopina i Czajkowskiego. Sekrety rodziny Kernów i tajemnice pałacu, który czekał na swoją szansę. Jak śmiertelnie chory pacjent, któremu bogaty sponsor z zagranicy zafundował astronomicznie drogą, ale skuteczną terapię.

Jutro środa.

Dzień na porządkowanie notatek i materiałów. Przed południem w archiwum. Po południu w hotelu. W czwartek raport, a przynajmniej jego większa część. W piątek pociąg do Warszawy. Zakupy. Prezenty. Ozdabianie pisanek z córkami. Wielkanoc.

Po świętach złoży szefowi raport. Ostatni akord sprawy, która zaczęła się od sławnego rosyjskiego kompozytora przysłanego do Kopic przez NKWD, a skończyła na jeszcze sławniejszym rosyjskim kompozytorze, który dla właścicieli pałacu napisał prywatną kołysankę. Życie lubi zataczać koła.

Na Oleską dotarł spacerem. Wieczór był ciepły, a uroda miasta skłaniała do przechadzki. W drzwiach hotelu pomachał dłonią recepcjonistce i szybko pokonawszy schody, znalazł się przed swoim pokojem na piętrze. Sięgnął do kurtki po klucz elektroniczny, ale kieszeń była pusta.

Zaklął półgłosem.

Tyle razy sobie obiecywał, że plastikowy prostokąt formatu karty kredytowej będzie nosił w portfelu, nie po kieszeniach. Już raz mu wypadł. Wtedy udało się go odnaleźć, ale teraz nie było szans. Z pewnością plastik wysunął mu się z kieszeni i został na siedzeniu busa, którym wracał z Kopic. Trudno.

Ze skruszoną miną zszedł do recepcji, ale sympatyczna dziewczyna, która zawsze obdarzała go promiennym uśmiechem, nie przejęła się zgubą. Zajrzała do szuflady swojego filigranowego biurka, odszukała kopertę z numerem pokoju Kuby i wyciągnęła z niej drugi klucz.

– W dziewięciu przypadkach na dziesięć goście zostawiają klucze w pokojach, a potem zatrzaskują drzwi. Proszę sprawdzić.

– Dziękuję. – Kuba uśmiechnął się przepaszająco.

– Nic się nie stało. Nawet jak tamten się znajdzie, to będzie pan miał dwa. – Puściła do niego oko.

Życzył jej dobrej nocy i wrócił na górę.

Następnego dnia rano za biurkiem recepcji siedział zmiennik sympatycznej dziewczyny.

– Przepraszam – dyskretnie zaczepił Kubę, wchodzącego do sali, w której serwowano śniadania. – Czy pan zostaje na święta?

– Ja nie – odparł Kuba – ale pokój chciałbym zatrzymać. Niestety, tym razem przyjechałem pociągiem, nie zabiorę się z wszystkimi rzeczami. Będę we wtorek samochodem, wtedy wszystko spakuję, może tak być?

– To pański pokój – stwierdził uprzejmie recepcjonista. – Pozwoliłem sobie zapytać, bo mamy dużo telefonów w sprawie rezerwacji. Głównie od gości z Niemiec. Zatem gdyby pan zwalniał..

– Rozumiem. Proponuję zapraszać gości z Niemiec od wtorku.

Młodzieniec z recepcji zdobył się na uśmiech. Chciał podkreślić, że po świętach zainteresowanie hotelem zmaleje, ale uznał, że nie byłaby to zbyt taktowna uwaga.

– Miłego dnia – powiedział i sięgnął po słuchawkę telefonu, być może dzwoniącego z Niemiec.



## ROZDZIAŁ IX

**Kwiecień–maj 2014 roku**

### 1.

Maarten van Daas zatrzymał się na środku chodnika, odczytał esemesa i uniósł brwi ze zdumienia.

Iwona Kern chciała się spotkać. W Opolu. Najlepiej jeszcze dziś.

W ciągu kilku tygodni ich płomiennej znajomości taka sytuacja zdarzyła się parę razy, a Iwona wymyśliła na tę okoliczność procedurę, której mieli ściśle przestrzegać. Po pierwsze, spotykali się w miejscu publicznym. Najlepiej w restauracji „Starka” na Ostrówku, dwieście pięćdziesiąt metrów od Urzędu Marszałkowskiego. Pod latarnią najciemniej. Gdyby ich ktoś zauważył w jakiejś peryferyjnej knajpce albo zajeździe pod miastem, mogłoby się to wydać podejrzanym. Ale tu? W „Starce” jadaliby wszyscy wyższą rangą urzędnicy wojewódzcy i ich oficjalni goście.

Po drugie, żadnej poufałości. Tę należało trzymać na wodzy do chwili, gdy zamykały się za nimi drzwi apartamentu w którymś z wrocławskich hoteli. W „Starce” obowiązywał krótki, służbowy uścisk dłoni, profesjonalny chłód i konwersacja po angielsku.

Po trzecie, jedli lunch. To dawało pretekst do dłuższej rozmowy i było idealnym kamuflażem. Szczególnie dziś, w Wielki Piątek. Każdy, kto by na nich spojrzął, mógł jedynie dojść do wniosku, że to oficjalne przedświąteczne spotkanie szefowej komisji rozwoju regionu i zagranicznego inwestora, który kupuje pałac w Kopicach. Płaciła zawsze ona. To znaczy Urząd Marszałkowski. Na fakturę. Uregulowanie rachunku przez Maartena mogłoby uchodzić za próbę zdobycia przychylności urzędnika samorządowego.

Iwona Kern potrafiła zadbać o każdy detal.

– Co się stało? – spytał, siadając naprzeciwko niej.

– Nie teraz – odparła. – Zaczekaj, aż zaczniemy jeść. Nie chcę przerywać za każdym razem, gdy kelner będzie podchodził z menu, zamówieniem, napojami, daniami i pytaniami, czy życzymy sobie świeżego pieprzu.

Maarten potwierdził plan, opuszczając na chwilę powieki.

– Jak biznes z arabskimi przyjaciółmi? – spytała.

– Wszystko w najlepszym porządku. Jutro rano lecę do Frankfurtu, a stamtąd do Dubaju – poinformował, skinieniem głowy dziękując kelnerowi za kartę dań. – Dopięcie tematu na ostatni guzik wymaga mojej osobistej obecności – wyjaśnił. – Wracam za tydzień.

– Zaraz po powrocie musimy przyspieszyć działania – oznajmiła.

– Skąd ten pośpiech? – zainteresował się, ale zamiast odpowiedzi usłyszał pytanie kelnera, czy podjęli już decyzję dotyczącą dań.

Maarten zamówił kotlety jagnięce, Iwona pstrąga. Nie znosiła ryb, ale nie mogła sobie pozwolić, aby ktoś z personelu restauracji puścił plotkę, że pani radna, której syn idzie do seminarium, je mięso w Wielki Piątek. Z tego samego powodu gorliwie biegała do kościoła i publicznie powoływała się na misterium Męki Pańskiej. Choć Bogiem a prawdą, Wielki Post kojarzył się jej wyłącznie z Facebookiem. A konkretnie z takim postem, który osiągał ponadprzeciętną klikalność i poprawiał jej notowania w sondażach.

– Jeszcze chwilę – powstrzymała rosnącą ciekawość Maartena. – Plan w każdym razie jest taki, że jak wrócisz, trzeba się niezwłocznie umówić na podpisanie przedwstępного aktu notarialnego z właścicielami Kopic. Przelej im żadaną sumę, a ja załatwię szybkie przegłosowanie uchwały, że samorząd województwa wejdzie do spółki ze swoim aportem. Gdy to się stanie, natychmiast rozpiszemy przetarg na znalezienie wykonawcy prac porządkowych w parku i zabezpieczenie ruin pałacu.

– To potrwa kilka tygodni – ocenił Maarten. – A odniosłem wrażenie, że się bardzo spieszymy.

– Bo się spieszymy.

– Sam przetarg może się przeciągnąć w nieskończoność. Specyfikacja istotnych warunków zamówienia, potem wybór najlepszej oferty...

– Wszystko jest załatwione. Warunki zamówienia gotowe, wykonawcę, który wygra, też już mam.

Maarten spojrzał na nią z podziwem.

– Nie chciałbym cię mieć po przeciwnej stronie – oświadczył.

Uśmiechnęła się.

– Uczyłam się od najlepszych. Dawno temu zostałam asystentką pewnego wójta. Był kolegą mojego ojca, dlatego mieliśmy do siebie pełne zaufanie. Wezwał mnie któregoś dnia i mówi: „Iwona, przyjedzie tu jutro jeden gość, któremu trzeba sprzedać tę działkę nad stawem”. Wpadłam w popłoch. „Jak to, panie wójcie? Przecież trzeba dać ogłoszenie do gazet, że działka jest na sprzedaż, a wtedy zgłosi się stu chętnych, bo to najbardziej atrakcyjny teren w całej gminie”. Wójt popatrzył na mnie chytrze i wyjaśnił: „Iwona, przepisy mówią, że trzeba albo dać ogłoszenie do gazet, albo wywiesić obwieszczenie na tablicy ogłoszeń w urzędzie”. „No tak – ja na to – ale takie ogłoszenie musi wisieć miesiąc. Przez ten czas wszyscy się dowiedzą i chętnych będzie jeszcze więcej niż po anonsie w prasie”. „Dlatego powierzam tę sprawę tobie” – powiedział wójt. „Siadaj do komputera, pisz ogłoszenie na tablicę”. „Mam je powiesić?” – pytam, a wójt: „Zgłupiałaś? Masz zrobić tak, żeby były w nim dziury po pinezkach”.

Maarten szczerze się roześmiał.

– Rozumiem, że znajomy wójta okazał się jedynym oferentem? – upewnił się.

– Tak się złożyło – potwierdziła Iwona Kern i odsunęła się od stołu, ułatwiając kelnerowi podanie półmiska z pstrągiem.

Podziękowali za świeży pieprz i zaczęli jeść.

– Powiesz mi teraz, o co chodzi z tym nagłym spotkaniem i przyspieszeniem działań?

Iwona Kern oparła o blat stołu przedramiona uzbrojone w sztucce do ryby.

– Ten dupek z IPN-u widział nas, jak się całowaliśmy wtedy nad stawkiem przy Barlickiego.

Maarten van Daas znieruchomiał.

- Jak się o tym dowiedziałaś?
- Doniósł mojemu mężowi.
- I co?

Iwona wróciła do pstrąga.

– Tomasz to żaden problem. Zadzwoił do mnie tego samego wieczoru, kiedy Kania mu powiedział, i drżącym głosem spytał, czy to prawda.

- Co odpowiedziałaś?
- Że nie. Że Kania to zmyślił, bo prowadzi jakąś swoją grę.
- Uwierzył?

– Oczywiście, że tak. Gdybym mu powiedziała, że ziemia jest płaska, to też by uwierzył. Dla pewności dodałam, że go Kocham – skrzywiła się. – To ostatecznie załatwiło sprawę. Ale musimy być teraz szczególnie ostrożni. Tak jak już powiedziałam: Tomasz to nie problem. Martwię się tym ipleenowskim szpiclem. Jeśli zacznie węszyć wokół mnie i ciebie, to wiesz, co się może wydarzyć.

Maarten słuchał z uwagą. W pewnej chwili odłożył nóż do steków i dyskretnie skinął na kelnera.

- Poproś po polsku o kawałek kartki i coś do pisania.

Iwona spełniła prośbę, a kiedy obsługujący ich młody człowiek przyniósł długopis i arkusz papieru z drukarki, Maarten powiedział cicho:

– Mów wszystko, co wiesz o tym Kani. Jak najwięcej szczegółów. Gdzie mieszka, jak przyjeżdża do Opolą, co robi w Kopicach i tak dalej.

- Co chcesz zrobić? – spytała.

– Nie wiem jeszcze, coś wymyślę. Jedno jest pewne: ten dupek z IPN-u może popsuć cały nasz plan, zgadzasz się ze mną?

Iwona z przekonaniem skinęła głową.

## 2.

Kasia podeszła do Kubę na palcach i objęła go w pól, splatając ręce na brzuchu.

– Nie pościłeś w tych Kopicach – stwierdziła. – Choć kuchnia pałacowa od kilkudziesięciu lat zamknięta.

– Proszę mnie nie rozpraszać – odparł, całkowicie pochłonięty sytuacją na patelni, na której przekładał kawałki polędwiczek. – Bo mięso się nie uda.

– Chyba zaczyna się przypalać. – Zerknęła zza jego ramienia.

– I o to chodzi – ucieszył się. – W tym cała tajemnica.

– Nie rozumiem.

– To będą polędwiczki po francusku – wyjaśnił. – Stary przepis. Tomasz Kern mnie zainspirował. A co jest podstawą kuchni francuskiej? – przeegzaminował Kasię.

– Masło.

– Brawo. Dlatego na nim smażę mięso, choć w polskiej kuchni to niedopuszczalne. Wcześniej kroję je w plastry grubości centymetra, nie rozbijam, żeby nie stwardniało, lekko posypuję solą i pieprzem, po czym układam na rozgrzanym maśle. Ten tłuszcz gwarantuje, że się przypali. Byle nie za dużo. Widzisz – odwrócił jeden z kawałków – przyrumieniło się na złoto. Teraz to samo z drugiej strony i do rondla.

– Ale po co to kontrolowane przypalenie?

– Zaraz zobaczysz – obiecał. Odczekał chwilę, aż polędwica złapie złoty kolor, zdjął ją z patelni, a mocno zrumienione masło, które na niej zostało wraz z aromatem mięsa, zalał białym winem i zeskrobał z dna drewnianą łopatką. Teraz sięgnął po obrany ze skórki camembert i rozpuścił jego cienkie kawałki we wrzącym winie, dodając śmietanę i musztardę Dijon. Sos osiągnął barwę karmelu, a wtedy Kuba nabrał go na łyżeczkę, odczekał, aż przestygnie, i dał Kasi do spróbowania.

– Poezja. – Młasnęła z rozkoszą. – Teraz wrzucisz do niego mięso?

– Nie – oświadczył. Wyjął plastry przysmażonych polędwiczek z rondla, ułożył je na półmisku, aby zachodziły jeden na drugi, tworząc apetyczną kaskadę, polał sosem z patelni i zaniósł na stół, przy którym czekały dziewczynki. Oficjalnie, tak jak mama, nie jadły wieprzowiny, ale nie

po to Kościół wymyślił termin dyspensa, aby zapominać o nim w dniu najważniejszego katolickiego święta.

Po obiedzie pojechali na spacer do Łazienek.

Młodsza z córek, Zosia, która po raz pierwszy widziała pomnik Chopina, przyjrzała mu się wnikliwie i odwróciła głowę w stronę rodziców.

– Tatusiu, czy tego pana zjada smok o ptasiej głowie?

– Głupia jesteś – stwierdziła starsza siostra, wybawiając Kubę od wyjaśnień. – To jest wierzba, takie drzewo, a nie smok.

– Drzewo? – Zosia wlepiła oczy w pomnik, próbując zgłębić istotę zakłętą w nim wypowiedzi artystycznej, ale w tym samym momencie wydarzyło się coś znacznie ważniejszego od sztuk rzeźbiarskiej i muzycznej razem wziętych.

– Wiewiórki! – krzyknęła Marysia, pociągając młodszą siostrę za rękaw wiosennego płaszczyka.

Sekundę potem piszczwały zachwycone, że futrzaki, znane głównie z kreskówek, bez oporów jedzą im z rąk. Obydwie miały przygotowane na tę okazję poważne ilości orzechów.

Rodzice zostali przed pomnikiem.

– Jak twój raport z misji na Opolszczyźnie? – spytała Kasia.

– Prawie gotowy.

– Daj mu tytuł *Historia z zaskakującym finałem* – roześmiała się. – Podejrzany Aram Chaczaturian oczyszczony z zarzutów. Domniemana kołysanka Chopina zaginiona w niewyjaśnionych okolicznościach. Prawdziwa kołysanka Czajkowskiego odnaleziona w wyjaśnionych okolicznościach. Niezłe nagłówki, co nie? Mogłabym pracować w tabloidzie?

– Bez wątplenia – potwierdził Kuba. – Ale nie zgadzam się z określeniem, że kołysanka Chopina jest domniemana. Zbyt wiele poszlak potwierdza jej istnienie.

– Yhmm – mruknęła, udając powagę. – Wykreślę „domniemana”, jak powiesz mi, co się z nią stało.

– Została skradziona.

Kasia przystanąła, przerywając rundkę spaceru wokół pomnika.

– Skąd wiesz?

– Bo byłem przy tym.

– Kiedy?

– Ósmego lipca tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku.

Kasia popatrzyła na niego jak na wariata.

– Żartujesz, mam nadzieję.

– Tak i nie – odparł Kuba. – Jest taki wehikuł czasu, którym można się przenieść w dowolny moment i dowolne miejsce przeszłości – stwierdził, podnosząc z ziemi jakiś patyk. – Ten wehikuł to archiwum. Przejrzałem wiele źródeł z tamtego czasu i wiesz, co odkryłem?

– Co? – Kasia nadal przyglądała mu się badawczo, starając się ocenić, czy jest w pełni władz umysłowych.

– Karol Godula wraz z małą Joasią i jej opiekunką Emilią Lukas zatrzymali się we Wrocławiu w hotelu „Pod złotą gęsią”. To był ulubiony hotel Chopina. Zawsze tam mieszkał, gdy był w mieście. Znano go tam i traktowano jak największą gwiazdę.

– Nie nadażam – przyznała.

– To proste. Karol Godula umiera w jednym z pokoi hotelowych. Ktoś, pewnie właściciel albo dyrektor, musi się zająć wezwaniem lekarza, potwierdzeniem zgonu, zabraniami zwłok do kostnicy i tak dalej. Zbiera też rzeczy zmarłego i nagle zauważa wśród nich nuty podpisane nazwiskiem Chopina, który „Pod złotą gęsią” otoczony jest kultem...

– Skąd pewność, że tam byli?

– Bo miały dla Goduli niesłychaną wartość osobistą. W żadnym z opracowań, jakie mu poświęcono, nie znalazłem nawet wzmianki, że interesował się muzyką. Wręcz przeciwnie, po napadzie i okaleczeniu był przygłuchy. A jednak zamówił u Chopina kołysankę. Dla siebie i małej Joasi Gryzik. Łączyła go z tą dziewczynką bardzo silna więź emocjonalna. On przeszedł wielką traumę i ona też. Jego dręczyły demony i ją też. Obydwoje cierpieli. Obydwoje mieli koszmary. Ta kołysanka była ich amuletem.

– Amuletem? – powtórzyła Kasia, wyraźnie zaintrygowana.

– Właśnie tak. Joanna, już jako dorosła osoba, po ślubie z hrabią Schaffgotschem, pisze w liście o tym, jak ważna była ta kołysanka. Ma wtedy dwadzieścia lat, ale zmory przeszłości nadal ją prześladują. Mąż przebudowuje Kopice, zamykając je w idealnie wymierzonym planie białego pentagramu, chroniącego przed klątwą. No i zamawia nową kołysankę, licząc, że zastąpi tamtą.

– A co z kradzieżą nut Chopina?

– Jestem przekonany, że nastąpiła w dniu śmierci Goduli w hotelu „Pod złotą gęsią”. On musiał mieć te nuty ze sobą. Z Joasią i Emilią uciekali przed epidemią tyfusu głodowego, byli przerażeni. Wyjeżdżając w takich okolicznościach, nie zapomina się o amulecie i nie zostawia się go w domu. Zresztą, gdyby było inaczej, wykonawcy testamentu Goduli znaleźliby zapis kołysanki. Przecież mieli nieograniczony dostęp do chaty w Rudzie i pałacu w Szombierkach.

– Napiszesz to w raporcie dla IPN-u? – spytała.

– Oczywiście – potwierdził, wyrzucając patyk w pobliskie krzaki. – Tam, gdzie brakuje dowodów i dokumentów, można zastąpić je logiczną interpretacją domysłów. Rzecz jasna zaznaczając, że to tylko hipoteza, oparta na dedukcji.

Kasia ujęła jego rękę.

– Chodź, Sherlocku, poszukamy naszych dzieci.

– Znów jestem Sherlockiem? – udał zaskoczenie.

– Na razie tak – odparła. – Z okazji świąt. A potem się zobaczy.

### 3.

Punktualnie o szóstej rano, trzydzieści sześć minut po wschodzie słońca, Jakub Kania minął centrum handlowe w Jankach i znalazł się na drodze szybkiego ruchu do Katowic.

Lubił świt.

Było w nim coś optymistycznego i metaforycznego zarazem. Światło następujące po ciemności. Nowy początek. I cisza świata, który dopiero



otworzył oczy, przeciągnął się i postanowił jeszcze trochę poleżeć w beztroskim cieple pościeli.

Kiedy planował wyjechać z domu o świcie, nie musiał nastawiać alarmu w telefonie. Budził się dokładnie pół godziny wcześniej. Rześki i wypoczęty, choć w innych okolicznościach potrafił spać do dziesiątej. Czyścił zęby, brał prysznic, golił się, ubierał, jadł obfite śniadanie należne tym, których czeka droga, i wyruszał.

Zanim miasto zdążyło wyprowadzić na ulice wszystkie swoje samochody, był już daleko.

W Częstochowie skręcił w drogę do Opola, gdzie dotarł półtorej godziny później. Zaparkował przed hotelem, wbiegł po schodach prowadzących do drzwi wejściowych, pchnął je i w tym samym momencie zarejestrował spłoszony wzrok dziewczyny z recepcji, która z reguły witała go uśmiechem.

– Dzień dobry – przywitał się. – Przyjechałem się wymeldować i zabrać rzeczy.

Recepcjonistka z trudem przełknęła ślinę.

– Przykro mi bardzo – powiedziała – ale nie może pan teraz wejść do swojego pokoju.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Bo został zaplombowany.

– Przez kogo?

– Przez policję. – Dziewczyna wyglądała na mocno zakłopotaną.

– Z jakiego powodu?

– Było włamanie – oświadczyła.

– Kiedy? – spytał zaskoczony.

– No właśnie tego dokładnie nie wiadomo. – Recepcjonistka zaczerwieniła się. – Koleżanka powinna posprzątać pokój w piątek tuż po pana wyjeździe, ale źle się czuła i odłożyła to na później. Pamiętała, że pan wróci dopiero po świętach. Ale rano w pierwszy dzień Wielkanocy miała dyżur, bo trzeba było przygotować pokoje dla gości z Niemiec i przy okazji postanowiła zrobić pański. Weszła, a tam wszystko go góry nogami.

Poprzewracane meble, porwana pościel, przesunięte łóżko, rzeczy powywalane z szafy na podłogę. Totalna demolka. Od razu domyśliła się, że to nie pan, bo pan taki czysty i porządny. Czyli że ktoś się włamał i czegoś u pana szukał.

Kuba słuchał kompletnie zdezorientowany.

– Z miejsca wezwała menedżera, a on policję. W końcu to pan jest prokuratorem śledczym. – Dziewczyna konfidencjonalnie zniżyła głos. – Mógł pan mieć w pokoju jakieś ważne dowody. Policja przyjechała, wszystko sprawdzili, porobili zdjęcia i spisali protokół. Z godzinę u pana siedzieli. Potem spytali, gdzie pan jest, i jak ich zawiadomiliśmy, że wróci pan we wtorek, w sensie, że dziś, to zaplombowali drzwi i powiedzieli, żeby ich powiadomić, jak pan się pokaże. To co? – Popatrzyła na Kubę uważnie. – Dzwonić do nich?

– Oczywiście, proszę dzwonić – odparł.

Radiowóz pojawił się pięć minut później. Dwóch funkcjonariuszy z tyłu, jeden za kierownicą. Dwaj pierwsi, przypominający zawodników rugby, weszli do hotelu.

– Prokurator Jakub Kania? – spytał starszy stopniem.

– Zgadza się – odparł Kuba i zrobił krok w kierunku schodów.

– Nie idziemy tam – powiedział rugbista z naszywkami sierżanta.

– Jak to? Nie chcecie panowie wiedzieć, czy coś zginęło?

– Mamy rozkaz przywieźć pana na komendę.

– Czyj rozkaz?

– Podinspektor Stachowiak.

Kuba spojrział na policjanta z uwagą.

– Kim jest pani podinspektor?

– Naczelnikiem dochodzeniówki w wojewódzkiej.

– Ktoś tak wysoki rangą zajmuje się kradzieżami hotelowymi? Przecież to robota najbliższego komisariatu.

– Ja tam nic nie wiem. – Rugbista zaczął okazywać zniecierpliwienie. – Zapraszam do radiowozu.

Kuba nie protestował.

Usiadł z tyłu obok osiłka młodszego stopniem. Sierżant zajął miejsce z przodu.

– Do fabryki – rzucił kierowcy. Przyglądał się Kubie w lusterku jak taksówkarz oceniający, czy pijany gość nie zabrudzi mu auta.

Podinspektor Stachowiak wyglądała na doświadczoną policjantkę. Nieufna, oschła, konkretna. Może trochę znerwicowana. A może bardzo, tylko akurat coś zażyła.

– Zapraszam. – Wskazała Kubie krzesło.

– Co to za historia z tym włamaniem? – powiedział zamiast powitania.

Spojrzała na niego z miną „to ja tu zadaję pytania”, ale być może to, co zażyła, odwiodło ją od wyrażenia tego głośno.

– Niech pan mi powie – zaproponowała i zabrzmiało to jak zgrzyt metalu o szkło.

– Ja?

Nie odpowiedziała. Stara technika przesłuchań. Doprowadzić do milczenia, które w pewnej chwili staje się nieznośne. Tylko dlaczego surowa naczelniczka dochodzeniówki traktuje go jak podejrzanego?

Policjantka sięgnęła do szuflady biurka i wyjęła z niej przezroczystą plastikową teczkę z plikiem pożółkłych papierów wewnątrz.

– Co to jest? – spytał Kuba.

– Nuty kołysanki Piotra Czajkowskiego, o której ostatnio było tak głośno w mediach. Oryginalne. Podpisane przez kompozytora.

Kuba osłupiał.

Wyciągnął rękę po teczkę, ale szefowa dochodzeniówki przesunęła ją w swoją stronę.

– Skąd pani to ma? – odezwał się nieswoim głosem.

– Z pańskiego pokoju hotelowego – oświadczyła spokojnie. – A pan skąd je ma?

– Jak to z mojego pokoju?

– Tak to. Podczas zabezpieczania śladów włamania funkcjonariusze przejrzyli liczne dokumenty pańskiego śledztwa w Kopicach, porzucane po podłodze. W jednym z segregatorów znaleźli te nuty i to ich

zastanowiło. Zwłaszcza że jeden z nich słyszał o głośnej sprawie odnalezienia na Opolszczyźnie nieznannej kołysanki Czajkowskiego.

Kuba milczał.

– Co ma pan do powiedzenia w tej kwestii, panie prokuratorze? Czy mam to potraktować jako materiał dowodowy, którego zapomniał pan ujawnić i, powiedzmy, chciał pan zrobić to dziś, po powrocie do Opola?

Podpowiada mi wyjście z sytuacji? – pomyślał Kuba. – Czy prowokuje, żebym się jeszcze bardziej pogrążył? Jeśli wybiorę tę ścieżkę, przyznam, że odnalazłem nuty i były w moim posiadaniu – uznał. Poza tym byłoby to kłamstwo. Coś, do czego czuł najgłębszą odrazę.

– Nie – odparł, patrząc jej prosto w oczy. – To nie jest nieujawniony dowód. Nigdy wcześniej nie widziałem tych nut. Nie było ich w moim pokoju hotelowym, gdy wyjeżdżałem do Warszawy w Wielki Piątek.

– To skąd się tam wzięły? – spytała policjantka. Wyglądała na rozczarowaną.

– Zostały podrzuczone.

Uśmiechnęła się cynicznie.

– Był pan prokuratorem. Wie pan doskonale, że wszyscy to mówią w takiej sytuacji.

– Jestem prokuratorem – podkreślił Kuba. – Staram się myśleć logicznie, dlatego nie rozumiem pani toku rozumowania. Sugeruje pani, że przywłaszczyłem sobie oryginalne nuty kołysanki Czajkowskiego, ukryłem je w hotelu w segregatorze z dokumentami, a potem, żeby odwrócić od siebie uwagę, zdemolowałem pokój? Gdzie tu sens?

– Nie mówiłam, że pokój został zdemolowany – policjantka spojrzała na niego niemal triumfująco.

– Nic z tego – odparł. – Nie przyłapała mnie pani. Dowiedziałem się o tym od recepcjonistki. Proszę ją zapytać.

Szefowa dochodzeniówki nie zareagowała.

– Myli się pan co do mojego toku myślenia – zmieniła wątek. – Moim zdaniem włamanie wcale nie zostało upozorowane. Ktoś szukał w pańskich kwitach czegoś ważnego.

– Ważniejszego od oryginalnych nut Czajkowskiego? Nonsens – zachnął się Kuba.

– W pańskim śledztwie przewija się wysoko postawiona osoba z władz województwa. Wie pan doskonale, że jej dziadek był podejrzany o rabunek i podpalenie pałacu w Kopicach. Gdyby to wyszło na jaw, starania pani Iwony Kern o sprzedaż obiektu mogłyby nabrać innego znaczenia. Myślę, że tego szukał włamywacz. Miał pan coś takiego w swoich materiałach?

– Nie.

– Czyli – kontynuowała policjantka – intruz wszystko przetrząsnął, nie znalazł tego, czego szukał, i się ulotnił. Niestety. Personel hotelu wezwał policję, a policja znalazła nuty. Po prostu miał pan pecha.

Kuba poczerwieniał.

– Nie podoba mi się ta rozmowa – powiedział. – Bo to tylko rozmowa, szanowna pani. Jeśli nie ma pani zgody mojego przełożonego na przesłuchanie ani decyzji o uchyleniu mojego immunitetu, to proszę uznać, że sobie pogawędziliśmy. Na tym koniec.

Wstał.

– Zechce pani zawiadomić dyżurnego, aby mnie wypuścił z komendy.

– Jak pan woli – stwierdziła złowrogo policjantka. – Niech dalej prokurator bawi się z panem w kotka i myszkę. Bo ja pozwolę sobie panu nie uwierzyć. Według mnie dokonał pan przywłaszczenia. Poważne przestępstwo, karane w zależności od wartości przedmiotu. Dwa-osiem-cztery Kk. A tak między nami, ile są warte takie nuty? Można się za nie nieźle ustawić, co?

Kuba podszedł do drzwi i bez słowa nacisnął klamkę.

#### 4.

Dyrektor pionu śledczego IPN odłożył elegancko oprawiony i zbindowany raport Jakuba Kani, nawet nie zerkając do środka. W tej chwili nie miał dla niego najmniejszego znaczenia. Gdyby mógł, cofnąłby czas i nigdy nie wysyłał Kubę tropem Arama Chaczaturiana.

Nerwowo postukał palcami w blat biurka, jakby zagrał akord na fortepianie.

– Mamy poważny problem, panie kolego.

Jakub Kania nie okazał skruchy, nie zwiesił głowy, nie wybuchnął szlochem, choć może któreś z tych zachowań spodobałoby się dyrektorowi bardziej niż milczenie i kamienna twarz.

– Nuty, które miał pan w pokoju hotelowym... – zaczął dyrektor, ale Kuba mu przerwał.

– Które podrzucono mi do pokoju – sprostował.

Dyrektor zagrał na blacie kolejny akord.

– Jest pan prawnikiem, panie kolego. Wie pan doskonale, że takie rzeczy ustala się w drodze dochodzenia. Dlatego sugeruję, aby pan dobrowolnie zgodził się na postępowanie prokuratorskie w tej sprawie. Jako pański przełożony dyscyplinarny mogę wydać taką decyzję, ale będzie to wyglądało o wiele lepiej, jeśli pan sam pokaże, że nie ma pan niczego do ukrycia, i weźmie udział w przesłuchaniu. Może warto pomyśleć o dobrym obrońcy.

Kuba zmarszczył brwi.

– Już rozmowa z panią naczelnik opolskiej dochodzeniówki pozwoliła mi się zorientować, że policja uznała mnie za winnego. Uważają, że przyskrzynili prokuratora IPN, który okazał się złodziejem i przywłaszczył sobie nuty o bardzo dużej wartości. Takie stanowisko przekażą prokuraturze. Nie chcę przesądzać sprawy, ale jestem pewien, że prowadzący dochodzenie nie uwierzy w podrzucenie nut do pokoju i usłyszę zarzuty. Co wtedy?

Dyrektor uciekł ze wzrokiem.

– Proszę nie zapominać, że w grę wchodzi również dobre imię IPN. Wie pan, ilu mamy wrogów. Dlatego proponuję umowę dżentelmeńską. – Sięgnął do szuflady biurka, po przygotowany wcześniej dokument. – Pan podpisze rozwiązanie umowy o pracę za porozumieniem stron, a Instytut wystawi panu pozytywną opinię, która może mieć znaczenie dla prokuratora i sądu.

– „Może mieć znaczenie” – zacytował Kuba. – Ciekawe sformułowanie.

– Słyszę sarkazm – stwierdził dyrektor.

– Dobrze pan słyszy – potwierdził Jakub Kania. – Po tylu latach pracy i śledztw zakończonych sukcesem Instytut w trudnej chwili po prostu odwraca się do mnie plecami. Chcecie, żebym sam wyraził zgodę na postępowanie prokuratorskie przeciwko sobie, bo wtedy IPN będzie miał czyste ręce i nikt was nie oskarży o rzucenie mnie na żer. To nie wy uchylicie mi immunitet i wydacie decyzję o oddaniu mnie w ręce wymiaru sprawiedliwości, tylko ja sam. Sprytne.

Dyrektor milczał, ale żyła na jego czole była coraz bardziej nabrzmiąta.

– Gratuluję też wycucia chwili – dodał Kuba cynicznie. – Prokuratura jeszcze nie podjęła czynności, ale IPN już sugeruje rozwiązanie ze mną umowy o pracę. Oczywiście szlachetnie. Za porozumieniem stron. Bo przecież moglibyście wyrzucić mnie dyscyplinarnie, zanim dojdzie do jakichkolwiek rozstrzygnięć prawnych. Odbieram to jako wyraz uznania za dotychczasową pracę.

– Niech pan się nie posuwa za daleko – ostrzegł dyrektor. – Za chwilę będzie pan podejrzany o przywłaszczenie dobra kultury o znacznej wartości, a to słaba pozycja negocjacyjna. I prawnie, i moralnie – podkreślił. – Traktujemy pana po partnersku. Porozumienie stron nie ma daty. Wstawimy taką, jaką uzgodnimy.

Raczej taką, jaka będzie dla was wygodna – chciał powiedzieć Kuba, ale ugryzł się w język.

Wstał z krzesła.

– Wybaczam panu te karygodne komentarze – oświadczył wielkodusznie dyrektor. – Traktuję je jako efekt stresu wywołanego poważnymi tarapatami, w jakich się pan znalazł. Proszę jednak zapamiętać, że nadal ma pan protekcję IPN. Kto wie, gdyby nie to, że jest pan naszym człowiekiem, być może zapadłaby decyzja o tymczasowym aresztowaniu. Nie pozwolimy na to – dodał z patosem, ale i ostrzegawczo, ewidentnie dając Kubie do zrozumienia, aby nie podskakiwał.

Jakub Kania skinął głową i wyszedł bez słowa.

## 5.

Kapitan Teresa Barska nudziła się niczym naród kubański w czasie wielogodzinnego przemówienia Fidela Castro.

Z jednej strony czuła presję obowiązku codziennego chodzenia do pracy. Z drugiej miała poczucie jałowego upływu czasu. W departamencie Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, do którego przydzielono ją „na jakiś czas”, działało się tyle, co w klasztorze buddyjskim podczas medytacji.

Od jakiegoś czasu zajmowała się prześwietlaniem osób, które miały objąć stanowiska państwowe i trzeba im było przyznać dostęp do informacji niejawnych. Ścisłe tajnych, tajnych, poufnych lub zastrzeżonych. W zależności od rozmiaru szkód, jakie mógł wyrządzić posiadacz takiej wiedzy i długiego języka.

To była paskudna robota.

Trzepanie kont bankowych, podejrzanych powiązań, dawno wymazanych wyroków, skłonności i sekretów. Dużo brudu zdolnego upaprać świadomość. Jeszcze więcej ciekawostek, dzięki którym mogła zrobić furorę, otwierając własny tabloid albo portal plotkarski.

Gdy zadzwonił telefon, a na ekranie wyświetliło się nazwisko Jakuba Kani, właśnie prześwietlała kandydata do ważnej funkcji w mediach publicznych, który swoim audi A8 konsekwentnie przekraczał prędkość o trzydzieści kilometrów na godzinę. Nie dwadzieścia dziewięć i nie trzydzieści jeden. Równo trzydzieści. Potwierdzały to wszystkie radary w Polsce od Opoła po Gdańsk.

– A myślałam, że nic mnie już nie zaskoczy – powiedziała półgłosem Barska i odebrała połączenie od prokuratora IPN. – Oho – stwierdziła z entuzjazmem. – Szykuje się przygoda.

– Czyżby ich pani brakowało? – spytał Kuba.

– Jakby to panu powiedzieć – westchnęła. – Ostatnio moje życie to codzienna, nieustanna walka. Do obiadu z głodem, po obiedzie z sennością.



– To miło, że kojarzę się pani z przygodą – stwierdził Kuba<sup>[1]</sup>. – Ale tym razem się na nią nie zanosz.

– A na co się zanosz?

– Na kłopoty.

– Brzmi równie ciekawie. Rozumiem, że właśnie załapałam się na zaproszenie na kawę, a jak pana znam, to z ciastkiem.

– Może pani dziś po pracy?

– Mogę. O siedemnastej. Gdzie?

– W Bristolu? Najlepsze kremówki w Europie.

– Oooo... To znaczy, że pański kłopot musi być poważny. Widzimy się o piątej.

Kuba wszedł do sali Cafe Bristol pięć minut przed piątą i odetchnął głęboko, zaciągając się aromatem miejsca, które należało do innego, zakłętego wymiaru. Podłoga w trójkolorową szachownicę, stoliki z marmurowymi blatami i czarno-białe zdjęcie oprawione w szerokie złote ramy równie dobrze mogły stanowić wystrój wytwornego lokalu z dwudziestolecia międzywojennego, jak i reprezentacyjnej współczesnej kawiarni, w której można dokonać zamówienia przez Internet.

Ale to nie ponadczasowa elegancja wnętrza była wabikiem, z powodu którego Jakub Kania co miesiąc trwoniał w Bristolu część swojej prokuratorskiej gaży. Prawdziwy powód znajdował się za szkłem lady chłodniczej dyskretnie wkomponowanej w lakierowany bar z ciemnego drewna.

Ciastka.

Dokonywał ich szybkiej inwentaryzacji, zerkając przez okazałe przeszklenia kawiarni na Krakowskie Przedmieście, ale Teresa Barska nadeszła od strony hotelu.

– Nie wygląda pan na strapionego – oceniła, uśmiechając się pod nosem.

– A powinienem – stwierdził, wskazując jej stolik.

– W co się pan wpakował tym razem? – spytała.

Kuba opowiedział jej wszystko z detalami. Od Chaczaturina po Czajkowskiego. I jego oryginalne nuty w swoim pokoju hotelowym.

Słuchała uważnie, nie przerywając ani razu.

– Ma pan pomysł, kto mógł je panu podrzucić?

Popatrzył na nią z wdzięcznością. Przynajmniej jedna osoba, która mu wierzy.

– Tylko hipotezę.

– Słucham.

– Iwona Kern. Oczywiście nie osobiście. Uważam, że to komuś zleciła.

– Motyw?

– Chociażby rewanż za to, że ujawniłem mężowi jej romans z Holendrem. A może i coś jeszcze.

– Co?

– Dojdziemy do tego – powiedział Kuba.

– Skąd by miała nuty Czajkowskiego?

– Po tym, jak odnaleziono kołysankę zagraną przez ojca Tomasza i zrobiło się z tego wielkie wydarzenie medialne, starszemu panu Kernowi odblokowała się jakaś klapka w mózgu uszkodzonym udarem. Przypomniawszy sobie, że istniały też nuty. Pamiętał je z dzieciństwa. „Były w naszym dawnym domu” – napisał. Czyli w dworku, z którego wyrzucono Kernów do obory i który zajęła rodzina Gawryluków. Dziadków Iwony. Moja hipoteza jest taka: Tomasz, jak to Tomasz, oczywiście wygadał się przed żoną, że ojciec przypomniawszy sobie o nutach, a ta przetrząsnęła dom rodziców i je znalazła. Po czym użyła jako narzędzia zemsty. Wiedziała doskonale, że to mnie skompromituje, doprowadzi do dyscyplinarnego zwolnienia z IPN i postawi przed sądem z bardzo poważnymi zarzutami.

Teresa Barska upiła łyk kawy i sięgnęła po kremówkę, ale w ostatniej chwili wycofała widelczyk.

– Brzmi logicznie – uznała. – Poza jednym istotnym szczegółem, który mi tu kompletnie nie pasuje.

– Jakim?

– Ile są warte oryginalne nuty nieznannej kołysanki Czajkowskiego?

– Nie mam pojęcia – wyznał Kuba. – Polski rząd zapłacił za zapis utworu Chopina pół miliona funtów. I nie było to wielkie, przypadkowo odkryte dzieło. Raczej coś, co nie bardzo wyszło panu Fryderykowi. Podarował nuty swojemu przyjacielowi, bo nie chciał włączać tego utworu do „dyskografii”. No więc, zakładając, że tu jednak mamy do czynienia z wybitną kompozycją, a Czajkowski jest sławny co najmniej tak samo jak Chopin, to... Bo ja wiem? Siedemset–osiemset tysięcy dolarów. Może i milion, przy dobrych wiatrach.

– No właśnie. – Barska wycelowwała w niego widelczyk. – I to mi nie pasuje. Czy cwana pani radna poświęciłaby nuty warte gigantyczną kasę, aby zrobić kuku prokuratorowi IPN? Przecież o wiele rozsądniej byłoby wywieźć je za granicę i opchnąć gdzieś na aukcji.

– Rozumiem pani obiekcje – uznał Kuba – ale proszę mi odpowiedzieć na pytanie: w jakich okolicznościach przebiegły człowiek poświęca milion dolarów?

– Nie wiem – odparła Barska, uciekając wzrokiem w głąb kremówki. – W żadnych?

– W takich, w których może za ten milion wyeliminować kogoś, kto stwarza zagrożenie dla planów zarobienia sumy znacznie wyższej.

Spojrzała na niego zaciekawiona.

– Co pan ma na myśli?

– Głowę dam, że Iwona Kern kombinuje coś z tym dziwnym Holendrem, który ukrywa nie tylko romans z panią radną, ale i to, że mówi po polsku bez śladu obcego akcentu.

– Ale co kombinuje?

– Tego nie wiem – wyznał Kuba. – Dlatego chciałem się z panią spotkać.

– I ja się mam tego dowiedzieć?

Kuba potarł podbródek.

– Macie przecież w ABW ludzi, którzy zajmują się sprawami gospodarczymi. Może oni mogliby prześwietlić transakcję kupna pałacu w Kopicach. Zwłaszcza że Iwona Kern, szefowa komisji rozwoju regionu reprezentująca województwo jako strona tej umowy, romansuje

z zagranicznym inwestorem. Najwyraźniej wiąże z nim jakieś plany, skoro równolegle wytacza wojnę rodzinie męża, którego ewidentnie chce rozjechać walcem, choć ten nieszczęsny pantoflarz tego nie widzi.

– Nie jesteśmy obyczajówką – odparła Teresa Barska. – A sprawy gospodarcze badamy, jeśli w grę wchodzi zagrożenie bezpieczeństwa państwa.

Kuba wzniósł oczy do nieba.

– Pani kapitan, znamy się zbyt długo, aby mi pani wmawiała, jak przyzwoite są służby specjalne i że podejrzane układy wysoko postawionych polityków regionalnych was nie obchodzą.

– Oczywiście, że nie zajmujemy się takimi rzeczami – oświadczyła Barska z miną lisa, który oznajmił, że właśnie został wegetarianinem. – Ale dobrze. Przyjrzę się temu. Tak się składa, że ostatnio wyspecjalizowałam się w kolonoskopiach.

– Kolonoskopiach? – zdziwił się.

– No, w zagłądaniu ludziom do... Zresztą, mniejsza z tym. Jeśli rzeczywiście w tej sprawie jest coś niepokojącego, to najprostszym sposobem, aby to zbadać, będzie to zbadać.

## 6.

Jeden rzut oka wystarczył, aby Jakub Kania zorientował się, że prokurator prowadzący jego sprawę jest nastawiony równie wrogo jak naczelniczka dochodzeniówki. Może jest jej kuzynem – pomyślał. Opole to małe miasto. O wiele mniejsze, niż to wynika z liczby ludności i powierzchni zajmowanej na mapie.

Oskarżyciel był tuż po aplikacji i reprezentował podgatunek prawniczych karierowiczów. Wystudiowana fryzura, rzadka hiszpańska bródka, wyglądająca jak wyhodowana drogą przeszczepu cebulek, manikiur i sylwetka wyrzeźbiona na siłowni samodzielnie lub pod okiem taniego trenera. Jedne partie mięśni pominięte, inne napompowane nadmiernym wysiłkiem nie stwarzały wrażenia harmonii i symetrii. Co łatwo dało się zauważyć, bo prokurator nosił jeden z tych kusych

niebieskich garniturków, w których marynarka sięga do połowy pośladków, a pod tkaniną opiętych wąskich spodni można dostrzec czyraka na łydce. Kuba skrzywił się wewnątrz. Wyznawał zasadę, że mężczyzna powinien nosić dopasowane garnitury pod warunkiem, że wygląda w nich swobodnie, a nie jak opakowany próżniowo.

Fircyk poprawił wąski krawacik, rozłożył przed sobą akta i spojrzał na Jakuba Kanię wzrokiem, w którym czaił się żal, że w Polsce zniesiono karę śmierci.

– Nie przynosi pan chluby naszemu środowisku – oznajmił.

Ty za to przynosisz – pomyślał Kuba, ale nie odpowiedział ani słowa.

– Czekamy na pańskiego obrońcę? – dopytał fircyk, ostentacyjnie zerkając na zegarek.

A widziałeś w aktach pełnomocnictwo z jakiejś kancelarii? – pomyślał Kuba, ale głośno poinformował:

– Będę się bronił sam.

Hiszpańska bródka skurczyła się w grymasie zdziwienia.

– Pan sobie chyba nie zdaje sprawy z powagi zarzutów, które za chwilę pan usłyszysz. Po koleżeńsku radzę zwrócić się o pomoc do dobrego, co ja mówię: bardzo dobrego mecenasa.

– Pozostaję przy swoim postanowieniu – odparł Kuba i pomyślał: na ciebie wystarczy.

Fircyk chrząknął, co miało znaczyć „jak sobie chcesz”, a przy okazji nastroić struny głosowe przed wygłoszeniem reszty formułek. Jakub Kania znał je doskonale z czasów, gdy pracował w gdańskiej rejonówce. Dowiedział się, jakie podejrzenia na nim ciążyą, jakie paragrafy Kodeksu karnego je uzasadniają i jaka grozi mu kara. Fircyk przerwał na chwilę swoją liturgię, zadając pytanie: czy Kuba przyznaje się do winy.

– To by znacznie polepszyło pańską sytuację – zaznaczył.

Kuba zaprzeczył i popatrzył na niego z trudem ukrywanym politowaniem.

– Z radością bym polepszył swoją sytuację – oświadczył. – Ale w świetle prawa obowiązuje mnie mówienie prawdy, a nie popełniłem zarzucanych

mi czynów.

Fircyk nerwowo ścisnął długopis.

– To się jeszcze okaże – syknął.

– Mam taką nadzieję – zgodził się spokojnie Kuba.

– Póki co ma pan zakaz opuszczania kraju, a jeśli posiada pan ważny paszport, wydaję nakaz o jego zatrzymaniu.

Jakub Kania nie zareagował.

– To bardzo łagodne sankcje, zważywszy wartość przedmiotu, który pan przywłaszczył.

– To już postanowione? – spytał Kuba.

– Co?

– To, że przywłaszczyłem.

Fircyk oblał się rumieńcem.

– Gdyby to ode mnie zależało, wydałbym wobec pana postanowienie o tymczasowym aresztowaniu.

Tego już Kania nie wytrzymał.

– Na szczęście to nie zależy od pana, ale od prawa. Do zobaczenia w sądzie – dodał.

Prokurator w niebieskim garniturku zacisnął zęby, aż poruszyły się mięśnie jego szczęk.

Dziesięć minut później Kuba wyszedł na ulicę Reymonta i dopiero tu, wśród ludzi przechodzących chodnikiem, poczuł się jak napiętnowany. Miał wrażenie, że wszyscy na niego zerkają ukradkiem, a na czole ma odcisniętą pieczętkę z napisem „Oskarżony”. Tyle razy przyznawał ten status sprawcom przestępstw, opierając się na dowodach, podobnie jak ten ambitny chłopiec przed chwilą. A teraz? Role się odwróciły.

Więc karma wraca?

Wzdrygnął się na myśl, że wystarczy przeciek do jakiejkolwiek redakcji, aby sprawa nabrała ogólnopolskiego rozgłosu, a jego reputacja legła w gruzach. „Detektyw z IPN oskarżony o kradzież nut słynnego kompozytora, wartych milion dolarów” – ujrzał oczami wyobraźni

nagłówek na pierwszej stronie „Faktu”. Instynktownie sprawdził komórkę, wyciszoną na czas rozmowy w prokuraturze.

Media jeszcze nie dzwoniły. Za to Teresa Barska trzy razy.

– Przepraszam, że nie odbierałem, ale słuchałem zarzutów – wyjaśnił oddzwaniając.

– O, super – stwierdziła i dodała: – Musimy pogadać. Najchętniej u mnie w biurze.

– Wolno pani zapraszać do siedziby ABW osoby oskarżone o poważne przestępstwa?

– Panie prokuratorze, służby specjalne już za czasów Napoleona energicznie współpracowały z przestępcami. Zresztą, z całym szacunkiem, co z pana za kryminalista?

– To się okaże. Możemy sobie pożartować, ale w tej chwili moje szanse na wygranie sprawy są żadne.

Nie widział miny Barskiej, ale miał wrażenie, że się zmartwiła.

– Najwyżej dostanie pan zawiąsy – stwierdziła na pocieszenie. – Nigdy nie był pan karany, za to ma pan doskonałą opinię i nienaganny przebieg służby. Pracy, znaczy się – sprostowała.

– Tak, wiem. Ale jeśli mnie skażą, stracę tę pracę w trzy sekundy.

Przez chwilę w słuchawce zapanowała cisza.

– Gdyby to ode mnie zależało, zatrudniłabym pana w ABW – powiedziała. – A nawet nie pana, tylko pańską intuicję.

– Co chce mi pani przez to powiedzieć?

– Że miał pan nosa w sprawie pani radnej i jej holenderskiego księcia z bajki. Z tym, że to bardzo nieciekawa bajka.

## ROZDZIAŁ X

Maj 2014 roku

### 1.

Krzyż ucierpiał w pojedynkach z zimą i wiosennymi deszczami. Pochylił się i pokrył zielonym nalotem, który dla powierzchni drewna jest jak rak skóry dla człowieka. Zapowiada chorobę i nieuchronny koniec.

Kuba zanotował w pamięci, że za kilka tygodni trzeba będzie go wymienić. Na nowy, też drewniany, bo innego babka nie chciała.

Od lat gniewała się na pośmiertną pychę. Na polerowane granity, złocone litery i znicze wyglądające jak koszmarne sny cukierników. Cmentarze zamieniły mogiły, krzyże i stearynowe świece w glinianych miseczkach na bizantyjską architekturę nagrobków i kicz ozdób. Ten amok opanował ludzi do tego stopnia, że zaczęli wierzyć, że dębowa trumna jest zdrowsza od sosnowej.

Babka tego zabroniła.

Chciała leżeć na łagodnym zboczu małego cmentarza w swojej kaszubskiej wsi, z widokiem na jezioro. Z polnym kamieniem i drewnianym krzyżem na mogile. W pobliżu miały rosnąć drzewa, żeby mogły ją odwiedzać ptaki.

Dokarmiała je przez całe życie, choć sąsiedzi uważali to za dziwactwo. Na kaszubskiej wsi porządek gatunków ustalono całe wieki przed Darwinem. Jeśli stworzenie dostawało jeść, musiało w zamian dać pracę, mięso, mleko lub jaja i pierze. Ptaki nie należały do tej kategorii. Były darmozjadami, choć babka kochała je i wiedziały o tym. Dzikie gołębie plątały się jej pod nogami, gruchając ze szczęścia, a na ramionach siadały sikorki tak utuczone, że wyglądały jak piłki tenisowe.

Dopiero po jej śmierci, w otoczeniu kamienia, krzyża i śpiewu ptaków Kuba uświadomił sobie, że babka była najważniejszą osobą w jego życiu.



Mama zmarła na raka, gdy zaczął chodzić do szkoły. Ojciec, podoficer nasłuchu radiowego w Marynarce Wojennej, padł ofiarą przebiegłej dywersji psychologicznej kontrwywiadu NATO i przeszedł załamanie nerwowe. Przez wiele lat był, ale jakby go nie było. Milczał, nie reagował na innych.

Z bratem mieli wszelkie szanse trafić do domu dziecka, ale ocaliła ich babka.

Przez kilkanaście lat dwa razy w tygodniu przyjeżdżała pakaesem ze swojej kaszubskiej wsi, zajmując się synem wyłączonym z życia i wnukami. Objuczona siatkami wspinała się na schody ich mieszkania przy ulicy Bema w Gdyni, gotowała, prała, prasowała, sprzątała. Bez słowa skargi, choć poza nimi miała przecież gospodarstwo. Krowę, trochę kur i gęsi. I swoją kaszubskość, której nie potrafiła porzucić dla życia w mieście.

Nie była kochaną, siwowłosą babunią z kreskówki.

Nie uznawała słabości, uzalania się, skarg. Nie udzielała rad. Ale można je było u niej podpatrzeć. Pod skorupą chłodu i surowości kryła się niespotykana uczciwość i prawość. Bez skazy. Bez milimetra przestrzeni na kompromisy, jakie wypracowują ludzie, żeby im było wygodniej żyć i łatwiej sobie wybaczać. „Ostatni raz postąpię niegodziwie, ale od poniedziałku koniec z tym”. A potem mnożyły się poniedziałki i zacierały granice przyzwoitości.

Babka nigdy ich nie naruszyła.

Wczoraj Kuba wpadł na pomysł, aby wybrać się na długi weekend do Gdyni. Odwiedzić brata i groby. Zwłaszcza babki.

W jednym z IPN-owskich śledztw zetknął się ze środowiskiem pobożnych Żydów, którzy lecieli dziesięć godzin z Ameryki, aby przez chwilę postać nad grobami cadyków w Leżajsku, Starym Sączu lub Radomsku. Ludzi tak sprawiedliwych, że przez to świętych. Współwyznawcy wierzyli, że w miejscach ich pochówku krążą dusze zmarłych, które pomagają żyjącym.

Stojąc w majowe południe nad pochylonym krzyżem i polnym kamieniem na kaszubskim cmentarzu, doszedł do wniosku, że w sumie przyjechał tu po to samo. Nie potrzebował seansu spirytystycznego, żeby odpowiedzieć sobie na pytanie, co babka powiedziała by w sytuacji, w jakiej się znalazł. „Jeśli twoje sumienie jest czyste, to nie masz się czego bać”. A jednak potrzebował jej siły, bo czuł, że traci grunt pod nogami.

Tak, miał czyste sumienie. Ale po drugiej stronie frontu stały poważne zarzuty prokuratorskie i perspektywa procesu, w którym udowodnienie jego winy wydawało się banalnie łatwe. Jaki skład orzekający uwierzy w bajeczkę o podrzuceniu nut? Ktoś, kto to zrobił, zadał bardzo mocny cios w bardzo precyzyjnie wybrane miejsce.

Jeśli dostanie wyrok, nawet w zawieszeniu, będzie przestępcą. Kryminalistą. Straci pracę w IPN-ie, a nikt inny go nie zatrudni. Żadna prokuratura, żadna kancelaria, żaden dział prawny żadnej z firm czy instytucji. Zanim dojdzie do wymazania wyroku, minie wiele lat. Gdzie ma szukać pracy? W kasie supermarketu? Tam też nie tolerują złodziei.

Musi walczyć.

Znaleźć siłę wynikającą z czystości sumienia i zrobić wszystko, co w jego mocy. Wykorzystać każdy szczegół. Dlatego postanowił, że sam będzie się bronił. To dawało mu dostęp do materiału dowodowego, jaki przeciwko niemu gromadzono. Gdzieś tam mogła się kryć szansa. Być może jedyna. Wynajęty adwokat mógł ją przeoczyć, ale on tego nie robi. Babka nauczyła go solidności, dzięki której to, co robił, robił dokładnie i dobrze.

Wychodząc z cmentarza, przyłożył dłoń do oczu i daleko nad brzegiem jeziora dostrzegł Kasię bawiącą się z dziewczynkami. Tak jak prosił, podarowały mu kilka minut samotności nad grobem babki. Pomachał ręką w ich stronę, ale były zbyt daleko. Z cmentarnego wzgórza wyglądały jak trzy kolorowe latawce unoszące się tuż nad łąką.

Powoli ruszył w ich stronę. Doszedł do wniosku, że czas powiadomić o wszystkim Kasię. Sytuacja dawno przekroczyła status „nic nie mówiłem, bo nie chciałem cię martwić”. W ten sposób można zataić wgniecenie zderzaka przy cofaniu, ale nie poważne zagrożenie przyszłości rodziny.

Powiem zaraz po powrocie do Warszawy – postanowił, widząc ich beztroskę mieniącą się w intensywnym majowym słońcu.

Tymczasem wrócił myślami do najnowszego odkrycia kapitan Barskiej.

Wczoraj rano na Rakowieckiej, zanim zajął krzesło w niewielkiej salce narad, podała mu fotografię. Standardową odbitkę, jaką masowo wykonywały laboratoria Kodaka, zanim aparaty montowane w telefonach komórkowych odesłały je w niebyt.

Przedstawiała dobrze zbudowanego młodzieńca z gładko ogoloną głową. Ubrany był w skórzaną kurtkę, spodnie od dresu i sportowe buty. Stał przed parterowym pawilonem otoczonym parkiem. Szyld nad drzwiami informował, że wewnątrz mieściła się restauracja „Zielone oczko”.

– Poznaje pan? – spytała Teresa Barska.

Kuba przyjrzał się uważniej, ale skojarzenie rysów twarzy zajęło mu dobre pół minuty.

– Maarten van Daas? – zaryzykował pytanie.

Barska skinęła głową.

– Trudno rozpoznać, prawda? Tak wyglądał holenderski przyjaciel pani Iwony Kern szesnaście lat temu. Wtedy nazywał się Marcin Wandaś. Był chłopakiem z Rudy Śląskiej i żołnierzem „Simona” – jednego z domniemanych szefów śląskiej mafii oraz właściciela tej restauracji. Zdjęcie zrobiono jakiś rok przed tym, gdy z parku obok „Zielonego oczka” wyszedł niezidentyfikowany osobnik i strzelił „Simonowi” prosto w serce.

Kuba zagwizdał.

Kapitan Barska uruchomiła tablet, który przyniosła na spotkanie.

– Po śmierci bossa Marcin trafił do gangu znanego ze szczególnego okrucieństwa – powiedziała, zerkając do otwartego dokumentu. – Rozboje, wymuszenia, porwania dla okupu. Ale nie czuł się tam komfortowo. Już znacznie wcześniej przejawiał skłonność do interesów. Niekoniecznie legalnych, za to na dużą skalę. Marzyły mu się Paryż, Marsylia i Palermo, a nie Zabrze, Czeladź i Świętochłowice. Garnitury Armaniego, a nie tureckie podróbki dresów z bazaru na Załężu. Milionowe biznesy

załatwiane w Monte Carlo, a nie wbijanie gwoździ w rzepki kolanowe opornych producentów wędlin z Zagłębia, którzy nie chcieli płacić haraczy.

Kuba słuchał coraz bardziej zaciekawiony.

– Chłopakom z gangu się to nie podobało. Szefom tym bardziej. Gangster, który uważa się za lepszego od innych, to pół biedy, ale gangster z ambicjami to już zagrożenie. Takiego trzeba złamać. Pracował pan w tamtym czasie w gdańskiej prokuraturze rejonowej, wie pan, jak to wyglądało. Najczęściej zlecano komuś takiemu zabójstwo i filmowano egzekucję, aby mieć na niego haka. Wandaś migał się jak mógł, ale zaczynało robić się wokół niego gorąco. Zwłaszcza że policja wyczuła pismo nosem, uznała go za słabe ogniwo gangu i próbowała przycisnąć. Ciągłe nie miał trupa na koncie, więc mógł pójść pod koronę. Wyrwać się z mafii, zeznając przeciwko bandytom. Szczególnie, że ci ostatni stanowili dla niego coraz większe zagrożenie.

– Domyślam się – wszedł jej w słowo Kuba – że te informacje pochodzą z dość głębokiej infiltracji. To aż tak ważna postać?

– Proszę posłuchać dalej, to się pan dowie. Wandaś nie mógł zwolnić się z gangu, składając wypowiedzenie, bo zostałby przeznaczony do odstrzału. Ale policyjny pomysł o statusie świadka koronnego i zmianie tożsamości bardzo mu się spodobał. Z tym, że napisał do tego własny scenariusz. Zawsze był sprytny i przerastał swoje środowisko inteligencją. Uciekł do Francji, gdzie zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej. Tam nikt o nic nie pytał i można było zmienić nazwisko, na jakie tylko się chciało. W regimencie piechoty w Gujanie Francuskiej poznał Holendrów, którzy w cywilu zajmowali się handlem krwawymi diamentami, ale coś poszło nie tak i musieli na jakiś czas zniknąć z Europy. Został Maartenem van Daasem. Legia otworzyła przed nim nowe perspektywy, choć jednego nie wziął pod uwagę.

– Czego? – spytał Kuba.

– Polacy mogą w niej służyć pod warunkiem uzyskania zgody władz. Wandaś jej nie miał. Tak trafił do naszych kartotek.

– ABW ściga ludzi, którzy chcą przeżyć przygodę w najbardziej znanej formacji wojskowej na świecie?

– Proszę nie zapominać, że to służba w obcej armii na rzecz obcego państwa. Niemniej jednak ma pan rację. Nie ścigamy takich ludzi. Raczej rejestrujemy. Ale z Marcinem Wandasiem było inaczej. Po służbie w Ameryce Południowej, tak jak planował, posłuchał rady nowych kumpli i zamieszkał w Amsterdamie. Ale nie zajął się diamentami. Wykorzystując znajomości z Legii, zaczął handlować bronią. A tacy obywatele polscy interesują nas znacznie bardziej.

– Nadal się tym zajmuje?

Teresa Barska uśmiechnęła się zagadkowo.

– Nie potwierdzam, nie zaprzeczam. Mogę powiedzieć tylko tyle, że prowadzi bardzo interesujące rozmowy. To naprawdę łebski facet. I całkiem nieźle mówi po arabsku.

Kuba poczuł dreszcz emocji, domyślając się, że Wandaś ma już podsłuch.

– Aresztujecie go?

– Spokojnie, panie prokuratorze – ostudziła go Barska. – Co nagle, to po diable. Wandaś zniknął nam z radarów kilka lat temu, a teraz nagle wynurzył się dzięki panu. Agencja jest pana dłużniczką. Proszę dać nam się nim nacieszyć. Może wyniknie z tego coś jeszcze ciekawszego niż on sam.

– Zdaje się, że znalazłem odpowiedź na pytanie, kto podrzucił nuty Czajkowskiego do mojego pokoju hotelowego.

Teresa Barska splotła palce dłoni.

– Jeśli teoria, że za wrobieniem pana stoi Iwona Kern, ma pokrycie w rzeczywistości, to jest to wysoce prawdopodobne. Wandaś mógłby dokonać czegoś takiego bez trudu.

Jakub Kania zaczął bębnić palcami w blat stołu.

– Zastanawiam się tylko – dodała pani kapitan – dlaczego ten farbowany Holender zainteresował się akurat ruinami w Kopicach? W Polsce są setki zabytkowych dworów i pałaców w znacznie lepszym stanie.

Kuba przerwał bębnienie.

– Mówiła pani, że on pochodzi z Rudy Śląskiej?

– Tak jest – potwierdziła Barska i przysunęła tablet, który zdążył zasnąć na blacie. Ekran obudził się pod dotykiem jej palca.

– Mieszkali na osiedlu górniczym – dodała.

– Przy jakiej ulicy?

Barska ponownie zajrzała do swoich elektronicznych notatek.

– Przy Bytomskiej.

– Może pani znaleźć jakiś plan miasta? – Kuba wskazał tablet ruchem głowy.

Kapitan ABW zajęło to niecałą minutę. Odwróciła urządzenie w stronę prokuratora IPN.

– Bytomska, Bytomska... – szukał Kuba i po chwili, nie dotykając ekranu, pokazał kreskę na planie miasta. – To tu. W centrum dzielnicy Godula – oznajmił, podkreślając ostatnie słowo.

– Od tego Goduli, o którym mi pan opowiadał? – upewniła się kapitan ABW.

– Dokładnie tak. Proszę spojrzeć. – Zakreślił palcem kółko wokół skrzyżowania. – Bytomska łączy się z ulicą Karola Goduli, a parę przecnic dalej jest ulica Joanny, główna arteria dzielnicy.

– Jak to rozumieć? – spytała Barska.

– Tak, że wszystkie te drogi prowadzą do Kopic. W Rudzie Śląskiej być może są ludzie, którzy nie słyszeli o Mikołaju Koperniku, ale o Karolu Goduli i jego spadkobierczyni Joannie Gryzik słyszeli wszyscy. Marcin Wandaś też. Nietrudno się domyślić, jak na jego wyobraźnię stęsknioną za dużymi pieniędzmi podziałała opowieść o sześciolatniej sierocie, która dostała od starego kaleki prawie dwa miliardy euro. Jestem pewien, że on doskonale znał pałac Joanny w Kopicach.

– Czyli mamy odpowiedź – kiwnęła głową Barska.

– Nie do końca. – Kuba uniósł dłoń. – Nie przypuszczam, aby Wandaś zainteresował się kupnem ruin z sentymentu. Coś musiało go tam zaciekawić. Coś się za tym kryje.

– Dowiemy się – zapewniła Barska, wyciągając do niego rękę.

Optymizm tego stwierdzenia sprawił, że dzień później Kuba wyszedł przez furtkę kaszubskiego cmentarza na polną drogę, która do niego wiodła, i przyspieszył kroku. Po raz kolejny pomachał ręką Kasi i dziewczynkom.

Tym razem zauważyły go w tym samym momencie i odpowiedziały jak na komendę.

## 2.

Stewardesa linii Emirates o urodzie Miss Bliskiego Wschodu podeszła do stanowiska odpraw i promiennie uśmiechnęła się do pasażerów rejsu do Frankfurtu.

Jej podopieczni zajmowali wygodne siedziska Międzynarodowego Portu Lotniczego w Dubaju, którego rozmiar i przepych dosłownie zapierały dech. Jak wszystko wokół. Cuda miasta wyczarowanego z pustyni miały głośno i wyraźnie mówić światu: jesteśmy bogaci. Możemy wszystko. Wznieść najwyższy wieżowiec świata, zbudować hotel w kształcie żagla, pokryć śniegiem stok narciarski pod szkłem, usypać sztuczne wyspy palmowe, wytyczyć mosty przekraczające wyobraźnię i wypełnić city tyłoma salonami Ferrari, iloma nam się zechce.

Maarten van Daas, szanowany obywatel Królestwa Niderlandów, uwielbiał Dubaj, a szczególnie tutejszą skłonność do zamieniania baśni w rzeczywistość. Snobizm szejków. Maarten, gdy jeszcze był Marcinem, wiedział doskonale, że każdy snobizm oznacza słabość, a każda słabość daje niezawodną okazję do zarobienia pieniędzy.

Jego podróż w stronę Emiratów Arabskich zaczęła się kilkanaście lat temu w parku Mickiewicza w Rudzie Śląskiej.

Marcin wsiadł wieczorem do swojej podrasowanej hondy i już miał przekręcać kluczyk w stacyjce, gdy w parkowej alejce dojrzał dziewczynę ze swojego bloku. Miała na imię Aldona i potrafiła przyciągać wzrok. Była wysoką, długonogą blondynką o ciemnej oprawie oczu i prostych włosach sięgających połowy pleców. Zgrabna, o idealnych rysach, poruszała się z gracją, być może wyniesioną z wieloletnich lekcji baletu, a być może

wynikającą z jej naturalnego uroku. O takich dziewczynach mówi się, że są zjawiskowe i trudno od nich oderwać oczy.

Jednak tym razem zainteresowanie Marcina wynikało z czegoś zupełnie innego.

W świetle parkowej latarni zauważył trzech mężczyzn, którzy zastąpili Aldonie drogę. Znał ich z widzenia. Dwaj podrzędni złodzieje i ich kompan. Recydywista, który siedział za gwałt.

Marcin pochylił się nad kierownicą, żeby lepiej ocenić sytuację, gdy gwałcieł chwycił dziewczynę za łokieć i mocno pociągnął w swoją stronę. Kiedy krzyknęła, zakrył jej usta dłonią. Przechodząca sąsiednią alejką para starszych ludzi czym prędzej zawróciła, przyspieszając kroku.

Tymczasem szamotanina w alejce przybierała coraz bardziej niepokojący obrót. Napastnicy zaciągnęli dziewczynę w mrok i zaczęli obmacywać.

Nie było na co czekać.

Marcin wypadł z samochodu, wyciągnął z bagażnika kij bejsbolowy i ruszył biegiem w ich kierunku.

Na jego widok gwałcieł puścił Aldonę, a cała trójka momentalnie przegrupowała się, aby mogła podjąć walkę od frontu i z obydwu flank. Byli zaprawieni w taktyce ulicznych bójek, wiedzieli, jak zapewnić sobie powodzenie w starciu z uzbrojonym przeciwnikiem.

Ale kij bejsbolowy się nie przydał.

Wystarczyło, że napastnicy przyjrzeni się twarzy Marcina, który przez chwilę znalazł się w świetle latarni. Wymienili krótkie spojrzenia i w sekundę rozpięchli się po krzaskach. Starcie z żołnierzem „Simona” mogło być śmiertelnie niebezpieczne, nawet gdyby go pokonali.

Aldona trzęsła się ze strachu i bezsilności. Niezdarnie próbowała podtrzymać rozdarty rękaw sukienki i zerwane ramiączko biustonosza.

– Odwiozę cię do domu – powiedział Marcin. – Mam tu samochód.

Rozejrzała się wokół ciągle przestraszona.

– Dziękuję – z trudem wydobyła z siebie głos. – Pójdę sama, przecież to tylko kawałek.



– Mało ci przygód? – spytał. – Skąd wiesz, że te lumpy nie kryją się w krzakach?

Skinieniem głowy przyznała mu rację.

Gdy wsiedli do auta, oświadczyła z jakąś twardą konsekwencją:

– Nie zapomnę ci tego.

Słowa dotrzymała.

Od tamtej pory traktowała go jak przyjaciela, choć pochodziła z tak zwanej dobrej rodziny i znajomość z gangsterem nie podobała się jej rodzicom. Dwa czy trzy razy poszli na kawę, potem Aldona wyjechała do Warszawy studiować arabistykę. Żartowała, że chce podbić Zatokę Perską. I trzeba przyznać, szło jej nie gorzej niż Aleksandrowi Wielkiemu i George'owi Bushowi razem wziętym. W czasach, gdy Marcin terminował u „Simona”, ona była już na praktyce w polskiej ambasadzie w Abu Zabi.

Spotkali się po latach. Przypadkiem.

W RAI, centrum kongresowym na południu Amsterdamu, Maarten pojawił się spóźniony o dobre pół godziny. Przyszło mu do głowy, że pojedzie tam samochodem, ale korki dobitnie udowodniły mu, że pomysł był zły. Zostawił auto na parkingu i niemal wbiegł do hali, w której odbywało się forum współpracy gospodarczej krajów Beneluxu z państwami arabskimi. Umówił się tu z kilkoma swoimi klientami z Bliskiego Wschodu, jednak pierwszą osobą, jaką spotkał w hallu, była Aldona.

Przez kilka sekund obydwójce zastanawiali się, czy wypada się uściskać, ale ostatecznie ulegli atmosferze miejsca pełnego elegancko ubranych ludzi i po prostu podali sobie ręce. Ona też się spieszyła, dlatego niemal w biegu ustalili, że widzą się o szesnastej w restauracji kongresowej.

Kiedy Maarten wszedł tam tuż przed czwartą, zauważył, że Aldona stoi przy barze z łysiejącym, śniadym mężczyzną, niższym od siebie o głowę. Arab ubrany był w drogi garnitur, wyglądający na produkt z londyńskiej Savile Row, i miał do tego idealnie dobrane dodatki. Ale nawet one nie były w stanie zamaskować grubo ciosanych, niemal prostackich rysów jego twarzy. Wystarczyło spojrzeć, aby wyczuć, że wśród europejskich

biznesmenów i towarzyszących im kobiet czuje się nieswojo. Nieustannie lustrował wszystkich czujnym wzrokiem zającą na przyjęciu u wilków.

Aldona uśmiechnęła się na widok Maartena i zachęcająco skinęła głową, zapraszając go do baru.

Podszedł pewnym krokiem, a wtedy wskazała dłonią stojącego obok mężczyznę.

– Pozwól, że ci przedstawię mojego szefa – powiedziała na powitanie. – Szejk Ahmed.

Arab ukłonił się wytwornie.

Maarten podał swoje holenderskie nazwisko i uścisnęli sobie dłonie. Spędzili chwilę przy kieliszku szampana, po czym zajęli stolik wskazany przez kelnera.

– Opowiadaj, co się z tobą działo – poprosiła Aldona, zobowiązując się tłumaczyć.

– Nie musisz – odparł Maarten po arabsku. Dzięki Algierczykom z Legii Cudzoziemskiej opanował ten język całkiem dobrze.

Arab spojrzał na niego z uznaniem.

– Opowiadaj – powiedział zachęcająco.

Maarten van Daas położył dłoń na sercu, jak nauczyli go Algierczycy.

– No cóż – zaczął. – Po wyjeździe z Polski krótko mieszkałem we Francji, potem wyjechałem na wiele lat do Ameryki Południowej.

– Co tam robiłeś? – wtrącił się Ahmed.

– Byłem konsultantem wojskowym – odparł Maarten, unikając tematu Legii Cudzoziemskiej.

Arab zaczął się nerwowo wiercić na krześle.

– Znasz się na tym?

– Trochę.

Szejk skinął głową i wyraźnie się zamyślił.

– Od jakiegoś czasu mieszkam w Amsterdamie – kontynuował Maarten.

– Robię trochę interesów na Bliskim Wschodzie, choć głównie w Afryce.

– Konsultacje wojskowe? – spytała Aldona, a kiedy potwierdził, wymieniła z Ahmedem porozumiewawcze spojrzenie.

Gdy skończyli sałatkę z krewetkami, nachyliła się do ucha szefa i szepnęła kilka słów. Szejk wstał, pożegnał się z Maartenem i zaproponował wspólne wieczorne wyjście do modnego klubu.

– Zapraszam na szampana. Tu Allah mnie nie widzi – wyjaśnił z uśmiechem i odszedł.

– Co mu powiedziałaś? – zainteresował się Maarten.

– Żeby zostawił nas samych. Nie widzieliśmy się parę lat i chcemy pogadać.

– W ten sposób do szefa? – uśmiechnął się. – Musi mieć do ciebie słabość.

Aldona poprawiła włosy.

– Pytasz, czy z nim sypiam? – Popatrzyła mu prosto w oczy.

Maarten wytrzymał spojrzenie.

– Nie moja sprawa – odparł.

– Nie, nie chodzę z nim do łóżka – wyjaśniła. – Po pierwsze, on wie, że jedna taka propozycja i kończymy współpracę. Po drugie, Ahmed to mężczyzna z zasadami. Nigdy nie zdradza żony, a rodzinę uważa za największą świętość. Mnie po prostu szanuje i bezgranicznie mi ufa. Dlatego mogę sobie pozwolić na poufałość. Oczywiście w sytuacji, gdy powiedziałam mu to na ucho.

– On rzeczywiście jest szejkiem?

– Skąd to pytanie?

– Szczerze? Nie wygląda.

Aldona uśmiechnęła się pod nosem.

– Szejk to tytuł umowny. Naprawdę przysługuje albo władcom jakiegoś terytorium, albo przywódcom religijnym. Ale zwyczajowo przyjęło się tak nazywać również bardzo bogatych przedsiębiorców z krajów Bliskiego Wschodu.

– A on jest bogaty – dokończył Maarten.

Uniosła oczy do nieba.

– Jeszcze jak.

– Jaka branża?

– Naftowa oczywiście. Rodzina Ahmeda posiada pola ropośne w Emiratach, ale również w Arabii Saudyjskiej i Kuwejcie. To tacy arabscy nowobogaccy. Mają setki milionów dolarów, ale brakuje im wykształcenia, ogłady i pozycji towarzyskiej, która mogłaby ich choćby zbliżyć do elity. Dlatego ich kompleksy są większe niż bogactwa. Ahmed jest tego typowym przykładem. Ja prowadzę jego interesy w Europie, ale też doradzam mu w kwestiach wizerunku, ubioru i doboru towarzystwa biznesowego. To poczciwy, łatwowierny człowiek, narażony na próby naciągnięcia przez cwaniaków.

– A ty nigdy nie próbowałaś go stuknąć na kasę? – spytał Maarten i zaraz się zreflektował, że Aldona może się poczuć dotknięta.

– Wychodzi katowicka przeszłość, co? – spytała uszczypliwie, ale zamaskowała nietakt uśmiechem. – Na co mam go stuknąć? Na parę tysięcy dolarów na dobrą torebkę? Nie, kochany. O wiele lepiej być w pobliżu i wypatrywać okazji na coś większego, na czym uda się zarobić prawdziwe pieniądze. Legalnie – podkreśliła, unosząc palec.

Maarten zmierzył ją spojrzeniem.

Zmieniła się. Z przerażonej osiemnastolatki napastowanej w rudzkim parku, stała się dojrzałą, pewną siebie kobietą, która dobrze wie, czego chce. Nawinęła sobie wokół palca arabskiego szejka – pomyślał. – Ta gówniara z sąsiedniej klatki bloku na Goduli. No, no.

– Polubił cię. – Aldona przerwała jego rozważania.

– Serio?

– Koniecznie chodź z nami do tego klubu. Mieszkamy w hotelu Waldorf Astoria. Podjedziesz po nas o dziewiątej?

Podjechał.

Pożyczonym jaguarem. Pod klubem rzucił kluczyki chłopakowi od parkowania aut i przywitał się z ochroniarzami, co na Ahmedzie zrobiło o wiele większe wrażenie niż jaguar, choćby nawet był ze złota.

Trochę tańczyli, dużo pili, ale Maarten kontrolował sytuację.

– On chce spytać o te konsultacje wojskowe – powiedziała Aldona, gdy szejek poszedł do toalety. – Ale nie jest pewien, czy możesz o tym mówić.

Van Daas szeroko rozłożył ręce na znak otwartości.

– Jasne – odparł. – Nie ma problemu.

Kwadrans później Aldona z Ahmedem wrócili zdyszani z parkietu. Arab klapnął na kanapę i przysunął się bliżej Maartena.

– Czy ty, drogi przyjacielu, mógłbyś tu, w Europie, zamówić dla mnie porsche?

– Jakie porsche? – zdziwił się.

– Panamera – rzekł Ahmed.

Van Daas się roześmiał.

– Nie mów mi, że w Dubaju nie ma salonów tej marki.

– Są. – Arab skinął głową. – Ale ja potrzebuję specjalne porsche. Takie, jakiego nie kupię w Emiratach.

– Czyli?

Szejk ściszył głos.

– No wiesz, wojskowe porsche. – Wysunął dłonie przed siebie, zacisnął je w pięści i zaczął nimi potrząsać, jakby obsługiwał młot pneumatyczny.

Maarten nie zrozumiał.

– Wojskowe? To nie hammer, tylko elegancka limuzyna.

– Zgadza się. Limuzyna – potwierdził Ahmed. – Rzecz w tym, żeby była opancerzona, miała otwarte pół dachu, a na drugiej połowie zamontowany najlepszy karabin maszynowy, jaki możesz polecić.

Van Daas otworzył usta ze zdumienia.

– Po co ci takie porsche?

– To nie dla mnie. Chcę zrobić prezent kuzynowi mieszkającemu w Bejrucie. Tam jest niebezpiecznie i kuzyn lepiej by się czuł, gdyby jeździł z ochroną opancerzoną i uzbrojoną panamerą. Uwielbia ten model.

Zapanowała chwila ciszy.

– Marcin – wtrąciła się po polsku Aldona. – Jeśli to jest w twoim zasięgu, załatw mu takie auto. Warto. On potrafi być wdzięczny.

Maarten pokiwał głową i wyciągnął w stronę Araba rękę na potwierdzenie zamówienia.

Szejk Ahmed potrząsnął nią radośnie, a potem sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej prostokątne pudełeczko. Wewnątrz był złoty rolex.

– Dla ciebie, bracie – powiedział i skinął na kelnera. – Aldona, czy możesz zamówić dla nas najlepszego szampana, jakiego tu mają?

Bawili się do drugiej po północy, choć przez ostatnią godzinę Ahmed tracił formę. Przysypiał w łoży, więc żeby mu nie przeszkadzać, wynosili się na parkiet. Tańczyli coraz bliżej siebie i coraz śmieiej, kumulując namiętność zahibernowaną od czasu tamtych spotkań w Rudzie Śląskiej. Teraz odmrożoną i rozgrzaną do czerwoności.

Kiedy szejk poprosił o wezwanie taksówki, Maarten postanowił, że po drodze do domu podrzuci ich do Waldorf Astoria. Usiadł z przodu, podając kierowcy swój adres.

Zatrzymali się przed hotelem, gdzie szejk serdecznie go uściskał, co chwilę nazywając bratem. Z Aldoną pożegnał się powściągliwie.

Wrócił do taksówki, ale gdy kierowca ostro dodał gazu, upomniał go:

– Nie rozpędzaj się. Zatrzymaj tuż za rogiem.

Uregulował rachunek i przeszedł kilkaset metrów dzielących go od hotelu. Odpowiedział na ukłon concierge'a, który rozpoznał w nim przyjaciela szejka z Dubaju, i wszedł do jednej z wind. Na karteczce wyjętej z kieszeni marynarki sprawdził numer pokoju Aldony i nacisnął guzik właściwego piętra.

### 3.

Opancerzone porsche panamera z najnowszym modelem belgijskiego karabinu maszynowego MAG dwa miesiące później wypłynęło w specjalnym kontenerze z Rotterdamu do portu Jebel Ali w emiracie Dubaju.

Od tamtej pory Maarten van Daas odwiedzał szejka kilkakrotnie.

Ahmed zawsze przyjmował go z honorami i przepychem, z reguły mając dziwne prośby, których spełnienia jego nowy przyjaciel nigdy nie

odmawiał. Bursztynowe wykończenie drzwi i deski rozdzielczej bentleya – proszę bardzo. Partia kałasznikowów – nie ma problemu.

Maarten robił swoje.

Szybko, po cichu i niezawodnie. Nie interesował się, czy rosyjskie automaty będą strzelać do pustych puszek po coca-coli, czy do żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej w Iraku. Nigdy nie zadawał pytań.

Podczas każdej z wizyt znajdowali z Aldoną okazję do dyskretnych spotkań w pokojach hotelowych, które wynajmowali bez wiedzy szejka. Nazywali to nadrabianiem tysiąca i jednej nocy.

Kochali się, a potem wracali do siebie. Ona do prywatnego mieszkania niedaleko wybrzeża Jumeirah, on do hotelu, za który płacił Ahmed. Przekonany, że jego polska doradczyni i jej znajomy odnaleziony po latach w Amsterdamie są tylko kolegami. Tak było bezpieczniej.

Zwłaszcza dla planu, jaki wobec niego mieli.

Pomysł pojawił się przypadkiem. Rok temu. We dwoje z Aldoną jedli kolację w przytulnej libańskiej restauracji w dzielnicy Al Fahidi, rozmawiając o szejku i jego słabościach. To był ich ulubiony temat, drążyli go, nieuchronnie zmierzając do odpowiedzi na pytanie, jak zarobić w Emiratach naprawdę duże pieniądze, wykorzystując Ahmeda.

Czekając na dania, nabierali hummus kawałkami pieczonej na miejscu pity. Aldona opowiadała o ukochanej córeczce szejka, Salamie. Mała była jedynaczką, dla której Ahmed planował karierę księżniczki. Wkrótce miała zostać wysłana do prywatnej szkoły w Szwajcarii, a potem na studia w Londynie. Obydwa miejsca wybrała Aldona, która miała zadbać o połączenie dwóch elementów: po pierwsze starannego wykształcenia Salamy, po drugie – obecności w pobliżu najlepszych klinik kardiologicznych, bo dziewczynka cierpiała na wrodzoną wadę serca.

Maarten słuchał z uwagą.

Jego mózg filtrował informacje, jak komputer wyławiający z rozmów hasła, na które go zaprogramowano. W pewnej chwili przerwał:

– Na czym polega schorzenie tej małej?

Aldona wytłumaczyła, starając się zrobić to własnymi słowami, bez terminów medycznych.

– A co? – zażartowała na koniec. – Chcesz ją zabrać do naszej kliniki w Zabrze?

Maarten nie odpowiedział.

Patrzył na nią w skupieniu, ważąc coś w myślach. Wreszcie sięgnął po kolejny kawałek pity i przedstawił Aldonie swój plan.

Nie był pewien, czy go nie wyśmiej, ale stało się coś zupełnie przeciwnego.

Jej oczy na początku wyrażały powątpiewanie, ale im dłużej mówił, tym wyraźniej rozkwitała w nich ciekawość, a potem ożywienie.

– Co o tym sądzisz? – spytał.

– Nie darmo w Rudzie Śląskiej mówiło się, że masz głowę – oświadczyła z uznaniem.

– Sądzisz, że Ahmed to kupi?

– Szczerze? Jestem tego pewna. Muszę mu to tylko dobrze sprzedać. Salama będzie miała w tej grze kluczowe znaczenie – dodała.

Resztę wieczoru spędzoną przy falafelu oraz najlepszym w Dubaju *kibbeh nayi* poświęcili na omawianie szczegółów i podział zadań.

Po kolacji rozjechali się każde do siebie. Emocje związane z ich planem okazały się silniejsze niż te, których mógł im dostarczyć seks.

Kilka tygodni później Aldona sprawiła, że Arab połknął haczyk.

Potrafiła łowić grube ryby.

Wiedziała, jak dobrać łowisko, gdzie zanęcić i kiedy. Wiedziała, jaką wybrać przynętę. Udało się za pierwszym razem. Ahmed, wysłuchawszy jej, miał łzy w oczach. Z trudem panował nad wzruszeniem, że jego polscy przyjaciele – ona i Maarten – pomyśleli o zdrowiu i szczęściu Salamy. Przez myśl mu nie przeszło, że to może być podstęp.

Od tej chwili gra ruszyła na dobre.

Van Daas dostarczał materiały, Aldona podsuwała je szejkowi.

Kilka dni temu, kiedy Polak z Amsterdamu znów przyleciał do Dubaju, mógł zawiadomić Ahmeda, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik.



Mogli zaczynać.

Szejk, który osobiście po kilku dniach odwiózł go na lotnisko, serdecznie uściskał Maartena i w jego oczach pojawiły się łzy. Z wiekiem robił się coraz bardziej sentymentalny.

– *Bismillah* – pożegnał go. – W imię Boga.

Maarten van Dass przeszedł do strefy odlotów, odwrócił się, pomachał Ahmedowi dłonią i uśmiechnął się do pracownicy linii Emirates, która w tej samej chwili rozpoczęła boarding samolotu do Frankfurtu.

#### 4.

Kasia z trudem opanowała drżenie rąk.

– Dlaczego mówisz o tym dopiero teraz? – podniosła głos, wyraźnie roztrzęsiona.

Kuba zarumienił się ze wstydu.

– Tylko mi nie mów, że nie chciałeś mnie martwić – ostrzegła. – Bo wtedy naprawdę się wścieknę.

Przysunął się do niej na sofie, próbując otoczyć ramieniem, ale go powstrzymała.

– Dlaczego nie powiedziałeś wcześniej? – naciskała. – Mam z tobą mieszkać, patrzeć, jak się uśmiechasz, i sądzić, że wszystko jest w porządku, podczas gdy ty ukrywasz coś, co może zrujnować nasze życie? Kuba, to mega podważa zaufanie.

Wykonał jakiś bezradny gest.

– Przepraszam. Na początku byłem pewien, że wszystko rozejdzie się po kościach. Ten cały spektakl w moim pokoju hotelowym. Upozorowanie przeszukania, żeby mi podrzucić nuty kołysanki. To było szyte tak grubymi nićmi, że ślepy by zauważył.

– A jednak policja nie zauważyła.

– To prawda. Tego nie wziąłem pod uwagę. Oni się nie bawią w detektywów. Znajdują dowód i nie zadają sobie trudu, aby dociekać, skąd się wziął. Naczelniczka dochodzeniówki przystępnie mi to uzmysłowiła. Gdyby to od niej zależało, ukrzyżowałyby mnie

na dziedzińcu komendy. Prokurator z tamtejszej rejonówki tak samo. Wybacz. – Pogłaskał Kasię po policzku. – Po tym, z jaką satysfakcją stawiał mi zarzuty, będąc absolutnie pewnym, że jestem winny, trochę spękałem.

– I wolałeś dusić to w sobie?

– Chciałem ci o wszystkim opowiedzieć, gdy będę miał chociaż jeden punkt zaczepienia. Gdy ujrzę jakieś najmniejsze światełko w tunelu.

Spojrzała na niego z nadzieją.

– Pojawiło się coś takiego?

– Mam nadzieję, że tak. Jestem pewien, że podrzucenie nut to sprawa Iwony Kern. Zastanawiałem się tylko, w jaki sposób mogła tego dokonać. Ale teraz już wiem. Ten Holender, o którym ci opowiadałem, wiesz, ten, z którym się całowała...

Kasia przytaknęła.

– No to się wydało, czemu on mówi po polsku. To gangster z Katowic. Szemrany typ, znany polskim służbom. Oni coś razem kombinują przy sprzedaży pałacu w Kopicach. A ponieważ zakablowałem ją do Tomasza, że wystąpiła do IPN przeciwko jego rodzinie i że ma romans, zemściła się. Wysłała swojego kochasia do hotelu, a ten już dobrze wiedział, jak się włamać, narobić bałaganu i podrzucić rękopis kołysanki, który mocno mnie obciąża.

– Skąd wiesz, że szemrany typ znany polskim służbom? – zacytowała.

– Od Barskiej.

– Aha, czyli Barska została powiadomiona od razu, tylko ja nie.

– Barska ma do dyspozycji narzędzia i możliwości, które mogą pomóc. Chyba nie zamierzasz być teraz o to zazdrosna?

Puściła tę uwagę mimo uszu.

– Co chcesz zrobić?

– Pojechać do Opola i pokazać zdjęcie Maartena van Daasa personelowi hotelu. Obsłudze recepcji, pokojowym, kelnerom. Polubiliśmy się, gdy tam mieszkałem. Jeśli którekolwiek z nich go rozpozna i potwierdzi, że się tam kręcił w okresie Wielkanocy, to wykorzystam to w sądzie.

– Aż jestem ciekawa, jak on wygląda. – Kasia sięgnęła po laptop leżący na stoliku.

– Nic z tego. – Kuba pokręcił głową. – Facet jest niewidzialny. W sieci nie ma ani jednego jego zdjęcia. Nic. Jakby nie istniał. Barska ma jego fotkę sprzed szesnastu lat, ale ona się na nic nie przyda, bo trudno go poznać.

– To co chcesz pokazać w hotelu?

– Wtedy, gdy stałem się mimowolnym świadkiem namiętności Iwony i jej czarującego Holendra, byłem na briefingu prasowym, podczas którego oficjalnie przedstawiła Maartena van Daasa mediom. Kilku dziennikarzy robiło mu zdjęcia, ale żadne się nie ukazało.

– Zadbał o to?

– Nie. – Kuba machnął dłonią. – Po prostu wszyscy w relacji z wydarzenia woleli dać fotki pięknej pani radnej. Ale odzyskam tych reporterów i na pewno mi pomogą.

– Jest to jakaś nadzieja – uznała Kasia.

– Jedyne, jaką w tej chwili mam.

## 5.

Kilka dni później Kuba minął stawek przy Barlickiego, gdzie wszystko się zaczęło.

Gdyby nie przyjął zaproszenia Iwony Kern na koktajl z mediami w Urzędzie Marszałkowskim, nie widziałby jej pocałunku z Maartenem van Daasem i nie usłyszałby, że Holender czysto mówi po polsku. Nie uruchomiłby całego ciągu zdarzeń, które doprowadziły go do zarzutów prokuratorskich, groźby wyroku w sprawie karnej, utraty pracy w IPN-ie i perspektywy pożegnania się z zawodem prawnika. Żałował? Jeśli już, to tylko tego, że cała sytuacja wywołała silny stres u Kasi. Reszta miała znaczenie drugorzędne. Jeśli miało to prowadzić do rozwiązania zagadki Kopic, to proszę bardzo. Niech prowadzi.

Skręcił w ulicę Niedziałkowskiego, a potem w Strzelców Bytomskich, okrążając gmach rozgłośni Polskiego Radia Opole, którego architektura

raczej nie świadczyła o piastowskim rodowodzie miasta. Pięć minut później znalazł się przed willą, w której mieściła się redakcja lokalnej gazety.

Zastępca naczelnego, z którym umówił się telefonicznie, był czymś mocno zaaferowany. Znalazł jednak tyle czasu, ile było trzeba, aby mu pomóc. Na szczęście IPN zadbał o wyciszenie sprawy odnalezienia nut Czajkowskiego w pokoju hotelowym swojego prokuratora i zakneblował też policję. Media niczego nie wiedziały. Kuba mógł poruszać się po redakcji jak w czapce niewidce.

– Niestety fotoreporter jest na obsłudze. – Zastępca roztargnionym gestem zmierzwił brodę. – Ale proszę powiedzieć, kiedy było to spotkanie w Urzędzie Marszałkowskim, to zaraz znajdziemy zdjęcia. – Kliknął kwadracik na ekranie komputera, pod którym widniał napis „Archiwum foto”

Jakub Kania podał datę.

Brodacz wybrał ją w kalendarzu programu, wpisał nazwę wydarzenia i ekran zasypały dziesiątki styków wielkości znaczków pocztowych. Zastępca je powiększył.

– O którego faceta panu chodzi? – spytał.

Kuba pochylił się nad jego ramieniem i wskazał końcem długopisu Maartena van Daasa stojącego przy mikrofonie.

Redaktor wybrał trzy ujęcia.

– To, to czy to? – Pozostawił Kubie decyzję.

– To – zdecydował prokurator IPN.

– OK – stwierdził brodac. – Do użytku służbowego? – upewnił się. – Bez publikacji?

Kuba potwierdził.

– Pan da maila.

Kuba podyktował.

Zastępca wpisał adres do programu pocztowego, przeciągnął wybrane zdjęcie za pomocą myszki i nacisnął klawisz wysyłki. Telefon komórkowy

w kieszeni Kuby brzdąknął, informując o nadejściu wiadomości. Prokurator IPN uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę.

– Dziękuję, panie redaktorze.

Brodacz przytrzymał jego dłoń.

– Nie tak szybko. – Spojrzał z naganą w oczach. – Chciał się pan wykpić zwykłym podziękowaniem? Co to za historia z tym Holendrem?

– Nie mogę powiedzieć. Jeszcze nie teraz – dodał, widząc, jak redaktor marszczy brwi. – Ale obiecuję, pierwszy się pan o tym dowie.

– Tak to mówią w hollywoodzkich filmach – skrzywił się brodac. – Mimo to trzymam pana za słowo.

Pół godziny później dziewczyna z recepcji hotelu przy Oleskiej wpatrywała się w ekran telefonu Kuby, intensywnie przeszukując swoją pamięć wzrokową.

– Nie – stwierdziła wreszcie. – Ja nie kojarzę. Ale nie pracowałam w Wielkanoc. Zaraz sprawdzę, kto miał dyżur. – Otworzyła w komputerze grafik.

– Monika! – zawołała w stronę kelnerki przechodzącej korytarzem w stronę restauracji.

Blondynka ze zbyt jaskrawym makijażem i fantazyjnie ozdobionymi paznokciami podeszła i skinęła głową Kubie.

– Pan znowu u nas? Super.

– Widziałaś typa? – Recepcjonistka pokazała jej zdjęcie Maartena w telefonie Jakuba Kani.

Fance sztuki manikiuru wystarczyło jedno spojrzenie.

– Widziałam – odparła bez wahania, a Kuba rzucił jej wyczekujące spojrzenie. – Przystojny, co nie?

– Kiedy go pani tu widziała?

Dziewczyna zastanowiła się przez chwilę.

– Zaraz po Nowym Roku. Był tu na lunchu z jakimiś VIP-ami z województwa. Wiem, bo brali fakturę na Urząd Marszałkowski.

Dobre i to – pomyślał Kuba. Czyli Maarten van Daas zna hotel i zdążył się w nim rozejrzeć.

Podziękował dziewczynie. Uśmiechnęła się i odeszła tak szybko, że gdyby odpadł jej brokat z paznokci, pociągnęłaby za sobą srebrzystą chmurę.

– Proszę mi wysłać to zdjęcie. – Recepcjonistka zanotowała mu swój numer na hotelowej wizytówce. – Popytam ludzi, którzy pracowali w Wielkanoc.

– Ale – zawahał się Kuba – to musi pozostać między nami.

– Proszę się nie obawiać. Jesteśmy personelem hotelu. Gdybyśmy ujawniali, co tu czasami widzimy, to byłby z tego niejeden skandal – szepnęła i puściła do niego oko.

Wynajął pokój na jedną noc.

Nazajutrz umówiony był w prokuraturze przy Reymonta na zapoznanie się z materiałem dowodowym. Ambitny fircyk prowadzący sprawę próbował protestować, ale nie miał wyboru. Jakub Kania był swoim własnym obrońcą, a obronie przysługuje takie prawo.

– Co pan chce zobaczyć? – spytał chłodno, gdy Kuba wszedł do jego pokoju.

Jakub Kania poprosił o dokumenty policyjne, a potem uważnie je przeczytał. Zarówno raport z oględzin pokoju hotelowego, jak i protokół przesłuchania przed Poncjuszką Piłatką z opolskiej dochodzeniówki. Robił notatki, nie zwracając najmniejszej uwagi na miny, sapanie i ostentacyjne spoglądanie na zegarek w wykonaniu prokuratora, który jak najwyraźniej chciał dać do zrozumienia, jak bardzo się spieszy.

Na koniec Kuba wyraził chęć obejrzenia oryginału nut Czajkowskiego.

Fircyk, ubrany w ten sam co ostatnio niebieski garniturek, spuchł z oburzenia.

– Mało się ich pan naoglądał?

– Nigdy ich nie widziałem – odparł spokojnie Kuba.

– Yhmm – mruknął kpiąco prokurator. – Ma mnie pan za idiotę?

Kuba powstrzymał się, by nie przytaknąć.

– Zgodnie z przysługującym mi prawem, proszę o ich okazanie.

Fircyk podszedł do metalowej kasy i ostrożnie wyjął z niej przezroczystą plastikową teczkę, w której znajdowały się pożółkłe arkusze zapisu nutowego.

– Nie wolno ich wyjmować z tej teczki – zastrzegł prokurator.

Ale Kuba nie musiał tego robić.

Spojrzał na rękopis słynnego kompozytora i oniemiał.

Dziesiątki nurtujących go pytań znalazły odpowiedź w jednej sekundzie.

## 6.

Iwona Kern otworzyła oczy, przeciągnęła się na łożku swojego opolskiego apartamentu i machinalnie spojrzała na ścienny zegar. Dochodziła szósta rano, a sypialnię szturmowały promienie słońca.

Obiecała sobie, że wzorem wczorajszego wieczoru będzie kładła się wcześniej. Skoro tak doskonale się wyspała, a majowe poranki mają w sobie tyle urody i optymizmu, grzechem byłoby je tracić. Wstała, odsunęła zasłony i na moment zastygła z uniesionymi ramionami. Przeciągnęła się i miała ochotę zatańczyć, gdy usłyszała zdecydowanie zbyt głośne pukanie do drzwi.

Oburzona podeszła do przedpokoju i zerknęła przez wizjer, ale ktoś po tamtej stronie zasłonił go dłonią.

– Kto tam? – spytała ostro.

– Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego! Proszę otworzyć!

Struchlała.

Miała no sobie jedynie przezroczystą, kusą koszulkę i jej pierwszą myślą było, że jeśli do mieszkania wtargną obcy mężczyźni, to zobaczą ją prawie naga.

– Muszę się ubrać! – zawołała, ale pukanie zamieniło się w walenie pięścią.

– Otwierać! Natychmiast! Albo wyważymy drzwi.

Coraz bardziej przestraszona odblokowała zamki.

Wpadli do przedpokoju w trójkę, niemal ją przewracając. Dwóch mężczyzn i kobieta. Z pistoletami w dłoniach i w służbowych kamizelkach

ABW na cywilnych ubraniach. Jej nagością nikt się nie interesował.

– Sprawdź pomieszczenia – rzucił krótko ten, który dowodził, i funkcjonariusz młodszy rangą natychmiast zniknął w sypialni, gdzie zajrzał pod łóżko i do szafy.

– Iwona Kern? – spytał dowódca akcji i dopiero teraz obrzucił ją dokładnym spojrzeniem. Instynktownie zakryła rękoma piersi i dół brzucha.

Potwierdziła.

– Jest pani zatrzymana – oświadczył oficer i zwracając się do stojącej obok funkcjonariuszki, rozkazał:

– Kuj ją.

– Chwileczkę – zaprotestowała Iwona. – Muszę się ubrać.

– Idź z nią – rzucił dowódca i kiwnął głową koledze, który zameldował, że w mieszkaniu jest „czysto”. Po czym cała trójka schowała broń do kabur przy paskach spodni.

Iwona ruszyła w stronę łazienki, nie odrywając rąk od ciała, dopóki nie dotarła do drzwi pomieszczenia. Gdy próbowała je za sobą zamknąć, funkcjonariuszka przytrzymała klamkę.

– Wchodzimy razem – powiedziała.

– Muszę skorzystać z toalety – wyjaśniła Iwona.

– Śmiało.

Zrozumiała, że negocjacje nic nie dadzą. Od śmierci byłej minister budownictwa w łazience podczas zatrzymania służby zrobiły się bardzo ostrożne. Iwona usiadła na desce sedesowej, bacznie obserwowana przez kobietę z ABW. Dobrze, że przez kobietę – przeleciało jej przez myśl.

Chcąc uniknąć paradowania przez przedpokój do szafy w sypialni, zdecydowała się na bieliznę, którą miała na sobie poprzedniego dnia. Majtki i biustonosz leżały na pralce razem z sukienką.

– O co jestem podejrzana? – spytała, ubierając się, ale funkcjonariuszka nie była skora do pogawędek.

– Wszystkiego się pani dowie.



– Jestem urzędnikiem Urzędu Marszałkowskiego. Chcę zawiadomić szefa województwa.

– Jak dojedziemy do delegatury – stwierdziła jej strażniczka.

Kwadrans później zaparkowali na dziedzińcu ponurego budynku przedwojennej szkoły rolniczej przy ulicy Nysy Łużyckiej.

Iwona Kern godzinę spędziła w pomieszczeniu dla zatrzymanych, aby skruszała, po czym zaprowadzono ją na przesłuchanie.

– Proszę mi oddać telefon – powiedziała do wymiętego mężczyzny, siedzącego po drugiej stronie stołu. – Muszę zadzwonić do pana marszałka.

Ścisnął usta i ostentacyjnie pokręcił głową.

– Nie przysługuje pani prawo korzystania ze środków łączności. Tak stanowi Kodeks karny wykonawczy. Ale nie musi się pani martwić – dodał jadowitym tonem – marszałka już poinformowaliśmy. Raczej nie liczyłbym na pani miejscu na jego życzliwość oraz pomoc prawną ze strony urzędu. Jeśli pani chce zadzwonić do adwokata, to radzę wybrać któregoś prywatnie.

– Jakie macie zarzuty wobec mnie? – spytała, opanowując drżenie warg.

– Defraudację środków publicznych w wysokości dwóch milionów złotych – wycedził oficer. – Chociaż nas to akurat interesuje najmniej. O wiele ciekawsze jest to, że zrobiła to pani wspólnie i w porozumieniu z Marcinem Wandasiem, vel Maartenem van Daasem, ściganym z paragrafów o zwalczanie terroryzmu.

## ROZDZIAŁ XI

**Maj 2014 roku**

### 1.

Jakub Kania wyszedł z gmachu prokuratury na ulicę Reymonta i przez dłuższą chwilę tkwił na chodniku jak element małej architektury, który ktoś ustawił w niewłaściwym miejscu. Przechodnie omijali go, patrząc z nieprzychylnym zdziwieniem lub szepcząc pod nosem. Trotuar był korytem ludzkich strumieni, które nieustannie płynęły w obie strony. Służył do przemieszczania się, a nie tamowania ruchu przez kogoś, komu przyszła ochota, aby w środku miasta w samo południe poudawać pomnik.

Ale Kuba musiał zebrać myśli.

To, co do niego dotarło podczas oględzin nut Czajkowskiego, uruchomiło w głowie logiczny ciąg. Fakty układały się w całość, wskakiwały na swoje miejsce jak klatki filmu. Czasami w telewizji pokazują jakąś budowę, fotografując najpierw kopanie fundamentów, potem wznoszenie poszczególnych pięter, wreszcie położenie dachu, wstawienie okien i wykończenie elewacji. A potem pokazują to w przyspieszonym tempie, co sprawia wrażenie, jakby gmach powstał w kilkanaście sekund.

W głowie Kuby trwała dokładnie taka sama projekcja, ale od tyłu. Film zaczynał się w pokoju, w którym upozorowano przeszukanie, aby podrzucić mu nuty, a potem wracał do wcześniejszych wydarzeń, które pozwoliły zrozumieć, skąd się wziął rękopis kołysanki Czajkowskiego i jak trafił do hotelu przy Oleskiej.

Trzeba było tylko zweryfikować przypuszczenia.

Potrącony przez jednego z przechodniów ocknął się i ruszył w stronę dworca PKS. Skręcił w prawo w ulicę 1 Maja, która prowadziła na Pasiekę.

Nie było czasu do stracenia. Nie przerywając marszu, wyciągnął telefon komórkowy i wybrał numer naczelniczki delegatury IPN w Opolu.

– Jesteś? Mogę zajrzeć? – spytał, gdy odebrała.

– Kuba? – zdziwiła się. – Co robisz w Opolu? Słyszałam, że zakończyłeś swoje dochodzenie w Kopicach.

– Skończyłem i nie skończyłem – odpowiedział wymijająco. – Jesteś? – powtórzył poprzednie pytania.

– Jasne. Wpadaj.

Kilkanaście minut później zapukał do drzwi jej biura.

– Cześć – przywitała go zaskoczona, ale uśmiechnięta. Czyli nie wiedziała o aferze z nutami. Instytut potrafił strzec swoich sekretów.

– Posłuchaj – powiedział, gdy spytała, co go sprowadza. – Moja sprawa, jak się domyślasz, łączy się z waszym dochodzeniem z wniosku Iwony Kern. Zaczęliście już działać?

Potwierdziła.

– Ściągnęłaś akta sprawy rabunku i podpalenia pałacu?

– Oczywiście. Dziękuję ci, że je nam wskazałeś. Okazały się bardzo pomocne.

Machnął dłonią.

– Mógłbym do nich zajrzeć?

– W każdej chwili – zapewniła naczelniczka. Podeszła do drzwi, otworzyła je i poprosiła kogoś o przyniesienie dokumentów sprawy Kopic.

Niespełna minutę później w jej biurze pojawił się archiwista, któremu ostatnio Kuba wpisywał autograf. Niósł opasłą tekturową teczkę.

– O, pan prokurator – ucieszył się. – Nowa zagadka?

– Nowa stara.

Archiwista zawiesił się na dwie sekundy, aby dobrze zrozumieć, ale postanowił nie łamać sobie głowy.

– To dla pana prokuratora? – spytał, wskazując podbródkiem akta.

Jakub Kania potwierdził.

– Przesłuchiwaliście już Kerna? – Kuba zwrócił się do naczelniczki i odebrał tom dokumentów, który położył na brzegu jej biurka.

– Tak, w Kopicach. Kolega był przy tym. – Szefowa delegatury skinęła w stronę archiwisty.

– I jak? – zainteresował się prokurator IPN. – Bardzo był obrażony?

– Wręcz odwrotnie – odparł zapytany. – Chętnie współpracował. Poczęstował nas kawą po prowansalsku i odpowiadał na każde pytanie. Mało tego. Sam sporo uzupełniał. Przez cały czas podkreślał, jak szacowną rodziną są Kernowie i że nie mają niczego do ukrycia. W pewnej chwili nawet zaproponował nam, żebyśmy sprawdzili dom. Jego i jego rodziców też.

– Sprawdzili dom? – spytał Kuba z niedowierzaniem.

– No – potwierdził archiwista. – Trudno uwierzyć, prawda?

– Trudno. I co? Sprawdziliście?

– Skoro nalegał. – Młody człowiek z opolskiej delegatury IPN wzruszył ramionami. – To sprawdziliśmy. Oprowadzał nas, pokazywał każdy zakamarek, otwierał szafki w kuchni, nawet do piwnicy nas zabrał. Nalegał, żebyśmy zapisali w protokole, że w domach Kernów nie ujawniliśmy żadnego przedmiotu pochodzącego z pałacu von Schaffgotschów.

Naczelniczka wymieniła z Kubą porozumiewawcze spojrzenie.

– Ma pan żyłkę detektywistyczną. – Prokurator postanowił mile połechtąć archiwistę. – Czy coś szczególnego przykuło jeszcze pana uwagę podczas tej wizyty u Kernów?

Chłopak milczał przez chwilę, przeszukując myśli.

– Nie – stwierdził wreszcie. – Najbardziej mnie zaskoczyło to, że sam nas zachęcał do rewizji. Jeszcze się z czymś takim nie spotkałem. A pan? – spytał Jakuba Kanię.

– Ja też nie – wyznał prokurator. – Jak pan myśli, dlaczego Kern tak postąpił?

– Sam nam to wyjaśnił – odparł archiwista. – Poinformował, że we wsi przedmioty z rezydencji Schaffgotschów znajdują się w wielu domach

i gdybyśmy je przeszukali poznalibyśmy prawdę o rabunku i podpaleniu pałacu.

– Zamierzacie to zrobić? – Kuba zwrócił się do naczelniczki.

– Nie tego dotyczy dochodzenie – uznała. – Przecież chodzi o donos starego Kerna. Dzięki tobie mamy stare milicyjne akta, a w nich oryginał tego anonimu. Potwierdzimy tylko, że to charakter pisma dziadka Tomasza, i oddaję sprawę prawnikom. Niech oni zdecydują, czy ma to bezpośredni związek z samobójstwem dziadka Iwony i czy sprawa podpada pod zbrodnię komunistyczną.

Kuba w milczeniu pokiwał głową.

– Mogę chwilę u ciebie posiedzieć i przejrzeć te akta?

– Siedź, ile chcesz.

Pożegnał się z młodym adeptem rozwiązywania zagadek historycznych i otworzył tom „Sprawy Kopic” na dokumentacji fotograficznej samobójstwa Gawryluka, dziadka Iwony.

W kilka sekund znalazł to, czego szukał.

Wyjął telefon, wybrał ikonę aparatu i stosując zoom, skopiował kilka szczegółów uwidocznionych na zdjęciach milicyjnego technika, który zrobił ujęcia zwłok powieszzonego Jana Gawryluka i miejsca zdarzenia.

Już poprzednim razem, podczas przeglądania akt „Sprawy Kopic” w archiwum, Kuba był pod wrażeniem jakości tych fotografii. Człowiek, który je wykonał, musiał mieć nie tylko dobry sprzęt i niezawodną lampę błyskową, ale przede wszystkim umiejętności. Tylko fachowiec wysokiej klasy mógł w pięćdziesiątym szóstym roku tak mistrzostwo ustawić ostrość, czas i przesłonę, a potem naświetlić film i wywołać zdjęcia w taki sposób, aby osiągnąć idealny obraz.

## 2.

Recepcjonistka nie miała dobrych wiadomości.

– Niestety żadna z osób, które pracowały w Wielkanoc, nie widziały pańskiego człowieka – oświadczyła ze smutną miną.

– Rozumiem. – Kuba pokiwał głową i podziękował za pomoc. Po czym spytał, czy może przedłużyć pobyt o jedną dobę.

– Ze śniadaniem – bardziej stwierdziła, niż spytała recepcjonistka.

– Oczywiście – potwierdził. O jego apetycie krążyły w hotelu legendy.

Po południu zadzwonił do Kasi, a potem poszedł na spacer. Na placu Sebastiana zatrzymał się przed figurą, na której postumencie wyryto poziomą kreskę, aby zaznaczyć poziom wody, jaka wdarła się do miasta podczas jednej z dawnych powodzi. Wysoko. O wiele wyżej niż „powódź tysiąclecia”, którą Kuba przeżył na Opolszczyźnie siedemnaście lat temu, kiedy prowadził śledztwo w sprawie zagadkowych trumien odkrytych w krypcie kościoła w Kamieniu Odrzańskim. Zamiast szczątków zmarłych znaleziono w nich kukły wykonane ze słomy, gipsu i końskiego włosa<sup>[2]</sup>.

Przez parę minut myślał o tamtych wydarzeniach, ale te bieżące szybko je zastąpiły.

Miał w ręku kilka nowych kart, którymi zamierzał zagrać podczas swojego procesu, chociaż wątpił, czy uda mu się przekonać sąd. Wiele zależało od jutrzejszego wyjazdu do Kopic.

Od rozgrywki *va banque*.

Pogrążony w myślach skręcił w ulicę Książąt Opolskich, minął ceglany gmach Aresztu Śledczego przy Sądowej i zerknął na siedzibę ABW po drugiej stronie ulicy. Uznał, że zaraz po powrocie z Opola zadzwoni do Barskiej i zapyta o postępy w sprawie Iwony Kern i Marcina Wandasia.

Rankiem następnego dnia tuż po śniadaniu pojechał do Grodkowa, a stamtąd do Kopic.

Dawny dworek Kernów, zajmowany od powojnia przez Gawryluków, odszukał bez trudu. Budynek był w opłakanym stanie. Okna rozeschły się i oblażyły z farby, a strzegące ich niegdyś okiennice albo odpadły, albo wisiały na przerdzewiałych zawiasach, trzymając się na słowo honoru. Elewacja wyglądała jak trędowata. Szpeciły ją pęcherze tynku, pod który dostała się wilgoć, lub blizny plam w miejscach, w których dawna gładź już odpadła. Nawet dach wyremontowany w pięćdziesiątym szóstym,

kilka dni przed samobójstwem dziadka Iwony, ugiął się pod ciężarem czasu, który pokrył go liszczami zmurszałego mchu.

Kuba przypomniał sobie opinie miejscowych, że repatrianci nigdy nie dbali o mienie, które zajęli. Przez wiele lat uważali, że są na tych ziemiach tymczasowo, wierząc w zmianę porządku w Europie. Jedna bomba atomowa i wrócimy znów do Lwowa.

Nacisnął przycisk dzwonka przy framudze, ale urządzenie najwyraźniej było zepsute. Użył więc zabytkowej kołatki, która wydała zaskakująco głośny dźwięk.

Drzwi otworzył starszy, nieogolony mężczyzna w koszuli, która od dawna nie widziała się z pralką.

– Pan kto? – spytał.

Kuba przedstawił się, pokazując służbową legitymację IPN.

Ojciec Iwony podrapał się w głowę, ale odsunął się, wpuszczając go do środka.

– Pan wejdzie.

– O co się rozchodzi? – Z kuchni wyjrzała otyła kobieta. Mimo wieku nadal miała kruczo czarne włosy i urodziwą twarz. Córka była jej dwadzieścia lat młodszą i dwadzieścia kilogramów lżejszą kopią.

– Jestem z Instytutu Pamięci Narodowej – poinformował ją Kuba. – Prowadzimy śledztwo w sprawie domniemanej zbrodni komunistycznej, jakiej ofiarą mógł paść pan Jan Gawryluk. Pański ojciec, jak się domyślam? – zagadnął gospodarza.

– Jakiej domniemanej? – oburzył się Gawryluk. – Tato powiesił się, bo Kerny go zaszczuły, panie.

– IPN właśnie bada te okoliczności – wyjaśnił Kuba. – A ja chciałem zadać parę pytań i rozejrzeć się, jeśli państwo pozwolą.

– Jak to rozejrzeć? – Gawrylukowa nabrała nagle podejrzeń. – Będzie nam tu kąty przepatrywał? Dzwon lepiej do Iwonki – rozkazała mężowi.

Kuba chciał coś powiedzieć, ale stary powstrzymał go gniewnym spojrzeniem i ruchem dłoni.

– Czekaj pan – rzucił, po czym wyjął z kieszeni spodni od dresu odrapany telefon komórkowy i wybrał numer. No to po wszystkim – pomyślał Kuba. Iwona odbierze i każe go wysłać do wszystkich diabłów. Z pewnością jest wściekła, że powiedział Tomaszowi o jej romansie.

Gawryluk przez kilkanaście sekund trwał w skupieniu ze słuchawką przyklejoną do ucha, wreszcie ją oderwał i spojrzał pytająco na aparat.

– Ma wyłączony – stwierdził, jakby miał do czynienia z czymś nadzwyczajnym.

– Oddzwoni – uznała żona, ale odpowiedział jej spojrzeniem, w którym kryła się podejrzliwość.

– Ma wyłączony, rozumiesz? Nigdy nie ma wyłączonego, tylko wyciszony. Coś tu nie gra.

Przeniósł wzrok na Kubę.

– Czego pan tu chce?

– Nie pozwolił mi pan się odezwać – podkreślił Kuba. – Tymczasem to państwa córka złożyła wniosek w IPN-ie o ściganie Kernów – stwierdził dobitnie i pokazał Gawrylukom ekran smartfona, na który przed chwilą przywołał zdjęcie dokumentu złożonego przez Iwonę Kern w opolskiej delegaturze. To samo, które nie tak dawno pokazał Tomaszowi. – Proszę sobie przeczytać i sprawdzić podpis.

Przez dobrą minutę wpatrywali się w jego telefon jak sroka w kość, wreszcie Gawryluk podniósł na Kubę zawstydzony wzrok.

– Nie wiedzieliśmy. – Ponownie podrapał się w głowę. – Córka nic nam nie mówiła.

– Proszę, proszę dalej. – Żona też nagle zmieniła ton. – Kawy może się napije?

Kuba podziękował.

– Nie chciałbym robić państwu kłopotu – powiedział. – Interesuje mnie miejsce tragedii. Potrzebuję zrobić tam kilka zdjęć do swojej dokumentacji.

– A pewnie, pewnie – zareagował ochoczo Gawryluk. – To będzie na strychu. Zaprowadzę pana. – Wskazał dłonią schody zakończone drewnianą klapą.



– Na głowę niech uważa – dodała jego żona i uśmiechnęła się życzliwie. Gawryluk ruszył przodem.

Sapał, pokonując kolejne stopnie, wreszcie dotarł do kłapy, z trudem ją dźwignął i oparł o ścianę. Wdrapał się na strych i podał Kubie rękę.

Podszedł do włącznika, zapalił światło i zdębiał.

– Co to jest? – spytał zaskoczony na widok stojących na środku pomieszczenia trzech plastikowych pojemników, jakie można kupić w sklepie IKEA. – Tego tu nigdy nie było.

Zrobił krok w ich stronę, ale Kuba go powstrzymał.

– Lepiej ja to otworzę – stwierdził i zdjął pokrywę pierwszej ze skrzynek. Wewnątrz były srebra.

Łyżki, noże, widelce, patery, tace. Piękna, misternie wykonana, choć poczerniała ze starości zastawa stołowa. Pozostałe dwa pojemniki mieściły to samo.

Kuba wyjął pękatą cukiernicę.

– Panie, co to jest? – Gawryluk z trudem przełknął ślinę. – Ja tego wcześniej na oczy nie widziałem.

Prokurator wskazał mu herb umieszczony na naczyniu.

Ojciec Iwony wlepił wzrok w cukiernicę.

– To z kopalni jakiejś? Czy co? – spytał.

Kuba pokręcił głową.

– To powszechnie znany symbol górniczy – wyjaśnił. – Skrzyżowane narzędzia: młotek i pyrlík. Ale nie pochodzi z kopalni. Herb z tymi elementami nadał Joannie Gryzik król pruski Wilhelm, przyznając jej tytuł szlachecki. Niech pan spojrzysz na wygrawerowane poniżej litery: JSG. Joanna von Schomberg-Godulla. Późniejsza hrabina von Schaffgotsch. – Kuba wskazał dłonią niewidoczne ze strychu, ale znajdujące się kilkaset metrów dalej ruiny pałacu. – Podejrzewam, że to część posagu Joanny.

– Skąd się to tutaj wzięło? – Gawryluk był coraz bardziej zdenerwowany.

– Panie, ja nie mam z tym nic wspólnego. Niech pan tak zaprotokołuje.

– Wierzę panu – odparł Kuba, a ojciec Iwony spojrzał na niego zupełnie skołowany. – Dlatego nie chciałem, aby pan dotykał pojemników, żeby

nie zostawić na nich odcisków palców.

– Tak! – ucieszył się Gawryluk, zajęty w tej chwili ratowaniem własnego tyłka. – Niech pan da do protokołu, że ja nie dotykałem!

– Zaprotokołuję – spokojnie odrzekł Kuba. – Póki co sprawa zostaje między nami, zgoda? Ani słowa nikomu.

– Tak jest – zameldował ojciec Iwony. – Słowa nie pisnę.

– Dobrze – pochwalił go prokurator IPN. – A teraz proszę się odsunąć, bo zasłania pan światło, a ja muszę zrobić zdjęcia.

Gawryluk posłusznie odszedł i zajął stanowisko obserwacyjne, przyczajony przy ścianie komina.

Kuba sprawdził stan baterii w telefonie i sfotografował pojemniki oraz kilka znajdujących się w nich przedmiotów. Na koniec zamknął je, pozostawiając w stanie, w jakim je zastali.

– Pamięta pan, na której belce powiesił się pański ojciec? – spytał Gawryluka.

– No jak nie? To ja go znalazłem – odparł tamten i pokazał dłońią.

Kuba podszedł, odwrócił się plecami do miejsca samobójstwa i zaczął uważnie obserwować więźbę dachową dokładnie naprzeciwko feralnej belki.

W pewnej chwili skóra na jego twarzy wygładziła się, jakby ktoś ją gwałtownie naciągnął.

Pochylił się i wszedł pod skos dachu, dotykając elementów więźby, opierających się na regałach.

Znalazł ostatni brakujący element układanki, na którą wpadł w prokuraturze, oglądając nuty, a potem weryfikując na zdjęciach z oględzin samobójstwa Jana Gawryluka.

Wszystko idealnie do siebie pasowało.

### 3.

Kamil Kern, świeżo upieczony maturzysta i kandydat na kleryka, wyjął z zamrażarki pizzę z czterema serami i umieścił ją w rozgrzanym piekarniku. Spojrzał na kuchenny zegar, żeby zacząć odliczać dwanaście

minut sugerowane na opakowaniu, ale zanim zdążył zapamiętać czas, usłyszał dzwonek do drzwi.

Nie spiesząc się, przeszedł do holu i otworzył.

W progu stał prokurator IPN, z którym ojciec spędzał ostatnio sporo czasu.

– Cześć, Kamil – odezwał się na powitanie.

– Dzień dobry panu – odpowiedział grzecznie syn Kernów. – Niestety nie zastał pan taty. Dwa dni temu wyjechał do Francji. Mówił, że na dwa tygodnie, ale pewnie wróci wcześniej w związku z tym, co się stało.

– A co się stało? – zaniepokoił się Kuba.

– To pan nie wie? – spytał Kamil, wyraźnie zmieszany. – Mama została aresztowana.

– Kiedy?

– Wczoraj.

Jakub Kania przez chwilę poczuł się niekomfortowo. Najpierw doniósł Barskiej na Iwonę Kern i Maartena van Daasa, a teraz zapukał do drzwi jej domu, gdzie nadal uważają go za przyjaciela.

Kamil chyba odczytał ostatnią myśl, bo spojrzał przepraszająco i powiedział:

– Proszę, niech pan wejdzie. Nie będziemy przecież rozmawiać w drzwiach.

Przeszli do kuchni.

– Napije się pan czegoś? Wody? Herbaty?

Kuba podziękował. Nadal nie wiedział, co powiedzieć.

– Wiesz, jakie są zarzuty wobec mamy? – spytał.

Chłopak rozłożył ręce.

– Oskarżono ją o kradzież jakichś publicznych pieniędzy, ale mama powiedziała mi, że to nieprawda. Przełała je tylko z jednego służbowego konta na drugie. Też służbowe.

– Widziałeś się z nią?

– Tak. Wczoraj. Tata wyjechał, a mamie pozwolili zobaczyć się z kimś bliskim. Ale nie mogliśmy porozmawiać, bo w pokoju przez cały czas był

strażnik. Przekazałem jej tylko rzeczy osobiste. Bieliznę, pastę do zębów, szczoteczkę. – Głos Kamila zaczął lekko drżeć. – Jak tak można człowieka zamknąć bez dania racji? – spytał, wpatrując się w Kubę.

– Mam znajomą w ABW – stwierdził prokurator IPN. – Spróbuję się czegoś dowiedzieć.

Wybrał numer Barskiej, która odezwała się po kilku dzwonek, gdy tracił już nadzieję, że odbierze.

– Dzień dobry, pani kapitan.

– Co tak oficjalnie? Ktoś nas słucha? – spytała, a Kuba odnotował refleksję o jej niezawodnym wyczuciu.

– Jestem w domu państwa Kernów w Kopicach z ich synem Kamilem – powiedział, potwierdzając jej przypuszczenia. – Właśnie się dowiedziałem o pani Iwonie...

– Spotkajmy się, jak pan będzie w Warszawie – stwierdziła Barska. – Muszę kończyć.

– Chwileczkę – poprosił Kuba. – Syn pani Iwony bardzo się niepokoi. Co mogę mu powiedzieć.

– Niech mu pan powie, co chce, jeśli teraz zajmuje się pan pomocą psychologiczną dla dzieci aresztowanych. Prokurator wystąpił z wnioskiem o areszt tymczasowy. Wystarczy? Może pan to oznajmić chłopakowi. Najlepszym sposobem na przekazanie prawdy jest powiedzieć prawdę.

Rozłączyła się.

Kuba popatrzył na Kamila, który jednoznacznie zrozumiał jego wyraz twarzy.

– Nie jest dobrze, prawda? – upewnił się.

– Nie.

Chłopak pokiwał głową.

– Pójdę już. – Kuba wyciągnął do niego rękę. – Odwiedzę was innym razem, jak tato wróci. Trzymaj się, Kamil.

– Niech pan jeszcze nie idzie. – Chłopak najwyraźniej potrzebował pogadać. – Zrobię panu herbaty, okej? Mogę się też podzielić pizzą.

– Sam zrobiłeś? – zainteresował się Kuba, trochę z kulinarnej ciekawości, ale głównie po to, aby zmienić temat.

– Nie, kupna. Chce pan?

– Nie jestem głodny. Ale ty nie czekaj, aż ci wystygnie. Jedz, a ja się napiję herbaty.

Chłopak zakrzętał się wokół blatu tworzącego wyspę, przy której rodzina pewnie jadła śniadania. Kiedy jeszcze była rodziną.

– Jak twoje plany? – spytał Kuba dla podtrzymania rozmowy.

– Idę do seminarium w Nysie.

– Jednak? Pytam, bo tato był przeciwny.

Chłopak zatrzymał się w pół kroku.

– No właśnie – powiedział. – Najpierw był przeciwny, a teraz mnie namawia. Mieliśmy tam jechać w tym tygodniu, zobaczyć, co i jak, rozeznąć się, pogadać, ale ojciec stwierdził, że nie ma się nad czym zastanawiać. Skoro brałem kapłaństwo pod uwagę, to powinienem być konsekwentny. Jak on to powiedział? – Kamil przez chwilę się zastanawiał.

– Aha. Że z Bogiem się nie negocjuje. W sumie racja.

Kuba skwitował to milczeniem.

Obserwował chłopaka wyjmującego pizzę z piekarnika, a potem krojącego ją na okrągłej desce.

– Kapłaństwo to duża sprawa – orzekł, wywołując zainteresowane spojrzenie Kamila. – Oczywiście jak się ma powołanie.

Chłopak spuścił wzrok.

– Nie mówię tylko o wierze w Boga i umiejętności wyrzeczeń. Mówię o cechach osobowości, jakie moim zdaniem powinien posiadać prawdziwy ksiądz.

– Czyli? – spytał młody Kern, unosząc do ust kawałek pizzy.

– Uczciwości, empatii, rozumieniu potrzeb innych – wyliczał Kuba. – Ale dla mnie najważniejsza jest prawda. Dla ciebie chyba też, co? Tato często powtarza, że nigdy nie kłamiesz.

Kamil energicznie skinął głową. Nauczono go, aby nie mówił z pełnymi ustami, a to był jedyny dostępny w tej chwili sposób potwierdzenia.

– To ci gratuluję – powiedział Kuba i poprawił się na stołku barowym dostawionym do blatu. – Wiesz co? – Popatrzył uważnie na Kamila. – Nadarza się doskonała okazja, abyśmy porozmawiali o twoich dziadkach.

#### 4.

Dyżurny biura przepustek Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego przeczytał personalia w dowodzie osobistym i dwukrotnie przyjrzał się fotografii. Ostatni raz Kuba widział podobną wnikliwość, gdy jako osiemnastolatek przekraczał granicę między NRD a RFN.

– Jakub Kania – stwierdził wreszcie dyżurny.

Jak pan się domyślił? – chciał spytać Kuba, ale tylko uśmiechnął się i potwierdził.

– Pani kapitan kazała powiedzieć, żeby się pan nie ruszał.

– Nie rozumiem – odparł Kuba. – Mam stać bez ruchu?

– Siedzieć – sprostował dyżurny. – Tam – wskazał ławkę naprzeciwko dyżurki. – Pani kapitan zaraz zejdzie.

Jego proroctwo spełniło się po niecałych pięciu minutach.

Teresa Barska zbiegła po schodach. Miała na sobie sportowe buty, dżinsy i lekką bluzę. Strój do joggingu lub ścigania przestępców.

– Przejdziemy się? – spytała Kubę. – Na Pole Mokotowskie. Piętnaście minut krokiem patrolowym.

Zgodził się z chęcią. Dzień był tak piękny, że za spędzanie go w zamkniętych pomieszczeniach powinno się płacić mandat.

– Co z pana linią obrony? – spytała Barska, gdy tylko wyszli na Rakowiecką.

– Damy mają pierwszeństwo – odparł. – Umieram z ciekawości, jak rozwinęła się sprawa Iwony Kern i jej holenderskiego księcia.

– Książę prysnął. Nie wiem, jak się dowiedział o aresztowaniu swojej współpracownicy, ale musieli mieć ustalony jakiś system ostrzegania, bo ulotnił się jak kamfora.

– I co teraz?

Wzruszyła ramionami.

– Mąż Iwony Kern przekazał nam notes, który żona trzymała w szufladzie swojego nocnego stolika. Znaleźliśmy w nim prywatny adres Maartena van Daasa. Już mieliśmy poprosić holenderską policję, żeby go zgarnęła, jak się pojawi w Amsterdamie, ale po przesłuchaniu pani radnej odpuściliśmy.

– Dlaczego? – Kuba zwolnił z wrażenia, ale kapitan ABW delikatnie pociągnęła go za rękaw koszuli.

– Bo tak naprawdę nie ma podstaw do ścigania tego człowieka międzynarodowym listem gończym.

– Jak to nie ma? – nalegał Kuba. – To dlaczego zwinęliście Iwonę Kern? Było przestępstwo czy go nie było?

– Pan się zrobił niecierpliwy. – Barska obrzuciła go karcącym spojrzeniem. – Iwona Kern została zatrzymana, bo jest obywatelką polską i urzędniczką, która dopuściła się czynu karalnego.

– Co zrobiła?

Kapitan ABW westchnęła.

– Nie powinnam panu mówić, ale uznaję, że w tej sprawie jest pan moim informatorem – uśmiechnęła się. – W końcu to pan skierował nas na trop.

– Skoro zanosi się na to, że wkrótce będę kryminalistą z wyrokiem, to mogę też mieć w życiorysie współpracę z tajnymi służbami. Wszystko mi jedno.

– Niezbyt udane zestawienie – skrzywiła się Barska. – Może lepiej wróćmy do pytania, co zrobiła Iwona Kern. Otóż skoro tak usilnie kreuje się pan na przestępcę, to użyję języka, który będzie panu bliższy środowiskowo: pani radna podpieprzyła dwie duże bańki z publicznych pieniędzy.

– Jak to podpieprzyła?

– Tak to. Iwona Kern pełni funkcję prezesa Agencji Rozwoju Opolszczyzny, której głównym udziałowcem jest samorząd województwa. Pewnego pięknego dnia przyszła do biura i kazała księgowej autoryzować

przelew dwóch milionów złotych na konto spółki Kopice Development. Niech pan zgaduje, czyja to spółka.

– Maartena van Daasa.

– Brawo. Trafił pan za pierwszym starzałem.

– Księgowa nie zgłosiła tego na policję?

– Kern sprytnie ją podeszła. Kopice Development to spółka partnerstwa publiczno-prywatnego. Urząd Marszałkowski też ma w niej udziały. Pani radna zadbała o takie rozwiązanie, bo ono otwiera drogę do pozyskiwania środków unijnych. No więc skoro księgowa usłyszała, że przekazanie kasy z agencji do spółki z udziałami marszałka jest elementem taktyki ułatwiającej kupno i odbudowę Kopic, zgodziła się bez wahania. W końcu Iwona Kern to jej bezpośrednia przełożona, która też podpisała się pod przelewem.

– Jak pani radna tłumaczy swój postępek?

– Uważa się za niewinną – odparła Teresa Barska. – Stwierdziła, że jedynie przeniosła pieniądze z jednego konta na drugie, żeby przyspieszyć proces kupna Kopic i usprawnić procedury pozyskiwania środków unijnych. Zapewnia też, że zamierzała je oddać Agencji Rozwoju Opolszczyzny.

– Z czego? – spytał Kuba. – Z przychodu hotelu spa, jaki marzył się Maartenowi van Daasowi po odbudowie pałacu? Oddać – skrzywił się cynicznie. – Dobrze. Za ile lat? Dwadzieścia? Trzydzieści? Wtedy dopiero pojawiłby się zwrot z tej inwestycji. O ile w ogóle by się pojawił.

Kapitan ABW zatrzymała się przy przejściu dla pieszych prowadzącym na drugą stronę alei Niepodległości.

– Plan Iwony i jej kochanka obliczony był na znacznie krótszy czas – powiedziała. – Proszę sobie wyobrazić, że van Daas vel Wandaś znalazł w Dubaju szejka, który napalił się na kupno Kopic.

– Serio? – nie uwierzył Kuba. – Arabowie, a zwłaszcza ci z Emiratów, to ludzie doskonale poruszający się w świecie biznesu. Który z nich chciałby kupić ruiny i kupę gruzu w kraju dla nich leżącym dalej niż na księżycu.

– Który? – powtórzyła Barska. – Przekonany.



– Czym przekonany?

– Kilkoma argumentami. Po pierwsze tym, że szejkowie coraz częściej rozglądają się za rezydencjami w Europie. Chce pan wiedzieć dlaczego? To proste. Klimat u nich robi się coraz gorętszy. Nie wszyscy znoszą pięćdziesięciostopniowe upały, nawet jeśli są genetycznie przygotowani na wysokie temperatury. Szukają miejsc chłodniejszych. Oczywiście godnych swojego prestiżu, wielohektarowych, z dala od ludzi. Takich, które można ogrodzić i żyć w nich od maja do października w znośnej temperaturze i komforcie. Niestety – Barska rozłożyła ręce – zamki nad Loarą są już zajęte, te w Szkocji za mało reprezentacyjne, tymczasem w Polsce... Na Polskę jeszcze nikt nie wpadł. Dlatego Ahmed tak się zainteresował Kopicami. Za śmieszne pieniądze mógł nabyć, a potem wyremontować jedną z najwspanialszych rezydencji w Europie. Obejrzał jej przedwojenne zdjęcia, które mile połaskotały jego snobizm. Dlatego łatwo dał się namówić na tę transakcję. Kopice doprowadzone do dawnej świetności miały być w przyszłości prezentem na urodziny dla jego córki Salamy. *Notabene* potrzebującej lepszego klimatu dla swojego chorego serca.

– Może pani powtórzyć? – zaintrygował się Kuba.

– Córka szejka ma wadę serca i...

– Nie to. Proszę powtórzyć jej imię.

– Salama.

– Dobrze pani zapamiętała?

– Jeszcze nie mam demencji – obruszyła się. – Czy to takie ważne?

– To mógłby być dodatkowy argument przemawiający za kupnem pałacu – stwierdził Kuba.

– Niby czemu?

– Salama to arabski Kopciuszek. W ich wersji bajki była córką rybaka, której zmarła mama. Ojciec ożenił się ponownie i tak dalej. Zła macocha, dwie okropne siostry przyrodnie, wyzysk i poniżenie, wreszcie *happy end* godny księżniczki.

– I co z tego?

– To, że jeśli Marcin Wandaś powiedział Ahmedowi, że Kopice to prawdziwy pałac prawdziwego Kopciuszka, czyli Joanny von Schaffgotsch, to szejk z pewnością doszedł do wniosku, że kupuje dla córki najbardziej wyjątkowe miejsce w Europie.

– Punkt dla pana – przyznała Barska.

Przez chwilę szli w milczeniu ulicą Batorego, zanim zdecydowali się skręcić na Pole Mokotowskie.

– Rozumiem – podjął wątek Kuba – że kiedy Wandaś znalazł kupca na Kopice, przyjechał do Polski rozpoznać sytuację. Tak trafił na Iwonę Kern, odpowiedzialną za współpracę z zagranicą, oczarował ją i uwiódł. A że nie miał grosza przy duszy, obiecał jej wspólne życie w szczęściu i dostatku, jeśli tylko pomoże w transakcji.

– Drugi punkt dla pana – stwierdziła Barska.

– Rozjaśni mi pani, jak to wszystko miało wyglądać?

– Autorski scenariusz akcji napisała Iwona Kern. Żeby uwiarygodnić Maartena van Daasa w oczach marszałka, doprowadziła do założenia spółki Kopice Development, w której udziały otrzymał samorząd województwa w zamian za jakiś tam aport czegoś tam. Nie pamiętam w tej chwili. Na koncie nowego podmiotu niemal natychmiast pojawiły się dwa miliony, rzekomo wpłacone przez van Daasa, który miał konsekwentnie udawać bogatego Holendra. Dalszy plan był prosty: za pieniądze spółki Wandaś miał kupić Kopice od firmy z Górnego Śląska, a resztę z dwóch milionów przeznaczyć na uporządkowanie terenu i doprowadzenie ruin do stanu, w którym można by je pokazać szejkowi na żywo. Gdyby dodatkowo udało się pozyskać coś z kasy unijnej, to również zostałoby wpompowane w remont. Pani radna miała już nawet ustawioną firmę chętną do robót.

– A potem?

– A potem podszykowałiby Kopice i sprzedali je Ahmedowi.

– Wie pani za ile?

– Wiem. Dziesięć milionów dolarów.

– Co?! – Kuba stanął jak wryty. – Przecież tę ruinę gmina chciała kiedyś sprzedać za złotówkę.

– Zgadza się – potwierdziła Barska. – Zapomina pan jednak, że Ahmed to facet, który za wszelką cenę chce uchodzić za szejka, a proponowanie szejkowi zakupu nieruchomości za cenę niższą niż dziesięć milionów dolarów w Emiratach uchodzi na obelgę.

– Nie wierzę. – Kuba pokręcił głową.

– A jednak tak miało być. Ahmed miał przelać tę sumę na konto spółki Maartena. Wówczas farbowany Holender oddałby dwa miliony złotych do Agencji Rozwoju Opolszczyzny, coś tam przeznaczył na fundusz remontowy pałacu, a resztę schował do kieszeni. I wszyscy żyliby długo i szczęśliwie, gdyby nie pojawił się pewien prokurator IPN, który zaczął węszyć w sprawie kołysanki Chopina, a wywęszył aferę polegającą na tym, jak uśpić władze województwa i dokonać spektakularnego przekrętu. Nic dziwnego, że duet polsko-holenderski poświęcił nuty Czajkowskiego, żeby usunąć pana z planszy tej gry.

Ku zdziwieniu Barskiej Kuba nie wydawał się przekonany, choć elementy puzzli pasowały do siebie idealnie.

– Iwona Kern tak gładko wszystko wyśpiewała?

– Na początku strugała twardzielkę. Nie zrobiło na niej wrażenia to, że Maarten ma na koncie handel bronią, a ich szejkiem interesują się Amerykanie, bo Ahmed robi niebezpieczne prezenty różnym nieciekawym organizacjom islamskim. I być może Wandaś mu te prezenty organizuje. Nie dała się przestraszyć, że jeśli nasi przyjaciele ze Stanów Zjednoczonych to potwierdzą, natychmiast wyślemy za van Daasem międzynarodowy list gończy. A wtedy ona odpowie również z ustawy z czerwca 2016 o działaniach antyterrorystycznych. Powieka nie drgnęła jej nawet wówczas, gdy dostała trzy miesiące aresztu tymczasowego. Dopiero kiedy zajął się nią nasz kolega z Wrocławia, uważany za mistrza przesłuchań...

Kuba spojrzął na nią zaniepokojony.

– Niech pan się nie martwi. Nie podtapiał jej ani nie wyrywał paznokci. To wysoko kwalifikowany psycholog. Po prostu puścił fragment rozmowy

jej ukochanego z panią Aldoną – polską doradczynią szejka Ahmeda, o której istnieniu Iwona Kern nie miała pojęcia. Tymczasem to, o czym sobie ćwierkali z Marcinem, wydało się jej znajome. Wspólny dom w Toskanii, podróże po świecie i tak dalej, i tak dalej. Też to słyszała. Wtedy pękła i opowiedziała wszystko jak na spowiedzi.

Jakub Kania milczał.

– No cóż – skwitowała Barska. – Życie. Jak mawia moja kumpela: miłość ci wszystko wypaczy.

– To przez miłość? – spytał Kuba. – Nie przez chciwość? Pychę? Egoizm? Tylko przez miłość?

– No – potwierdziła kapitan ABW.

– I doświadczona kobieta, inteligentna i przebiegła może się zakochać do tego stopnia, że teraz pójdzie za to siedzieć?

– Pan tego nie zrozumie. – Barska machnęła ręką.

– Dlaczego nie? – W jego głosie zabrzmiała lekka uraza.

– Bo pan nie wie, jak na kobiety działają tacy faceci jak Marcin Wandaś. Niegłupi, twardy, pewny siebie, zabójczo przystojny, a na dodatek mający ten rodzaj charyzmy, który mężczyzna zyskuje w akcjach bojowych. Gang, potem Legia Cudzoziemska. Facet był w boju. Walczył na śmierć i życie. Strzelał i do niego strzelano. Czy do pana ktoś kiedyś strzelał? – spytała z powątpiewaniem.

Kuba popatrzył na nią, lekko unosząc brwi.

– Raz strzelała do mnie wątróbka z patelni – odparł. – Ale to się chyba nie liczy?

## ROZDZIAŁ XII

Czerwiec 2014 roku

### 1.

Zerkając od czasu do czasu na córki szalejące na placu zabaw w Lesie Młocińskim, Jakub Kania wyciągnął się na deskach jednej z budowli przypominających średniowieczną warownię i wystawił twarz do słońca.

Postronny świadek tej sceny mógł ujrzeć słodki obrazek wyluzowanego ojca i jego hasającego potomstwa. Idealny do reklamy witamin dla dzieci. Nikt, a zwłaszcza Marysia i Zosia Kania, nie miał pojęcia o tym, co działo się w głowie uśmiechniętego tatusia.

Słownik określa taki stan mianem ciszy przed burzą. To moment pozornego uspokojenia, pełen jednak ukrytego napięcia. Poprzedza nieprzyjemne wydarzenia, których się spodziewamy.

Wszystko się zgadzało.

W pierwszych dniach września Kuba miał zasiąść na ławie oskarżonych sądu w Opolu z zarzutem przywłaszczenia rękopisu kołysanki Piotra Czajkowskiego, wartej... No właśnie. Jakub Kania podejrzewał, że prokuratura ciągle nie ma wiarygodnej wyceny nut, dlatego przesunęła proces o kilka miesięcy, sprytnie wykorzystując okres przerwy wakacyjnej. Przez ten czas fircyk w niebieskim garniturku zgromadzi kilka ekspertyz i wybierze najwyższą, co pozwoli mu żądać dla Jakuba Kani możliwie najsurowszego wyroku.

Kuba miał linię obrony na pozór solidną, ale zbudowaną wyłącznie z poszlak. Czy sąd mu uwierzy? Wątpliwe. Skład orzekający z reguły poprzestaje na potwierdzeniu prawdy, a nie na jej interpretacji. Co z tego, że Kuba przedstawi wiarygodną historię znalezienia nut Czajkowskiego, podrzucenia ich do hotelu i motywu całej akcji? Nawet jeśli świetnie to

zabrzmiał, pozostanie tylko opowieścią. Niczym, wobec twardego dowodu winy w postaci rękopisu, jaki policja znalazła w jego pokoju hotelowym.

Burza, jaka czekała go w Opolu, zwiastowała, że może zginąć od pierwszego pioruna.

Wcześniej, bo już za tydzień, czekał go jeszcze jeden proces.

Iwony Kern.

Tu miał wystąpić w charakterze świadka i zeznać wszystko, co naprowadziło go na trop „afery pałacowej”, jak nazywały ją media. Z uwagi na wysokie stanowisko pani radnej we władzach województwa sąd w Opolu został wyłączony z rozstrzygnięcia w tej sprawie. Kuba otrzymał wezwanie do Wrocławia. Mieli tam pojechać z Barską, która nie wróżyła oskarżonej nic dobrego.

– Spalą ją na stosie – zawyrokowała na zakończenie spaceru po Polu Mokotowskim. – Będą chcieli pokazać wszystkim urzędnikom, że nie opłaca się robić wałków. Moim zdaniem pójdzie siedzieć, jak dwa razy dwa jest cztery.

– Nawet za to, że przeniosła pieniądze z jednego konta na inne, związane z tą samą sprawą? – powątpiewał Kuba.

– Czy pan siebie słyszy? – oburzyła się Barska. – Cwana pani radna i tak ma wiele szczęścia, że Wandaś, wiejąc z Polski, nie zrobił sobie prezentu na drogę w postaci dwóch milionów złotych. A przecież mógłby je bez problemu wypłacić z konta spółki Kopice Development. Albo przelać na swój rachunek w banku ING, który ma centralę w Holandii.

– Nie zdążył? – spytał Kuba.

– Gdyby chciał, toby zdążył. Po prostu jest na to za sprytny. Wyprowadzenie tych pieniędzy oznaczałoby dla niego list gończy. A tak? Cała wina spada na Iwonę Kern. On stracił tylko tyle, że biznes z Ahmedem poszedł się... No, wie pan. Nie wyszedł. No i nasz Marcin ma spokój. Może sobie legalnie zapalić skręta i się wyluzować. No chyba że potwierdzimy związki szejka z islamskimi ruchami wspierającymi terroryzm. Wtedy nie będzie miał dobrego samopoczucia, nawet gdyby

wypalił więcej trawy, niż mieści się na wozie drabiniastym podczas sianokosów na Podlasiu.

Kuba uśmiechnął się, przypominając sobie to porównanie, i pogroził Zosi, która usiłowała zrobić siostrze peeling przy użyciu piasku.

Przymknął na moment powieki atakowane przez słońce i wtedy zadzwonił telefon.

Nie znał tego numeru.

– Jakub Kania, słucham.

– Dzień dobry, panie prokuratorze – damski głos w słuchawce brzmiał znajomo, choć Kuba nie potrafił go skojarzyć.

Rozmówczyni to wyczuła.

– Poznaliśmy się w Narodowym Instytucie Fryderyka Chopina – przypomniała się. – Pomagałam panu zidentyfikować kołysankę Czajkowskiego.

– Ależ oczywiście – ucieszył się Kuba. – Pani profesor! Proszę wybaczyć, że nie rozpoznałem od razu, ale mam ostatnio gonitwę myśli. Przepraszam. I raz jeszcze dziękuję za pani nieocenioną pomoc.

– No właśnie – powiedziała profesorka. – Ja w tej sprawie. Przez jakiś czas był pan bohaterem mediów i środowiska muzycznego, tymczasem stracił pan laur odkrywcy nieznanego utworu. Przykro mi bardzo.

Jak się dowiedziała? – myślał gorączkowo Kuba. – Skąd wie o podrzuceniu nut? Pewnie jest przekonana, że rzeczywiście je ukradłem, i zaraz wyrazi swoje oburzenie.

– Nie wiem, co odpowiedzieć – odparł zakłopotany.

– I nie pyta pan nawet, o co chodzi?

– A co chodzi? – powtórzył jak automat.

– Zadzwonił do mnie wczoraj profesor Pilcher z Wiednia. Jeden z tych muzykologów, którzy potwierdzili, że nagranie, które mi pan wtedy przysłał, jest wykonaniem nieznanego utworu Piotra Czajkowskiego. Pamięta pan?

– Jakże mógłbym zapomnieć.

– No więc profesor Pilcher jest ekspertem pewnego domu aukcyjnego specjalizującego się w sprzedaży przedmiotów związanych z muzyką. To bodaj najświetniejsze takie miejsce w Europie. Unikalne instrumenty, nuty, partytury, rzeczy osobiste kompozytorów.

– Rozumiem – potwierdził Kuba w obawie, że zanosi się na dłuższą opowieść.

– Proszę sobie wyobrazić – kontynuowała muzykolożka – że Pilcher kilka dni temu został poproszony o potwierdzenie autentyczności nieznanych dzieł Giuseppe Verdiego, Ryszarda Wagnera i Johanna Brahmsa. Okazało się, że to oryginały. Sensacja na skalę światową. Profesor Pilcher zadzwonił do mnie, a ja do pana, żeby panu powiedzieć, że w tej sytuacji ze swoim Czajkowskim nie zostanie pan odkrywcą roku.

– Będę musiał jakoś z tym żyć. – Mimo totalnego zaskoczenia Kuba starał się zachować dobry humor. – Tak czy inaczej dziękuję, że mnie pani poinformowała.

– Nie mogłam pana nie poinformować – uznała profesorka. – Bo wszystkie te trzy utwory to kołysanki. Z tego samego roku co ta Czajkowskiego.

Kuba zaniemówił.

Wstał, aż dziewczynki na chwilę znieruchomiały w piaskownicy i patrzyły na niego zaintrygowane.

– Jak znalazły się w wiedeńskim domu aukcyjnym? – spytał.

– Normalnie – odpowiedziała muzykolożka. – Jak wszystko inne. Ktoś je zaoferował do sprzedaży.

– I zostały sprzedane?

– Zostały. Mogę nawet panu powiedzieć za ile, ale niech pan lepiej usiądzie.

Kuba rozejrzał się dookoła, jakby rozmówczyni była gdzieś w pobliżu i cały czas go obserwowała.

– Bardziej mnie interesuje, kto wystawił te nuty na aukcje – rzekł nieswoim głosem. – Czy profesor Pilcher ujawnił pani nazwisko sprzedającego?



– Naturalnie – odrzekła pani profesor.

## 2.

– Wątpię, czy zdążymy na czas – stwierdziła Teresa Barska, przenosząc krytyczne spojrzenie z Kuby na strzałkę szybkościomierza.

– Nie mam wpływu na korki – odparł, mimowolnie zaciskając dłonie na kierownicy. Nie znosił uwag podczas jazdy.

– Ale ma pan wpływ na swoją prawą nogę.

– Nie będę w pani obecności łamał przepisów ruchu drogowego.

– Jestem z ABW, nie z drogówki – przypomniała Barska. – A najlepszym sposobem na to, żeby się nie spóźnić, jest się nie spóźnić. Śmiało – zachęciła. – Mandaty biorę na siebie.

Posłuchał.

Do Wrocławia wjechali kwadrans przed terminem rozprawy wyznaczonym na wokandzie. Znaleźli miejsce parkingowe przy Świebodzkiej i przeszli do gmachu sądu.

Wezwany przez protokolantkę Kuba wszedł do sali i zderzył się wzrokiem z Iwoną Kern. W jej oczach błysnęła czysta, zimna nienawiść.

Była szefowa komisji współpracy z zagranicą sejmiku Opolszczyzny sprawiała wrażenie osoby znacznie starszej niż w rzeczywistości. Straciła na wadze, ale nie był to efekt wypracowany u dietetyczki i na siłowni. Jej twarz zszarzała i zrobiła się bardziej pociągła, oczy przygasły i nie było w nich już ani śladu dawnej pewności siebie. Po chwili opuściła je, poświęcając uwagę jakimś notatkom, które podsunął jej siedzący obok obrońca.

Jakub Kania złożył przyrzeczenie o prawdomówności, którego wszyscy obecni, łącznie z sędziami, wysłuchali na stojąco.

A potem przeniósł się pamięcią do sceny, jaka rozegrała się nad opolskim stawkiem przy Barlickiego, po koktajlu u marszałka.

– Świadek zeznał – przypomniał mu sędzia prowadzący rozprawę – że sytuacja, którą widział, miała charakter intymny. Co pozwala świadkowi użyć takiego określenia?

– Wysoki sędzie – odparł Kuba. – Oskarżona całowała się z Maartenem van Daasem, którego godzinę wcześniej oficjalnie przedstawiała mediom jako inwestora, zamierzającego kupić pałac w Kopicach.

– Jaki to był pocałunek?

Kuba zastanowił się.

– Jednoznaczny.

– Mający podtekst erotyczny?

– Tak, wysoki sędzie.

– Czy to wzbudziło świadka podejrzania co do uczciwości relacji między oskarżoną a inwestorem?

– Tak, wysoki sędzie. Obydwoje byli stronami w planowanej transakcji. Poza tym usłyszałem, że pan van Daas świetnie mówi po polsku, choć podczas spotkania z mediami korzystał z tłumacza i udawał, że nie zna naszego języka.

– To były jedyne motywy świadka, aby zawiadomić o tym Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego?

Kuba się zaczerwienił. Poczuł się jak wścibski szpicel, który biega do służb tylko dlatego, że ktoś się z kimś pocałował i udawał cudzoziemca.

– Wysoki sędzie, incydent, którego byłem świadkiem, ujawniłem wyłącznie mężowi oskarżonej w rozmowie prywatnej. Wkrótce potem stałem się obiektem agresji i z tego powodu zwróciłem się z prośbą o radę do znajomej kapitan ABW.

– Jaką agresję ma świadek na myśli?

– Kilka dni później, gdy oskarżona dowiedziała się, że o pocałunku poinformowałem jej męża, ktoś podrzucił do mojego pokoju hotelowego cenny materiał dowodowy związany ze śledztwem IPN.

– Sprzeciw! – zawołał pełnomocnik Iwony Kern. – To nie ma związku ze sprawą! Poza tym proszę o zaprotokołowanie, że prokuratura w Opolu wystosowała wobec świadka akt oskarżenia w związku z przywłaszczeniem wspomnianych dowodów i świadek odpowie za to przed sądem.

Przewodniczący przyjął sprzeciw i oddał Kubę do dyspozycji oskarżenia i obrony.

Wyszedł spocony. Usiadł na ławce w korytarzu, czekając na Teresę Barską. Zanim skończyła zeznawać, wymienił kilka esemesów z Kasią.

– I co? – spytał, gdy kapitan ABW zamknęła za sobą drzwi.

– Sędzia wyznaczył termin następnej rozprawy – odparła. – To potrwa. Ale nas już nie będą ciągać. Zrobiliśmy swoje. Możemy wracać do domu.

Odmówili komentarza kilku opolskim reporterom, których nie wpuszczono na rozprawę, i wyszli z budynku.

– Mam prośbę – powiedział Kuba. – Spodziewałem się, że zastanę tu Tomasza Kerna, ale chyba uczestnictwo w rozprawie Iwony było ponad jego siły. Muszę z nim porozmawiać. Możemy na chwilę wpaść do Kopic? To godzinka drogi stąd. Będę jechał szybko – przyrzekł.

– Spoko – stwierdziła Barska. – Pan pogada, a ja zobaczę wreszcie miejsce, w którym spełniają się marzenia o gwiazdce z nieba. Chętnie tam połączę, może i na mnie coś skapnie.

Kuba miał na końcu języka, że jak dotąd Kopice spełniły marzenia jedynie Joanny von Schaffgotsch, bo ani Iwonie Kern, ani Salamie, córce szejka Ahmeda, nic z marzeń nie wyszło. Powstrzymał się jednak.

Do wsi wjechali chwilę po piętnastej.

Zostawił Teresę Barską w pobliżu ruin, obiecując, że zadzwoni zaraz po zakończeniu rozmowy z Tomaszem. Po czym podjechał pod dom Kernów i zapukał do drzwi.

Tak jak ostatnio otworzył Kamil. Był wyraźnie spłoszony.

– Zostałem ojca? – spytał Kuba.

– Zaraz powinien być – odparł chłopak. – Proszę, niech pan wejdzie i zaczeka.

Usiedli w kuchni.

– Wracam z Wrocławia. Myślałem, że...

– Tato nie chciał tam jechać. Mnie też nie pozwolił. On... On przechodzi jakąś przemianę.

– Rozumiem – powiedział Kuba. – Czy możesz mnie poczęstować szklanką wody?

– Jasne. – Kamil zsunął się ze stołka barowego. – Gazowana? Niegazowana?

– Może być bez gazu.

– Źle się pan czuje? – Chłopak przyjrzał mu się uważniej. – Bardzo pan zbladł.

– To zmęczenie. Wcześniej wyjechałem z Warszawy, a w nocy prawie nie spałem. Ostatnio mam z tym spore problemy.

– Bezsenność?

Kuba kiwnął głową.

– To tak jak tato. Proszę chwilę poczekać. – Kamil poszedł do łazienki, skąd wrócił z fiolką jakiegoś leku.

– To estazolam. Sam go czasami biorę. Łagodny środek wyciszający, bardzo dobrze działa na sen. Niech pan weźmie jedną wieczorem.

Kuba przyjrzał się fiołce, szukając polskiego opisu, ale nie znalazł.

– Tato przywozi ten lek z Francji – wytłumaczył Kamil.

– Bardzo ci dziękuję. Daj mi kawałek papieru, to sobie zawinę tabletkę.

– Proszę zabrać fiołkę – stwierdził Kamil. – Zostawiłem tam panu kilka pigułek, resztę przesypałem ojcu do innej. On ma tego spory zapas.

Podziękował raz jeszcze, chowając lek do kieszeni.

– Proszę pana – zaczął nieśmiało Kamil. – Czy to... co powiedziałem panu ostatnio... Czy to pojawiło się podczas procesu mamy?

– Nie – zapewnił Kuba. – Bądź spokojny. To zupełnie inna sprawa. A poza tym dałem ci słowo, że nie ujawnię tego publicznie.

– Dziękuję – powiedział cicho chłopak.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi wejściowe w przedpokoju.

– Cześć, Kuba – przywitał go Tomasz, wchodząc do kuchni. – Widziałem przed domem twój samochód. Przyjechałeś z Wrocławia?

– Tak. Liczyłem, że cię tam spotkam.

Twarz Kerna stężała.

– Nie chcemy tam być – oświadczył. – Kamil wrócił wczoraj z rekolekcji dla przyszłych kleryków. Obydwaj modlimy się za mamę, żeby Bóg jej wybaczył, ale w procesie nie będziemy uczestniczyć. Uważamy z synem, że nasza obecność w sądzie byłaby dla Iwonki dodatkowym stresem. Prawda, Kamil?

Chłopak potwierdził to złożeniem rąk jak do modlitwy.

Kuba pokiwał głową.

– Przyjechałem, żeby z tobą pogadać – zwrócił się do Tomasza.

Przez chwilę miał wrażenie, że Kern się zaniepokoił, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Pogadać? Okej. Co byś powiedział na krótki spacer? – zaproponował. – Przy okazji na chwilę zajrzę do firmy. W ogrodnictwie wiele się teraz dzieje. Musiałem zatrudnić dodatkowego pracownika – dodał z dumą.

Wyszli na zewnątrz. Tomasz chyba nie chciał, aby syn był świadkiem ich rozmowy.

– Pojedziemy twoim czy moim? – spytał.

– Może dwoma – orzekł Kuba. – Śpieszę się do Warszawy, nie chcę tu wracać.

– Dobra, jedź za mną.

### 3.

Minęli kilka przecznic, zbliżając się do peryferii miasta.

Kuba dopiero teraz zorientował się, że tuż za rogiem ulicy, przy której mieściło się ogrodnictwo Kerna, był skład drzewny. Rozpoznał przyczepę kempingową i przez chwilę miał wrażenie, że za zasłonką mignęła mu sylwetka dozorczy.

Zaparkował przy krawężniku tuż za zderzakiem pick-upa Tomasza. Wysiedli niemal w tym samym momencie i ruszyli powoli w stronę Grodkowskiej Strugi.

– Dziękuję, że mnie wtedy uprzedziłeś o śledztwie IPN-u – zaczął Kern. – Byli u mnie i u ojca.

– Zręcznie wykorzystałeś tę informację. – Kuba przystanął i przeszył go wzrokiem.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– To, co nastąpiło potem. Zaraz po naszej kolacji, przestraszony wizją śledztwa IPN, pobiegłeś do rodziców żony i umiejętnie ciągnąc ich za język, dowiedziałeś się, że rano wyjeżdżają do Opolą na zakupy przedświąteczne. Miałeś dwa asy w ręku: dużo czasu i zapasowe klucze od ich domu, które wiszą u was w przedpokoju. Korzystając z jednego i z drugiego, przewiozłeś do teściów posagowe srebra Joanny Schaffgotsch, które u siebie ukrywałeś. Po czym nie niepokoiony przez nikogo wniosłeś je na strych Gawryluków.

– Co ty bredzisz? – spytał Kern, ale Kuba udał, że nie słyszy.

– Wiedziałeś, że śledczy z IPN, prowadzący dochodzenie, z pewnością zechcą obejrzeć miejsce, w którym powiesił się dziadek Iwony – kontynuował. – Założyłeś, że tam wejdą i znajdą srebra, a wtedy to Gawrylukowie zostaną oskarżeni o rabunek i podpalenie pałacu w pięćdziesiątym szóstym. IPN uzna, że Iwona złożyła wniosek o ściganie zbrodni komunistycznej, żeby odwrócić uwagę od grzechów swojej rodziny. A Kernowie znów wyjdą bez szwanku, choć to oni obrabowali pałac. Sprytnie to wymyśliłeś, kolego – stwierdził Kuba. – Zrobiłeś tylko jeden błąd. Nie wzięłeś pod uwagę, że ja pierwszy wejdę na ten strych.

– Może trzeba było jednak tam nie wchodzić. – Tomasz uśmiechnął się szyderczo. – Bo podejrzewam, że uderzyłeś się w głowę o którąś z belek dachowych. Pewnie dlatego wymyślasz te niestworzone historie.

– Niestworzone? Mylisz się. Przyszedłem do ciebie bezpośrednio po wizycie u Gawryluków. Już wtedy chciałem ci wszystko powiedzieć, ale się nie spotkaliśmy. Kamil poinformował mnie, że wyjechałeś do Francji. Mimo to ucieliśmy sobie z twoim synem interesującą pogawędkę. Nic ci nie powiedział?

Tomasz Kern milczał.

– Czyli nie powiedział – stwierdził Kuba. – Za to mnie powiedział dużo ciekawych rzeczy. Na przykład to, że srebra, których zdjęcia mu pokazałem,

były u was w piwnicy. I że za każdym wyjazdem do Francji zabierałeś kilka z nich, aby tam je sprzedać o wiele drożej niż w Polsce. Oj, nieładnie, drogi Tomasz. Taka porządna rodzina, a wyszło na to, że Kernowie kradli łyżeczki z hrabiowskiego stołu – zakpił.

– Posuwasz się za daleko – ostrzegł Tomasz. – Kamil nigdy by ci czegoś takiego nie wyjawiał.

– Ależ niczego nie wyjawiał. Ja tylko zadałem mu parę pytań, powołując się na służbę Bogu, jaką właśnie zaczyna, i wątpliwość, czy dobrze jest startować do seminarium, łamiąc przykazanie o dawaniu fałszywego świadectwa. Twój syn po prostu powiedział prawdę. Bo tak mu nakazywało sumienie.

– Nie podoba mi się ta rozmowa – syknął Tomasz Kern. Mięśnie szczęk drgały mu pod skórą policzków.

– Nie dziwię się – uznał Kuba. – Możemy ją skończyć już za chwilę. Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie: dlaczego podrzuciłeś do mojego pokoju nuty kołysanki Czajkowskiego?

Kern stanął jak wryty.

– Człowieku, co ty chrzanisz? Idź się leczyć.

Kuba był pewien, że odejdzie, ale ciekawość tego, co wie przeciwnik, wzięła górę. Tomasz podszedł do ogrodzenia składu materiałów budowlanych i nonszalancko oparł się o płot.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości, że ty to zrobiłeś – rzekł spokojnie Kuba.

– Słucham twojej kolejnej chorej bajeczki. – Kern udawał wyluzowanego, ale widać było, że to poza.

– W sumie to zdecydowały szczegóły – zaczął Kuba. – Ale jak mówi przysłowie, w nich właśnie tkwi diabeł. Jak wiesz, oryginał kołysanki Czajkowskiego znajduje się w opolskiej prokuraturze jako koronny dowód mojej winy. A ponieważ jestem swoim własnym obrońcą, mam prawo do wglądu w materiał dowodowy. Skorzystałem z tego prawa. Dokładnie obejrzałem te nuty. Są na nich zastygłe krople smoły.

Tomasz drgnął.

– Pewnie nie zwróciłbym na nie uwagi, gdyby nie fakt, że wcześniej w archiwum widziałem zdjęcia z oględzin miejsca samobójstwa Gawryluka. Bardzo wyraźne zdjęcia. Wszystko jest tam poplamione takimi samymi kroplami smoły. Jedna z nich znalazła się nawet na czole powieszonoego. Jak piętno.

– Co to ma do rzeczy? – Kern nadal silił się na obojętność.

– Krótko przed śmiercią dziadek Iwony zakończył remont dachu – mówił dalej Kuba. – Zamontował nową więźbę, przybił do niej deski, położył papę i ją zasmołował. W miejsca, w których wiązary łączą się z belkami stropu, powtykał papiery. Dla lepszego uszczelnienia konstrukcji. Obejrzałem je podczas oględzin strychu twoich teściów. To z reguły stare dokumenty, gazety, jakieś afisze. Dużo przedwojennej makulatury naznaczonej kroplami smoły. Gawryluk wpychał pod wiązary wszystko, co mu wpadło w ręce. Papierowe pakunki są w każdym miejscu łączenia wiązarów z belkami. Poza jednym. Ktoś go niedawno stamtąd wyjął.

– Ojej – zakpił Tomasz. – To chyba trzeba wezwać policję.

Kuba nie zareagował na szyderstwo.

– Myślę, że było tak: tuż przed Wielkanocą wszedłeś na strych teściów, żeby podrzucić tam srebra Joanny, i zauważyłeś te papiery. Zaciekawiły cię, prawda? Zauważyłeś, że to nuty?

Kern odwrócił głowę.

– Wyciągnąłeś je i zrozumiałeś, co masz w ręku. Dotarło do ciebie, że Hans Ulryk Schaffgotsch nie zamówił dla żony na rocznicę ślubu jednej kołysanki, ale o wiele więcej. U kilku wybitnych współczesnych kompozytorów. Ile rękopisów nut znalazłeś?

– Powinieneś pisać książki sensacyjne – stwierdził Tomasz. – Masz wybitnie wybujałą wyobraźnię.

– Przestań udawać – powiedział Kuba. – Trzy z nich dopiero co sprzedałeś w Wiedniu. Pod swoim nazwiskiem.

Kern oderwał się od ogrodzenia. Jego twarz najpierw pociemniała, a sekundę później przybrała wyraz drapieżności. Jakub Kania miał



wrażenie, że patrzy na film, którego bohater przeistacza się w kogoś zupełnie innego. Tomasz zrobił krok w jego stronę i zacisnął pięści.

– Miałem do tego prawo! – krzyknął. – Gdyby nie mój prapradziadek, te dzieła by nigdy nie powstały. On je zamawiał u Czajkowskiego, Wagnera, Brahmsa i innych. Są własnością rodu Kernów! Rozumiesz? Moją własnością! Gawryluk, ten cham oderwany od gnoju, bydlak, który odebrał Kernom nasz dworek, wsunął nuty pod belkę na strychu, a równie dobrze mógł je spalić w piecu! Ten prostak nie miał pojęcia, z czym ma do czynienia. Mój dziadek i ojciec byli pewni, że rękopisy nut przepadły wraz z dworkiem. Ale ja je odnalazłem po prawie siedemdziesięciu latach! Odnalazłem i ocaliłem.

– I sprzedałeś.

– Miałem prawo – powtórzył z zawziętością w głosie.

– Ciekawe, czy rodzina Schaffgotschów będzie tego samego zdania.

– Gównu mnie to obchodzi! – wrzasnął Kern. – To ja uratowałem te utwory.

– Przy okazji podrzucając nuty Czajkowskiego do mojego pokoju. Wykorzystałeś fakt, że o odkryciu tej melodii zrobiło się głośno w mediach i wszyscy zastanawiali się, gdzie może być jej zapis. Gdy go odnalazłeś, doszedłeś do wniosku, że nadadzą się idealnie, żeby mnie pogrążyć. A przy okazji zrobić to tak sprytnie, żeby wyglądało na robotę zleconą przez twoją żonę. Brawo. To ty możesz pisać powieści sensacyjne.

– Niczego mi nie udowodnisz. – Tomasz skrzywił się w fałszywym uśmiechu.

– Zobaczymy – stwierdził Kuba. – W dniu, w którym byłem u ciebie na przedświątecznej kolacji, zginął mi klucz elektroniczny do pokoju. Znalazłeś go? Wiedziałeś, że wyjeżdżam na Wielkanoc, zostawiając rzeczy w hotelu. Mogłeś działać równie spokojne, jak na strychu swoich teściów. Ciekawe, ile osób z personelu cię widziało?

– Do hotelu można wejść, aby napić się kawy lub skorzystać z toalety – wysyczał Tomasz.

– Powiedz mi – naciskał Kuba – dlaczego? Co ci zrobiłem, że postanowiłeś mnie zniszczyć, poświęcając nuty kołysanki Czajkowskiego warte majątek?

Twarz Kerna wykrzywiła się jeszcze bardziej.

– To wszystko przez ciebie – wycedził głosem pełnym nienawiści. – Ty wydałeś moją żonę. Doniosłeś na nią. Do mnie i do organów ścigania. Zniszczyłeś nasze małżeństwo! – zaczął krzyczeć. – Symbol pojednania dwóch skłóconych rodzin! Ślązaków i repatriantów!

– A więc to ja. – Kuba pokiwał głową. – Ja wepchnąłem twoją żonę w ramiona farbowanego Holendra i namówiłem ją na przekręt w sprawie kupna Kopic? I pewnie też do tego, żeby złożyła wniosek do IPN-u o ściganie twojej rodziny w związku ze zbrodnią komunistyczną, czyli doprowadzeniem do samobójstwa Gawryluka?

Do Tomasz nie trafiały już argumenty.

– Wszyscy uczyniliście zło – perorował jak nawiedzony kaznodzieja. – Wszyscy. I wszyscy powinniście ponieść karę. Iwonę skaże sąd.

– A mnie ukarałeś ty – podchwycił Kuba. – Podrzucając nuty.

– Zasłużyłeś na to.

– Czyli potwierdzasz, że je znalazłeś i zostawiłeś rękopis Czajkowskiego w moim pokoju?

– Potwierdzam – powiedział zimno Kern. – I co ci to da? Co mi udowodnisz? Nic. Myślisz, że sąd kupi twoją bajeczkę o kroplach smoły? Wierzysz, że ktoś będzie badał nuty z hotelu i tamte, które sprzedałem w Wiedniu? Jak na prokuratora, jesteś bezdennie naiwny. I głupi. Przegrałeś, harcerzyku – stwierdził z pogardą.

Kuba poczuł, jak ogarnia go fala gniewu. Starał się ją opanować, ale mu się nie udało. Wyciągnął z kieszeni marynarki poszetkę, która maskowała dyktafon. Wyjął go i podsunął Tomaszowi pod nos.

– W sądzie okaże się, kto przegrał. Nagrałem wszystko, co przed chwilą powiedziałeś.

W tym samym momencie Kern chwycił go lewą ręką za przedramię, a prawą z całej siły uderzył w twarz.

Kuba stracił równowagę i przewrócił się, wypuszczając urządzenie, które upadło na chodnik. Tomasz podbiegł do dyktafonu i zmiażdżył go obcasem. Schylił się po kamień, aby to samo zrobić z głową Jakuba Kani, gdy nagle kilkoma susami dopadł do niego niewysoki, niezwykle sprężysty człowiek.

Kern zamachnął się na niego trzymanym w dłoni kamieniem, ale tamten z dużą wprawą uniknął ciosu i wymierzył mu dwa lewe proste, tak szybkie i silne, że Tomasz poleciał na ogrodzenie, o które się wcześniej opierał. Przeciwnik dopadł go jednym susem i z pochwy przy pasku wyciągnął nóż.

– Nie! – krzyknął Kuba.

Nożownik drgnął, jak ktoś wyrwany z transu, zatrzymał się, opuścił uzbrojoną rękę i pozwolił, aby Kern oszołomiony ciosami pięści osunął się na ziemię.

Schował nóż i podszedł do Jakuba Kani, który próbował wstać z chodnika. Podał mu rękę. Kuba rozpoznał Józefa Galicę.

– Usłyszałem jakieś wrzaski – wyjaśnił dozorca składu drzewnego. – I przyleciałem. Niepotrzebnie żeś mnie pan powstrzymał. – Spojrzał na Kubę z naganą. – Mogła to być obrona konieczna. – Pieszczotliwie pomacał nóż. – To on pana zaatakował i chciał załatwić kamieniem. – Splunął w stronę Kerna. – Nienawidzę tego śmiecia i całej tej jego świętej rodzinki. A pan przecież jesteś od Iwonki.

Kubę przeszedł dreszcz na samą myśl, co by się teraz stało, gdyby Galica miał świadomość, że to on wpakował Iwonkę do aresztu. Nachylił się i pozbierał z chodnika to, co zostało z dyktafonu.

– Dziękuję – powiedział. – Niewykluczone, że uratował mi pan życie. Nie wiem, co wstąpiło w tego człowieka. – Wskazał podbródkiem Kerna siedzącego pod płotem.

Galica spojrział w tamtą stronę i cmoknął z żalem psa, któremu wydano zakaz rozszarpywania innych stworzeń.

– Uuuu... – Teresa Barska przyjrzała się guzowi pęczniejącemu pod okiem Jakuba Kani. – Widzę, że w rozmowie do głosu doszły emocje. Co to się wydarzyło? – spytała, zapinając pasy.

Kuba zrelacjonował wydarzenia ostatniej godziny.

– Ciekawa postać ten Tomuś – skwitowała. – Niby taki lalusz i pantoflarz, a tu proszę. Mistrz kamuflażu, ekspert od podrzucania dowodów i kiler, gotowy zatłuc przeciwnika kamieniem. No marzenie służb specjalnych. Oczywiście nie naszych – dodała z miną niewiniątka. – My tacy nie jesteśmy.

Kuba chciał zrobić sceptyczną minę, ale śliwa pod okiem zaprotestowała.

– Myśli pan, że ma więcej tych kołysanek?

– Tego się nie dowiemy. Może i ma więcej, skoro tak łatwo poświęcił nuty Czajkowskiego, aby mi zaszkodzić. Zresztą, te trzy, które sprzedał w Wiedniu, ustawiają go do końca życia.

– Zastanawia mnie – Barska postukała palcem w deskę rozdzielczą – jak mu się udało je sprzedać.

– W jakim sensie?

– Można tak wejść do domu aukcyjnego i powiedzieć „*Hello, mam do spalenia nieznane utwory Wagnera, Verdiego i Brahmsa*”, a oni „*Super, dawaj. Ile chcesz? Dwa, trzy miliony dolarów?*”. Tak to działa?

– Oczywiście, że nie. Trzeba potwierdzić autentyczność, no i przedstawić dokumenty dowodzące prawa własności.

– No właśnie – powiedziała Barska. – I tu jest słaby punkt. Przecież Kern nie był ich właścicielem.

– Obawiam się, że sprytnie z tego wybrnął.

– Jakim cudem?

– Hrabia Hans Ulryk Schaffgotsch zlecił swojemu kapelmistrzowi zamówienie kilku, może nawet kilkunastu kołysanek. Stać go było – wyjaśnił wątpliwość Barskiej, zanim zdążyła o to zapytać. – Więc kapelmistrz jeździł po Europie i rozmawiał z wybitnymi twórcami muzyki. U kogo był i kto się zgodził skomponować kołysankę dla Joanny, nie wiemy. Wiemy za to, że wszystkie te utwory zagrała później orkiestra

filharmoników wrocławskich zaproszona do Kopic. To miała być niespodzianka dla żony. Wiele razy o tym myślałem i coś mi tu nie pasowało. Hrabia sprowadziłby tylu instrumentalistów, żeby zagrali jeden utwór? – zastanawiałem się. Zrozumiałem dopiero wtedy, gdy dotarło do mnie, że kołysanek było wiele.

– Co to ma wspólnego z prawami własności?

– Już wyjaśniam – zreflektował się Kuba. – Otóż kapelmistrz Schaffgotschów nazywał się Kern i był prapradziadkiem Tomasza. Zawierał umowy z kompozytorami, wpłacając zaliczki i podpisując te umowy swoim nazwiskiem. Teraz pani rozumie? Tomasz znalazł te umowy razem z nutami i kiedy pokazał je w domu aukcyjnym, nikt nie miał wątpliwości, że kołysanki wystawione na sprzedaż należały do jego rodziny.

– Skąd pan to wie?

– Od profesora z Wiednia, który przed transakcją potwierdzał autentyczność nut.

– Cwana bestia ten Kern – uznała Barska. – Mam ochotę bliżej go poznać.

– Co? – Kuba na chwilę oderwał wzrok od sytuacji na jezdni.

– Spokojnie – uśmiechnęła się. – Nie zamierzam się mu oświadczać, choć jest bogaty i pewnie wkrótce będzie wolny. Ale chętnie go sobie obejrzę. Ostatnio sporo się tym zajmowałam. Tak przy okazji: ma pan ten zniszczony dyktafon?

– Mam.

– Pan da. Zobaczymy, czy coś tam nie ocalało z pańskich podstępnych nagrań.

Kuba podał jej resztki urządzenia wyjęte z kieszeni marynarki.

Spojrzała z dezaprobatą.

– Po cholere pokazywał pan dyktafon Kernowi? – spytała z przyganą. – Trzeba go było trzymać w kieszeni i wyjąć dopiero w sądzie, a nie wymachiwać mu przed nosem. Czy wy, samce, musicie zawsze udowadniać temu drugiemu, że wasze jest na wierzchu?

Kuba wzruszył ramionami i dodał gazu.

## 5.

Wysoki oficer Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego uściśnął dłoń mężczyzny, z którym spotkał się w Parku Ujazdowskim niedaleko ambasady USA. Pożegnali się, po czym funkcjonariusz ABW zadzwonił do kierowcy, czekającego przy ulicy Chopina, aby wracał na Rakowiecką bez niego.

– Przejdę się – powiedział. – Jak wrócisz do fabryki, przekazaj kapitan Barskiej, żeby do mnie zajrzała. O której? – powtórzył pytanie, które zadał kierowca, i spojrzął na zegarek. – Za czterdzieści pięć minut.

Rozłączył się i skręcił w kierunku alei Róż. Bardzo lubił ten zakątek Warszawy. Uważał, że dobrze się tu spaceruje, a jeszcze lepiej porządkuje myśli.

Trzy kwadransy później Teresa Barska zapukała do drzwi jego gabinetu.

– Melduję się, panie pułkowniku.

– Siadaj – wskazał jej krzesło. – Mam dla ciebie wiadomość.

Pani kapitan ABW spojrzała na niego, robiąc skupioną minę.

– Amerykanie potwierdzili, że twój szejka Ahmed to szemrana postać. Jego kuzyn w Libanie oficjalnie handluje słodyczami, ale do ochrony suszonych daktyli zatrudnia prywatny oddział militarny. Jankesi uważają, że te wzmocnione środki ostrożności wynikają z faktu, że kuzyn Ahmeda obawia się, że Izraelczycy odstrzelą mu łeb. Trudno się dziwić. Facet należy do Hezbollahu i wspiera obozy szkoleniowe ich bojówek. Jeździ porsche z karabinem maszynowym na dachu. Zgadnij, kto mu załatwił takie auto.

– Marcin Wandaś.

– Dokładnie tak. Przez szejka Ahmeda. To podpada pod ściganie terrorizmu, zwłaszcza że Unia Europejska uznaje zbrojne ramię Hezbollahu za organizację zagrażającą bezpieczeństwu na świecie. To oni dokonali dwa lata temu zamachu na lotnisku w Burgas. Możesz wysyłać list gończy za Wandasiem.

Barska skinęła głową.

Dwa tygodnie później zadzwoniła do Jakuba Kani.

– Dobrze byłoby się spotkać – powiedziała. – Może teraz ja zaproszę pana na kremówkę?

– Jest jakaś okazja?

– Raczej na pocieszenie. Z pańskiego dyktafonu nie da się niczego odzyskać. Chciałabym go panu oddać.

– Proszę go przy okazji wrzucić do pojemnika na elektrośmieci.

– Nalegam. Niedaleko agencji są fantastyczne kremówki. – Wymieniła adres.

– Nie znam – stwierdził Kuba, nieudolnie maskując przygnębienie, które ogarnęło go po definitywnej stracie nagrania.

– No cóż, papież ich nie reklamował jak tych z Wadowic, ale są warte uwagi. Najlepszym sposobem, aby się o tym przekonać, jest się przekonać.

– Dobrze. Podjadę za godzinę.

– Będę pana wypatrywać.

Godzinę później położyła na stoliku szczątki dyktafonu w foliowej torebce na dowody rzeczowe i zrobiła bezradną minę.

– Sam jestem sobie winien – uznał Kuba. – Niemniej dziękuję za starania.

– Nie ma za co. Mam nadzieję, że poradzi pan sobie w sądzie, przedstawiając to, co pan odkrył z tymi kołysankami i kombinacjami Kerna.

– Wątpię.

– Trzeba wierzyć – pocieszyła go. – Skoro pani radnej się udało, to może i panu się uda.

– Co pani mówi?

– Nie słyszał pan? W ubiegły piątek dostała wyrok trzech lat pozbawienia wolności w zawieszeniu. Nie pójdzie do więzienia. Chyba że znów coś wykombinuje, ale raczej nie będzie miała okazji, bo ma zakaz pełnienia funkcji publicznych. Straciła mandat radnej i na Opolszczyźnie jest spalona.

– Poradzi sobie – uznał Kuba. – Trochę pochlipie, poskarży się, że Holender ją uwiódł, i mąż przyjmie ją z powrotem.

– I tu się pan myli.

Kuba spojrział na nią zaskoczony.

– Pański kolega Tomasz ograł wszystkich. Wkrótce po naszej pamiętnej wizycie w Kopicach, podczas której pana znokautował, wyjechał do Prowansji. Kupił tam dom i niewielką winnicę. Resztę pieniędzy ze sprzedaży kołysanek przeznaczył pewnie na wygodne życie i rozrywki na Lazurowym Wybrzeżu. Dzień przed wyjazdem u notariusza w Grodkowie sprzedał też swoje ogrodnictwo i dom w Kopicach. Szybkość, z jaką to wszystko załatwił, sugeruje, że od jakiegoś czasu dopracowywał ten plan.

– Dlatego nagle zmienił front i nakłaniał syna do pójścia do seminarium. W ten sposób ma go z głowy. Chłopak teraz zamieszka w domu dla kleryków, a potem pójdzie do jakiejś parafii.

Zastanowił się przez chwilę.

– A co z Iwoną? Przecież dom w Kopicach należał też do niej.

– I tu też się pan myli. Sama wymyśliła parę lat temu rozdzielenie majątkową, żeby lepiej wyglądały jej oświadczenia obowiązujące polityków. Wszystko przepisała na męża. Była pewna, że w pełni nad nim panuje. Przeliczyła się.

– No to została na lodzie – uznał Kuba. – Bez pracy, bez domu i bez faceta, bo z tego, co pani mówiła, jej szarmancki holenderski kochanek związał się z doradczynią szejka. Której raczej nie zostawi dla Iwony Kern. Zwłaszcza teraz.

Twarz Barskiej przybrała dziwny wyraz.

– Marcin Wandaś nie żyje – oświadczyła.

Kuba znieruchomiał.

– Co się stało?

– Potwierdziły się podejrzenia o kontakty szejka Ahmeda z frakcjami terrorystycznymi w Libanie. Wandaś był w to zamieszany. Dostarczał broń. Kiedy się oficjalnie o tym dowiedzieliśmy, wysłaliśmy



do holenderskich kolegów list gończy. Tego samego dnia przyszła odpowiedź, że Maarten van Daas został zamordowany na stacji Waterlooplein w Amsterdamie. Ktoś go wepchnął pod pociąg metra.

– Kto?

– Kamery monitoringu zarejestrowały to zajście, ale widać na nich tylko mężczyznę w bluzie z kapturem. Tylko na jednym ujęciu jest fragment jego twarzy. Za mało, żeby sporządzić portret. Zdaniem Holendrów był to zawodowiec.

– A pani zdaniem?

– Nie mam powodów, aby myśleć inaczej. Pewnie to ktoś z dawnych kolegów z Legii Cudzoziemskiej, z którymi robił ciemne interesy. Chyba że szejk się zdenerwował, ale nie sądzę.

– Kiedy to się stało?

– Dwudziestego maja, wieczorem.

Kuba wpatrywał się w nią w największym skupieniu. Nagle wstał od stolika.

– Proszę tu na mnie poczekać.

– Gdzie się pan wybiera?

– Do samochodu. Będę za dziesięć minut – rzucił i dosłownie wybiegł z kawiarni.

Wrócił zdyszany.

– Gdy byliśmy w Kopicach wtedy, gdy doszło do szarpaniny – powiedział, starając się uspokoić oddech – czekałem na Kerna w domu. Rozmawiając z jego synem, poskarżyłem się na bezsenność i chłopak dał mi parę tabletek estazolamu, który Tomasz przywozi sobie z Francji, bo od lat cierpi na tę samą dolegliwość. Nie zażywałem ich. Wolałem najpierw zapytać lekarza o zdanie. Wrzuciłem fiolkę do schowka w samochodzie i tyle.

Barska słuchała uważnie, choć nic z tego nie rozumiała.

– Coś mnie wtedy zastanowiło, ale to zlekceważyłem, bo miałem większe problemy na głowie.

– Co?

Kuba postawił przed nią fiolkę.

– Skoro Tomasz przywozi estazolam z Francji, to dlaczego na tym opakowaniu jest naklejka z apteki przy Jodenbreestraad w Amsterdamie?

– Co pan chce przez to powiedzieć? – Kapitan ABW zaczynała nabierać podejrzeń.

Jakub Kania odszukał mapę miasta w telefonie.

– Proszę spojrzeć – wskazał ekran. – Ta apteka położona jest o sześć minut spacerem od stacji metra Waterlooplein.

– To jeszcze o niczym nie...

– Niech pani uważnie przyjrzy się naklejce. Poza adresem apteki jest też cena i data sprzedaży leku.

– Dwudziesty maja – odczytała Barska.

– Tomasz Kern był tam wtedy – stwierdził Kuba i otworzył kalendarz w telefonie. – Do Francji wyjechał czternastego. Piętnastego policja zatrzymała Iwonę Kern. Ja szesnastego byłem na strychu Gawryluków, a potem u Kamila. Tomasz już wiedział o aresztowaniu żony. Na stronach internetowych lokalnych mediów aż huczało. Przeczytał, że Maarten van Daas zdążył uciec za granicę. Nikt nie wiedział dokąd. Ale on wiedział. Wcześniej, gdy poinformowałem go o zdradzie Iwony, przeszukał jej rzeczy i znalazł notes, a w nim adres Maartena w Amsterdamie. Niedaleko stacji Waterlooplein.

Teresa Barska słuchała go z coraz większą uwagą. Milczała.

– Sprawdźcie listy pasażerów samolotów z Nicei do Amsterdamu od siedemnastego do dwudziestego maja, a mogę się założyć, że znajdziecie na nich Kerna.

Kapitan ABW sięgnęła po fiolkę, stojącą na stoliku.

– Mogę to zatrzymać?

– Jest dla pani. Tylko proszę nie zażywać. Usypia. Kamil Kern powiedział, że estazolam to najlepsza kołysanka.

## EPILOG

**Wrzesień 2014 roku**

To nie było dobre lato.

W połowie lipca funkcjonariusze francuskiej *police judiciaire* aresztowali w posiadłości niedaleko Aix-en-Provence Tomasza Kerna, oskarżonego przez władze holenderskie o zabójstwo Maartena van Daasa. Policjanci zastali go w przydomowym basenie, w którym zażywał kąpieli wraz z młodą obywatelką Białorusi. Miała na imię Waleria i obdarzyła funkcjonariuszy kryminalnych widokiem swojego zgrabnego ciała w skąpych kostiumie kąpielowym, gdyż właśnie wychodziła z wody przygotować lemoniadę.

Z Tomaszem, który podawał się za zamożnego polskiego arystokratę, mieszkała od tygodnia. Po sierpniowym winobranii mieli wypłynąć w rejs po Morzu Karaibskim największym wycieczkowcem świata, ale policja brutalnie udaremniła te plany.

Dwaj funkcjonariusze po cywilnemu odprowadzili do samochodu skutego Tomasza Kerna, który ciągle ociekał wodą i głośno protestował w nieznanym im języku. Nie mógł wiedzieć, że kilka dni wcześniej komputer laboratorium kryminalistyki w Amsterdamie porównał jego zdjęcia przysłane z Polski z zapisem kamer monitoringu na stacji metra Waterlooplein. Nie było najmniejszych wątpliwości, że człowiek w kapturze, który wepchnął Maartena van Daasa pod pociąg, i Tomasz Kern to ta sama osoba. Widoczny fragment twarzy w zupełności do tego wystarczył.

W tym czasie, gdy aresztowany dreptał do nieoznakowanego radiowozu w mokrych slipkach, dwie funkcjonariuszki wydziału kryminalnego rozpoczęły przeszukanie domu. Słyszły ze staranności i chociaż tym razem nie znalazły niczego, co mogłoby mieć związek z morderstwem

Holendra, to w ich ręce wpadł album malarstwa impresjonistów, a w nim rękopisy nut.

Album pełnił funkcję prasy, bo stare, dziewiętnastowieczne papiery nosiły ślady zginania i zwijania w rulon. Trzeba je było wyprostować między reprodukcjami Moneta i Renoira, przyciskając okładkę dwoma hantlami. Od jakiegoś czasu Tomasz Kern codziennie poprawiał sylwetkę, starając się nadać jej kształt godny swojego nowego życia.

Nuty odnalezione przez wnikliwe francuskie policjantki były podpisane przez Hectora Berlioza, Georges'a Bizeta i Franciszka Liszta, należących do elity światowych kompozytorów wszech czasów. Wszystkie zawierały kołysanki datowane w roku piątej rocznicy ślubu Joanny i Hansa Ulryka von Schaffgotschów. Najwyraźniej Kern chciał je sprzedać nieco później, żeby nie wywoływać jeszcze większej sensacji niż ta, jaka wybuchła niedawno na aukcji w Wiedniu.

Powiadomiony o odkryciu kolejnych muzycznych unikatów prokurator IPN Jakub Kania sięgnął do szuflady biurka i wydobył z niego listę kompozytorów, u których prapradziadek Tomasza Kerna mógł zamówić kołysanki na zlecenie swojego hrabiego. Sporządził ją jeszcze w czerwcu po telefonie pani profesor z instytutu Chopina. Wybrał największych, którzy byli wtedy w pełni sił twórczych.

Cztery nazwiska już skreślił.

Czajkowskiego podrzuconego do hotelu. Wagnera, Brahmsa i Verdiego sprzedanych w Wiedniu. Teraz sięgnął po ołówek i postawił kreski na kolejnych trzech, których nuty znalazła francuska policja w domu Kerna.

Zostało pięć wybitnych nazwisk: Bedřich Smetana, Stanisław Moniuszko, Henryk Wieniawski, Aleksander Borodin i Modest Musorgski. Czy kapelmistrz Schaffgotschów do nich też dotarł? – zastanowił się Kuba i przyszło mu na myśl, że jeśli te kołysanki powstały, to właśnie je dziadek Tomasza Kerna musiał podarować Chaczaturianowi w zamian za ocalenie życia. Były swojskie, słowiańskie, mniej niebezpieczne w czasach szalejącego stalinizmu niż utwory kompozytorów z Zachodu. Ale jeśli

istniały i Chaczaturian dostał nuty od Kerna w Kopicach, to dlaczego nie ujrzały światła dziennego? Dlaczego radziecki kompozytor nigdy ich nie ujawnił? Może chciał, a potem ukrył, gdy zaczął być prześladowany? Może nadal czekają na odkrycie? A może tak naprawdę nigdy nie powstały?

Pytania bez odpowiedzi – uznał Kuba. Już chciał zmiąć listę w kulkę i wyrzucić do kosza pod biurkiem, ale po chwili namysłu odłożył ją jednak z powrotem do szuflady.

Od kilku dni spoczywało w niej pismo opolskiej delegatury IPN o zakończeniu dochodzenia w Kopicach. Jego rezultatem była pełna rehabilitacja Jana Gawryluka, który zginął śmiercią samobójczą na skutek pomówienia, aresztowania i śledztwa stalinowskich organów ścigania. Oficjalnie uznano go za ofiarę zbrodni komunistycznej.

Ponad wszelką wątpliwość udowodniono, że autorem donosu rozpoczynającego nagonkę na Gawryluka był Alfred Kern – ojciec Huberta i dziadek Tomasza. Wobec niemożności ścigania sprawcy IPN ograniczył się do wydania oświadczenia w tej sprawie. Podkreślono w nim, że Kern już w czterdziestym piątym roku nawiązał kontakty z sowieckim NKWD, dzięki czemu nie został zmuszony do wyjazdu do Niemiec. Otrzymał za to przydział na dom i cieszył się licznymi przywilejami.

Srebrną zastawę stołową znaną na strychu Gawryluków zdecydowano przekazać spadkobiercom Joanny i Hansa Ulryka Schaffgotschów. Bez wnikania w ostatnie siedemdziesiąt lat jej historii.

Sprawcy rabunku i pożaru pałacu w pięćdziesiątym szóstym roku pozostali nieznani.

Iwona Kern przepadła bez wieści.

Mówiono, że zmieniła nazwisko i wyjechała na Pomorze. Inna wersja utrzymywała, jakoby nielegalnie opuściła granice kraju, rozpoczynając nowe życie gdzieś, gdzie łatwiej wmieszać się w tłum, a ludzie są mniej wścibscy. Być może rozwiązanie tej zagadki znali jej rodzice lub syn. Ale państwo Gawrylukowie przestali otwierać drzwi obcym, a Kamil przebywał od czerwca w klasztorze kamedułów na Bielanach w Krakowie.

Do czasu rozpoczęcia nauki w seminarium postanowił zamieszkać w ciasnej, spartańsko urządzonej celi, zachowując samotność, post, pokutę i całkowite milczenie.

Pod koniec lipca napisał list do Jakuba Kani.

Zawiadomił w nim prokuratora IPN, że codziennie się za niego modli, bo najwyraźniej Bóg chciał, aby odkrył grzechy jego rodziców i przerwał zło, w którym tkwili. Kuba przez chwilę poczuł się jak anioł z płonącym mieczem, ale szybko uznał tę myśl za przejaw pychy. Pierwszego z grzechów głównych.

Kamil napisał również, że przed wyjazdem do klasztoru spędził kilka dni z dziadkiem Hubertem. Modlili się, aby wydarzenia tej wiosny i lata okazały się sprawiedliwą karą i oczyszczeniem. Kamil wypowiadał to głośno, Hubert w duszy. Może nawet głośniejsze, bo kilka razy płakał, a na koniec rekolekcji z wnukiem wyjął z szuflady święty obrazek, który mu wręczył. Na kartce napisał, że to symbol ostatecznego zerwania z przeszłością.

„Bardzo pana proszę – pisał Kamil – aby pan przy nadarzającej się okazji umieścił ten obrazek w kościele pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa w Bytomiu-Szombierkach. Ja nie zdążę tam pojechać przed wstąpieniem do seminarium”

Kuba nożykiem do papieru delikatnie podważył tył oszklonej ramki i wyjął wizerunek Matki Boskiej Piekarskiej. Był bardzo stary, ale na odwrocie zachowała się wyblakła, ręcznie nakreślona inskrypcja, upamiętniająca cudowne ocalenie syna. Napisana przez Franciszkę Godulę. Matkę Karola, który pewnie potem przekazał obrazek małej Joasi Gryzik. Prokurator IPN pomyślał, że ma przed sobą niezbity dowód na to, że Kernowie przejęli najcenniejsze pamiątki Schaffgotschów pozostawione w Kopicach, ale zupełnie go to w tej chwili nie obchodziło.

We wrześniu, w drodze na swój proces w Opolu, zajrzał do Szombierek.

Kościół zrobił na nim duże wrażenie. Zbudowała go Joanna von Schaffgotsch, aby po sześćdziesięciu latach sprowadzić tu szczątki Karola

Goduli, swojego dobroczyńcy, spoczywające na cmentarzu we Wrocławiu.

Kuba przyklęknął nad kryptą, w której spoczął król cynku, i wtedy zauważył starszego, zgarbionego księdza krzątającego się koło ołtarza. Mimo że dzień był ciepły, duchowny nosił czarną wełnianą kamizelkę sięgającą do połowy uda, założoną na sutannę. Przez głowę Jakuba Kani przebiegła myśl, że przeniósł się w czasie i ma przed sobą księdza Kamila Kerna za trzydzieści lat. Podobieństwo było uderzające.

Pozdrowił księdza, który lekko się spłoszył, ale po wysłuchaniu krótkiego i złagodzonego streszczenia opowieści Kubu mocno się wzruszył. Gdy sięgał po obrazek podarowany Karolowi Goduli przez matkę ponad sto lat temu, dłonie mu drżały.

Obiecał, że parafia otoczy go szczególną opieką, znajdując godne miejsce w murach kościoła. Odprowadził Kubę do kruchty, powtarzając „Bóg zapłać”, jak refren dziękczynnej pieśni religijnej. Tu się pożegnali.

Prokurator IPN umoczył opuszki palców w naczyniu z wodą święconą i unosił dłoń do czoła, gdy ujrzał Karola Godulę.

Jego portret wisiał na parafialnej tablicy ogłoszeń i był reprodukcją witrażu wykonanego w Berlinie. Przedstawiał mężczyznę o stanowczych rysach, silnie zarysowanej szczęce i długich siwych włosach. Połowa jego twarzy była pogrążona w mroku, w którym kryła się jakaś demoniczność, podobnie jak w zdrowym oku portretowanego.

Witraż zniknął. Był cenny i został wpisany na listę dzieł sztuki zaginionych podczas drugiej wojny światowej, ale nikt nie wiedział, co się z nim stało. Szeptano, że była to sprawka diabła.

Kuba był innego zdania. Wierzył, że ktoś po prostu spełnił wolę Karola Goduli, który w testamencie nakazał, by zniszczono wszystkie jego wizerunki i pamiątki po nim. Obrazek, który przywiózł do Szombierek, był ostatnią z nich.

Spojrzał na reprodukcję witrażu raz jeszcze i wtedy zauważył komunikat w czarnych ramkach, przypięty tuż obok do kościelnej tablicy ogłoszeń. Zawiadamiał o mszy żałobnej za duszę Marcina Wandasia. Podpisało go

parafialne środowisko rodzin górniczych kopalni „Szombierki”, w której ojciec zmarłego przepracował całe swoje zawodowe życie.

Noc spędził w Opolu, w hotelu przy Oleskiej.

Mimo że przyjechał dzień wcześniej, aby odpocząć przed procesem, nic z tego nie wyszło. Budził się kilkakrotnie, a w głowie wyrwanej z koszmarne snu szeleściły papiery: sentencja wyroku skazującego w sprawie karnej, wypowiedzenie umowy o pracę w IPN z wykropkowaną datą, w miejsce której dyrektor wpisał termin rozprawy i rachunki do zapłacenia, choć nie wiadomo z czego. We śnie wszystkie wydrukowane były na papierze w pięciolinie.

Rano, ku zaskoczeniu personelu, zrezygnował ze śniadania. I tak by go nie przełknął. Zaparkował przed sądem na Plebiscytowej, wszedł do budynku po dawnych koszarach i usiadł na ławce w korytarzu. Starał się nie patrzeć na fircyka, który chodził tam i z powrotem, szykując się do starcia jak bokser wagi koguciej. Niebieski garnitur zastąpił togą z czerwonym żabotem.

W czasach, kiedy Jakub Kania nosił taką samą togę, miał pewien zwyczaj. Wchodząc na salę rozpraw, dążył do kontaktu wzrokowego z sędzią lub sędzią. Starał się odgadnąć ich nastawienie do rozstrzyganej sprawy. Rzadko się mylił. Znudzenie, zniecierpliwienie, niechęć lub irytacja nigdy nie wróżyły niczego dobrego. I odwrotnie: przychylna mina zwiastowała powodzenie.

Ale dziś było inaczej.

Szczupły sędzia, sprawiający wrażenie, że łańcuch z orłem nadmiernie go obciąża, miał twarz jak wyrzeźbioną w kamieniu. Żadnego wyrazu, żadnej mimiki. Zawodowi pokerzyści osiągają taki stan perfekcji po dwudziestu latach gry.

Odzywał się tylko wtedy, kiedy musiał.

Z idealnie obojętną miną słuchał ataków fircyka i jego płomiennych tyrad, pełnych oburzenia, że człowiek, który śmie nazywać siebie prokuratorem, dokonuje kradzieży cennych dowodów rzeczowych.



Z idealnie obojętną miną przyjmował obronę Kuby sklejoną kroplami smoły. Z idealnie obojętną miną rejestrował zeznania świadków. Policjantów, którzy ujawnili nuty w pokoju hotelowym, i recepcjonistki, która w pierwszy dzień świąt Wielkiejnocy widziała na terenie obiektu Tomasza Kerna.

Po dwóch godzinach sędzia zarządził przerwę. Po niej miał ogłosić wyrok.

Tym razem fircyk tkwił nieruchomo w korytarzu. Przypominał boksera, który w narożniku czeka, aż sędzia ringowy uniesie w górę jego rękę, a na sali rozlegnie się krzyk triumfu.

Weszli po piętnastu minutach.

Z idealnie obojętną miną sędzia ogłosił wyrok. Uniewinnienie.

W uzasadnieniu sędzia stwierdził, że prokuratura nie zbadała okoliczności, w jakich rękopis kołysanki Czajkowskiego mógł się znaleźć w pokoju hotelowym oskarżonego.

– Dowody winy opisane w akcie oskarżenia budzą wątpliwości sądu – dodał. – Zwłaszcza w związku z późniejszymi wydarzeniami dotyczącymi Tomasza Kerna i jego udziału w sprawie.

Fircyk, czerwony jak piwonia, prychnął gniewnie. W tym samym momencie kamienna twarz sędziego straciła swą idealną obojętność.

Przewodniczący składu przywołał oskarżyciela do siebie, a kiedy ten podszedł do stołu, sędzia spytał, gdzie kończył studia prawnicze. Usłyszał odpowiedź i wyraźnie się skrzywił. „Ja również” – zwierzył się fircykowi i dodał ciszej, choć Kuba wychodzący z ławy oskarżonych usłyszał wyraźnie: „Nie przynosi pan chluby naszej uczelni”

Napięcie kilku miesięcy opadło z niego na schodach budynku sądu. Tak odczuwalnie, że musiał przytrzymać się poręczy. Wyszedł na zewnątrz, kilka razy odetchnął głęboko i poszedł do samochodu. Wyjechał z dziedzińca dawnych koszar, włączając się do ruchu na Plebiscytowej. Kilkaset metrów dalej, na wysokości ulicy Ozimskiej, nie zauważył volkswagena, który wtargnął na skrzyżowanie na czerwonym świetle.

Łoskot zderzenia był przerażający.

Jakub Kania dopiero co dostał zielone światło, a że nigdy nie startował z piskiem opon, ruszył miarowo i nie zdążył osiągnąć dużej prędkości. Za to bezmyślny kierowca volkswagena, przekonany, że się wciśnie, nacisnął pedał gazu z całej siły.

Świadkowie byli przekonani, że nikt z uczestników wypadku nie przeżył.

Zabrano ich na noszach, karetkami, których sygnały słychać było jeszcze przez kilka minut, gdy przeciskały się Ozimską do szpitala wojewódzkiego przy ulicy Katowickiej.

Kuba spędził w nim dwa tygodnie, po których pozwolono mu wrócić do domu w kołnierzu ortopedycznym, usztywniającym szyjny odcinek kręgosłupa. Lekarz wypisał mu miesiąc zwolnienia.

Dziesięć dni później, z dokumentami wypadku, jednoznaczną opinią rzeczoznawcy oraz kopią protokołu policyjnego potwierdzającego winę kierowcy volkswagena pojechał do siedziby towarzystwa ubezpieczeniowego.

Ale agent przyjmujący zgłoszenie nie dostrzegł konieczności kasacji auta i wypłaty odszkodowania. zaproponował naprawę w warsztacie wskazanym przez ubezpieczyciela. Równie dobrze mógł uznać, że krzesło, które spadło z balkonu na dziesiątym piętrze i połamało się w drzazgi, da się skleić i nadal użytkować.

Kuba, wykorzystując swoją wiedzę prawniczą, zażądał rozmowy z przełożonym agenta.

Ku jego zdziwieniu dwa dni później otrzymał telefon z zaproszeniem do gabinetu prezesa towarzystwa.

Elegancki dżentelmen, który go przyjął, nie chciał wracać do historii wypadku. Z przepaszającym uśmiechem wręczył Kubie decyzję uznającą kasację oraz pełną sumę odszkodowania. Po czym uprzejmym gestem wskazał mu fotel i zaproponował kawę.

Rozmawiali ponad godzinę.

Tydzień później odebrał telefon swojego dyrektora z IPN.

– Słyszę, że jutro wraca pan do pracy – głos przełożonego brzmiał radością.

– Tak, panie dyrektorze – potwierdził uprzejmie Kuba.

– Wobec tego zapraszam o dziewiątej. Mamy sobie coś do wyjaśnienia.

– Oczywiście, panie dyrektorze. Będę punktualnie.

Rano włożył najlepszy szary garnitur, błękitną koszulę i bordowy krawat. Zestaw, którego używał na specjalne okazje.

Dyrektor rozpromienił się na jego widok.

– Proszę siadać. Jak się pan czuje?

– Dziękuję. Wczoraj zdjąłem kołnierz ortopedyczny. – Kuba mimowolnie dotknął szyi. – Teraz będzie już tylko lepiej – oświadczył i spojrzał na dyrektora.

Szefa pionu śledczego IPN nie wiedzieć czemu zastanowiło to spojrzenie. Chrząknął i sięgnął do szuflady biurka.

– Mam tu to nieszczęsne wypowiedzenie umowy o pracę za porozumieniem stron – oświadczył. – Chcę wierzyć, że nie żywi pan urazy za to, że poprosiłem, aby je pan podpisał bez daty. Tak było lepiej. Dla pana i dla reputacji naszej instytucji. Dzięki temu IPN nie musiał pana zawieszać na czas tej przykrej sprawy i media o niczym się nie dowiedziały. A tak mówiąc między nami: prywatnie byłem przekonany o pańskiej niewinności.

– Nie, panie dyrektorze – odparł Jakub Kania. – Nie żywię urazy.

– To doskonale – ucieszył się przełożony. – Wobec tego oddaję panu pański egzemplarz. – Przesunął papier w stronę Kubę. – I cóż? Proponuję małą ceremonię. Pan podrze swoją kopię wypowiedzenia, a ja swoją. Zgoda?

Kuba zerknął na leżący przed nim dokument, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po długopis i w puste miejsce wpisał dzisiejszą datę.

Uklonił się i wyszedł.

KONIEC

## POSŁOWIE

Karol Godula to postać autentyczna. Prawdziwy jest jego geniusz gospodarczy, który spłodził jedną z największych fortun w dziejach Śląska, i prawdziwe kalectwo, choć wersji okoliczności i szczegółów okaleczenia jest wiele. Z pewnością stały się one przyczyną wielkiej traumy, jaka zmieniła Karola Godulę w odludka, człowieka szorstkiego i budzącego lęk. Był postacią pełną mroku, a takie zawsze kuszą wyobraźnię literacką. Nie oparłem się temu, wplatając do opowieści wątki fikcyjne: zamiar kupna pałacu w Kopicach oraz posiadanie kołysanki Chopina skomponowanej na zamówienie. Wszystko inne jest prawdą, począwszy od odkrycia pilnie strzeżonej tajemnicy wytopu cynku, a skończywszy na dacie, miejscu i okolicznościach śmierci. Wrocławski hotel „Pod złotą gęsią” rzeczywiście był ulubionym miejscem Fryderyka Chopina, który po raz pierwszy gościł tu w listopadzie 1830 roku.

Postacie otaczające Karola Godulę w tej opowieści: hrabia Ballestrem, Józef Elsner, graf von Sierstorpff, Emilia Lukas i Maksymilian Scheffler – istniały naprawdę. Autentyczna jest również postać Joasi Gryzik, późniejszej Joanny von Schomberg-Godulla (szlachectwo z nadania króla Prus) i hrabiny von Schaffgotsch (po ślubie z Reichsgrafem Hansem Ulrykiem). To fakty historyczne. Pozostałem im wierny, opisując powojenne dzieje pałacu w Kopicach wraz z jego pożarami i grabieżą. Milicjant, który prowadził śledztwo w tej sprawie, rzeczywiście nazywał się Zawisza. Zagadka tego, co zostało skradzione z siedziby Schaffgotschów, pozostała nierozwiązana, choć źródła wspominają o kafelkach mało znanej wówczas firmy Villeroy & Boch, które można znaleźć w okolicy. Takich prawdziwych detali w powieści jest bardzo wiele.

Należy do nich fotografia Arama Chaczaturiana wykonana w 1945 roku w Grodkowie, którą oglądałem w zbiorach prof. Damiana Tomczyka – pierwowzoru postaci Dariusza Jurczyka.

Do świata fikcji należy dworek Kernów w Kopicach oraz wątek kołysanek zamówionych przez Hansa Ulryka dla Joanny, a szkoda, bo hrabia mógłby na to wpaść. Czasy, w których żył, obfitowały w znakomitych kompozytorów. Gdyby kapelmistrz Kern istniał naprawdę, może podpowiedziałyby mu ten pomysł.

Fikcją i tylko fikcją jest współczesna odsłona *Kołysanki*: postaci Iwony Kern, jej męża Tomasza i syna Kamila, ich rodzice i znajomi. Wymyśleni są: marszałek województwa, Agencja Rozwoju Opolszczyzny, szefowa delegatury IPN w Opolu, komendant policji w Grodkowie, prokurator z rejonówki, Józef Galica, naczelniczka Wydziału Dochodzeniowego Komendy Wojewódzkiej Policji w Opolu, personel hotelu przy Oleskiej oraz oczywiście Maarten van Daas. Wszelkie podobieństwa do osób istniejących w rzeczywistości oraz sytuacji, jakie miały miejsce, naprawdę są niezamierzone. Opowieść nie ma nic wspólnego ze współczesnymi perypetiami pałacu w Kopicach i toczącymi się tam sporami. Oby znalazły dobre rozwiązanie i doprowadziły do ocalenia miejsca, w którym dokonała się prawdziwa historia Kopciuszka.

## PODZIĘKOWANIA

Jedną z odmian pisarskiego szczęścia jest to, że każda z powieści gromadzi wokół siebie grono zacnych ludzi, którzy ulepszają ją swoją wiedzą i czynnością. Tak było i tym razem.

Niech mi wolno będzie podziękować przede wszystkim Krzysztofowi Lewandowskiemu, wiceprezydentowi Zabrze, który znajduje czas na wytrwałą i frapującą popularyzację historii swojego regionu. Rozmowy oraz lektura książki pana Krzysztofa *Karol Godula: zostać milionerem* sprawiły, że mogłem nie tylko zrozumieć tytułowego bohatera, ale również nabrać do niego szacunku. To bez wątpienia jedna z najciekawszych i najbardziej zagadkowych postaci historycznych, z jaką się zetknąłem.

Wyrazy szczerzej wdzięczności kieruję pod adresem kolejnego pasjonata – Macieja Mischoka, niestrudzonego orędownika ratowania materialnego dziedzictwa von Schaffgotschów na Opolszczyźnie oraz pamięci tego znakomitego rodu. Jego monografia *Kopice. Historia utraconego piękna* była mi niezawodnym przewodnikiem, źródłem inspiracji i przyjemności, z jaką poznawałem ten bezcenny zbiór faktów i ciekawostek.

Obu panom składam głęboki, pełen podziwu ukłon i raz jeszcze dziękuję.

Dziękuję również wszystkim, którzy oświecali mi drogę, gdy zapuszczałem się w rejony wymagające odpowiednich kompetencji. Kwestie prawne cierpliwie wyjaśniali: prokurator Jakub Chrzęszcz, dziekan Izby Adwokackiej w Opolu Marian Jagielski oraz radca prawny Piotr Dziekoński, który rozpoczyna wspinaczkę po prawniczych schodach, ale pewnie trzyma się poręczy wiedzy i umiejętności, które pomagają wejść wysoko. Za konsultacje kwestii zdrowotnych tradycyjnie ściskam dłoń dr. n. med. Józefa Bojko, który od trzydziestu lat leczy moją medyczną ignorancję. Specjalne podziękowania za rozmowy potrzebne tworzeniu tej

książki składam przyjacielowi po piórze Robertowi Małeckiemu oraz Adamowi Szai, który pilnował śląskości powieści.

Na koniec nucę *Kołysankę* tym, którzy znosili tak zwany proces twórczy, trwoniąc na to swoją prywatność i cierpliwość. Moja żona Kasia wie to najlepiej.

I wreszcie specjalne, szczególnie dla mnie ważne podziękowania. Składam je wszystkim, którzy na tę książkę czekali: czytelnikom, sympatykom, kibicom znajomym i nieznanym. I blogerom. Wasz doping jest najsilniejszą z możliwych motywacji, a aktywność – nagrodą literacką.

Nisko kłaniam się ekipie Agory. Małgosi za trzymanie ręki na pulsie, Pawłowi za mądrą redakcję, Asi za promocję, Kasi za opiekę. Korekcie za korektę, składowi za skład, drukarzom za druk, sprzedaży za sprzedaż.

## PRZYPISY

[1] Kapitan Teresa Barska towarzyszyła Jakubowi Kani w powieściach *Miejsce i imię* oraz *Wotum*.

[2] Tajemnicę krypty w Kamieniu Odrzańskim Jakub Kania odkrywa w powieści pt. *Kukły*.